

Rafał M. Skrobot

CEREBRUM TREMENS

Gdy szczęścia pragnie dorobić się tępak,
to na zgryzoty jeno tak zarabia;
ten, kogo zły duch uporczywie nęka,
chcąc uciec przed nim – życia się pozbawia.

Sakja Pandita

STRZĘPY

We wtorek postanowiłem wybrać się do Centrum Handlowego „Jukatan” po jedzenie na cały tydzień, a także po jakieś letnie buty, bo pomimo upałów chodziłem w martensach, gdyż innych butów nie posiadałem. Do „Jukatanu” nie miałem daleko, kilometr prostej drogi, jednak starałem się chodzić tam jak najrzadziej, gdyż byłem uczulony na ulotkarzy i gdy tylko wypatrzyłem agresywnie uprzejmą osobę z naręczem kolorowej makulatury w dłoni, skręcałem od razu w bok, co bardzo utrudniało mi dojście do sklepu, do którego chciałem. Wydłużało mój pobyt w centrum co najmniej o połowę, a nie znoszę ani uciekać, ani tracić czasu. Chociaż, jak się głębiej zastanowić, moje życie zazwyczaj składało się z ucieczek i tracenia czasu.

W połowie monotonnej drogi do centrum, z zarośli wyskoczył pies. Był czarny, tylko przez cały jego grzbiet prowadziła biała pręga, tak, że wyglądał jak przerośnięty skunks. Zaczął na mnie warczeć, szczekać i jeżąc sierść stanął mi na drodze. Chciałem go zignorować, lecz pies zaczął ujadać i jak zauważyłem, przygotowywał się do skoku.

-Won – mruknąłem. – z drogi, śmierdzieliu.

Ale on nie chciał ustąpić, a patrząc na jego obnażone żółte kły, stwierdziłem, że nie mam ochoty na starcie z głupim skunksopsem. Pomyślałem też, że może być wściekły, co by tłumaczyło jego agresywne zachowanie.

-Idź do cholery – pożegnałem się z upartym zwierzęciem i zawróciłem. Nie poszedłem tego dnia do „Jukatanu”, bo zdarzenie to wyprowadziło mnie z równowagi, a w takich przypadkach odechciewa mi się wszystkiego. Wróciłem do domu.

Następnego dnia przy szczątkowym śniadaniu dowiedziałem się o ataku terrorystycznym na „Jukatan”, w wyniku którego centrum zamieniło się w kupę gruzu, przysypując około 1200 ludzi.

-O kurwa – mruknąłem, zdając sobie sprawę, że mógłbym w tym momencie tkwić pod sklepem „BBB”, w jednej chwili zamienionym w mój kurhan nagrobny.

Wyszedłem szybko z domu i jako typowy gap ruszyłem oglądać akcję ratunkową.

W połowie drogi do hałdy gruzu z zarośli wyskoczył pies. Poznałem tego skunksa po białej prędze na grzbiecie. Na mój widok skunksopies podkulił ogon i z piskiem przerażenia wskoczył z powrotem w krzaki.

*

Tak się złożyło, że dom, w którym mieszkam, ulokowany jest w bliskiej odległości Urzędu Miejskiego, Szpitala Psychiatrycznego, Domu Pogrzebowego i cmentarza, co samo w sobie jest zabawne i skłania niektórych moich znajomych do bardziej lub mniej wybrednych żartów. Najbardziej przypadło mi do gustu określenie „full service” wymyślone przez kolegę, którego znam od czasów liceum.

Wracalem autobusem 126 do domu, by odpocząc po męczącej rozmowie z lekarzem, gdy przystanek przed tym, na którym wysiadam, wsiadła para w średnim wieku.

Kobieta od razu stanęła przy oknie i zastygła bez ruchu, mężczyzna natomiast podszedł do mnie i z szerokim uśmiechem na twarzy wyciągnął do mnie rękę.

-Moje uszanowanie – huknął na cały autobus (wszyscy się obejrzeliby oprócz jego żony przy oknie). – Jadę na konsultację i może zostanę. Bo ja się leczę, wie pan.

-Ja też się leczę – powiedziałem, gdy uściśnął mi dłoń.

-A widzi pan – ucieszył się. – Ja się leczę, a moja żona nie musi się leczyć.

-Tak to jest – powiedziałem. – Jedni muszą, drudzy nie.

Autobus utknął w korku. Zacząłem obawiać się, że rozmowa z pacjentem Szpitala Psychiatrycznego, na razie bardzo miła, im dalej, może zacząć zahaczać o niepokojące tematy.

-Janek Szczypiorski jeszcze siedzi? – zapytał wariat w konfidencjonalny sposób.

Udałem, że się zastanawiam.

-Chyba go nie znam – odparłem. – Wie pan, nie przypominam sobie.

-A, bo jego teraz przenieśli na Dzienny – wariat pokiwał głową i dodał z zawiścią, jakby chodziło o nie wiadomo, jaki awans społeczny. – Wygryzł się, skubany.

-Tak to bywa – odpowiedziałem jednym z tych zdań, co nic właściwie nie znaczą.

-Tak to bywa – powtórzył za mną i dodał: - Jadę, bo dostałem jakichś leków

-Ja też mam nieraz lęki – powiedziałem. – Niech się pan nie martwi. Wyprowadzą pana z tego.

-To ja pana pożegnaj – powiedział niespodziewanie wariat, kierując się w stronę żony. – Przepraszam, że zabrałem panu czas. Co złego, to nie ja.

-Nie ma za co przepraszać – odparłem, lecz on już mnie nie słuchał, gdyż mówił coś do żony, która zdawała się go nie słuchać w swoim skamienieniu.

Nie wiem, dlaczego nie wysiadłem na swoim przystanku, a dopiero na następnym, gdzie wysiadł wariat z żoną. Nie wiem też, dlaczego zacząłem za nimi iść, aż do bramy Szpitala Psychiatrycznego przy ulicy Judy z Kiriatu. Oni przekroczyli bramę. Ja zatrzymałem się gwałtownie i czując, że w mojej głowie zaczynają rodzić się niepożądane myśli i wspomnienia, czym prędzej zawróciłem w stronę domu. Ten krótki przystanek mogłem przejść pieszo, wolnym krokiem najwyżej w kwadrans. Lecz ja szedłem szybko, zwłaszcza że zaczął siąpić deszcz.

*

Dość tajemniczy mecenas, który porozumiewał się ze mną wyłącznie telefonicznie, a przedstawił mi się tak niewyraźnie, że nie zrozumiałem, po przeczytaniu w gazecie któregoś z moich opowiadań, zafundował mi roczne stypendium oraz niezależnie od niego bilet w tę i z powrotem do USA.

Najwięcej czasu spędziłem w Kalifornii. Potem postanowiłem zwiedzić południowe stany. Kiedy kupowałem broń, sztucera, sprzedawca z hamburgerową nadwagą rzucił niby ukradkiem:

-Jakby co, strzelaj od razu. Z tymi z południa nie ma co rozmawiać. Jak wdasz się w gadkę, oni strzelą pierwsi.

-Będę pamiętał – odparłem na odchodnym.

Szedłem pieszo z Santa Fe w Nowym Meksyku, by po krótkim pobycie w Albuquerque, gdzie urodził się Nocny Kowboj, udać się do Roswell, gdzie kręca ten serial o UFO i innych takich. Szedłem wzdłuż rzeki Pecos, stwierdziłem, że może stać się wszystko, ale wody mi nie zabraknie.

Albuquerque było rzeczywiście tak nudne, jak w powieści Herlihego, ulicami snuli się tylko potencjalni Nocni Kowboje, odpocząłem więc dzień i ruszyłem w dalszą drogę.

Nie miałem do tej pory pojęcia, co znaczy prawdziwy upał. Łały się ze mnie strumienie, gotowały się kauczukowe podeszwy moich martensów. Nic mi się nie podobało, zresztą niewiele widziałem oczami zalewanymi potem.

A miałem już nauczkę, gdy w lipcu postanowiłem zwiedzić Włochy. Do tej pory mówię wszystkim, że Włochy są paskudne, co chyba nie jest prawdą. Może kiedyś zweryfikuję swój pogląd i pojadę do Włoch zimą, na razie jednak nie minął mi uraz. Tak, więc miałem nauczkę, lecz jak wiadomo, z nauczek nie wyciąga się wniosków.

Nagle z rzecznych zarośli wyskoczył jakiś ciemny kształt. Strzeliłem bez namysłu (jak mi radził sprzedawca broni), usłyszałem bolesny kwik a potem zapadła cisza. Otarłem oczy z potu i stwierdziłem, że upolowałem jakieś zwierzę. Podeszedłem bliżej i rozpoznałem w zwierzęciu skunksa.

Odchodząc zastanowiło mnie jedno – ustrzelony przeze mnie skunks był wielki jak prosię, a raczej jak spory pies.

„Może w pobliżu jest tajna baza wojskowa – pomyślałem leniwie. – Może to był mutant, który zwił z laboratorium.” – i przestałem już o tym myśleć, bo upał nie skłaniał mnie raczej do myślenia.

Spojrzałem na zegarek. Była szósta po południu. Według moich obliczeń do celu pozostały jakieś dwa kilometry.

Zbliżałem się do Roswell.

*

Był rozdygotany. Pokazał mi świeże sińce i rany na plecach, po czym drżącym głosem oświadczył, że ma dość i że się decyduje. Otworzyłem więc górną szufladę komody i spod sterty papierów wydobyłem szklane naczynie wypełnione niebieskim proszkiem. Przesypałem odrobinę proszku do pudełka od zapalek i podałem mu je, mówiąc:

-Dosyp ojcu do herbaty. Nic nie pozna, to nie ma smaku a w reakcji z teiną traci kolor.

Trzymał pudełko w drżących dłoniach i jakoś nie kwapił się do wyjścia. Wierząc się w fotelu ze wzrokiem wbitym w dywan wyznał, że na dodatek wpłatał się w jakieś śmierdzące interesy z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi, przez co teraz znajduje się w niezłym bagnie.

-Naprawdę boję się, jak to wszystko się skończy – powtarzał głucho raz po raz. Zirykowało mnie to i wyprosiłem go pod pozorem, że spodziewam się ważnej wizyty.

Następnego dnia, gdy siedziałem przy kawie, wszedł do kawiarni i od progu przywitał mnie radosnym uśmiechem. Zanim jednak zdążył dotrzeć do mojego stolika, do kawiarni wpadło dwóch mężczyzn uzbrojonych w automaty. Rozległy się strzały.

Krew strózkami rozlała się po parkiecie a ja przypadkowo natrafiłem wzrokiem wzrok jednego ze strzelających mężczyzn i mogłem się mylić, lecz wydało mi się, że w jego spojrzeniu dostrzegam jakieś dziwne perwersyjnego rodzaju męczeństwo. Gdy ci dwaj uciekli, z kieszeni trupa ukradkiem wyjąłem pudełko od zapalek.

Było puste, zużył więc wszystko.

Trzy dni później odbył się jego pogrzeb. Spóźniłem się. Gdy szybkim krokiem przemierzałem cmentarne alejki, już z daleka usłyszałem głośny szloch. Gdy dotarłem na miejsce pochówku, okazało się, że to szlocha jego ojciec. Reszta konduktu pogrzebowego stała w milczeniu z twarzami rozchwianymi pomiędzy powagą a zażenowaniem.

-Synku mój – jęczał ojciec przez łzy. – Synku mój ukochany – powtarzał raz za razem aż stało się to w widoczny sposób irytujące nawet dla rumianego księdza.

Uśmiechając się w duchu pomyślałem o niebieskim proszku oraz o tym jak przewrotne bywa życie.

Równie szybko jak bezradna policja przestałem myśleć o całym tym zdarzeniu, mój bowiem zaprzątnęły inne sprawy.

*

Korzystając z mojej chwilowej nieuwagi kosmici ukradli mi maszynopis mojej najnowszej powieści. Rozpoczęli wnikliwe badania tej nieznanego im zjawiska. Rozbili rozdziały na zdania, zdania na słowa, potem słowa na sylaby, w końcu sylaby na litery. Stwierdziwszy, że nie ma w tym nic dla nich ciekawego, zawiedzeni oddali mi powieść. Otworzyłem maszynopis i stwierdziłem, że Kosmici oddali mi moje dzieło w formie uporządkowanej. Przeczytałem: aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa... itd. Przewróciłem kilka kartek i przeczytałem: bbbbbbbbbbbbbbbbbbb... itd., potem ccccccccccccccc... itd., aż do zzzzzzzzzzzzzzzzzzzzz... itd. Zamknąłem maszynopis. Nie mogłem mieć do nich pretensji. W końcu w gruncie rzeczy wszystko się zgadzało. Nie brakowało ani jednej litery.

Nie przejąłem się tym zbytnio. Wersja powieści, którą porwali Kosmici, była 243231 wersją i wiedziałem, że nie ostatnią. Uznałem więc oddany mi maszynopis za 243232 wersję i od nowa zacząłem mozolnie układać litery w sylaby, sylaby w wyrazy, wyrazy w zdania a zdania w rozdziały.

Moja przyjaciółka I. nie czuła się ostatnio najlepiej i w końcu stało się to, co najwidoczniej było nieuniknione.

I. stała przy oknie wpatrzona w rozproszone w mroźnym powietrzu światła latarni. Jej matka była w kuchni. Tknięta złym przeczuciem upuściła talerz, który rozbił się na 243232 kawałki, po czym zajrzała do pokoju córki. Całe wnętrze wypełnione było lodowatym mglistym powietrzem. I. w nim nie było.

-I. po prostu wołała zniknąć na jakiś czas – tłumaczyłem jej sparaliżowanej rozpaczą matce, samemu nie wierząc w to, co mówię. – Wróci. Ludzie czasami znikają.

-Wiem, że ona wróci – powiedziała matka. – Czułam ją w tej mgle, dopóki się nie rozwiała.

Andrzej, chłopak I. powiedział mi, że chce pokazać mi pewne miejsce. Zgodziłem się pojechać i przez całą drogę czułem się winny, gdyż każde słowo jakie wydobywało się z moich ust, niezależnie ode mnie brzmiało szorstko i oschle. Andrzej milczał a jego twarz wyrażała niezwykle skupienie.

-To tutaj – odezwał się. – Ona bardzo lubiła to miejsce. Bardzo często przyjeżdżaliśmy tu razem.

Spojrzałem przez okno samochodu. Ujrzałem migotliwy blask spokojnej tafli jeziora poprzez szczerbatą osłonę z bezlistnych drzew.

*

Właściciel kawiarni poskarżył mi się, że o ile plamę krwi kształtem przypominającą mapę obcego kraju udało mu się usunąć, to z zapachem śmierci, który jego zdaniem, unosi się w powietrzu, zupełnie nie może sobie dać rady. Otworzył okno, po czym wzdychając zniknął na zaplecze.

-I. – odezwałem się półgłosem, gdy poczułem na twarzy chłodny podmuch. – Jesteś tu?

Dziewczyna siedząca z większym towarzystwem przy sąsiednim stoliku musiała usłyszeć moje słowa. Spojrzała na mnie z zainteresowaniem i uśmiechnęła się nieprzytomnie.

-Mówiłeś do mnie? – rzuciła w moją stronę.

-I., uspokój się – warknął siedzący przy niej chłopiec. – I nie pij już – dodał i spojrzał na mnie wrogo.

-Wiesz co, odpiardol się wreszcie – dziewczyna odsunęła się od niego razem z krzesłem, które zaskrzypiało przeraźliwie.

-Wiecie, że tutaj kilka dni temu zabili człowieka? – wtrącił ktoś z towarzystwa próbując rozładować agresywną sytuację. – To znak, to znak, że już koniec i...

-Co? – zainteresowała się dziewczyna I. – Tutaj?

Jakiś czas ludzie z towarzystwa dzielili się między sobą apokaliptycznymi informacjami o zajściu, których musieli się dowiedzieć z apokaliptycznych gazet. Przysłuchiwałem się ich rozmowie z zainteresowaniem. Moje zainteresowanie musiał zauważyć chłopak, od którego odsunęła się dziewczyna, gdyż zaczął szeptać zerkając w moją stronę. Po chwili całe towarzystwo wstało od stolika. Gdy wychodzili, dziewczyna (a ledwo trzymała się na nogach) próbowała do mnie podejść, lecz niemal siłą zaciągnęli ją za sobą do wyjścia.

Chwilę potem wyszli. Podeszedł do mnie wyraźnie rozbawiony właściciel kawiarni.

-Wie pan co? – zagadnął. – Radzili mi, żebym wezwał policję.

Spojrzałem na niego z uśmiechem. Właściciel, patrząc na mnie, umilkł i pobladł.

-Co się panu stało? – zaniepokoiłem się, lecz on nie chciał odpowiedzieć i mamrocząc coś pod nosem szybko zniknął na zapleczu.

Dosiadł się do mnie niechlujnie ubrany człowiek, śmierdzący śmietnikiem i nie mytym od wieków zwiędłym ciałem. Jego oczy, wyblakłe i zgaszone kontrastowały z resztą twarzy, zaskakująco żywą i młodzieńczą. Przedstawił się jako człowiek znający odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania usunięty, niestety, z cyrku za autodestrukcyjne pijaństwo.

-Jeśli postawi mi pan wódkę – zaproponował, – to odpowiem panu na każde pytanie, jakie mi pan zada.

Innym razem być może kazałbym mu się wynosić, uznawszy go za zwykłego zapijaczonego naciągacza, teraz jednak zaintrygowany reakcją właściciela kawiarni zdecydowałem się bez większego namysłu na postawienie wódki brudnemu mężczyźnie. Ten wypił ją łapczywie i z zawodowym, jak sądzę, wyrazem tajemniczej powagi na twarzy powiedział:

-On czuje śmierć.

Nic więcej nie chciał powiedzieć, dopóki nie zamówił dla niego kolejnej wódki. Gdy wypił, rozejrzał się wokół i oznajmił:

-Kilka dni temu zabito tutaj człowieka. To znak, to znak, że już koniec i...

Rozbawiony, kolejną wódkę wypilem razem z nim, a gdy wychodziliśmy razem z kawiarni w mgliste chłodne powietrze wieczoru, profetyczny śmierdziel popatrzył na mnie przenikliwie rozcieńczonym alkoholem wzrokiem i rzucił jakby od niechcenia:

-Uważaj w obcym kraju.

Nie zdążyłem go zatrzymać. Znikł gdzieś w ciemnej bocznej uliczce.

Postanowiłem wypłynąć stąd, może na zawsze.

Patrzyłem na oddalający się brzeg. Patrzyłem na wodę, spokojnie falującą w mglistej poświacie świtu.

W mojej kieszeni spoczywał wymięty od wielokrotnego czytania list od Z. Co chwilę sprawdzałem, czy list jest na miejscu; stało się to moim nowym tikiem nerwowym.

Gdy łąd zniknął za horyzontem, nie mogłem się powstrzymać, wyciągnąłem list z kieszeni i ponownie zajrzałem do niego.

„Przyjedź koniecznie – pisał Z. – Nie masz pojęcia, ile znalazłem tu możliwości, by doprowadzić dzieło do końca. Oczywiście myśl o tobie była myślą oczywistą pomimo, iż minęło przecież tyle lat i mogło się stać wszystko, ja wierzę jednak, że ty wobec żadnych zrząceń losu nie byłbyś w stanie nigdy odrzucić siebie. I wierz mi, dzieło będzie wspaniałe, prawdziwe dotknięcie boskości, i jeśli uda mi się rozpać w tobie mój płomień a ty we mnie tchniesz...” I tak przez dwadzieścia kilka stron. A ja nie mogłem odnaleźć w pamięci nikogo, kto mógłby być autorem tego listu.

*

Na dnie mojego żołądka leżała zwinięta żmija. Dawała mi o sobie znać cichym sykiem. Nie przeszkadzała mi, chyba że zaczynała syczeć z nudów np. w teatrze lub filharmonii. A tak ogólnie to nawet ją polubiłem. Dzięki niej poznałem wielu przyjaciół.

-Jak tam twoja żmija? – pytał spotkany w parku przyjaciel.

-Bardzo dobrze – odpowiadałem. – A co u twojego chomika?

-Trochę utył – mówił przyjaciel. – Muszę go odchudzić, bo rozciąga mi żołądek.

Oczywiście, jak to w życiu bywa, zawsze znajdzie się ktoś, kto czuje się w obowiązku naprawić twoje życie.

-Co ty robisz? – zawarczał ojciec, przyłapawszy mnie na cichej rozmowie ze żmiją.

-Rozmawiam ze żmiją – odparłem.

-Jaką żmiją? – ojciec tchórzliwie rozejrzał się po pokoju.

-Tata się nie boi – powiedziałem. – W brzuchu ją mam.

I wysłał mnie na leczenie, które miało na celu zlikwidowanie żmii z mojego żołądka, z zazdrości pewnie, bo sam nic nie miał w żołądku oprócz kielbasy i chleba.

Lekarz wyglądał zupełnie jak Lawrence Olivier w filmie „Maratończyk” (znakomity film). No, pomyślałem, to ze żmiją koniec, jak taki sadysta będzie mi ją likwidował. Poprosiłem go, żeby zaprzestał, a on popatrzył na mnie, pokiwał głową i powiedział:

-Trzeba było tego nie rozpowiadać. Ja ukrywam w żołądku samego Adolfa Hitlera, ale umiem trzymać język za zębami i jestem profesorem, aha!

I tak mnie męczył, dręczył, a raczej mnie i żmiję, że pewnego dnia żmija nie wytrzymała i uciekła (do tej pory nie wiem, w jaki sposób).

-Jesteś zdrowy – powiedział (pfuj!) profesor. – Możesz iść do domu.

Stało się. Żmii nie było. Lecz (czego ten niegodziwiec nie zauważył) żmija pozostawiła po sobie jajo. Teraz z radością czekam na wyklucie.

A jak będzie jakiś zjazd profesorów to mnie tam nie zabraknie, o nie. Wstanę dokładnie wtedy, gdy zły profesor będzie na mównicy i zawołam, ile sił:

-Profesor Buffalo Bill (bo tak się on nazywa) ma w żołądku Adolfa Hitlera!

*

-Proszę pana – usłyszałem głos. – Proszę pana, pan pozwoli.

Odwróciłem się i ujrzałem zwalistą postać policjanta, któremu najwidoczniej wyfasowano za małą czapkę, bo tkwiła mu jak krowi placek na czubku głowy, a pasek boleśnie wrzynał w podwójny podbródek.

-Ja? – zdziwiłem się wskazując na siebie.

-Tak, pan – policjant z niemałym trudem pokiwał głową usztywnioną czapką. – Proszę zejść z trawnika i podejść. Mandacik będzie.

-Za co? – prawie że wykrzyknąłem ze świętym oburzeniem.

-No, mówię przecież – mruknął policjant i wskazał tłustym paluchem trawnik. – Depcze pan zieleń, a to zabronione. Jest... – Rozejrzał się (z niemałym trudem) wokół. – Była nawet tabliczka, ale chyba ukradli.

W milczeniu, wolnym krokiem podszedłem do gorliwego funkcjonariusza i popatrzyłem w jego bawole oczy z takim natężeniem, że nie wytrzymał i spuścił wzrok.

-Mandacik?... – wycedziłem z anielskim spokojem. – Jaki mandacik?

-No... – policjant zaczął się jękać, szybko się jednak opanował (z niemałym trudem). – Mówię panu już czwarty raz. Że za deptanie trawy. To jest wykroczenie karane grzywną, znaczy mandatem.

-Trzeci raz – poprawiłem go. Chwilę zdającą się być wiecznością (miałem nadzieję) trwała między nami pełna napięcia cisza, którą przerwałem, uprzednio nachyliwszy się ku twarzy policjanta:

-To nie słyszał pan o zabójczej Panflorii?

-Nie – bąknął, cofając odruchowo głowę. – O czym pan mówi?

Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

-Nie wierzę – powiedziałem. – Czego oni was uczą? To jedno z największych zagrożeń z istniejących zagrożeń!

-Co pan za głupoty pan opowiada – mruknął policjant. – Odkąd pamiętam, zawsze trzeba było szanować zieleń. Zawsze były tabliczki na trawnikach, zbiórki makulatury, żeby oszczędzić drzewa... Ech, żarty pan sobie ze mnie robi i za to też będzie mandat, jeśli pan nie przestanie.

Westchnąłem jak umiałem najciężej.

-Właściwie to nie powinienem panu tego mówić, bo mundur może założyć nawet szpieg – popatrzyłem na policjanta tak groźnie, że widocznie struchlał ze strachu. – No, ale skoro w Szkole Policyjnej nastąpiło tak nieprawdopodobne przeoczenie... To wszystko, o czym pan mówił, tabliczki, zbiórki makulatury to kamuflaż, mający na celu zapobieżenie ogólnoświatowej panice. Nawet tzw. Partia Zielonych, jest tak naprawdę grupą operacyjną, opłacaną przez rządy wolnego świata. Czy słyszał pan kiedyś o narastającym zjawisku Panflorii?

-Nie – bąknął zduszonym głosem policjant. – Co to jest?

Pozornie nie zwróciwszy uwagi na jego pytanie, zacząłem wywód:

-Panfloria, zwana też Panspermią Roślinną, w środowiskach okultystycznych Apokalipsą Jadowitej Zieloności, w środowisku służb specjalnych Bombą Z, jest zjawiskiem spowodowanym powiększającą się dziurą ozonową, wybuchami termonekluarnymi i innymi skutkami ubocznymi cywilizacji. Polega(powiem w skrócie) na niezwykle trudnym do opanowania, wprost niepoahamowanym i progresywnym zjawisku nadmiernego rozrostu flory zielonej. Przykładowo – bambus, którego dobowy przyrost wahał się w okolicach 1m, teraz wynosi circa 8m i z miesiąca na miesiąc postępuje w zatrważającym tempie.

Policjant(z niezwykłym trudem) usiłował coś powiedzieć, nie dopuściłem go jednak do głosu:

-Jak pan myśli, po co wycinamy lasy? Na papier, meble? Papier można robić ze szmat a meble z tworzyw sztucznych. Jak pan myśli, po co strzyżemy trawniki? Żeby było ładnie i psy miały gdzie srać? Gdybyśmy przestali w mozolnym znoju zwalczać Panflorię, to w ciągu niecałych dwóch miesięcy zmutowana roślinność zadławiłaby nas – porosła nasze domy, korzeniami krusząc mury, roślinność toksyczna potrułaby nasze matki, żony dzieci, w końcu nas samych. I taki byłby koniec ludzkości – nie nawracająca epoka lodowcowa, nie zderzenie z wielkim meteorem, nie trzecia wojna światowa, nie jakiś nowy rodzaj wirusa. Nie. Ta oto –

wskazałem ręką – niewinnie wyglądająca stokrotka, te piękne żółte mleczce, tamto drzewo, które swym cieniem daje ukojenie w upalne dni. Właśnie to. Dlatego też – spojrzałem na policjanta jak na pluskwę – pamiętajcie, funkcjonariuszu, wszelkie przepisy dotyczące zakazu deptania trawników już dawno zostały zniesione, istnieje nawet tajne zalecenia dla wtajemniczonych, by destruować florę, kiedy tylko się da. Oczywiście należy to robić ostrożnie, by niewtajemniczeni nie zaczęli niczego podejrzewać. Jak już mówiłem panika nigdy nie przynosi ze sobą niczego dobrego. Dobrze – spojrzałem na swoją podróbkę Rolexa. – Na mnie już czas. A pan niech to wszystko zapamięta, lecz jako funkcjonariusza władzy obejmuje pana tajemnica służbowa. Nikomu ani słowa, nie chciałbym tu mówić o przykrych dla pana i pańskiej rodziny konsekwencjach nieprzestrzegania tajemnicy służbowej.

-To nie może być – w skołatym mózgu policjanta musiała działać się istna rewolucja.
– A kim pan właściwie jest?

-To również tajemnica służbowa – rzuciłem na odchodnym. – Cześć.

Gdy oddaliłem się już nieco, obejrzałem się za siebie. Policjant stał jak skamieniały tam, gdzie go zostawiłem i z przerażeniem wypisanym na nalanej twarzy patrzył na trawnik.

*

Słońce rzygnęło wczesnym rankiem słomianym haftem, a potem nabuchało chmur i zrobił się tropik i dżungla. Powaliło mnie plackiem na podłogę, jakby zmieniła się grawitacja i leżałem tak przyklejony ciężko dysząc, skąpany w wilgoci wewnętrznej i zewnętrznej. A tu telefon.

Ręka niemal nie wypadła mi ze stawu barkowego, lecz udało mi się sięgnąć po słuchawkę.

-To ja wpadnę – ze słuchawki wionęło spoconą parą.

-Dobrze – wyjęczałem. – Skoro dasz radę.

-Ćwiczę silną wolę – powiedział Jarosław, bo to dzwonił Jarosław. – Będę za pięć minut. Jeśli się spóźnię, daję ci prawo nakłaść mi po ryju.

Rozłączył się i za cztery minuty (był dumny z siebie) był już w moim mieszkaniu. Pocił się strasznie, wszędzie zostawiał kałuże, trochę się zaniepokoiłem, że zaleje sąsiadów.

-No, jak tam te twoje – zagadnąłem z podłogi. – No, te co zbierasz.

-Zamokły i zbutwiały – odparł Jarosław. – Ogólnie zgniły. A jak ten twój, no...? – zapytał.

-Rozkleił się i rozleciał – odparłem. – Ogólnie nie ma co zbierać.

-Co u twojej dziewczyny? – zapytał Jarosław, przez cały czas brodząc we własnych kałużach.

-Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – A co u twojej żony? – spytałem.

-Nie żyje – odparł Jarosław. – Te upały ją wykończyły.

-Wybacz, ale nie jest mi przykro – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, gdyż przed miesiącem postanowiłem mówić samą prawdę, a przedtem mówiłem same kłamstwa. – Nie lubiłem jej. Była brzydka wredna i jechało jej z ryja.

Jarosław roześmiał się głośno i wesoło.

-Co prawda, to prawda – pokiwał mokrą głową. – Mała strata, krótki żal.

Czymże żal jest, pytasz mnie.

Ja ci na to z zadumą:

Nie wiem.

-Będę leciał – powiedział Jarosław podskakując w miejscu. – Muszę trenować wolę. Ty jesteś już 576 znajomym, którego odwiedziłem. Teraz idę odwiedzić 577.

I pomyliwszy się, wyszedł oknem.

Z niewyobrażalnym trudem odlepiłem się od podłogi i spojrzałem przez okno. Liczyłem, że ujrzę plamę krwi, ujrzałem jednak tylko wgniecenie w roztopionym asfalcie. Jarosława już nie było.

Chmury pociemniały i zgęstniały.

-Lato, lato, lato czeka – zaśpiewałem od niechcenia. – Razem z lasem czeka rzeka. Razem z lasem czeka las. A tam ciągle nie ma nas.

I wtedy zagrzmiało, a po chwili niebo przecięła regularna błyskawica w kształcie runy sowelo. Zagrzmiało jeszcze raz.

Posmutniałem.

-Kurwa – odezwałem się z żalem. – Koniec świata. A ja tyle miałem do zrobienia i już nie zdążę.

I zaczęło grzmieć i błyskać na całego, aż wszystko wokół drżało, a szkło pękało.

A potem...

*

Zazwyczaj nie do końca rozumiem okoliczności, kierujących moim życiem. Tak było i 6 listopada 2001 roku, gdy ni stąd ni zowąd zostałem członkiem obsługi technicznej towarzyszącej zespołowi muzycznemu ENSEMBLE w trasie promującej najnowszą ich płytę zatytułowaną „Kaviarhead meets dwarf eatin’ sauerkraut”.

ENSEMBLE – grupa australijsko- brytyjsko- polsko- niemiecka. Działała od 1977 do 1980, najpierw w Sydney, później w Melbourne (w tym okresie wyłącznie koncertowała). Odrodziła się w 1984 w Berlinie Zachodnim, a w 1987 przeniosła się do Londynu, by w końcu w 1994 na stałe osiąść w Gąsiorkowie /Polska/.

Imiona i nazwiska muzyków nie są znane, trzymane są w ścisłej tajemnicy. Podczas koncertów muzycy zasłaniają twarze maskami weneckimi. Znani są tylko muzycy współpracujący okazjonalnie z zespołem, np. Gebo Berkano – skrzypce, Mick Jagger – tamburyn, DJKnox – loops, sample i in.

Muzyka zespołu wymyka się wszelkim schematom, niemożliwym jest jej sklasyfikowanie, zwłaszcza, że całość dorobku ENSEMBLE stanowią niekontrolowane improwizacje muzyczno – słowne, wykonywane w głębokim transie wywołanym medytacją pheniańską Hu-ui.

Dyskografia: 1) Kaviar (1986), 2) Sauerkraut (1989), 3) Kaviarhead (1991), 4) Dwarf (1997), 5) Dwarf eatin’ sauerkraut (1999), 6) Live on the field in Gasiorkovo (2000), 7) Kaviarhead meets dwarf eatin’ sauerkraut (2001).

Koncert w Gąsiorkowie, 12 listopada 2001

...i’ve been lower than most an i’ve been lesser than most an still meltin up the mike like i fuckin been blessed I’ve been lied to by bitches an i’ve been fooled by ho’s, but i just take it on the chin because thats how it goes it’s the lyrics ride let it slide big up the vibe big the sound kick it up an get down we got the beat urban streets...

Po koncercie zespół udał się w celach rekreacyjnych nad rzeczkę Gąsiorkę, płynącą nieopodal Gąsiorkowa. Ku mojemu zdziwieniu zaprosili mnie na przechadzkę. Z nieznanych

dla mnie powodów od początku mojej pracy jako technicznego, mieli do mnie stosunek szczególny, tj. z uwagą słuchali tego, co mówię, traktowali mnie z szacunkiem większym niż innych, na każdym kroku okazywali mi szczerą sympatię.

-Zmierzcha już – odezwał się z błogim uśmiechem Australijczyk (dr., perc.). – Nigdzie na świecie nie widziałem tak fascynującego zachodu słońca jak tutaj, w Gąsiorkowie. Prawda, panie Majsara? – popatrzył na mnie łagodnymi oczami.

-Nie widziałem wszystkich zachodów słońca – odparłem. – Ale ten jest zaiste piękny.

-Pan Majsara widzi piękno – odezwał się Niemiec (guit., voc.). – I umie je przeżyć.

-To widać – powiedział Polak (bass, voc.) i usiadł na trawie. – Pan Majsara ma oczy i potrafi z nich korzystać.

-Biedni są ci, którzy patrzą – powiedział Anglik (keyb., spec. effects) i zapalił papierosa, uprzednio mnie poczęstowawszy. – Sam taki byłem. A nieraz jestem taki w dalszym ciągu. Pana Majsary takie problemy nie dotyczą.

Chrząknąłem z zakłopotaniem.

-Czy aby – zapytałem, spoglądając na nich uważnie – nie przeceniacie mnie panowie?

-Nie, panie Majsara – odparł Australijczyk (dr., perc.).

Aż do późnej nocy siedzieliśmy w milczeniu kontemplując każde źdźbło trawy, każdy podmuch wiatru.

Po powrocie rozpoczęła się libacja, która przeszła w orgię, ale to przemilczę.

Koncert w Przytłumżycach, 17 listopada 2001

...get down to the beat get busy with da m.c.t were is he droppin up the rhymes of the new time now with da trix mc blow your mind take your time take a minute i got the beat so come n get it i got it set the way ya want jump to the beat come on get on...

Po koncercie zespół wraz ze mną udał się do słynnych Przytłumżyczych Lasów.

-Panie Majsara – Niemiec (guit., voc.) popatrzył na mnie rozszerzonymi oczami. – Tu są drzewa, które mają po pięćset lat i więcej. Czy to dlatego drzewa milczą?

-Wie pan – odparłem półzartem. – Gdybym żył pięćset czy tysiąc lat, to napatrzyłbym się na tyle syfu, że odechciałoby mi się gadać na pewno.

Niemiec z powagą pokiwał głową, a Polak (bass, voc.) powiedział:

-Panie Majsara, pan jest mędrce.

-Panowie, nie przesadzajcie – wzruszyłem ramionami.

-Nie przesadzamy – odezwał się Australijczyk (guit., voc.).

Gdy zaczęło się ściemniać, wróciliśmy do hotelu, gdzie rozpoczęła się orgia narkotyczna, której przebieg przemilczę.

Koncert w Jędrzejowie, 8 grudnia 2001

...i've felt the struggles of life no escape on no imonity of all the pain that corrupt my comunity stresses me up to point i wanna kill yo the sickest fuckes on the with the slick flow i'm twixxy kick it got lyrics that'd blow ya....

Ruiny średniowiecznego zamku pokrywała śnieżna czapa. Zmierzchało.

-Ludzie budowali ten zamek – odezwał się Anglik (keyb., spec. effects) – a teraz jest on ruiną. Czy gdyby zastanowili się nad tym, zbudowałiby go, panie Majsara?

-Z pewnością – odparłem. – Zwłaszcza, że im płacili. Murarze nie zastanawiają się nad tym, co będzie z ich robotą za tysiąc lat. Mają to raczej w dupie.

-Nic więcej nie można dodać – powiedział Australijczyk (guit., voc.) i padł mi do stóp.

-Niech pan się nie wygłupia – mruknąłem i odsunąłem się odruchowo.
 -Skromność cechuje nadprzeciętne byty – powiedział Polak (bass, voc.)
 Westchnąłem.

Pop powrocie czekały na nas alkohol, narkotyki oraz groupies, więc łatwo się domyślić dalszego ciągu, który przemilczę.

Koncert w Gzach, 22 grudnia 2001

...the m.c.t. upon the mike let me show ya, what i got in my mind, just let the music wind, i'm biggin vibes of fresh new different kind, for the crew goin for yeah you know who you are, i'm representin energize the kozmic mind...

-Panie Majsara – po skończonym koncercie cały zespół napadł na mnie i gadał jednym głosem. – Jaki jest sens istnienia? Jaki jest sens tego, że jesteśmy tutaj i teraz?

-Sens tego, że jesteście tu i teraz, czyli w Gzach – odparłem trochę rozeźlony, bo przerwali mi kolację - jest taki, że podpisaliście kontrakt na trasę promującą waszą nową płytę i macie zarobić kupę kasy. Poza tym ludzie zapłacili za koncert, więc chyba przyszli was posłuchać, a skoro przyszli was posłuchać, to chyba lubią to, co rzepolicie i bełkoczenie.

-Panie Majsara – łamiącym się głosem odezwał się Polak (bass, voc.). – Zostań z nami na zawsze, prowadź nas, mistrzu.

-Chyba was pojechało – zachnąłem się i byłem tak wkurwiony, że nawet nie wziąłem udziału w pokoncertowej imprezie, więc od opisu nie muszę się wstrzymywać.

Koncert Noworoczny w Oulan Bataar (Mongolia)

...happy new year happynew year happy newyear ha pynewyea r hap py n ewy ear hippie nu ya...

Jeszcze podczas trwania koncertu, będącym uwieńczeniem trasy, poczułem, że na mnie czas, bo sprawy zaczęły przybierać niepokojący dla mnie obrót, zwłaszcza, że zespół ENSEMBLE od tygodnia zwracał się do mnie per „Guru nasz”. Ruszyłem więc przed siebie, przedzierając się przez tłum zdziwionych Mongołów. Rozejrzałem się szeroko po ginącym w mroku nocy stepie i zabrawszy ze sobą butelkę rosyjskiego szampana, skierowałem się na zachód. Szedłem tak i szedłem, popijając szampana. Nastął nowy dzień, niosąc ze sobą nowy rok, a ja wciąż szedłem, nastąpiła noc, potem znowu dzień, a ja szedłem dalej. Gdzieś w okolicach Kaukazu zostałem ujęty przez oddział uzbrojonych Rosjan ucharakteryzowanych na Czeczenów, ale to już zupełnie inna historia.

*

Mój amerykański znajomy, psychiatra, lubił opowiadać w towarzystwie o przypadku pewnego pacjenta, z którym miał do czynienia. Niezmiennie po czterech czy pięciu drinkach zaczynał snuć opowieść, którą wszyscy znali na pamięć, jednak dla świętego spokoju nikt mu nie przerywał, może dlatego, że nie była to historia zbyt długa i dało się ją bez większego bólu odsłuchać raz jeszcze.

-Charles już od dziecka podejrzewał, że w jego mózgu zagnieździł się robal, który żywi się niektórymi jego uczuciami, zazwyczaj uczuciem zadowolenia. Lecz gdy mówił o tym rodzicom, nie traktowali go poważnie, tłumacząc sobie słowa syna schizofrenią dziecięcą. Charles, np. mówił:

„Wczoraj, jak zjadłem to pyszne ciastko, to tylko przez chwilę było mi dobrze, resztę przyjemności zeżarł robal.”

Czy:

„To był taki fajny film, że nie wiem, ale teraz, gdy chcę sobie coś przypomnieć, czuję smutek. Zadowolenie zeżarł robal.”

Rodzice, czy inni starsi śmiali się, jakby usłyszeli najlepszy w świecie kawał.

Czas mijał, Charles dorastał, a robal w jego mózgu rósł razem z nim. Charles zyskał miano dziwaka, bo nie bawiły go rzeczy, które bawiły jego rówieśników. Oczywiście z winy robala.

Charles dostał się na najlepszą uczelnię w kraju i jego radość trwała piętnaście sekund, resztę pożarł robal. Wówczas Charles postanowił zrobić sobie EEG i tomografię mózgu, zaczął się obawiać, że robal z pewnością rośnie i wydala, a to w ostateczności spowoduje rozsadzenie czaszki. Już w trakcie badań Charles wiedział, że nic nie wykażą, gdyż czuł wyraźnie, jak robal ucieka z mózgu i chowa się w żołądku. Po wszystkim robal wrócił na swoje miejsce.

„Nic panu nie jest – oznajmił mu z uśmiechem lekarz. – Chyba panu ulżyło, prawda?”

„Nie” – odparł Charles zgodnie z prawdą.

„Wydaje mi się, że to depresja – stwierdził inny lekarz. – Spróbujemy leczenia farmakologicznego”

Robal uwielbiał zoloft, więc Charles szybko przestał go łykać. I zaprzestał wizyt u lekarzy.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie Charles zakochał się od pierwszego wejrzenia w studentce z innego wydziału, Rosie Moonlight. Poza tym poczuł, że wobec tego przeżarty robal zgłupiał wobec tak silnego uczucia.

„Mrówka nie zje słonia, mrówka nie zje słonia” – powtarzał sobie w euforii Charles, czym prędzej umówił się z Rosie.

Uczucie i możliwość odczuwania go nie mijały. Po dyplomie Charles poprosił Rosie Moonlight o rękę i Rosie zgodziła się. I w momencie najmniej stosownym, tzn. w czasie ceremonii ślubu robal, którego Charles już zaczął traktować jak zły sen, jego robal ochłonął i odezwał się.

„Tak” – odpowiedział Charles na pytanie pastora i poczuł, że robal uszczknął coś z jego entuzjazmu.

Po ślubie robal zaczął działać ze wzmożoną szybkością. Miłość Charlesa do Rosie gasła. Rosie urodziła bliźniaki, dwóch chłopców. Nazwali ich Ronald i Donald.

Charles zapalał taką miłością do chłopców, że robal znowu przestał dawać o sobie znać. Kochał synów jak nikogo na świecie, bowiem tuż przed ich narodzinami robal pochłonął w pośpiechu resztkę miłości do Rosie.

Minęło dziesięć lat, dekada udawania miłości do Rosie i prawdziwej miłości do chłopców. Charles znał dobrze robala i wiedział, że jego czas nadchodzi. Charles postanowił więc działać.

„Nie dam sobie odebrać miłości do dzieci – myślał jak w gorączce. – Jedynym sposobem będzie zabicie Rona i Dona, wtedy robal zgłupieje i zdechnie. I wszystko wróci do normy, wszystko będzie jak dawniej, będę kochał Rosie, Ron i Don zmartwychwstaną, a ja będę odczuwał każdą przyjemność w stu procentach.

Tak myślał Charles i chociaż wiedział, że ryzykuje wszystko, był wprost nieprawdopodobnie zdeterminowany.

W pewien weekend powiedział Rosie, że zabiera chłopców na ryby. Spakował wszystko, co potrzebne na biwak oraz specjalny świeżo naostrzony nóż z kościaną rękojeścią. Nóż był ostry jak brzytwa, żeby chłopców jak najmniej bolało, gdy będzie im podryzał gardła.

Pojechali, rozbili się w lesie, kilometr od rzeki. Gdy nadszedł wieczór, rozpalili ognisko i opowiadali sobie historie.

Charles załatwił sprawę szybko. Ron był pierwszy, Don zaczął uciekać, lecz Charles szybko go dogonił.

Lekko oszołomiony Charles usiadł przy ognisku i czekał. Jednak chłopcy nie zmartwychwstawali, gdy pomyślał o Rosie, czuł pustkę. Jednak coś się działo, coś się z nim działo. Tylko z nim.

Spojrzał w lusterko i zamiast swojej ponurej twarzy zobaczył wielkie oczy robala.

*

Pewnej dusznej nocy z wtorku na środę miałem sen. Był bardzo realistyczny i pełen zadziwiających szczegółów. Po przebudzeniu spróbowałem na świeżo i jak najdokładniej go spisać.

6 czerwca 1996 roku narodził się Antychryst w ludzkiej postaci, lecz jak wiadomo został pokonany, tzn. pokonana została jego ziemską powłoka. Zastrzelenie Antychrysta przez 94-letniego kłusownika w Puszczy Białowieskiej było dziełem kompletnego przypadku, gdyż kłusownik, Jan Kłósownik wziął Antychrysta za szarżującego byka i wystrzelił.

To zdarzenie zostało odczytane przez chrześcijańskich fundamentalistów za Znak Ostrzegawczy i było bezpośrednią przyczyną zawiązania półlegalnego Najnowszego Mesjanistycznego Kościoła Neo-Chrześcijańskiego. Tworząc w pośpiechu strukturę i hierarchię Kościoła, członkowie NMKN-CH czekali w napięciu na dzień 6 czerwca 2006 roku, kiedy to, co było logiczne, konsekwentne i oczywiste, Antychryst miał się narodzić ponownie.

Zmobilizowano siły na całym świecie; po namyśle zwrócono się o pomoc do Dalaj Lamy, który po wysłuchaniu Zwierzchnika NMKN-CH zachichotał i z jedynie z sobie znanych powodów zgodził się (w grę wchodziła zwyczajna uprzejmość, lub plan nie do ogarnięcia umysłem zwykłego śmiertelnika). Dalaj Lama podczas transmisji tv na cały świat uprzejmie poprosił buddystów i innych swoich sympatyków o pomoc.

O godzinie 23.59, 6 czerwca 2006 roku ogłoszono stan najwyższej gotowości. Wybiła północ. Pomimo inwigilacji szpitali i innych miejsc narodzin dzieci lokalizacja Antychrysta-niemowlaka (a nie żałowano wody święconej, w którą zaopatrzeni zostali nawet buddyści, judaishi i muzułmanie) zakończyła się sromotną klęską. 7 czerwca zwołano I Sobór NMKN-CH i prymasi Kościoła z całego świata zastanawiali się, co dalej.

-Jest inteligentniejszy, niż poprzedni – stwierdził prymas USA. – Ale nie może nam się wymknąć, bo wojna atomowa to pestka w porównaniu z tym, co nowy Antychryst może wymyśleć, skoro jest taki inteligentny.

-To bardzo amerykańskie – odparował zgryźliwie prymas Rosji. – Pcha się na pierwszego z pustosłowną gadką. Może jakieś konkrety? Ja bym zaczął cichy kidnaping, badania egzorcyzyczne i równie ciche uwolnienia. Aż do skutku.

-To bardzo rosyjskie – prymas USA nie pozostał dłużny. – Najlepiej wybić wszystkie niemowlaki z 6 czerwca i po kłopotcie, co?

Prymas Rosji poczerwieniał ze wściekłości, lecz Zwierzchnik NMKN-CH (obywatel Ghany) uniósł prawą dłoń, więc posłusznie umilkli.

-Liczę na konstruktywne pomysły, a nie idiotyczne klótnie – rzekł.

-Obserwacja żłobków – zaproponował prymas Walii.

-Akcje rozpylania wody święconej – zaproponował prymas Czech.

Padła niezliczona ilość podobnych pomysłów, aż milczący do tej pory prymas Polski i Ukrainy (jedyne prymasy dwóch krajów jednocześnie) aż podskoczył z radości i wykrzyknął:

-Mam!!!

-Co takiego, prymasie? – zapytał Zwierzchnik nieco zniesmaczony takim zachowaniem.

-To proste! – wołał euforycznie prymas Polski-Ukrainy. – Klin klinem!!!

-Co takiego? – Zwierzchnik popatrzył na niego z niepokojem.

-Zwalczymy Antychrysta Mesjaszem – wyjaśnił. – Nie wiem dlaczegośmy o tym nie pomyśleli, lecz przecież jeśli w dacie narodzin Antychrysta muszą być trzy szóstki, to w dacie urodzin muszą znajdować się siódemki, i to tylko dwie, rozumiecie, o co chodzi! Mesjasz potencjalnie ma możliwość narodzin co roku, dokładnie 7 lipca, czyli za miesiąc dokładnie!

To było Wielkie Ołśnienie.

Czasu było mało, więc Zwierzchnik NMKN-CH, tłumiąc coś w sobie, ponownie zwrócił się do Dalaj Lamy, który nie mogąc opanować chichotu ponownie ofiarował swą pomoc. Nie przebijając w środkach Zwierzchnik zwrócił się także do gnostyków, manichejczyków, wyznawców voodoo, a nawet do Lucyferian, jako że wszyscy byli w temacie. Wszyscy ochoczo wyrazili chęć współpracy.

-Później się ich umiejętnie odsunie od całej sprawy – planował Zwierzchnik. – Jest nas wielu, więc nie będzie problemu – i nie mogąc przypomnieć sobie cytatu ze Starego Testamentu, chrząknął tylko z lekkim zakłopotaniem.

Czas mijał, Wenecja została zabrana przez morze, zmarł ostatni Ajn, lipiec miał się ku końcowi a zamiast upałów nastały mrozy i spadł brudny śnieg.

-Działa – powtarzał ze zgrozą prymas Argentyny. – Taki gówniarz, a już działa. Strach pomyśleć, co będzie dalej.

Poszukiwania szły pełną parą, prymasi myśleli ze zgrozą, nawet Dalaj Lama przestał chichotać, tylko obserwował bieg wypadków (np. wyprostowanie się krzywej wierzy w Pizie, zawalenie się Mostu Brooklińskiego) z niemym zaciekawieniem.

Jak to bywa, na sekundę przed zwątpieniem, z zapyziałej Czukotki zaczęły napływać wieści o cudach podobnych do tych opisanych w Nowym Testamencie a dokonanych przez niepiśmiennego Czukczę koczującego wraz z 12-osobową (!) rodziną nieopodal miasta Prowidienija.

-Bingo!!! – wrzasnął Zwierzchnik NMKN-CH. – Mamy go!!! – i nie zważając na powagę swojego urzędu odtńczył taniec bulunga-lele, będący tanecznym wyrazem euforii, praktykowanym w Ghanie.

-Coś mi mówiło, że znajdziemy go na wschodzie – powiedział z nieumiejętnie skrywaną dumą prymas Rosji i dodał: – Podobno ma około trzydziestki. To cud, zważywszy, że dopiero co się urodził.

-Głowę dam, że ma 33 lata – dodał prymas Niemiec, z radości zacierając ręce.

Prymasi NMKN-CH niezwłocznie udali się na Płw. Czukoeki największym istniejącym jumbo-jetem, a i tak prymasi Bangladeszu, Kongo i Korei Płn. musieli zadowolić się miejscami stojącymi, względnie leżącymi.

Odnalezienie Mesjasza nie było trudne, gdyż Zwierzchnik posłużył się hiperdokładną mapą, którą dostał od gnostyków.

Na pierwszy rzut oka Mesjasz nie prezentował się najlepiej. Na drugi rzut jeszcze gorzej. Był zezowatym głuchym jak pień niemową z wyraźnymi cechami debilizmu. Na dodatek był karłowatym garbusem i kulał na prawą nogę.

-Opowiedzcie coś o cudach, dobrzy ludzie – odezwał się prymas Rosji z trudem panując nad zakłopotaniem.

-Nie było jeść – powiedział łamanym rosyjskim brudny jak świnia staruszek ze świty Mesjasza. – On przynieść jeść. Nie było wódka, on przynieść wódka, dużo. Wczoraj dzień on przynieść magnetofon.

Po chwili nieznośnego milczenia Zwierzchnik rzekł (a był trochę zdenerwowany):

-Dobra, nie ma na co czekać. Antychryst działa. Wczoraj zawaliła się wieża Eiffla. Przynieście krzyż. Prymasi państw na „a”, będziecie pilnować porządku. Prymasi państw na „z”, do dzieła.

Trochę było problemów. Czukcze darli się i rzucali psimi odchodami. Mesjasz próbował uciec. Poza tym ze względu na pokaźny garb, nie można go było ukrzyżować inaczej, jak twarzą do krzyża. Był tak żywotny, że minęło ładnych kilka godzin, zanim przestał się rzucać i zawisł bezwładnie na krzyżu wg biblijnego przepisu wykonanym z kilku rodzajów drewna.

Na miejscu zostali prymasi państw na „m” (złożenie do grobu, zmartwychwstanie, itd.).

W drodze powrotnej w jumbo-jecie daleko było do entuzjazmu.

-Teraz musimy czekać – orzekł Zwierzchnik, patrząc gdzieś w bok.

Tak, teraz należało tylko czekać.

Efekty były. Powróciło lato, odbudowano Most Brookliński i wieżę Eiffla, przekrzywiono wieżę w Pizie, udało się odratować Wenecję. Tylko ostatni Ajn nie chciał zmartwychwstać.

*

Po raz 154 pomyliłem pociągi i znalazłem się w Paryżu. Nie przejmowałbym się tym zbyt, bo:

- 1) Już się zdążyłem przyzwyczaić.
- 2) Traktowałem to już jako charakterystyczną przypadłość.
- 3) Roztargnienie cechuje umysły wybitne.
- 4) Paryż to ładne miasto.

Lecz tym razem było inaczej, bo:

- 1) Miałem być w Mediolanie dzisiaj, a już było dzisiaj.
- 2) W Mediolanie urządzono wystawę moich antyobrazów, na której musiałem, z przyczyn oczywistych, być.
- 3) Mogę zarobić kupę kasy, oczywiście, jeśli wystawa się odbędzie, a beze mnie może się nie odbyć, bo autor jednak powinien być na miejscu.

A ja stałem na dworcu w Paryżu i jak ostatni głupek rozglądałem się wokół z miną najprawdopodobniej nie wyrażającą mojej rzeczywistej inteligencji. Bo wiedziałem już, że z powodu nasilenia się akcji terrorystycznych samoloty nie latają do odwołania. A pociągami mogę nie zdążyć.

A francuska pani w okienku powiadamia mnie:

-Niestety, jak pan zapewne słyszał (nie słyszałem), tej nocy miała miejsce eksplozja ładunku wybuchowego umieszczonego w czerwonym samochodzie, zaparkowanym przy dworcu. Dlatego też aż do odwołania wstrzymane są wszystkie odjazdy.

-Wszystkie?

-Wszystkie – pani z okienka pokiwała głową. – Nawet pociągów podmiejskich i metra.

-Ale ja muszę znaleźć się w Mediolanie – jęknąłem. – I to jeszcze dzisiaj wieczorem.

-Proponuję wypożyczyć auto (ciekawe, skąd ta głupia cipa wzięła pewność, że nie posiadam własnego samochodu?! Fakt, że nie posiadam) – doradziła. – Może uda się panu

przedostać przez blokadę dróg. Chociaż, jako cudzoziemcowi, nie chcę panu robić wielkich nadziei.

-To co ja mam robić? – wykrztusiłem prawie że z płaczem.

Na francuską kobietę-informację prawdopodobnie podzielał wyraz tragizmu na mojej twarzy, lub odezwał się instynkt macierzyński (wyglądam młodo).

-Mesje – odezwała się konfidencyjnym szeptem. – Za dwadzieścia dwie minuty nastąpi odjazd zabytkowego „Orient-Expressu”, którego trasa wiedzie m.in. przez Mediolan, lecz...

W tym momencie za plecami Francuzki wyrósł jak z podziemi mężczyzna w czarnym garniturze, który z wściekłością syknął:

-Madmłazel Perrier, czy ja czegoś pani wcześniej nie mówiłem?!

Spłoszona madmłazel Perrier pobladła.

-Ja... proszę o wybaczenie – wyjąkała, równie przerażona jak ja. – Wymusko mi się, panie dyrektorze.

-Tyle razy powtarzałem – darł się szeptem pan dyrektor – żeby się madmłazel nie wymuskiwało. Na madmłazel w ogóle nie można liczyć. Madmłazel rozpapla to każdemu kłoszardowi, każdemu...

-O, przepraszam – odezwałem się trochę urażony a trochę w obronie francuskiej kobiety, bo nie lubię, jak jakiś dupowaty Francuz się drze jak Louis de Funes po zastrzyku z adrenaliny. – Nie jestem kłoszardem, proszę nie krzyczeć na panią, bo ona chciała mi tylko pomóc, jestem znanym (przesada) antymalarzem i mam nazwisko.

Kiedy wypowiadałem swoje nazwisko gdzieś niedaleko wybuchł samochód i zagłuszył moje słowa.

Pan dyrektor zrobił to, co robią kameleony na skutek bodźców zewnętrznych i z promiennym uśmiechem zwrócił się do mnie:

-Pan pozwoli na stronę, mesje Rotschild.

A na stronie pan dyrektor złożył ręce jak do modlitwy i zaczął nawijać jak kołowrotek:

-Cóż za nieporozumienie, hrabio, doprawdy pożałowania godne. Swoją drogą, należało zwrócić się bezpośrednio do mnie, ale oczywiście całą winę biorę na siebie. Moje nazwisko Pigeon, proszę o mnie źle nie myśleć, hrabio, taka nerwowa praca, zwłaszcza teraz, gdy motłoch robi zamieszanie tymi bombami. Hrabio, oto pański bilet. Ośmielę się spytać, czy uścił pan już sumę 250 000 euro, trzy centy, czy też...

-Ile? – przerwałem słowotok pana dyrektora, który ugiął kolana, by zwracać się do mnie z dołu. – Nie mam takiej sumy.

-Rozumiem, pan hrabia podróżuje bez gotówki, mądrze, bardzo mądrze – terkotał Pigeon. – Przyjemne sprawy odłożmy na razie na bok, pociąg odjeżdża za (zerknął na zegarek) trzynaście minut, więc chodźmy, proszę oto bilet...

Podał mi bilet wielki jak prześcieradło i sztywny jak kutas (czasem), bo pokryty dość grubą, jak na bilet, warstwą złota.

-Zaprowadzę pana osobiście – wysapał pan dyrektor Pigeon – jeśli pan pozwoli, hrabio.

Pozwoliłem na zaprowadzenie mnie osobiście i tytułowanie mnie hrabią. Nie miałem nawet czasu ani ochoty, by pomyśleć, czy aby robię właściwie, zwłaszcza, że trasa Orient-Expressu prowadziła m.in. przez Mediolan.

...poczułem w końcu, że ogarnia mnie pierdolec zdolny za 13 koszmarnych godzin rozsadzić mi mózg. Objawów miałem nieskończenie wiele, ale najbardziej spektakularne było to, że sam, z własnej nieprzymuszonej woli zgłosiłem się do Szpitala dla Chorych Psychicznie, Duchowo i Symulantów mieszczącego się przy ulicy im. Judy z Kiriatu.

Na Izbie Przyjęć kazano mi zdjąć buty i studiując wzory na moich skarpetkach, zapytano:

-Posiada pan jakieś samookaleczenia?

-Tydzień temu byłem u fryzjera.

-Nie o to chodzi, chory człowieku – powiedziano mi. – Czy nie obciął pan sobie ostatnio np. nogi?

-Przecież mam obie nogi – odparłem.

-Phi – phichnięto. – Nogę można przyszyć. To żaden dowód. Zapiszcie: chory obciął sobie nogę, którą mu później przyszyto.

I osądzono:

-Na szóstkę z nim.

Na oddziale nr6, ordynator, dr Saul Mendele popatrzył na mnie szczerząc zęby, poklepał mnie po ramieniu, potem po drugim ramieniu i powiedział:

-Witam pana, panie pacjencie – (znał mnie, bo niegdyś poznaliśmy się w okolicznościach leczenia). – Już dawno trzeba było do nas przyjść. Trzeba wypędzić chorobę duszy z chorego organizmu, aby był on zdrowym organizmem z brakiem choroby duszy.

I poszedł sobie, a mnie spytała pielęgniarka:

-Jakieś leki pan bierze?

-Biorę 54 różne leki i od wszystkich jestem uzależniony – odpowiedziałem prawie zgodnie z prawdą, bo naprawdę brałem leków 55 i od wszystkich byłem uzależniony.

-Odstawimy panu leki – zasądziła pielęgniarka. – A jutro, po rozmowie z lekarzem dostanie pan inne leki. Oczywiście, o ile pan zasłuży.

-Ale bez leków głowa pęknie mi za niecałą godzinę – wyjąkałem przerażony perspektywą.

-To nic wielkiego – pielęgniarka wzruszyła ramionami. – Tutaj to coraz to komuś pęka głowa i żyje. Pan poczeka do jutra, poobserwujemy pana i lekarz wyda diagnozę, o ile pan zasłuży, oczywiście.

Wepchnięto mnie do pierwszej sali cuchnącej moczem, kałem i marcepanem i rzucono na łóżko sztywne od zaschniętej spermy, na którą w przedszkolu mówiliśmy laksa i do tej pory nie wiem dlaczego, gdyż laksa składa się z innych składników niż sperma i w ogóle jest czym innym.

Wszyscy wariaci spali po zapewniającym spokój zastrzyku z Udupinu, tylko jeden rumiany tłuszczoch okutany śmierzącym kocem w trupie czachy jęczał jak stara baba:

-No i jaki jest, kurwa, sens tego, że mnie tu trzymacie. Ja tu tracę czas, w dodatku mogę stracić kupę kasy, przecież mam rozkręcony interes w Poznaniu, mam rozkręcony interes w Warszawie, mam rozkręcony interes w Wałbrzychu, mam rozkręcony interes w Berlinie, mam rozkręcony interes w Londynie, mam rozkręcony interes w Rio, mam rozkręcony interes w Melbourne...

-Pan to, panie Rysiu, tylko o pieniądzach myśli – przerwała mu pielęgniarka siedząca przy jego łóżku. – Tak nie można, pieniądze nie są najważniejsze, najważniejsze jest zdrowie.

-Całą kasę szlag trafi – mruknął ponuro Rysiu.

-Nie można być takim materialistą – powiedziała pielęgniarka z łagodnym uśmiechem kryjącym nieskończone pokłady okrucieństwa (charakterystyczny dla piguł – autopsja). – Zdrowie jest najważniejsze – powtórzyła.

Do sali wszurał się kapciowo starzec o nieruchomej twarzy.

-Zombie idzie – zaśmiał się Rysiu.

-Panie Rysiu – besztajaco szepnęła piguła. – Bo będzie zastrzyk.

Zombie, oczywiście, miał łóżko obok mojego łóżka i na dobry początek zalał mnie połową zawartości szklanki, którą trzymał w drewnianej dłoni. Na szczęście nie był to kwas siarkowy, jak trwożliwie myślałem, lecz zwykła herbata szpitalowa.

-Najmodniej przepraszam – odezwał się zombie, a brzmiało mu tak, jakby wszczepiono mu w krtań syntezytor mowy.

Posłodził szpitalówę raz, potem zapomniał, gdyż przez pół godziny grzebał w odrapanej szafce w poszukiwaniu pączka wielkości zlewu, posłodził szpitalówę jeszcze raz, potem przez 12,32 min. wpatrywał się we mnie martwymi oczami i posłodził jeszcze raz.

Potem zaczął spożywać pączka z takim mlaskaniem, jakby mlaskało na raz trzydziestu mlaszczących obrzydliwców. Jednocześnie zaczął się mozolnie rozbierać.

-To wżyzdko nie moje – mówił rozdrażnionym syntezytorem mowy.

W nocy:

Petro Wyrd uparcie zdzierał mi skalp, Algiz Raido równie uparcie przyszywał mi go na nowo i tak w nieskończoność. Odwiedził mnie (pod postacią telewizora marki Auschwitz) Adam Słodowy i zaprezentował mi (bez chwili odpoczynku) wszystkie swoje wynalazki i podarował mi chodzącego misia Jogi z tektury. Miś Jogi miał wścieklistkę, miotał się tocząc pianę z pyska i co chwilę mnie kąsał, więc krzyczałem, lecz jak na ironię, stałem się niemy.

Nad ranem:

Do sali wbiegła pielęgniarka, bez słowa wbiła mi igłę w żyłę na czole i pobrała 4,32 l krwi...

*

Z wtorku na środę dręczony bezsennością wpatrywałem się w telewizor ustawiony na kanale popularnonaukowym. Na ekranie co chwilę pojawiał się błogo uśmiechnięty człowiek z czymś w rodzaju kitka na czubku głowy. Ubrany w białą powiewną szatę przemawiał do rzeszy wsłuchanych w jego słowa ludzi, natomiast niewidoczny spiker z sensacyjną powagą mówił:

-...w 1997r. Rael założył firmę Clonaid, mającą na celu przeniesienie świadomości z martwego organizmu do jego żywego klonu. Sukces w przypadku owcy Dolly i innych tego typu osiągnięć utwierdził ich w przekonaniu, że takie przedsięwzięcie może być w niezbyt odległej przeszłości całkiem realne. Zresztą, dla Raelian samo zmartwychwstanie Jezusa było takim właśnie procesem transferu świadomości z martwego ciała do żywego klonu. Trwają prace nad sklonowaniem martwej córki pewnego kanadyjskiego małżeństwa należącego do tego ruchu.

Organizacja Raelian liczy obecnie ok. 40 tys. wyznawców, głównie we Francji, Kanadzie i Japonii...

Wbity w fotel popadłem w stan pośredni pomiędzy snem a jawą i w tym stanie mój umysł wysnuł historię.

...tuż przed wejściem do okazałego śnieżnobiałego budynku Rael's Clone Clinic poczuł zawrót głowy, spowodowany w równym stopniu zmęczeniem, co zdenerwowaniem.

Wiele razy tłumaczył sobie, że jeśli bioinkarnacja z jakichś względów nie powiedzie się, to i tak na jedno wyjdzie. Lekarze dawali mu najwyżej kilka miesięcy wegetacji i w poddaniu się klonowaniu widzieli jedną szansę jego dalszej egzystencji

Białe korytarze były całkiem puste, pomimo tego kierowany czytelnymi kierunkowskazami bez trudu trafił do pokoju Alfa na pierwszym piętrze, gdzie był umówiony

z lekarzem. Zapukał. Nie mógł pozbyć się tego staroświeckiego nawyku, jakby istnienie dzwonek nie dotarło jeszcze do jego gasnącego umysłu.

Drzwi uchyliły się z lekkim brzęczeniem i Ian wśliznął się do gabinetu ukradkiem niczym złodziej. Białą pokój był pusty.

-Przepraszam – odezwał się drżącym starczo głosem i chrząknął. – Jest tu kto?

Wtedy z zaplecza wyszedł zaskakująco młody człowiek z długimi włosami spiętymi na czubku głowy w kucyk i ubrany oczywiście na białą.

-Dzień dobry – powiedział Ian. – Ja byłem umówiony...

-Witam pana – młody człowiek przerwał mu i spojrzał w monitor komputera, który stał tyłem do Iana. – Oczywiście. Witam jeszcze raz i gratuluję trafnej decyzji, panie... – zerknął jeszcze raz w monitor – Staschinsky – przeczytał poprawnie, choć z widocznym trudem.

-Panie profesorze... – zaczął znowu Ian, lecz młodzieniec przerwał mu ze śmiechem.

-Daleko mi do profesora. Jestem tylko skromnym asystentem profesora Raela IV – i dodał: – Niech pan nie zrozumie tego źle, lecz gdyby profesor chciał zajmować się wszystkimi zabiegami, to chyba sam musiałby się skłonić, i to w kilkuset egzemplarzach – popatrzył na Iana z dumą. – Poza tym dzięki geniuszowi pokoleń naukowców i najnowszej technologii zabieg bioinkarnacji stał się tak prosty, że niedługo będą go wykonywać nasze pielęgniarki. Czy Staschinsky to wielkoruskie nazwisko? – zapytał z ciekawością.

-Mógłbym usiąść? – Ian czuł, jak strużki potu spływają koleinami jego zmarszczek.

-Przepraszam najmocniej – odparł lekarz i wskazał biały fotel. – Proszę, niech pan spocznie.

Ian usiadł ciężko i odpowiedział na pytanie lekarza:

-Nie, polskie – a widząc, że młodzieniec marszczy brwi, mówił dalej. – Pośrodku Europy było kiedyś państwo o nazwie Polska. Pomiędzy Wielkorusią a Germanią. Po upadku Unii Europejskiej zaczęli uciekać z niej wszyscy wartościowi obywatele, rządy zmieniające się co chwilę nie potrafiły rządzić, w końcu na konferencji w mieście Turek, ostatni rząd polski ogłosił rozwiązanie państwa. Dawna Polska została w połowie przyłączona do Wielkorusi, w połowie do Germanii. Moi rodzice wyemigrowali z Polski, kiedy jeszcze istniała – Ian uśmiechnął się blado.

Lekarz pokiwał głową.

-Tak, teraz sobie przypominam z historii w szkole początkowej – uśmiechnął się przeproszająco. – Pan rozumie, to jednak było dość dawno temu... – chrząknął i od razu zmienił temat. – Muszę panu zadać kilka pytań.

-Oczywiście – Ian ukradkiem otarł pot z porażonego czoła..

-Pan ma 121 lat, prawda? – lekarz znowu skupił wzrok na ekranie monitora.

-Tak – odparł Ian. – W listopadzie skończę... skończyłbym 122.

Lekarz popatrzył na Iana wzrokiem, w którym igrały figlarne ogniki.

-Nie jest pan taki stary. Ale nie oszczędzał się pan, co? Używał pan życia, prawda? I z medycyną był pan na bakier?

-Chyba tak – bąknął Ian.

-Mój ojciec skończył równe 200 i regularnie bierze udział w wyścigach motocrossowych – powiedział lekarz. – No, ale on też jest lekarzem i poczuwa się do dawania dobrego przykładu.

-Chwalebne – mruknął Ian.

Lekarz potarł dłonią czoło.

-Dobrze – popatrzył na Iana uważnie. – Jaki wiek by pana satysfakcjonował?

-Nie bardzo rozumiem – odparł niepewnie Ian.

Lekarz uniósł w górę palec wskazujący.

-Widzę, że muszę coś wytłumaczyć – urwał na chwilę. – To nie są czasy owieczki Daisy, ani też czasy klonów embrionalnych. Niegdyś nauka pozwalała tylko na bioinkarnację do postaci niemowlęcej, lecz teraz... – w głosie lekarza zabrzmiało uniesienie – ...teraz może wybrać sobie dowolny wiek. Mówiąc prościej – może pan sobie wybrać wiek pana nowej postaci. 15, 20, 30 czy nawet 50 lat (zdarzają się i takie przypadki). Będzie pan sobą, tylko będzie pan młody i zdrowy.

-Nieprawdopodobne – wyjąkał Ian. – Ja nie wiedziałem...

Lekarz machnął lekceważąco ręką.

-Nie pan jeden – powiedział – Istnieje blokada informacji, tworzona przez nieoświecone grupy, będące przeciwne naszej metodzie. Na szczęście jest ich coraz mniej – zaśmiał się złośliwie. – Po prostu wymierają. No, niech pan powie, ile chciałby mieć pan lat? Śmiało.

-Wydaje mi się – odparł Ian po chwili zastanowienia, – że najszczęśliwszy byłem pomiędzy dwudziestką a trzydziestką. Najbardziej bez troski.

-O.K. Powiedzmy – 25 – zaproponował lekarz. – Co pan na to?

-Może 24 – odparł nieśmiało Ian.

-Wedle życzenia – lekarz pokiwał głową i postukał w klawiaturę komputera. – Czy jest pan gotowy do zabiegu? Przygotowany psychicznie?

-Tak – Ian przełknął ślinę.

Lekarz zatarł dłonie.

-No to nie ma na co czekać – powiedział dziarskim tonem. – Zapraszam do sali zabiegowej.

-Już? – Ianowi zabiło mocniej sfatygowane serce. – Teraz.

-A na co tu czekać? – uśmiechnął się lekarz łagodnie. – Śmiało, panie Staschinsky, nie ma się czego bać.

Ian już wstawał z fotela, gdy przypomniało mu się to, co uważał przecież za najważniejsze.

-Doktorze – popatrzył na młodzieńca. – A co z moją świadomością, wspomnieniami, co z tym wszystkim, co mam w głowie?

-Wszystko to będzie na swoim miejscu – odparł lekarz. – Nie chcemy przecież zrobić z pana 24-letniego debila z mózgiem jak biała kartka papieru. Całą pana tożsamość przelejemy na nośnik, a po zabiegu z nośnika przeniesiemy do pana mózgu. Kiedyś używano do tego komputerowych twardych dysków – lekarz skrzywił się nieznacznie, – lecz w pewnych wypadkach były za mało pojemne i pacjenci mieli do nas słuszne pretensje, gdy na przykład nie pamiętali zdarzeń z dzieciństwa lub nie poznawali żon. Problemy te skończyły się, gdy zaczęliśmy używać bionośników. Bionośniki w zasadzie niczym nie różnią się od mózgów, tyle że są hodowane w naszych laboratoriach. Taki nośnik jest pomieścić wspomnienia 10000- letniego człowieka. Więc, jak już mówiłem, nie ma się czego bać. Zapraszam na zabieg. Zapraszam do nieśmiertelności.

-Bernard – zwrócił się do młodego lekarza profesor Rael IV. – Nie wiesz gdzie jest nośnik numer 68576/91? W wylęgarni go nie ma, a chciałem go poddać renowacji.

Młody lekarz zmarszczył czoło.

-68576/91?... – zastanawiał się chwilę. – Aha, już wiem. Jest jeszcze w sali zabiegowej. Zaraz go przyniosę.

Teraz z kolei profesor Rael IV zmarszczył czoło.

-Jak to w sali zabiegowej? – zapytał. – Co on tam robi?

-Użyłem go jako przekaźnika w zabiegu niejakiego Iana Staschinsky'ego. Wszystko poszło dobrze – dodał niepewnie, obserwując jak twarz profesora stopniowo blednie. – Pacjent czuł się świetnie i wczoraj opuścił klinikę jako dwudziestoczworoletni...

-Ty idioto – wychrypiał profesor. – To był zawirusowany nośnik. Wpierdoliłeś w głowę pacjenta wirusa.

-O kurwa – szepnął Bernard. – I co teraz?

Profesor oddychając głęboko, uspokoił się nieco.

-Wirus może się oczywiście nigdy nie uaktywnić – odparł. – Ale co będzie, gdy się jednak uaktywni, tego nie wie nikt. Nie mieliśmy jeszcze takiego przypadku... Przepraszam cię za tego idiotę – popatrzył na młodego lekarza ze skrucą, na jaką może zdobyć się tylko naprawdę wielki człowiek. – To nie twoja wina. Nie mogłeś wiedzieć. To moje zaniedbanie. Już tydzień temu chciałem poddać ten nośnik renowacji, ale zapomniałem. Tyle mam obowiązków.

-To niczyja wina – powiedział Bernard. – Zbieg niefortunnych okoliczności. Szkoda, że nie umiemy jeszcze poddawać renowacji mózgów właściwych. Odnaleźlibyśmy tego wielkorusa i nie byłoby kłopotu.

-Niedługo zapewne będzie to możliwe – powiedział profesor. – Na razie jednak...

Chwilę w gabinecie panowała cisza, którą w końcu przerwał profesor Rael IV:

-Idziesz na kawę?

Ian szedł dziarskim krokiem dwudziestolatka. Po tylu latach schorowanej starości wydawało mu się, że biegnie, że frunie.

-Jestem sobą – powiedział cicho do siebie w euforii.

Czasem tylko czuł się trochę jak inna osoba. Nie przeszkadzało mu to jednak. Nie było to nieprzyjemne. Prawdę mówiąc było to bardzo, ale to bardzo przyjemne.

Mijający go staruszek wsparty ciężko na lasce (Na oko 160 lat) przystanął.

-Młody przyjacielu – wysapał ciężko. – Która to może być godzina? Znowu zapomniałem zegarka.

Ian wybuchnął dzikim śmiechem, którego nie mógł, ale i nie chciał opanować.

-Gównu mnie obchodzi, która godzina – warknął i zanim się zorientował, co robi, splunął staruszkowi w twarz. – Być może twoja ostatnia, śmierdziu – dodał i jego noga kopnęła łaskę staruszka. – Zdychaj!

Staruszek upadł ciężko na ziemię.

Moje ciało wstrząsnął gwałtowny skurcz i na dobre powróciłem do jawy. Spojrzałem w okno. Był wczesny środowy poranek.

Włączony telewizor entuzjastycznym głosem roześmianej spikerki z twarzą jak apoteoza młodości namawiał na optymistyczne podejście do życia.

*

Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych XX wieku polska telewizja, która kłamała, wyemitowała też zadziwiający serial „Ballada o Januszku”. Januszka grał całkiem zdolny młody aktor, który się oczywiście zmarnował. W serialu Januszek był uosobieniem czystego zła. Matkę Januszka grała jakaś ruska baba, tak jakby nie było polskich aktorek, a były przecież, bo jakaś polska aktorka dubbingowała tę grubą kobietę radziecką. Swoją drogą trzeba jej przyznać, że w roli nadopiekuńczej matki była tak przekonująca, że można się było porzygać.

Oczywiście największe wrażenie serial wywarł na matkach polskich, które w pełni utożsamiając się z ruską aktorką dręczyły swoich synów, nazywając ich „Januszkami” po każdym większym czy mniejszym przewinieniu. Synowie w geście obrony często wołali słowami filmowego Januszka:

-Matka, do karceru!

Karcer filmowej matki znajdował się pod łóżkiem.

Matka mojego kolegi Janusza nie oglądała tego serialu, dlatego też Janusz miał na imię Janusz. A w Polsce zabronione były imiona: Adolf, Jezus, Lucyfer, po serialu dołączył do nich Janusz właśnie. Matka Janusza była dziwna: szczupła, zadbana, niezależna, nie biadoliła, nie chodziła do kościoła i nie miała męża (była wyzwolona).

Nie znam dzieciństwa Janusza, nie wiem co spotkało go w życiu, poznałem go dopiero na studiach. Był już w pełni ukształtowany psychicznie, tzn. podły. Janusz był uosobieniem podłości i nie było człowieka, który by miał o nim inne zdanie. Janusz był tak ściśle skryzlowany, tak jednoznaczny, że zaintrygował mnie od pierwszego z nim spotkania. Nie ukrywam, że pomimo, iż pożyczał ode mnie pieniądze i nie oddawał, odbijał mi dziewczyny i wygadywał za moimi plecami o mnie jakieś niepozytywne głupoty, lubiłem jego towarzystwo i lubiłem z nim rozmawiać. Może dlatego, że był złośliwy i cyniczny, a ja też jestem złośliwy i cyniczny.

-Ta głupia cipa nie chce się odczepić – mówił Janusz. – Jasne, że powiedziałem, że ją kocham, bo po tym laski miękna i łatwiej je przelecieć. Powiedziałem jej o tym, a ta w ryk i jęczy: „pooodły...” Teraz może się odpierdoli.

-Nie sądzę – pokręciłem głową. – Ja ją znam, to typ masochistyczny.

-No to ją sobie podporządkuję może – myślał na głos podły Janusz. – Wydoję ją z kasy może. Pomyślę. Mogę też zrobić z niej osobiste pogotowie seksualne.

-Uważaj – powiedziałem. – Nie przesadz, bo jeszcze ci się potnie.

-Nie potnie się – zaprzeczył Janusz, tłumiąc ziewanie. – Laski się trują. Odratują ją, pójdzie do psychiatryka, zrobią jej z mózgu papkę i będę miał spokój. A jak nie odratują, też będę miał spokój. Słuchaj, pożycz stówę. Oddam ci pojutrze.

Oczywiście nie oddał.

By się przypodobać władzom uczelni, doniósł na mnie, że moja praca semestralna z poetyki jest żywcem zerżnięta z jakiejś zapomnianej publikacji (sam mu o tym powiedziałem). Zostałem skreślony z listy studentów, bo publikacja okazała się dawnym dziełem obecnego dziekana, a on mnie wybitnie nie lubił i zastosował najsurowszy wymiar kary. Janusz robił takie rzeczy, bo chciał zostać na uniwerku, gdzie każdy ktoś taki jak on ma duże szanse na dużą karierę, ja z kolei myślałem o rzuceniu studiów. Niechący zrobił mi przysługę. Nie miałem powodu się mścić.

W każdym jednak monolicie można dopatrzeć się rysy, trzeba tylko chcieć. I jeśli kiedyś będę miał powód, żeby dosrać Januszowi, to mu dosram. Mam na niego haka. Lubie mieć haki na różne osoby. Mam już niezłą kolekcję haków. To wiele ułatwia.

Jeśli zajdzie taka potrzeba, opublikuję w internecie pewne zdjęcie, a odbitkami wytapetuję Uniwersytet. Zdjęcie zrobiłem ja sam, więc opłaciło się kilkutygodniowe bawienie się w szpiega.

Fotografia ta przedstawia Janusza, jak daje żebrakowi na ulicy jałmużnę. Całe pięć złotych, co widać dokładnie, tak dokładnie, jak ciemne oczy Janusza, przepełnione współczuciem.

*

Kokona poznałem w areszcie śledczym, gdzie siedziałem czekając na proces w sprawie morderstwa moich rodziców, w którym byłem głównym podejrzanym. Kokon natomiast czekał na wyrok w sprawie o zmasakrowanie policjanta na służbie. Kokon był porywczy, ale trzeba go było sprowokować. Ze śmiechem opowiadał, że policjant kazał mu podnieść papierek po batonie, który Kokon skonsumował. I zdenerwował tym Kokona, który sprawił, że policjant nigdy już nie będzie przystojny. Skrwawionego od stóp do głów

funkcjonariusza pozbawił na koniec munduru, tzn. rozebrał do golasa, mówiąc przy tym: „Z tego już nic nie będzie. Same strzępy. Dadzą ci nowy.”

Mnie uniewinniono z braku dowodów, Kokon jednak musiał odsiedzieć swoje, bo dowody były. Jak słyszałem, pobity przez Kokona policjant po długotrwałej rekonwalescencji nie wrócił do dawnego zawodu. Zajął się rzeźbieniem w kamieniu i w niedługim czasie zdobył międzynarodowe uznanie. Toteż wielu mówiło, że Kokon nagrodę powinien dostać, nie wyrok, ale co zrobić. Dura lex, sed lex. Co do mnie, powiem tylko tyle, że nie lubiłem rodziców.

Jakby było nam to pisane, w dniu zwolnienia Kokona z pierdła, dosłownie wpadliśmy na siebie w wejściu do mojej ulubionej w pewnych stanach umysłu knajpy „Elegancka” (z tanim alkoholem itp.). Kokon już zaciskał pięści, lecz zaraz twarz mu się rozjaśniła.

-Pieseczku! – wykrzyknął radośnie. – Witaj! Co u rodziców?

-Ciągle nie żyją – odparłem. – Wypuścili cię, czy uciekłeś?

-Ucieczka to gra nie warta świeczki – odparł. – Człowiek się namęczy, nagłówkuje, jakby na wolności czekały go nie wiadomo, jakie atrakcje. Ukrywa się, denerwuje a potem i tak go łapią.

-Logiczne – przyznałem. – Ale niektórzy nie wytrzymują w więzieniach. Wiesz, trzeba grypsować, a jak się spodobaś jakiemuś dużemu kryminaliście, to może zapragnąć wrazić ci w odbyt wzwiedzonego członka i odbyć stosunek analny.

-To nieprawda – odrzekł Kokon. – To wszystko propaganda medialna, mająca na celu wzbudzić strach przed potencjalnymi więźniami, żeby nie zostali więźniami, a dajmy na to kimś innym. Kryminaliści to najbardziej kulturalni ludzie, jakich w życiu spotkałem. Większość z nich popełniła jakieś przestępstwo wbrew prawu, żeby odizolować się choć na jakiś czas od społeczeństwa, pełnego przemocy, głupoty i innego chujstwa. A ty co?

-Żyję, Kokonie, żyję – odparłem. – Wchodzimy?

-Wchodzimy. Tak sobie ustaliłem, że pierwszego dnia tzw. wolności uwalę się jak król papieży – Kokon pchnął drzwi alkoholowego przybytku. – Potem bez reszty poświęcę się robieniu wszystkiego.

-Czyli?

-Będę robił wszystko, na co mam ochotę – Kokon pchnął mnie wgląd oparów dymno – alkoholowych. – A raczej będę robił wszystko, co mam robić. Do czego jestem przeznaczony. Już najwyższy czas.

Nie zdążyłem. Tak właśnie najprościej można ująć – nie wyrobiłem. I, śmieszne czy nie śmieszne, za nic nie mogę sobie uzmysłować, czy to proces był, czy stało się to w jednej chwili, w jednym pechowym ułamku czasu. We wszystkich tych bagnach (i dalej będę używać tego umownego określenia), którymi gardziłem i tymi, którym gardziłem mniej, czy też starałem się nie gardzić, nagle zabrakło dla mnie jednego miejsca.

I dobrze, fajnie, mówiłem do siebie z lekkim pogardliwym uśmiechem mózgu, dopóki wynikiem tego, hm, outsiderstwa po niedługim czasie udziałem moim stał się niezgorszy pierdolec, normalnie – lęki, glosy stereo pod czaszką, poczucie zagrożenia, dysforia, depresja (ta od samobójstwa, dosyć ciężka i nieprzyjemna), takie tam sprawy.

Warto mieć miejsce w bagnie?

Warto.

Tak tak, nie oszukujmy się, snuły się po mojej głowie jak ten smród po gaciach, gdy leżałem wpatrzony w popękany, coraz to obrzydliwiejący subiektywnie sufit, niedobrze być pozbawionym własnego miejsca w bagnie. Choćby i najgorszym. Przynajmniej jest ciepło,

gwarno, muchy bzyczą wesoło i zapach swojski wokół. W chociażby najgorszym. Chociażby w bagnie pariasów.

A ja?

Ja nic.

Sterylność sterylność sterylność i już pomału dojrzewa we mnie chęć, żeby zawyć. Bo po jakimś czasie to moje poczucie wyższości, poczucie godności pustelnika rozwiało się jak pierdnięcie po przewietrzeniu boleśnie pustego pokoju.

I oto część najbardziej żałosa z żałosnych – namolne i upierdliwe narzucanie się bagniarzom (czy też ludziom bagiennym, jak kto woli).

Telefony.

Telefony pozmieniane. Adresy też. „Czy ja zastałem Jasia?”. „Och, proszę pana, Jan już od dawna tutaj nie mieszka. Ożenił się. Nie wiedział pan? Mają śliczną córeczkę.” Jeżeli już udało mi się odnaleźć i nawiązać kontakt z nawet najbardziej pogardzanym przeze mnie bagniarzem (człowiekiem bagiennym), od boleśnie protekcyjnego tonu jego głosu i wyczuwalnego przez słuchawkę obcego dla mnie bagiennego smrodku aż skręcała mi się małżowina uszna a poczucie pogardy do samego siebie nie da się, niestety, opisać. „No to się dzwonic. Hm, kopę lat w ogóle w końcu żeśmy się nie widzieli. No. Pa.”

Jaką kopę?

Co ja, kurwa, pięćdziesiąt dwa lata przespałem?

A dzwonić to już na pewno nie. Co to, to nie. Nie. Może jednak kiedyś?... Nie, krzychał mój mózg, niech nie dzwonią!!! Ja też nie zadzwonię!!! A uczucie pogardy do samego siebie rosła i rosła i nawet nie ma się co porywać na jej opisanie, niestety.

Ech, niedobrze, przypominałem sobie z trudem, że miałem też dziewczynę (może nawet już narzeczoną?). Gdzieś zniknęła. Dokądś sobie poszła. I nie wróciła. Szkoda gadać.

Kiedy jeszcze chciało mi się, kiedy jeszcze byłem w stanie usilnie zastanawiać się nad moją sytuacją życiową, najprawdopodobniejszym wydało mi się, że wszystkiemu zawiniło moje niedookreślenie. Póki jeszcze był na to czas, nie za bardzo chciało mi się, nie za bardzo umiałem zaangażować w krystalizujące się grupy bagienne. Takie to mi się (kiedy był jeszcze czas) wydawało śmieszne i mało ważne, jakbym będąc siedmiolatkiem miał opowiedzieć się za którąś bandą na podwórku i być do niej przyjętym, żeby spuszczać wpierdol innym bandom albo oni nam. Teraz mogłem tylko pluć sobie w brodę, lecz tego nie robiłem, bo bym musiał cały czas się wycierać.

Poza tym obraziłem tego i owego bagniarza (człowieka bagiennego) paląc tym samym za sobą mosty (w tym wypadku wydeptywane ścieżki prowadzące do bagien, o ile można palić ścieżki w ogóle).

Dobra.

I przechadzając się jak wyleniały jaguar w ZOO z kąta w kąt mojego boleśnie pustego mieszkania zaczęła narastać w mojej głowie myśl, że przeszłości nie cofnę, bo nie umiem. A przeszłość jakaś przede mną. Zawsze przecież jest jakaś przeszłość.

Zacząłem myśleć najintensywniej jak jeszcze umiałem.

Myśl nie była z początku nawet mgliście określona, ale zmusiła mnie do czynu.

Psychiatra ten.

Jest niewysoki, kilka milimetrów dzieli go od kurdupła, zgarbiony i ma długi wydatny nos. Raz wyszeptuje słowa łypiąc oczami na boki niczym szpieg, innym razem grzmi stanowczo i pewnie jak jakiś polityk.

Szpieg czy polityk to całkiem w porządku bagna, myślę. Mniejsza z tym. I już nie myślę.

On tkwi w przerażającym mnie czasem bagnie psychiatrii i chyba mu tam dobrze, bo gdy zdarzy mu się zamyślić, jego szurkowata twarz jaśnieje, jakby trzymał w gębie

żarówkę i ona się zapalała wtedy. Jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Może jest, skąd mam wiedzieć. Zresztą, co mnie to, w dupie to mam, mam swoje kłopoty.

-Nie wiem – mówię. – Nie wiem jak i kiedy to się stało. Zwłaszcza jak. Zresztą, kiedy też. Nie wiem. Pojęcia nie mam.

-Pan ma wolny artystyczny zawód – wbił we mnie świdrujące spojrzenie (a raczej to jemu zdawało się, że udało mu się wbić). – Wydał pan grubą książkę? Sprzedaje pan duże obrazy?

-Nie byłoby mnie tutaj – odparłem niezamierzonym rozdrażnionym tonem. – Wpadłbym z pewnością w pisarskie lub malarskie bagno, znalazłbym jakieś nie zajęte jeszcze miejsce i moje problemy przestałyby istnieć. A może dopiero by się zaczęły. Kto wie. Ale to byłyby już inne zupełnie problemy i możliwe, że wówczas również wylądowałbym u pana, ale... – potrząsnąłem głową z gorzkim uśmiechem na ustach -...na razie marzę o takich problemach. To dla mnie takie budzące poczucie bezpieczeństwa i po prostu zwyczajnie zwyczajne. Zwyczajność to jest to, o czym teraz bezskutecznie marzę. I bezpieczeństwo. No i ten pełen pozornej bieżaniny, nerwów i całego zgiełku spokój. Własne miejsce, pan rozumie, bo ja miejsca nie mam, nie mam własnego bagna... – przerwałem, bo zasapałem się nieco.

W tym momencie doznałem oświecenia.

Bez słowa wyszedłem z gabinetu psychiatry i skierowałem swoje kroki do domu moich brzydkich ze starości rodziców, gdzie czekali oni na mnie z sobotnim obiadem.

-Takie miałem dziecinne dylematy – powiedziałem przy piwie. – Wyimaginowane i wymuszone jakieś. Kompletnie fałszywe myślenie. Dopiero...ta...sprawa z rodzicami odmieniła mnie całkowicie.

Kokon napił się i powiedział:

-Niewiele brakowało, a w końcu udałoby ci się zejść na nie swój tor – zaciągnął się papierosem. – Znalazłbyś jakieś bagno, taplałbyś się w nim i w końcu zwariował, albo, co gorsza, przystosował. Zabiłeś rodziców?

-Spytaj ich – pociągnąłem mały łyk z dużego kufła. – Teraz czuję coś w rodzaju wolności, ale kompletnie nie wiem, co robić.

Kokon uniósł brwi.

-Nie kłam – uśmiechnął się mrużąc oczy. – Każdy to wie. Bariere może stanowić tylko własny wizerunek wewnętrzny, najczęściej fałszywy. Jeśli twoim wizerunkiem wewnętrznym jest ktoś w rodzaju Abrahama Lincolna, a podświadomość marzy obsesyjnie o dokuczaniu starym ludziom, to masz dwa wyjścia.

-Jakie?

-Przecierpieć całe życie jako Prawy Abe, albo wydobyć z siebie prawdę o sobie, nabrać powietrza w stłamszone płuca i zacząć żyć całą gębą.

Islamski półksiężyc górował już nad usypiającym miastem, gdy po wyjściu z „Eleganckiej” odezwałem się niespodziewanie nawet dla mnie samego trzeźwym głosem:

-Tak – i zapaliłem papierosa. – Mój wewnętrzny wizerunek z pewnością nie zgadza się ze mną, Kokonie.

-Tak? – Kokon spojrzał na mnie niespodziewanie trzeźwym wzrokiem. – A co to takiego?

-Coś w rodzaju... – chrząknąłem - ...Ludwika Waryńskiego.

-Tyfusik – zafrasował się Kokon. – Mocna przesłona. Ale nic – zawołał dziarsko. – Dacie radę. Determinacja u was jest?

-Jest! – zawołałem dziarsko i wyprężyłem się na baczność.
 Kokon położył mi ciężką rękę na ramieniu.
 -To idź i walcz – rzekł z powagą.
 Poszedłem.

Ludwik Tadeusz Waryński (ur. 24 września 1856 r.- zm. 2 marca 1889 r.) - działacz i ideolog polskiego ruchu socjalistycznego.

Od 1876 współzałożyciel pierwszych kółek socjalistycznych w Królestwie Polskim.
 Współredaktor Równości i Przedświtu.

W 1882 r. twórca I Proletariatu. Działal kolejno w Petersburgu, Warszawie, Lwowie, Krakowie, Genewie i znów Warszawie.

Początkowo aresztowany w 1879 w Krakowie, stał się głównym oskarżonym w procesie krakowskim. Ponownie aresztowany w 1883, więziony w Cytadeli warszawskiej. Sądzony w procesie proletariaczyków, w 1885 został skazany na 16 lat katorgi.

Zmarł na gruźlicę w czasie uwięzienia w twierdzy Szlisselburskiej.

Albo (dla innych):

Ludwik Tadeusz Waryński urodził się 24 września 1856 r. we wsi Martynówce, pow. kaniowskiego, guberni kijowskiej. Około roku 1865 zaczął uczęszczać do gimnazjum realnego w Białej Cerkwi. W roku 1874 po ukończeniu szkoły udał się do Petersburga dla rozpoczęcia wyższych studiów. Zapisał się w poczet słuchaczy Instytutu Technologicznego. Wkrótce zetknął się z socjalizmem i wszedł do kółka Polskiej Młodzieży Socjalistycznej. W listopadzie 1875 r. wybuchły w Petersburgu zaburzenia obejmujące wszystkie szkoły wyższe. Uczestniczył w nich również i Waryński, za co został usunięty z Instytutu i oddany na przeciąg jednego roku pod nadzór policji. Rok ten spędził w domu rodzinnym oddając się lekturze dzieł socjalistycznych i ekonomicznych i pogłębiając swą wiedzę w tej dziedzinie. Jesienią 1876 r. przybył do Warszawy i rozpoczął organizowanie pierwszych kółek socjalistycznych wśród młodzieży akademickiej i robotników. Po pewnym czasie udał się do Puław, wstąpił do tamtejszej szkoły rolniczej, organizował młodzież i co pewien czas zjawiał się w Warszawie, by uczestniczyć w robocie stolicy. W roku 1878 opuścił szkołę, wrócił do Warszawy i rzucił się całkowicie w wir pracy. Stał się istotnym wodzem polskiego ruchu socjalistycznego. Chcąc nawiązać bezpośredni kontakt z robotnikami przyjął pracę ślusarza w fabryce „Lilpop i Rau”. Rozszerzał sieć kółek organizacyjnych. Przywiózł z zagranicy transport literatury agitacyjnej. Brał także udział w opracowywaniu pierwszego programu socjalistycznego, tzw. programu brukselskiego. Długi czas udawało mu się uniknąć represji, które spadły na innych towarzyszy. Wreszcie musiał jednak opuścić Warszawę. Udał się wtedy do Lwowa, a następnie do Krakowa, gdzie stworzył pierwszą organizację socjalistyczną w tym mieście, opartą również na zasadzie kółek konspiracyjnych. Dnia 8 lutego 1879 r. Waryński został aresztowany i przy aresztowaniu z maltretowany przez policję krakowską. W więzieniu spędził z górą rok. Dnia 16 lutego 1880 r. stanął w Krakowie wraz z

grupą towarzyszy przed sądem przysięgłych. Przypadła mu w udziale ideowa i moralna obrona oskarżonych. W przemówieniu swoim przed sądem uzasadnił ideę socjalistyczną i dowodził słuszności jej zasad. Rozprawa trwała do 16 kwietnia 1880 r. i zakończyła się wyrokiem uniewinniającym. Waryński otrzymał tylko małą karę za fałszywy meldunek i został wydany z granic Austrii. Znalazł się teraz wśród grona towarzyszy na emigracji w Genewie.

W Genewie krystalizują się ostatecznie poglądy polityczne Waryńskiego. Po pewnych wahaniach zrywa z tendencjami anarchistycznymi, znamionującymi początki ruchu socjalistycznego. Staje się zwolennikiem i głosicielem kierunku klasowo-rewolucyjnego i internacjonalistycznego. Jest współpracownikiem i współredaktorem pism socjalistycznych, najpierw „Równości”, a potem „Przedświtu”, i umieszcza w nich szereg artykułów (np. „Czy jest u nas kwestia robotnicza?”, „Życiorys Filipiny Płaskowickiej”). Występuje ostro przeciw kierunkowi nacjonalistycznemu w socjalizmie polskim.

W tym duchu przemawia na obchodzie pięćdziesiątej rocznicy powstania listopadowego w Genewie. Podobne stanowisko zajmuje na Międzynarodowym Kongresie Socjalistycznym w Chur, w którym bierze udział jako delegat kółek socjalistycznych w Poznaniu i Krakowie. W Szwajcarii styka się z socjalistycznymi działaczami Europy zachodniej, zapoznaje się z tamtejszym ruchem.

W roku 1882 wraca do Warszawy i z całą energią przystępuje do założenia partii politycznej pod nazwą „Proletariat”. Jest twórcą, założycielem i wodzem partii. Układa program partii i ogłasza go drukiem. Porywający mówca — jest bożyszczem robotników, prawdziwym trybunem ludu.

Pokrywa kraj siecią organizacyjną, prowadzi szereg akcji, pisze odezwy, organizuje wystąpienia mas. Uczestniczy w Zjeździe Wileńskim socjalistów polskich. Przeciw rozporządzeniu oberpolicmajstra warszawskiego Buturlina, poddającemu robotnice nadzorowi sanitarno-obyczajowemu, pisze płomienną odezwę, w której wzywa robotników do stawienia oporu temu zarządzeniu. Odezwa dopięła celu. Postawa robotników zmusiła ostatecznie oberpolicmajstra do cofnięcia tego zarządzenia. Stara się również Waryński o kontakty z rosyjskim ruchem rewolucyjnym i nawiązuje pertraktacje z „Narodną Wolą”, reprezentantką kierunku terrorystyczno-spiskowego. W tym celu wyjeżdża do Rosji i za granicę.

Główną uwagę zwraca na zorganizowanie akcji wydawniczej. Tworzy jedną drukarnię, w której można było drukować odezwy, następnie drugą, nadającą się do drukowania również i pism. Zakłada organ prasowy partii pod nazwą „Proletariat”. Pod jego redakcją wyszły z druku dwa pierwsze numery tego pisma.

28 września 1883 r. Waryński wpadł w ręce władz. Umieszczono go w słynnym X pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Stamtąd jeszcze utrzymywał kontakt z towarzyszami pozostającymi na wolności i żywo interesował się robotą, która dalej się rozwijała. W więzieniu ułożył pieśń rewolucyjną „Mazur kajdaniarski”.

Po przeszło dwu latach więzienia stanął on 23 listopada 1885 r. przed sądem wojennym w Warszawie wraz z 28 towarzyszami. Waryńskiego zaliczono naturalnie do głównej grupy oskarżonych. Podobnie jak przed pięciu laty w Krakowie, tak i teraz Waryński wystąpił z obroną ideowych założeń „Proletariatu”. Dnia 20 grudnia 1885 r. ogłoszono wyrok. Waryński został skazany na 16 lat katorgi.

Na miejsce katorgi wybrano więzienie szlisselburskie, specjalnie stworzone dla najniebezpieczniejszych więźniów stanu, których chciano pozbyć się raz na zawsze.

Waryński szedł na katorgę pełen siły i mocy ducha. Mówił, że byle dali palić papierosy, przetrwa katorgę. Moralne cierpienia znosił z podniesionym czołem. Uległ jednak cierpieniom fizycznym. Ostatnie swe dni spędził w celi na pryczy więziennej.

W chłodny dzień lutowy 1889 r. zgasł ten płomień, który był płomieniem rewolucji, przestało

bić to serce, które było sercem polskiego socjalizmu. Miał wtedy lat 33. Siedem z nich spędził w więzieniu, piętnaście lat — w ruchu socjalistycznym w najczynniejszej roli; całe swe życie oddał polskiej klasie robotniczej i sprawie socjalizmu.

Mazur kajdaniarski

Do mazura stań wesoło, buntownicza wiaro. Suń wesoło, dalej w koło, Warszawo i Karo! Wróg ma dla nas kajdan dużo, ma też dużo turem, my weseli, bo kajdany dzwonią nam mazurem! Nam pałacem? turma, Kara, dla nas strój balowy katorżnicza kurtka szara i znaczek ponsowy. W tych pałacach i w tych strojach hulamy ochoczo, bo nam myśli i sumienia zgryzoty nie mroczą. Uczuć naszych mur nie studzi, płoną one żarem, i w tym piekle żyjem młodzi całym życia czarem! Dziewcząt naszych oczą blaski nie mgłą łączy zwątpienia, bohaterskich ich serduszek nie łamią cierpienia. I wesołych piosnek dźwięki Z ich ust płyną mile, że nie zgadniesz, jak bolesne przeżywały chwile. Gdy którego stryczek zdusi, i to bagatela, bo człek każdy umrzeć musi, gwałt rodzi mściciela. Nasi pomszczą, jak należy, śmierć zmarłego brata, i na grób mu zamiast wieńca rzucą głowę kata. Zgrzyt łańcuchów i szczęk broni to mazur ochoczy. Od tej nuty serce rośnie i śmieją się oczy. A gdy tańca czas nadejdzie, nasze kazamaty Wam wybiją takt mazura łańcuchem o kraty. Taki będzie silny, dziarski, że pękną ogniwa, a nasz mazur kajdaniarski pół Polski zaśpiewa. I po kraju dźwięk przeleci jako marsz parady, w takt mazurka pójdzie rażno lud na barykady. Gdy na skoczne te akordy wstanie lud nasz cały, to najśmielsi poprowadzą rażny mazur biały. Po nim słońko mrok rozproszy, i znikną jak mara turmy, kraty i kajdany z gospodarką cara. Pod dach własny każdy wróci zdrow, wesół i dziarski i dzieciakom swym zanuci Mazur kajdaniarski.

Walka była ciężka, ale zwyciężyłem.

-Ty głupku! – wrzeszczał furiacko Motyl, zwany niedawno Kokonem. – Czy to jest właśnie to, co masz robić, a raczej nie robić do końca życia!

Moje milczenie.

-Ja w pojedynkę rozbiłem fort Knox, na własnym grzbiecie przeniosłem przez Atlantyk całe złoto świata – darł się Motyl – i zostałem Królem Ziemi, a ty!? Ja starłem na proch fałszywy wizerunek Ignacego Loyoli, by stać się Wielkim Motylem, a ty!?

Moje nieustające milczenie.

-Warzywo! Warzywo! – wrzeszczał Motyl, aż opluł cały pokój. – Warzywo!!!

-To jest właśnie to, co mam robić – odezwał się po raz ostatni w życiu. – Być warzywem.

Kokon vel Motyl wybiegł trzaskając drzwiami.

Tak, tak miało być – Kokon miał zostać Królem Ziemi a ja, po straszliwej walce z Ludwikiem Waryńskim, miałem zostać ziemniakiem.

retrospekcja

-No i ten pełen pozornej bieżącej, nerwów i całego zgiełku spokój. Własne miejsce, pan rozumie, bo ja miejsca nie mam, nie mam własnego bagna... – przerwałem, bo zasapałem się nieco.

W tym momencie doznałem oświecenia.

Bez słowa wyszedłem z gabinetu psychiatry i skierowałem swoje kroki do domu moich brzydkich ze starości rodziców, gdzie czekali oni na mnie z sobotnim obiadem.

W ich mieszkaniu, gdzie spędziłem większość życia, od przeszło pięćdziesięciu lat nic się nie zmieniło. Przybyło tylko kurzu i pajęczyn, których już nie zauważali. Dominował kolor jasnej szarej. „Niepotrzebny jest remont – mawiał ze starczą dumą ojciec – skoro wszystko mamy dobre. Teraz robią tandetę, co rozwała się po roku, albo i po pół roku. Co ja mówię, miesiąc. Ledwo.”

Zatopiłem się w atmosferze pełną wyziewów z kuchni i wtopionych w odłóżającą tapetę mniej lub bardziej traumatycznych wspomnień.

-Spóźniłeś się – ojciec na mój widok zaczął walić paluchem w popękaną tarczę zegarka.

-Przecież zawsze się spóźniam – odezwałem się. – Dzień dobry.

-Ja przez całe życie się nigdy nie spóźniłem – ojciec zmarszczył swoje łudząco podobne do sznurów konopnych brwi. – Nigdy nigdzie. I nigdy nie dałem ani nie wziąłem łapówki.

Usiadłem ostrożnie w fotelu, a i tak ta sama co zawsze sprężyna wbiła mi się w dupę, a kurz wzbił się w powietrze duszącą chmurą.

Z kuchni wychyliła się matka.

-Kartofle stygną – powiedziała z pretensją i zniknęła z powrotem.

-I co – ojciec przekrzykiwał ryczący telewizor. – Jak tam, uporządkowałeś wreszcie swoje sprawy?

-Nie bardzo rozumiem – przekrzykiwałem telewizor. – Co miałem uporządkować?

Telewizor ryczał nastawiony na całą pizdę, a ja rozpaczliwie usiłowałem zlokalizować pilota (telewizor był jedyną nową rzeczą, podarowaną przez mojego brata, a i tak stary telewizor stał w kącie pod kaloryferem). Zlokalizowałem pilota – tkwił w łapie ojca, a ja o mało się nie popłakałem.

OJCIEC: Jak zwykle palisz głupa. Nie wiesz, o jakie sprawy mi chodzi?

JA: Nie, nie wiem.

OJCIEC: No, skoro ty nie wiesz.(kaszel) To kto ma wiedzieć, ksiądz proboszcz?

JA: Nie sądzę.

OJCIEC: Myślisz, że ja będę żył wiecznie? Uporządkuj, załatw, weź się do roboty, to już ostatni dzwonek.

JA (raczej do siebie): Ostatni dzwonek był tydzień temu. I dwa tygodnie temu. I trzy tygodnie. Zawsze był.

OJCIEC: Co ty tam mamroczesz? Tak chachulisz, że cię zrozumieć nie można.

JA: Inni jakoś mogą.

OJCIEC: (prycha) ...!

JA: Telewizor jest na cały regulator, a poza tym ojciec głuchy jest. Dowodem na to jest telewizor.

OJCIEC: Ta, najlepiej ze mnie kalekę zrobić. To wy jesteście głusi, nie ja. Taki jeden mi reklamował aparat słuchowy, że niby malutki, nic nie widać. I wiesz co zrobiłem? Wiesz? Ja go naprawdę ze schodów spuściłem, tak. A ty nie zmieniaj tematu. Zrozum wreszcie, że musisz coś robić, robić. Oczywiście, dla ciebie to ja się czepiam.

JA: Tak.

OJCIEC: Matka już ledwo daje radę w tej kuchni, mnie może szlag trafić w każdej chwili. A jak mnie zabraknie, to co wtedy? A ty bujasz sobie w obłokach zamiast wziąć się w garść. Jak mężczyzna. Jak ja.

Z kuchni:

MATKA (oczywiście płaczliwie): Czy ty nas w ogóle kochasz, synku?

Czwarte twierdzenie satanizmu wg LaVeya:

4. Szatan reprezentuje przychyłność dla tych, którzy na to zasługują, zamiast marnowania miłości dla niewdzięczników.

OJCIEC: Matkę już wykończyłeś. Chcesz wykończyć też siebie, o mnie nie wspominając?

JA: Nie, ja chcę wykończyć cały świat oczywiście.

OJCIEC: Gówniarz. Umiesz tylko głupio gadać. Głupio-mądrze.

Z telewizora:

-...i jak zwykle na początku naszego teleturnieju krótka dykteryjka. Pani od fizyki pyta Jasia: „Jasiu, dlaczego nie masz zeszytu?” „Zamienił się w antymaterię, proszę pani”- odpowiada Jaś. „W takim razie poproś swoich rodziców, żeby jutro przyszli do szkoły.” „Oni nie mogą – odpowiada Jaś – Rozłożyli się na atomy.” Cha cha. Przedstawiam naszych zawodników...

Z kuchni:

MATKA: On chyba nigdy nas nie kochał.

OJCIEC: Mniejsza o miłość, ale to w końcu nasz syn. Jeśli nie chcesz nic zrobić dla siebie, to zrób to chociaż dla matki, o mnie nie wspominając. Matka cię kocha jak syna, a ty na to nie zasługujesz, egoisto. Całe życie ją wykorzystujesz, o mnie nie wspominając, dyplomu nie zrobiłeś, praca- gdzie tam, jesteś pasożytem na zdrowej tkance. Bądź tym hipisem, satanistą, punkiem, czy czym tam, ale... ale...

MATKA: Nie kochał, nie. I nie kocha.

Miłość jest prawem, miłość podług woli.

(jedno z praw Thelemy)

Wstałem, wzbijając nowy tuman kurzu.

-To ja już pójde – powiedziałem.

Ojciec popatrzył na mnie z przerażeniem w przekrwionych oczach.

-Jak to idziesz? – wychrypiał. – A obiad? Jest sobota.

-Nie mam apetytu – odparłem.

Matka wyskoczyła z kuchni jak kangur.

-Obiad... – wybełkotała pobielalymi ustami.

Popatrzyłem na nich dłuższą chwilę.

-Może to wszystko prawda – powiedziałem cicho. – Ale wy jesteście za to brzydcy, a ja nie.

Wyszedłem nie trzaskając drzwiami.

Schodząc w dół natknąłem się na idącego w górę Ludwika Waryńskiego. W dłoni trzymał nóż rzeźnicki.

-Ja do pana rodziców – zagadnął mnie.

-Pod szóstką – odparłem.

-Dzięki – odpowiedział Ludwik Waryński i poszedł dalej.

Po chwili usłyszałem pukanie do drzwi rodziców. Przyśpieszyłem kroku i gdy byłem już na zewnątrz nabrałem do płuc niemal bolesną ilość powietrza, wypuściłem je z głośnym sykiem, po czym skierowałem swe chwiejne kroki na najbliższy komisariat policji.

Policjanci jednak zignorowali moje zeznania i kazali mi się wynosić.

*

Późnym piątkowym wieczorem zmarł tragicznie mój sympatyczny sąsiad, p. Wątrobowicz. W drodze z pracy do domu pękł mu tętniak w mózgu. Raczej nie cierpiał, ale kto to może wiedzieć.

-Moje najszczerze kondolencje, pani Wątrobowiczowa – zwróciłem się na pogrzebie do pani Wątrobowiczowej.

-Dziękuję – chlipnęła zapłakana wdowa.

Po pogrzebie, gdy wszyscy wolnym, żałobnym krokiem wychodzili z cmentarza, w umyśle moim rozbłysła wizja ostatnich minut p. Wątrobowicza, tak zadziwiająco wyraźna, jakbym wtedy przy nim był.

Ostatnim etapem, jaki pokonywał p. Wątrobowicz w drodze z pracy do domu, była wąska uliczka (223 m), którą chyba ktoś ciężko dowcipny nazwał imieniem Arystotelesa. Pokonanie tej niewielkiej odległości było o tyle utrudnione, że dziwnym zrządzeniem losu, zapewne spowodowanym niedopatrzaniem architektów, pozbawiona była latarni, a co z tym idzie oświetlenia. Na jakiegokolwiek nikłe światła z okien nie było co liczyć, bowiem budynki po obu stronach uliczki im. Arystotelesa od dawna przeznaczone były na rozbiórkę, nikt więc w nich nie zamieszkiwał. Lecz póki co domy stały, zrujnowane i w każdym momencie grożące zawaleniem. Nawierzchnia uliczki pełna była dziur, właściwie stanowiły ją same dziury obrębione kruszącą się koronką pięćdziesięcioletniego asfaltu. Tak więc przebycie tej niewielkiej odległości nie należało do rzeczy przyjemnych, oj nie.

Wejściu w mrok uliczki im. Arystotelesa towarzyszyło ciężkie westchnięcie, które odruchowo wydobywało się z płuc p. Wątrobowicza i myśl o tym, że wolałby jeszcze z godzinę jechać zatłoczonym tramwajem, niż pchać się w tę obrzydliwą ruinę (p. Wątrobowicz miał okazję obejrzeć uliczkę za dnia i była ona dokładnie tak obrzydliwa, jak wyobrażał sobie wieczorem po ciemku).

W piątek przed weekendem p. Wątrobowicz miał jak zwykle dobry humor, więc w ten piątek starał się nie myśleć o niczym nieprzyjemnym i po prostu rażnym, aczkolwiek nie pozbawionym ostrożności krokiem skręcił w Arystotelesa z zamiarem pokonania tego nieudanego odcinka miasta tak szybko, jak tylko się da. Po tylu latach nabrał wprawy i fatalna nawierzchnia rzadko potrafiła go zaskoczyć. Niegdyś przewracał się średnio 20 razy na tydzień, teraz ta liczba zmalała do 0,1.

Gdy był już w połowie drogi, niespodziewanie oślepiło go światło tak mocne, że automatycznie zasłonił oczy, noga osunęła mu się do jednej z dziur i padł na wznak tłukąc się boleśnie. Gdy odsłonił oczy i ostrożnie uchylił powieki, światło z końca ulicy przygasło, lecz

trwało. P. Wątrobowicz wstał z ziemi, odruchowo otrząsał płaszcz i równie odruchowo zaczął iść w stronę jasności. Wiedział tylko jedno – światło to nie miało nic wspólnego z elektrycznością. Szedł dalej i czuł się dziwnie lekki, jakby pozbył się balastu ciała.

„Więc jednak widzi się światło – pomyślałem kierując się wolnym krokiem w stronę ulicy im.Arystotelesa. – Chyba, że widzą je tylko niektórzy – dodałem w myślach po chwili zastanowienia. – Ci, którzy chcą”.

*

Przebywając w szpitalu, poznałem Michasia. Wszyscy go lubili, oczywiście oprócz tych, którzy nie lubią nikogo. Michaś dużo pisał i to na czym popadnie. Spisywał swoje myśli, odczucia, to co mu się wydarzyło. Licząc na strony było tego jakieś 10000. Michaś strzegł swoich zapisków, mnie jednak udało się podprowadzić jedną kartkę, zapisaną maczkiem na drugiej stronie historii choroby jakiegoś Józefa Dyrdała, cierpiącego na paranoję.

Michaś pisał:

Świat nie jest taki fajny jak bym chciał. Moje słowa napisane na tej kartce zmieniają świat tak żeby był fajny dla mnie i nie tylko dla mnie bo nie jestem samolubem i jeżeli mi ma być fajnie to innym też może. Jestem młody ale przecież to młodzi mają zmieniać świat tak mówią wszyscy. Starzy nie umieją i to widać. Bo nie jest fajnie o tym już pisałem ale napisałem jeszcze raz bo nie jest i już a starzy są do niczego bo nie umieją tego zmienić i to też już pisałem. Ja mam plan pisemny na razie ale to najważniejsze. Potem tylko zrobi jakąś maszynę wrzuci się kartkę i świat się zmieni. Słowa są najważniejsze bo taka maszyna do zmieniania bez kartki to by nic sama nie zrobiła zupełnie jakby była zepsuta. Na polskim pani tak mówi na religii ten głupi ksiądz też on czytał nam z pisma świętego że słowo było na początku. A więc będę zaczynał to będzie w punktach żeby się nic nie pomyliło i było zupełnie jasne. Nazywam się Michał i oto mój plan zamiany świata:

1. Żeby nie było wojny to nie trzeba niszczyć broni bo może się przydać np jak nas zaatakują kosmici. Wojny trzeba zabronić. Jeśli to nie pomoże to zlikwidować każdą zagranicę to będzie pokój bo wtedy nie będzie innych państw oprócz jednego i nie będzie na kogo napadać.
2. Księża polscy księża muzułmańscy i wszyscy inni biorą pieniądze za nic bo pismo święte to se każdy może przeczytać. Nie płacić im tak samo jak nauczycielom bo wszystko co mówią jest w podręcznikach. Płacić tylko tym co są fajni i opowiadają różne historie których nie ma w podręcznikach.
3. Każdy w porządku będzie miał fajnie to znaczy np. nie będzie musiał płacić w sklepie a każdy głupi co np. bije albo przezywa albo chce zabijać będzie płacić podwójnie albo i więcej.
4. Płacić więcej strażakom ratownikom wodnym i górskim i wszystkim innym ratownikom bo ich praca jest najważniejsza. Lekarzom też pod warunkiem że dobrze leczą a nie tak jak doktor Michalski co się tylko interesuje pielęgniarką panią Krysią a jak miałem anginę to mi wsadził w gardło patyk tak głęboko że się prawie porzygałem.
5. (Nieczytelne)
6. (Nieczytelne)...i jak ktoś podłoży bombę to sam będzie musiał przecinać te kabelki żeby stanął ten zegar przedtem jak pokaże 00.

7. Starzy też będą mówić do młodych nawet bardzo młodych proszę pana bo przecież młodzi będą starzy a starzy byli młodzi a więc to bez sensu.
8. Głodu na świecie nie będzie kiedy się zrobi jak w punkcie 1 bo wtedy jedzenie będzie się równo rozwozić ciężarówkami po całym świecie.
9. Rodzicom nikt nie kazał być rodzicami a więc mają być fajni jak już są rodzicami ale ich dzieci też mają być dla nich fajne. Chociaż raczej jest tak że jak rodzice są fajni pierwsi to ich dzieci są w porządku no bo jak się ma fajnych rodziców to nie trzeba rozrabiać.
10. (Nieczytelne)
11. (Nieczytelne)...chodzi o dziewczyny to one niewiele się różnią od chłopaków i nie są ani gorsze ani lepsze i nie ma co się przezywać ani ciągnąć za włosy tylko się nie wstydzć i powiedzieć że się lubi chyba że się nie lubi wtedy najlepiej nic nie mówić tylko poczekać aż się polubi bo się w końcu polubi czytałem potajemnie taką książkę.
12. Nie zmuszać nikogo do niczego chyba że jest głupi to tłumaczyć mu do skutku.
13. Alina powinna mnie lubić bo myślę że jestem fajny ale nie będę jej zmuszać bo punkt 12.
14. Jak chodzi o rządy to ja sam nie chcę rządzić będą sami ludzie tzn ci co są fajni a ci co jeszcze nie są to nie będą rządzić ale oni w końcu też będą fajni jak zobaczą że nie opłaca się być niefajnym. Zresztą ja myślę że dużo z nich dlatego jest niefajna bo tak łatwiej się poradzić w niefajnym świecie ale z nim już koniec.
15. Dlatego w fajnym świecie nie będzie niefajnych ludzi.
16. Zlikwidować zakłady bo tam nie jest fajnie bo

(Reszta nieczytelna, powalana psim gównem.)

*

Do kawiarni Eon, mieszczącej się na drugim piętrze ogromnego centrum handlowego Jukatan, wpadło dwóch zdyszanych siedmiolatek.

-Oddawaj, kurwa! – wrzasnął jeden z nich, blondynek, i jego cherubinkowata twarz poczerwieniała ze wściekłości.

-Gówno! – zadrwił drugi, piegowaty rudzielec, i zarechotał złośliwie. – Przegrałeś, kurwa, zakład!

-Oddawaj! – krzyknął płaczliwie cherubinek. – Wcale, kurwa, nie przegrałem!

-Przegrałeś, kurwa, głupku! – zawołał rudzielec. – Kula jest moja!

Cherubinek jednym susem dopadł rudzielca, lecz ten w ostatniej chwili wyrzucił w powietrze szklaną kulę, którą trzymał w dłoni.

Wszyscy ludzie, którzy byli w tej chwili w kawiarni, popatrzyli na kulę, która poszybowała pod sam sufit.

A ludźmi tymi byli:

I. Algiz Raido

-twórca zaginionego w 1969 roku w USA filozoficzno-beletrystyczno-pornologicznego dzieła „Gwoździe”, mającego być podsumowaniem obiektywnej wiedzy na temat Wszechświata i Antywszechświata i załączkiem nowoczesnego stylu życia i myślenia. Po zaginięciu dzieła podczas festiwalu Woodstock, Algiz Raido popadł w permanentny marazm i zajął się bezmyślnym tłumaczeniem wszystkiego, co

mu wpadnie w ręce, na staroaramijski. Kawaler, 81 lat. W roku 1950 napisał kryminał pt. „Mordercy mają serca gołębie”, który nie został zauważony. Teraz, po przeszło pół wieku, jak na ironię, został odkryty przez miłośników gatunku i stał się książką kultową. Obecnie wychodzi XIX edycja. W USA, na terenie festiwalu Woodstock, w Bethel koło Nowego Jorku, co dwa lata organizowane są zloty fanów powieści. Fani organizują konkursy recytatorskie i odgrywają sceny z powieści. Algiz Raido żyje z tantiem, lecz nie udziela wywiadów ani nie pokazuje się publicznie, nikt nie zna miejsca jego zamieszkania. Wychodząc, używa charakterystycznej;

II. Jera Wunjo

-tzw. „szara eminencja” – twórczyni skomplikowanej zabawki, zwanej „Kostką Rubika”. Nie zainteresowana sławą ani pieniędzmi oddała darmo wszystkie prawa do produktu węgierskiemu matematykowi Erno Rubikowi, uprzednio zobowiązując go do utrzymania prawdy w tajemnicy. Lat 35, rozwódka, utrzymuje się z ekskluzywnej prostytutki, tel. 0-700 666 777, koprofagia wykluczona;

III. Avicenna

- po persku Abu Ali Husain ebn Abdallah Ebn-e Sina lub krótko Ibn Sina ابون سینا był perskim lekarzem, filozofem i uczonym. Jego łacińskie nazwisko wywodzi się ze zniekształconego Ibn Sina, pod którym znany był w Persji. Był autorem 450 książek z szerokiego zakresu wiedzy, z których wiele traktowało na tematy filozoficzne i medyczne. Nazywany był często „ojcem nowoczesnej medycyny”, nazwano go też „nasłynniejszym uczonym islamu i jednym z najslawniejszych uczonych wszechczasów wśród wszystkich narodów świata”. Urodził się najprawdopodobniej w Afshanah koło Buchary (dziś – Uzbekistan) lub Balkh (Afganistan) jako syn perskiego urzędnika podatkowego tamtejszego emira Ibn Mansura z dynastii Samanidów. Z tego powodu Avicennie przypisuje się niekiedy narodowość tadżycką, której początki umiejscawia się właśnie w okresie rządów Samanidów. Świat pojmował teocentrycznie, jednak inaczej niż chrześcijaństwo. Świat był stworzony z myśli bożej, a nie z woli bożej. Świat także był stworzony z materii, a nie z niczego (ex nihilo). Świat także był wieczny. To Avicenna zaczerpnął z Arystotelesa. Porządek świata rozumiał po neoplatoniku. Nie powstał on od razu i nie został stworzony cały bezpośrednio przez Boga. Bóg wg niego jest jednością, a z jedności tylko jedność może powstać. W takim razie kolejne rzeczy powstać mogły tylko dzięki dalszym aktom tworzenia. Najpierw powstał najwyższy intelekt, następnie inteligencje niższe (sfery niebieskie), potem najniższe (intelekt czynny człowieka) i na końcu formy rzeczy materialnych. Avicenna wierzył także w ogół. Jednostki miały niesamodzielną rolę. Nawet Bóg nie dosięgał już materialnych jednostek tylko kończy się na ogółach. Dlatego mógł On rządzić jedynie losami gatunków, a jednostkowymi rzeczami tylko o tyle, o ile ich los wpływał na los ich gatunków, lub podlegały ogólnym prawom.

IV. Fehu Odala

-robotnik budowlany, niepiśmienny, właściciel największej na świecie kolekcji przypadkowych rzeczy, 24 lata, żonaty;

V. Isa Odala

-żona Fehu Odali, geniusz, profesor zwyczajny w dziedzinie alternatywnych odmian człowieka. Jako pierwsza szczegółowo opisała zwyczaje i wierzenia człowieka zwierzęcego, czyli tzw. Homo animalis. Laureatka nagrody im. Jana z Kolna. Romantycznie zakochana, w roku 2002 bierze ślub z Fehu Odalą. Od tamtej pory rezygnuje z kariery naukowej, poświęcając się zbieractwu, mającemu na celu powiększenie kolekcji męża. Lat 40;

VI. Aldo Vinzenti vel Misha Orlov

-nic ciekawego;

VII. Petro Wyrđ

-popularny pisarz, wydał 245 powieści, z których tylko 2 (taktownie przemilczane) napisał sam. Uzależniony od hulaszczego trybu życia, pisanie zleca tzw. „murzynowi”, którym jest:

VIII. Hagal Sowelo

-lat 21, utrzymujący się z pisania powieści pisarzom. Napisał na zamówienie ok. 25000 powieści, żadnej nie sygnując własnym nazwiskiem. Sam nie uważa się za literata, gdyż gardzi tym zawodem. „To zajęcie dla eunuchów, w najlepszym wypadku obślinionych onanistów” – ma zwyczaj mawiać. Twórca takich bestsellerów, jak „Spinacze”, „Pusty karawan”, „Brzydzy ludzie są źli” (różnych „autorów”). Jego credo życiowe brzmi: „Przynajmniej nigdy nie będę się wstydził tych gówien”;

IX. John Dee

-astrolog, żyjący na dworze Elżbiety I, nieustrudzony badacz wiedzy tajemnej. Dee był niezmiernie uzdolnionym i pracowitym młodzieńcem. Studiując w Cambridge, na sen przeznaczał zaledwie cztery godziny, na posiłki - dwie, pozostałe zaś osiemnaście godzin poświęcał nauce. Podobno to on napisał manuskrypt Voynicha. Co do zawartości Manuskryptu Voynicha, to tak naprawdę nikt nie jest w stanie powiedzieć nic pewnego, jako że do dziś nie został odczytany. Ilustracje jednakże mogą sugerować, że jest to jakaś księga alchemiczna, której treść autor chciał zachować w tajemnicy. W 1912 roku, Wilfrid M. Voynich, kolekcjoner książek, zakupił od Kolegium Jezuickiego z Villa Mondragone (Frascati, nieopodal Rzymu) średniowieczny lub późniejszy manuskrypt, który został zaszyfrowany lub zapisany w nieznanym języku. Voynich chciał odczytać manuskrypt i dostarczył jego fotokopie wielu ekspertom. Jednak aż do dzisiaj, mimo wielu prób znanych szyfrologów i naukowców, księga pozostaje nie odczytana. Sama księga, to tom o wymiarach 6 na 9 cali, składający się ze 116 welinowych stron, z których zachowało się 102. Jego skromna, welinowa okładka nie ma żadnego napisu, tytułu, czy nazwiska autora. Nie ma żadnych przekonujących dowodów, które pomogłyby umieścić Manuskrypt Voynicha w jakimkolwiek miejscu, czy czasie. Większość ekspertów uważa, że pochodzi on z Europy (opierając się na rysunkach i kilku przedstawionych stylów ubioru) i został napisany pomiędzy XIII wiekiem AD (czasy Rogera Bacona), a rokiem 1608 (kiedy to wszedł w jego posiadanie

Jakub de Tepenecz). Rysunek słonecznika na stronicy nr 93 sugerowałby, że napisano go po 1492 roku, kiedy to Kolumb dotarł do Ameryki, ale tak naprawdę, nie ma przekonywujących dowodów na to, że roślina to rzeczywiście słonecznik.

X. Gebo Berkano

-skrzypek, niegdyś „cudowne dziecko”, w wieku dojrzałym raczej miernota. Albinos, będący dumny z tej przypadłości i żeby ją podkreślić ubierający się na biało. Genialny nauczyciel, którego najbardziej spektakularnym wyczynem było nauczanie gry na skrzypcach na poziomie wirtuozerskim człowieka o ilorazie inteligencji 71;

*

mgła wpelza w cieśniejące uliczki
to już prawie ten deszcz
czy po to urodziłem się
żeby umrzeć
to bez sensu
kosmos nie ma początku
nie ma końca
mam problem
nie wierzę w reinkarnację
i ten młyn istnienia
jak młyńskie koło obracające się
w nieskończoność
i niepokoi mnie to
że jestem przekonany
że ja miałem początek

Frederic Hampton

*

XI. John Wayne Gacy

-urodził się w 1932 roku. Jego ojciec był szorstki, matka natomiast nadopiekuńcza. Odkąd zaczął stawiać pierwsze kroki, okazał się kleptomaniem. W dzieciństwie uderzał się w głowę, co zaowocowało nie wykrytym przez wiele lat krwiakiem mózgu. Ożenił się z dziewczyną której rodzice prowadzili interes, szybko odniósł sukces zawodowy. Jego małżeństwo skończyło się jednak, kiedy Gacy został osadzony za molestowanie seksualne nastoletniego chłopca. Przez całe późniejsze życie twierdził, że został wrobiony. Po wyjściu z więzienia, ożenił się drugi raz i założył własną firmę budowlaną. W 1975 roku, gdy wciąż był jeszcze żonaty, jeden z jego nastoletnich pracowników

zaginał. Wkrótce potem, żona Johna zauważyła, że w domu unosi się nieprzyjemny zapach.

Gacy wykpił się jakimś łgarstwem.

Na co dzień Gacy był miły. Uchodził za człowieka nieobojętnego na politykę, pomagał finansowo mniej zamożnym. Nawet czasem przebierał się za clowna przy okazji różnych imprez. Na zewnątrz wszystko było doskonale w świecie Gacy'ego.

W rok po przeprowadzeniu separacji, mógł wreszcie oddać się bez skrępowania swoim upodobaniom. Przeważnie krążył po ulicach w swoim czarnym Oldsmobile'u, w okolicach, gdzie kręciło się wielu homoseksualistów. Pod różnymi pozorami zapraszał ich do swojego domu, by następnie odurzyć ich chloroformem, gwałcić i na koniec udusić. Niektórym ofiarom oferował pracę, innym zaś proponował wspólne pijaństwo. Wydaje się, że nigdy nie sugerował stosunku seksualnego. Jednym z jego ulubionych sposobów było pokazanie swojej przyszłej ofierze „triku” z kajdankami. Polegał on na tym, że Gacy sam zakładał sobie zabawkowe kajdanki, po czym się z nich wyswobadzał. Następnie zakładał je swojej ofierze, która również się z nich uwalniała. Potem zakładał je na ręce skrzyżowane do tyłu. To samo robił ofiarom, z tą różnicą, że podczas gdy ofiara odwracała się, Gacy szybko podmieniał kajdanki na prawdziwe. Potem mógł robić, co chciał. Gdy młodzieniec odzyskiwał przytomność, John powoli go wieszał, recytując wersety z Biblii i, szczególnie często swój ulubiony Psalm 23 („Pan jest moim pasterzem...”). Zwłoki najczęściej ukrywał pod filarami swojego domu;

XII. Franek Kluski (właśc. Teofil Modrzejewski) pod postacią czarnego kota

-z zawodu dziennikarz, najsłynniejsze polskie medium telekinetyczne i materializacyjne, nigdy przez nikogo nie przyłapane na próbie oszustwa. W czasie seansów spirytystycznych z jego udziałem zachodziło wiele niezwykłych zjawisk – świetlnych, dźwiękowych i mechanicznych. Odnotowano pojawianie się różnego rodzaju zjaw – ludzkich i zwierzęcych, obserwowano samoistne pisanie maszyny do pisania. Obserwowano również tworzenie się w roztopionej parafinie odlewów – cieniutkich foremek kończyn, genitaliów, twarzy jak i innych części ciała, nie będących odlewami części ciała uczestników seansu. Kluski vel Modrzejewski produkował te niezwykle zjawiska w głębokim transie, co miało poważny wpływ na jego zdrowie, psychiczne, jak i fizyczne – depresje, opuchlizna twarzy, wrażenia oparzenia, rany na całym ciele i krwotoki z ust. Objawy te ustępowały bez śladu średnio po 24 godzinach po zakończeniu seansu. Po śmierci powrócił pod postacią czarnego kota;

XIII. Ariel Geller, głoszący czarnego kota (patrz wyżej) siedzącego mu na kolanach

-w rzeczywistości Johann Ali Abdul Schneider, syn austriaka i pakistanki, podający się za syna Uri Gellera, izraelskiego psychokinetyka i telepaty, demonstrującego w latach siedemdziesiątych swe umiejętności (np. wyginanie pod wpływem woli metalowych łyżek i kluczy, zatrzymywanie zegarów). Schneider w Wiedniu wstąpił do masonerii, gdyż jako genialnemu fałszerzowi dzieł Malczewskiego, którym jest, otwarło to przed nim ogromny rynek zbytu. Jedyne na świecie nosiciel wirusa H8CF4VII, nie odczuwający z tego powodu żadnych dolegliwości oprócz często dopadającego go uczucia absolutnego szczęścia;

XIV. Jerzy Turek

-aktor;

XV. Ja

-wpatrzony w szklaną kulę.

Kula zdawała się zawisnąć w nieruchomym powietrzu, mieniła się kolorami tęczy. I gdy wszyscy już myśleli, że będzie to trwało i trwało, kula spadła na marmurową posadzkę, rozbijając się na niezliczoną ilość kawałeczków.

WIECZNE PIÓRA

„Ach, Panie Śmierci, czekaj jeszcze chwilę,
bo do zrobienia trochę mi zostało!” –
błagasz, lecz choćbyś leż łaś nie wiem ile,
nie licz na taką wyrozumiałość.

Sakja Pandita

Stonce

PROLOG

W końcu poczułem się naprawdę źle – odwrotnie proporcjonalnie do słów doktora, który uparcie twierdził, że wszystko jest na dobrej drodze i jeśli będę nadal ściśle stosował się do jego zaleceń, wszystko będzie dobrze.

–Wyzdrowieje pan – powtarzał uparcie z coraz bardziej wymuszonym uśmiechem na coraz mniej wyraźnej twarzy i stopniowo zwiększał mi dawki lekarstw.

W końcu skapitulowałem, a stało się to we wtorek, tego dnia, gdy świat wyglądał jak jeden wielki odrażający śmietnik oglądany przez naciągniętą boleśnie ciasno na głowę pończochę koloru gówna.

–Będę z panem szczery – nie patrząc mi w oczy rozłożył ręce. – Jestem bezradny. Przypadek pański jest niezwykle, niespotykane ciężki. Co więcej, sądzę, że umieszczenie pana w jakimkolwiek zakładzie w kraju, niestety nie przyniesie znaczących terapeutycznych rezultatów. Orientuje się pan przecież, jaka u nas jest sytuacja.

–W takim razie mam umrzeć? – odezwałem się ledwo słyszalnym głosem starca.

–Och, nie bądźmy katastrofistami – doktor zdobył się na coś w rodzaju nieudolnej karykatury uśmiechu. – Ja widzę pewną nadzieję.

–Jaką?

–Klinika prof. Nebła – odparł doktor i po raz pierwszy podczas tej wizyty popatrzył mi w oczy. – To znakomity zagraniczny zakład, który, o ile mi wiadomo, osiągnął nadzwyczajne rezultaty w leczeniu choroby, na którą pan cierpi. Nie ukrywam, że dostać się do Kliniki prof. Nebła jest niezwykle trudno...

Wzruszyłem ramionami.

–...ja jednak, z racji tego, że prowadzę pana już od tylu lat, czuję się za pana odpowiedzialny i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby...

Co było dalej, nie pamiętam. Następną rzeczą, jaką zarejestrował mój rozkładający się od szeregu miesięcy umysł, był mój klaustrofobiczny pokój, w którym leżałem na łóżku, bezmyślnie wpatrzony w popękany sufit.

Jakiś czas później, czas, którego nie potrafię określić, przyszło do mnie pocztą skierowanie w obcym języku, który znałem na, tyle, iż zdołałem odszyfrować, że za dwa dni mam zjawić się w Klinice prof. Nebła w mieście Reinigung celem podjęcia leczenia.

1.ŁAPA

Był wtorek. Zbliżało się lato. Poczulem nacierającą na mój osłabiony umysł czarną łapę. Ta łapa często jest szara, teraz wiedziałem, że będzie czarna jak spalone zwłoki. Łapa nakrywa mnie jak kopuła, jest półprzezroczysta.

Co mogłem zrobić?

Rano połknąłem dwie pomarańczowe i jedną białą. Lekarz o niczym nie chciał słyszeć. Ten skurwysyn w ogóle mi nie wierzył. I żeby udowodnić mi, że to on ma rację, wyciągnął spod biurka opasłą księgę pt. Chorzy, zdrowi i inni, przez kilka sekund szukał pod *Ł*, po czym przeczytał: *Łapa atakuje zimą. Ten, kto twierdzi, że łapa atakuje go latem jest nienormalny i nie nadaje się do leczenia psychiatrycznego.*

-No i co? – lekarz uśmiechnął się okrutnie. – Zrozumiałeś? A teraz spierdalaj.

Wyszedłem na ulicę i natknąłem się na Kulawego. Kulawy chwycił mnie za rękaw i pociągnął za sobą.

Kulawy nie był wcale kulawy (skąd się biorą ksywy?); Kulawy miał Parkinsona (co było widoczne na pierwszy rzut oka, gdy tylko spojrzało się na jego pozbawioną mimiki twarz) i początki schizofrenii, która nie była widoczna do momentu, gdy Kulawy nie zaczął ubierać się na co dzień w gumowy strój pletwonurka, nie wyłączając butli, maski i płetw, które utrudniały mu chodzenie. Kulawy jednak nie był.

-Eh uiś eohoie?

-Wyjmij tę pierdoloną rurę z gęby, bo cię w ogóle zrozumieć nie można.

Kulawy wali się w czoło i ze śladowym przepraszającym uśmiechem wyjmuje z gardła rurę dostarczającą mu tlen.

-Sorry – mówi chichocząc nerwowo. – Ciągłe zapominam. To wszystko przez ten potop – patrzy na mnie przenikliwie przez szkła maski.

-Jaki potop?

-W każdej chwili możemy spodziewać się potopu – wyjaśnia. – Nie wmówisz mi, że o tym nie słyszałeś.

-Jasne, że słyszałem – mówię i dodaję. – Powtórz to, co mówiłeś z tą pierdoloną rurą.

-A – Kulawy kiwa głową, uśmiecha się...

...mam dwie możliwości: mogę się ukrywać albo wyjść na ulicę i zostać automatycznie uznanym za boga...

...tajemniczo. – Chcesz kupić serotoninę? – pyta.

-Co takiego?

-Mój znajomy zrobił wyciąg z sześciuset sześćdziesięciu sześciu ton bananów – wyjaśnia i w jego drżącej parkinsonowatej dłoni wyrasta zakorkowana fiolka napełniona mętnym żółtawym płynem. – Wstrzykujesz to sobie w głowę i masz spokój.

Biorę fiolkę i odkorkowuję. W nozdrza moje uderza tak intensywna woń amoniaku, że zakorkowuję ją czym prędzej i mówię:

-To stary mocz – patrzę na Kulawego, który rozgląda się wokół, a z kącika jego ust zaczyna płynąć strużka śliny. – Skisłe szczochy.

Dla Kulawego cała sprawa zdaje się już nie istnieć.

-Czujesz jak wilgotno? – szepce. – Zbliża się. Zbliża.

Zaczyna dokąś biec. Płetwy kłapią o asfalt wydając dźwięk podobny do klapsów wymierzanych głodną dłonią ojca na goły tyłek niesfornej córki.

Połknąłem dwie białe duże i dwie białe małe. Po białych małych mi nie staje, białe duże powodują, że moje nogi zamieniają się w betonowe słupy, podtrzymujące wiotki korpus. W zamian po tej mieszance...

...po wypowiedzeniu przeze mnie dostatecznej ilości wzniosłych pierdół (tego przecież będą ode mnie wymagać) zrobią ze mną to, co robi się bogom po

czasie potrzebnym, by ponapawać się pierdołami, które zostały rzucone w chciwą pustą przestrzeń...

...odzyskuję zdolność mowy.

-Zaczyna się – mówię więc i dopiero w tym momencie rozpoznaję osobę, do której się zwracam. A mam wrażenie, że ta osoba towarzyszy mi od narodzin Wszechświata. – Znowu się zaczyna.

-Co się zaczyna? – pyta ta osoba; to mężczyzna; wiem, że za chwilę przypomnę sobie jego imię, czy też nazwisko lub ksywę. – O czym ty mówisz? To niejasne, co mówisz.

On mówi dalej.

-Magda cię szuka. Miałaś gdzieś tam być, zdaje się wczoraj, nie było cię.

No. Pamiętam. Już wiem. To XP-666. – Magda? Wczoraj?

-Powiedziała, że z tobą zrywa – mówi XP-666. – Nie może już z tobą wytrzymać. Ty, co się dzieje?

-Mówiłem już – moja mowa jest zamazana. – Zaczyna się.

-Nic nie rozumiem – twarz XP-666 Rozpływa się w powietrzu. – Nic, muszę lecieć.

Wiedziałem, że jeśli wezmę jeszcze dwie białe małe, przypomnę sobie, kto to jest Magda. Ale nie było potrzeby, skoro ze mną zerwała. Poza tym myślę, że to jakieś tajemnicze kłamstwo, mające na celu wystawienie mnie na pastwę łapy.

Rozejrzałem się dookoła. Siedziałem na jakiejś ławce. Świeciło słońce. Był wtorek.

...istnieje trzecia możliwość, – że zrobię to sam; ta jednak okazała się niemożliwa do wykonania. Bo gdy przybiję lewy nadgarstek do chłodnej powierzchni drzewa, czyja dłoń przybije mój prawy nadgarstek? Nie mówiąc już o stopach. Być może istnieje...

Wydaje mi się, że zostawiam za sobą perłowo śluzowy ślad ślimaka. Jestem zdenerwowany, niepokoi mnie to, że w takim razie łapa wytropi mnie bez najmniejszego trudu. W idiotyczny sposób pocieszam się, że łapa nie będzie sobie zawracać głowy czymś tak nieważnym, spożywczym i rozdeptliwym jak ślimak. I zaczynam wierzyć, że tak jednak jest.

Łykam dużo białych małych, żeby być w bezustannym stanie gotowości umysłu. Poza tym piję nieprawdopodobne ilości wapna – z trudem przyznaję się sam przed sobą, że picie wapna jest spowodowane wiarą, iż wytworzę muszlę i ukryję się w jakimś bezpiecznym wilgotnym gąszczu pełnym rosnących psylocybesów.

Spotykam Johna Wayne'a.

-Jak tam? – odzywa się niewyraźnie, wypluwając zapalkę, która od czasów Karbonu tkwiła mu w kąciku ust. – Dawno cię nie widziałem. Wyglądasz jak gówno – obrzuca mnie zniesmaczonym spojrzeniem i przybiera tę tak niepowtarzalną nonszalancko – zaczepną pozę (kciuki w kieszeniach levisów).

-Kowboju – odzywam się słabo. – Jesteś silny?

-Jak bizon – uśmiecha się.

-Poradź coś na łapę – mówię po prostu; nie mam już siły sugerować ani dochodzić określną drogą; zresztą onieśmiela mnie gwiazda szeryfa.

John Wayne krzywi się z odrazą.

-Spierdalaj – rzuca z pogardą, odchodząc kołyszącym się krokiem. – Nie gadam o takich sprawach z mięczakami. Tacy jak ty nie mają prawa, żeby nawet wspominać o łapie.

Z mięczakami! Ślimak! Z radości chce mi się śpiewać i tańczyć na ulicy.

...jeszcze jedna możliwość; o niej jednak nawet boję się szeptać w najciemniejszym zakątku ciemnego pokoju. Wybieram pierwszą opcję i po prostu siedzę przy oknie, coraz bardziej przerażony tym, co widzę przez szybę. Ale przecież kiedyś będę musiał wyjść. Choćby po zakupy, towar albo do fryzjera. I to już będzie koniec historii. A teraz, jeśli mam zacząć, zacznę od początku. Jeśli w ogóle dojdę do tego, gdzie był początek, za co nie ręczę...

-Mam cię – powiedziała łapa i zaśmiała się z okrutną ironią. – Czy ty naprawdę sądziłeś, że mi uciekniesz?

-Nie – zaskowyczałem.

-Zamknij się – szepnęła lubieżnie łapa i nakryła mnie czarnym, półprzezroczystym całunem.

1.GEHIRN EXPRESS

Zdawałem sobie sprawę, co mnie czeka. Czterogodzinny posepny stukot kół o podkłady. Przypadkowi ludzie, którzy mogą okazać się bestialskimi psychopatami. Celnicy, którzy z błyskiem szaleństwa w przekrwionych ślepiach pozerają na granicy paszporty. Co jeszcze...?

Spać. Spać. Czy uda mi się zasnąć i obudzić dopiero na miejscu?

...mózgowiem (encephalon) nazywamy część ośrodkowego układu nerwowego, umieszczoną wewnątrz czaszki. W skład mózgowia wchodzi mózg (cerebrum)...

...-bilety do kontroli...

Ten pozbawiony barw człowiek w granatowym mundurze zignorował, jak się tego spodziewałem resztę pasażerów (był to tylko jeden pasażer, który (jak sądziłem) dla niepoznaki i dla zmylenia mnie udawał cztery osoby, w tym chorego na porfirię, psychozę i wypadanie kiszki stolcowej), groteskowo wolnymi ruchami ujął mój bilet, popatrzył na niego i przedał, po czym, jak mogłem się tego spodziewać zwrócił się do mnie:

-Poproszę pana na zewnątrz.

Wyszedłem z nim z przedziału.

W korytarzu ściągnął z twarzy elastyczną maskę z dźwiękiem, który nie da się porównać do niczego innego.

...mózdzek (cerebellum) i rdzeń przedłużony (medulla oblongata). Dla celów fizjologicznych i klinicznych dzielimy mózgowie na mózg (cerebrum) i pień mózgu (truncus cerebri). Mózgiem nazywamy część mózgowia, rozwijającą się z pierwszego pęcherzyka płucnego, tj. półkule mózgowe i część wzrokową podwzgórza, pniem – pochodne czterech pozostałych pęcherzyków mózgowych. Przeciętą...

To był XP-666.

-Dokąd ty jedziesz? – zapytał niby to obojętnie a jednak z wyczuwalnym tonem surowej przygany w ściszym konfidencyjnie głosie. – Dokąd to?

-Do Reinigung – odpowiedziałem, wpatrując się w marsowe oblicze XP-666.

-Tak ni stąd, ni z zowąd – XP-666 pokiwał głową. – Tu nikt nic nie wie, a ty spokojnie sobie jedziesz do Reinigung.

-Dostałem skierowanie – było to jedno z idiotyczniejszych uczuć nie móc powstrzymać umysłu od pocucia bycia przyłapanym na czymś.

-Skierowanie...? – XP-666 uśmiechnął się gorzko. – I tak... Bez... A my tu...

-Kto? – zapytałem.

-Przyjaciele – odpowiada XP-666 i dodaje z naciskiem. – Twoi przyjaciele.

-Nie mam przyjaciół.

-Masz. Przyjaciół się ma, czy tego się chce, czy nie – w rybich oczach XP-666 migoce okrucieństwo. – I co teraz?

Spinam się w sobie. Zamykam oczy.

-Nie ma cię – mówię poprzez zaciśnięte szczęki.

Kiedy otwieram oczy, XP-666 nie ma.

...waga mózgowia wynosi 1 375 g u mężczyzn i 1 240 g u kobiet.. Mózgowie noworodków męskich waży 340 g, żeńskich – 330. Waga i wielkość mózgowia podlegają dużym wahaniom osobniczym. Między wagą mózgowia a uzdolnieniem jego posiadacza nie ma współzależności. Dowodem tego..

Tych czterech pasażerów, ten z porfirią, ten z psychozą i ten z dolegliwością wypadania kiszki stolcowej – a właściwie jeden człowiek – zaczął

przyglądać mi się natarczywie czujnymi oczami szpiega. Chciałem udać, że śpię; nie udało mi się jednak zamknąć oczu; wykorzystał to i odezwał się ściszym głosem agenta:

-Pan jedzie do Reinigung – ni to spytał, ni stwierdził; zawiesił w specyficzny sposób głos, który to trick zmusiłby do przemówienia niemowę.

-Tak – odpowiedziałem tonem karnego dziecka i zebrawszy wszystkie siły zmusiłem się do pytania:

-A skąd pan wie?

-Ja też tam jadę – odpowiedział i dodał z dziwnym rodzajem melancholijno-cwaniackiej dumy – Rozpoznam każdego, kto tam jedzie. Sam też tam jadę – wyznał i w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się błysk zwierzęcego lęku. – Poza tym mówił pan do siebie – dokończył z pewnym zawstyżeniem.

-To niemożliwe – zaprzeczyłem.

...są rozpiętości między wagą mózgów ludzi wybitnych: mózg Turgieniewa ważył 4,5 tony, Thackeraya 1 644 g, Byrona – 1 807g, Anatola France’a – zaledwie 0,5 mg. Mózg Turgieniewa był więc o wiele cięższy od mózgu France’a, mimo podobnego poziomu uzdolnienia i talentów obu pisarzy. Sprawność intelektualna jest...

-A jednak – powiedział czterogłowy smok. – Mówił pan, mówił.

-A pan udaje cztery osoby – odgryzłem się jak dziecko.

Czterolud westchnął a na jego twarzy pojawił się wyraz męczeństwa.

-Dlatego obaj jedziemy do Kliniki prof. Nebła – wyciągnął ku mnie dłoń, a właściwie wszystkie cztery. – Pan pozwoli, że się przedstawię –Johann Vierkrank, z zawodu jestem kastrownikiem prosiąt.

...najprawdopodobniej związana z budową najwyższej części mózgowia – kory mózgowej...

-Marcin Heiss. Jestem chory na łapę..

...wyniki drażnienia kory mózgowej są zależne od drażnionej okolicy..

.

-Och, ja również nie jestem całkowicie zdrowy, drogi panie Heiss – mówił z pełną bólu miną Vierkrank, w którego czwórosobie porfirie zdawała wysuwać się na plan pierwszy. – No, niech pan na mnie spojrz.

-Wygląda pan jak wampir – stwierdziłem wbrew sobie, gdyż przed chwilą bez konkretnego powodu postanowiłem być uprzejmy. Vierkrank nie obraził się jednak.

-Profesor Nebel uważa, że nie ma powodu do niepokoju – mruknął ponuro i patrząc na mnie z bezbrzeżnym cierpieniem w każdych czterech parach oczu, z których na pierwszy plan wysunęły się oczy chorego na wypadanie kieszki stolcowej, dodał z nagłą wściekłością:

-A niechby on choć raz miał się za mnie wysrać!

A stwierdziwszy, że chyba się zagalopował, chcąc zmienić temat, pochylił nade mną swoją coraz bardziej wilkołaczą twarz i szepnął tajemniczo:

-Za Reinigung już niczego nie ma.

-Nie rozumiem – popatrzyłem na niego uważnie.

-Nic nie ma – Vierkrank pokiwał z przekonaniem głową. – To stacja końcowa. Kończą się tory. Jak nożem uciął. Dalej żadnych zabudowań, nic. Tylko budynek kliniki... A dookoła las... Tylko ten las...

-Więc jednak coś jest – zauważyłem.

Nie wiadomo z jakiego powodu Vierkrank spojrzał na mnie rozszerzonymi panicznym lękiem oczami.

...do najważniejszych metod badania czynności kory mózgowej należą: drażnienie kory mózgowej prądem elektrycznym lub substancjami chemicznymi; wycięcie lub wyłączenie poszczególnych części półkul mózgowych; metoda analizy zjawisk elektrofizjologicznych w mózgu; metoda anatomiczno-kliniczna...

Pociąg gwałtownie szarpnął i stanął.

Vierkrank zerwał się na nogi wszystkimi czterema postaciami i zawołał drżącym z przejęcia głosem:

-Jesteśmy na miejscu! Szybko, szybko! Profesor nie cierpi spóźniałskich!

Spojrzałem przez okno i wiem, że to być może wpływ Vierkranka, ale nie zobaczyłem nic. Sam Vierkrank zachowywał się jak w transie.

-Szybko, szybko! – wołał mechanicznie, szarpiąc mnie za rękaw. – Szybko, szybko!

...metoda odruchów warunkowych Pawłowa.

3. MGŁA

Na stacyjce porosłej bujnymi chwastami, które zdawały się rozsadzać miniaturowy budynek poczekalni, nie było żywej duszy.

Z Vierkrankiem nie można się było dogadać. Wykonywał taniec derwisza i mantrując „transporttransporttransport” był całkowicie głuchy na wszelkie próby nawiązania z nim kontaktu.

Gdy zrezygnowany oderwałem wzrok od kręcącego się w kółko czteroluda, zauważyłem, że nie tylko my wysiedliśmy z pociągu. Niewielki posturą mężczyzna z ogromną walizą zbliżył się do nas, roztargnionym spojrzeniem omiół wirującego coraz szybciej Vierkranka i zwróciwszy do mnie niezwykle sympatyczną twarz, okoloną czarną brodą, odezwał się ciepłym, łagodnym głosem:

-Przepraszam pana najmocniej, czy to już stacja Reinigung?... Wydaje mi się, że pociąg nie ma już zamiaru dalej jechać, lecz...

-Według słów tego pana – wskazałem dłonią Vierkranka, który najprawdopodobniej był o krok od zjednoczenia się ze Wszechświatem – jesteśmy w Reinigung. Biorąc też pod uwagę, że kończą się szyny, tak, sądzę, że jesteśmy w Reinigung.

Jak zdążyłem zauważyć, szyny kolejowe rzeczywiście kończyły się i to dokładnie tak, jak mówił Vierkrank – ucięte równo jak nożem.

-Czy panowie może... – zaczął niewielki mężczyzna, lecz ja przerwałem mu, zaskoczony dosyć mocno swoją nonszalancką śmiałością:

-Tak, my do Kliniki prof. Nebla. Wydaje mi się – dodałem, rozglądając się wokół – że przyjazd do Reinigung jest tożsamy z przyjazdem do Kliniki prof. Nebla.

Mały mężczyzna z nieco nerwowym uśmiechem rozejrzał się dookoła.

-Las – stwierdził. – I żadnej wyraźnej drogi. Nie wie pan, w jaki sposób dostać się stąd do kliniki?

-Ja nie wiem – odparłem a wskazując na Vierkranka dodałem – ale wydaje mi się, że ten oto pan wie.

-Zaraz będzie transport – rzucił Vierkrank zadziwiająco trzeźwym głosem jak na trans, któremu się poddał.

Niewielki mężczyzna pokiwał głową.

-Świetnie – uśmiechnął się z zadowoleniem i zwrócił się do mnie i do Vierkranka, nie zważając, że ten chwilowo był derwiszem we wszystkich swoich czterech postaciach :

-Panowie pozwolą, że się przedstawię. Jestem Jesus Ernesto Golgota. Jestem wielokrotnym mordercą małych chłopców. Biorąc ponadto przykład z wampira z Hanoweru, robiłem z ich...hm...mięsa kielbasę i zjadałem ją. Jedyną rzeczą jaka różniła mnie od sławnego Fritza Haarmana było to, że ja zazwyczaj robiłem salami. Bardzo mi miło panów poznać.

Wtedy nadjechała dorożka.

...smak odczuwamy za pośrednictwem kubków smakowych znajdujących się w brodawkach grzybowatych, okolonych i liściastych języka oraz w błonie śluzowej podniebienia i okolicy cieśni gardzieli. Dzięki kubkom smakowym możemy rozróżniać cztery rodzaje smaków: kwaśny, słodki, słony i gorzki. Różne okolice języka odczuwają niejednakowo poszczególne rodzaje smaku. Tak np. koniec języka jest najbardziej wrażliwy na smak słodki, a nasada języka na smak gorzki. Zasadniczą rolę...

Dorożka rodem z XIX wieku zaprzężona była w dwa kare konie a na koźle siedział stangret, który połowę twarzy miał owiniętą wełnianym szalikiem; jak sądziłem dla ochrony przed wiatrem. Zatrzymał się i milczał; tylko konie co chwilę parskaly niecierpliwie.

Vierkrank zakończył swój taniec derwisza a na jego spoconych twarzach rozkwitł wyraz błęgiego zadowolenia zmieszany z uznaniem.

-Wszystko na czas – wysapał. – O ile w sprawach medycznych profesor Nebel jest całkowitym nowatorem, o tyle w codziennym życiu potrafi do przesady być staroświecki.

-Czy tym – Golgota popatrzył niepewnie na dorożkę – mamy dojechać do kliniki?

-W rzeczy samej – zawołał dziarsko Vierkrank i z niezwykłą lekkością wskoczył wszystkimi czterema ciałami na obite czarną skórą siedzenie. – Pod sam budynek kliniki – i rozejrzawszy się szybko wokół, zwrócił się do stangreta:

-Panie dorożkarzu szanowny, prosimy nie oszczędzać swych rumaków. Mgła się podnosi. Głupio byłoby się w niej zagubić. To by było równoznaczne ze znacznym spóźnieniem a tego za wszelką cenę musimy uniknąć.

-Nie wiem, na ile zszokowało panów moje wyznanie dotyczące kielbasy – odezwał się Jesus Ernesto Golgota z nieśmiałym uśmiechem na twarzy gdy dorożka trzęsła sunąc nierówną leśną ścieżką . – Zdaję sobie sprawę, że mogło być to nieprzyjemne.

-Hm – odezwał się Vierkrank. – W końcu każdy z nas z jakiegoś powodu jedzie do kliniki – przez chwilę milczał po czym na jego twarzy wpłynął wyraz niezdrowego zainteresowania, podrapał się po głowach i zapytał ścisłym głosem:

-Smakowali panu...?

-Nie – odparł Golgota tonem ucinającym temat.

...Pokarm przyjmowany do żołądka zostaje tu zatrzymany na pewien czas i poddany szeregowi zmian, które nazywamy trawieniem. Czas trawienia w żołądku jest różny i zależy od właściwości spożytego pokarmu. Pokarmy płynne słabo zakwaszone przechodzą przez żołądek bez zatrzymania. Niezbyt obfite posiłki przebywają w żołądku 1 – 2 godziny, większe – 5 – 7 godzin. W żołądku pokarm ulega dosyć gruntownym...

-Panie stangret! – zawołał Vierkrank. – Niech pan przyspieszy z łaski swojej! Mgła gęstnieje.

Stangret odwrócił twarz i rozwinął szalik. Poznałem go od razu pomimo mgły.

-Więc jednak – odezwał się XP-666 i jego twarz wykrzywił wyraz pogardy. – Jednak tam jedziesz. Co ja mówię! Uciekasz jak kopnięty pies.

-Nigdzie nie uciekam – i znowu zacząłem się tłumaczyć. – Mówiłem już, dostałem skierowanie na leczenie.

-Leczenie! – prychnął XP-666. – Cha, cha!

-Tak – przełknąłem ślinę. – Właśnie tak.

-I jak zwykle nie pomyślałeś o nikim innym oprócz siebie.

-O kim miałem myśleć?

XP-666 jednym ruchem zdarł z twarzy maskę i zobaczyłem bladą twarz o wielkich nieruchomych oczach, która odkąd pamiętam dręczyła mnie w koszmarach, zarówno w nocy, jak i we dnie.

-Koszmar!!! – usłyszałem ryk, który jakby wydobywał się z tysiąca gardeł. – Koszmar!!! Zawsze będziesz w nim tkwił!!!

-Proszę pana, panie Heiss – zaniepokojony Vierkrank potrząsał mnie za ramię. – Co panu jest? Boli coś pana? Ma pan atak?

Otworzyłem oczy i nieprzytomnie rozejrzałem się dookoła. Mgła.

-Co się stało? – udało mi się wydobyć z siebie szept starca.

-Krzyczał pan – wyjaśnił Vierkrank. – Krzyczał pan straszliwie.

-To nic – wyszeptałem. – To mi się zdarza.

-Mnie też się zdarza krzyczeć – odezwał się melancholijnym głosem Golgota. – W nocy, przez sen, gdy odzywają się we mnie wyrzuty sumienia albo krórys z chłopców przyjdzie do mnie pod postacią ciała astralnego.

-Często ma pan wyrzuty sumienia...? – w głosie Vierkranka ponownie zadrgały nuty niezdrowej ciekawości.

-Nie – mruknął Golgota. – Niezwykle rzadko. To główny, jeśli nie jedyny powód mojego przybycia do Kliniki prof. Nebła.

-Panowie – przerwałem im drżącym głosem. – Czy moglibyście w jakiś sposób kazać woźnicy, żeby odwinął ten szalik z twarzy...?

Vierkrank i Golgota spojrzeli na mnie ze zdziwieniem (nie takim znowu dużym).

-Po co? – zapytał Vierkrank.

-Boję się – wykrztusiłem.

Golgota pokiwał ze zrozumieniem głową i nie pytając mnie o nic więcej zwrócił się do stangreta:

-Panie kierowco, pan pozwoli zdjąć na momencik szalik. Pan kolega chciałby popatrzeć.

Woźnica bez słowa odwinął szalik tak niezwykle ostrożnym ruchem, jakby to był bandaż i odwrócił się w naszą stronę.

Przez moment wydało mi się, że człowiek ten zamiast twarzy ma gładką, pozbawioną rysów powierzchnię. Zamrugałem oczami. Nie, to tylko mgła, gęstniejąca z minuty na minutę. Twarz stangreta była zwykłą, pozbawioną wyrazu twarzą człowieka zrezygnowanego.

-I co? – Vierkrank popatrzył na mnie z ciekawością.

-Nic – odparłem. – Coś mi się wydawało.

-To przez tę mgłę – powiedział Golgota. – Za chwilę nic już nie będzie widać. Niech się pan pośpieszy – zwrócił się do woźnicy.

Gdy stangret z powrotem zawijał szalik, spojrział na mnie przelotnie i mrugnął okiem.

4.SEN NA NOWYM MIEJSCU

Podczas naszej jazdy zaczęło zmierzchać a mgła zgęstniała tak, że zorientowaliśmy się, iż jesteśmy na miejscu, dopiero gdy stangret zatrzymał dorożkę. Staliśmy tak w milczeniu dobrych kilka minut, aż wreszcie ciszę przerwał Vierkrank:

-Wszystko wskazuje na to, że dojechaliśmy.

-I co...? – odezwał się lekko zdeorientowany Golgota. – Co teraz? Dlaczego tak stoimy? Czemu ten woźnica nic nie mówi?

-On nigdy nic nie mówi – odparł Vierkrank tonem stałego bywalca, jakim niewątpliwie był. – On zdaje się jest niemową. Na pewno to tego nikt nie wie, nawet profesor Nebel, w każdym razie on nigdy nic nie mówi. Niech panowie się nie niepokoją, zaraz powinna wyjść po nas pielęgniarka. Tu wszystko jest jak w zegarku.

-Który raz pan tu jest, panie Vierkrank? – zainteresował się Jesus Golgota.

-Teraz będzie trzynasty – odpowiedział z dumą Vierkrank.

-I nie wyleczono pana? – w głosie Golgoty pobrzmiwały nuty sceptycyzmu.

Johann Vierkrank westchnął naraz czterema postaciami.

-Mój przypadek nie jest łatwy – wyznał z melancholijną dumą człowieka straconego. – Podczas gdy zdrowieje jedna osoba, pozostałe trzy z reguły mają

się gorzej, a gdy uda się wyleczyć którąś z nich, ta pierwsza zapada już na następną, za każdym razem inną chorobę. A leczenie równoległe wszystkich daje nie wiedzieć dlaczego nikłe rezultaty. Być może dlatego, że to w końcu jestem tylko ja i borykanie się z czterema chorobami jest zbyt ciężkie dla jednego organizmu.

-Bardzo to mętne, co pan mówi – skrzywił się Golgota. – A pielęgniarki ani nikogo w tym stylu coś nie widać.

Zauważyłem postępujące wolno lecz konsekwentnie zmiany w ogólnym zachowaniu Jesusa Ernesta Golgoty – z ujmująco nieśmiałego człowieka przeistaczał się w agresywnie aroganckiego gnojka.

-Co...? – szydził i w widoczny sposób podniecał się własnymi słowami; jego śniadą twarz wykrzywił furiacki grymas; w kącikach ust pojawiła się piana. – Mgła, zadupie, niemowa, pięciu idiotów, których jest dwóch, jakaś zasrana pielęgniarka, las, Nebel, klinika, las, las, nic, nic...!

Sytuacja stała się kłopotliwa – Golgota najwyraźniej popadał w szal, w którym to stanie najprawdopodobniej poddawał się mrocznemu procederowi á la Fritz Haarman.

-Señor Golgota – zdołałem wtrącić się we wściekły potok słów. – Co panu jest?

Golgota urwał wpół słowa, jego twarz skurczyła się, poszarzała a w przygasłych w jednej chwili oczach pojawił się wyraz palącego wstydu i zrezygnowania zarazem.

-Przepraszam – znowu był nieśmiały i zagubiony. – Nie powinienem sobie pozwolić na popadanie w takie stany... Niestety, zdarza mi się to niekiedy...

-Dobrze, że nie jesteśmy małymi chłopcami – w swoim pojęciu Vierkrank sądził, że zdaniem tym, wymuszonym wybuchem rubasznego śmiechu, jak i poklepaniem Golgoty po plecach wszystkimi ośmioma rękami rozładuje sytuację – na szczęście w tej sekundzie zabrzmiały zbliżające się kroki.

-Tu będzie pan mieszkał – powiedziała pielęgniarka – niemalże sobowtór Michelle Pfeiffer, gdy przekroczyłem próg wskazanego przez nią pokoju, który w osobiwy sposób łączył cechy ascezy i luksusu.

-Sam? – zapytałem.

-W naszym zakładzie są tylko osobne pokoje – odparła z olśniewającym uśmiechem, w którym jednak nie potrafiła do końca ukryć sztuczności i lekkiego zniecierpliwienia.

-Tak? – zapytałem, chociaż tak naprawdę głównie mnie to obchodziło; intrygowało mnie wyłącznie dość niecodzienne połączenie twarzy Michelle Pfeiffer i pielęgniarskiego fartucha; najwidoczniej budziło się we mnie postchemiczne libido. – Dlaczego?

-To jest już tajemnica metod terapeutycznych profesora Nebła – Michelle Pfeiffer w bezsensowny, właściwy pielęgniarcom sposób krzątała się po pokoju. – Teraz niech pan się już położy i postara zasnąć. Pobudka o siódmej. Czy ma pan jakieś specjalne życzenia?

-Przelecieć panią – odparło moje libido, które wydostało się ze mnie i stanęło naprzeciw Michelle Pfeiffer z lubieżnym uśmiechem i gigantyczną erekcją.

-Zobaczmy, co się da zrobić – odparła z roztargnieniem oglądając superpenisa; wydawało się, i to raczej była prawda, że jest myślami gdzie indziej i nie chce się jej nawet wchodzić w tę sytuację bardziej, niż wymagały tego od niej obowiązki zawodowe. – Ale o wszystkim porozmawiamy jutro. Dobranoc – powiedziała do mnie i mojego upersonifikowanego libido, które bliskie już było szczytu.

-Zerznę cię, maleńka – powiedziałem jego ustami.

-Oczywiście – Michelle Pfeiffer pokiwała głową i wyszła.

I zostałem z nim sam na sam.

...prącie (penis) zbudowane jest z trzech ciał jamistych. Dwa z nich noszą nazwę ciał jamistych prącia (corpora cavernosa penis), trzecie, położone po stronie dolnej prącia, nosi nazwę ciała gąbczastego prącia (corpus spongiosum penis). W prąciu wyróżniamy nasadę oraz część ruchomą. Nasada prącia (radix penis) przytwierdzona jest odnogami prącia (crus penis) do kości łonowych i kulszowych. Trzon prącia (corpus penis) zakończone jest żołądźką (glans penis)...

-A kuku! – zawołało libido zaślinione z żądz z wycelowaną w moją stronę nabrzmiałym, zakończonym ultra – fioletem kutasem.

...w czasie wzwodu prącia do ciał jamistych napływa pod ciśnieniem krew z tętnic, odpływ jej w tym czasie jest utrudniony. Powoduje to powiększenie i usztywnienie prącia. Długość prącia w czasie wzwodu wynosi od 0,3 mm do 15 km, w zależności od inteligencji człowieka i sugestyjności jego snów. Na przykład...

Z uśmiechem pogardliwego triumfu błyskawicznie wyciągnąłem z kieszeni fiolkę z małymi białymi i sprawnym ruchem kciuka odkorkowałem.

-Nieee!... – zawyło moje libido, lecz było już za późno. Cztery tabletki w ułamku sekundy znalazły się w moim przełyku.

Dmuchałem w wylot fiolki, zakorkowałem ją, z zimną obojętnością obserwując libido w męczarniach konające na dywanie. Ze skurczonego żalośnie penisa wolno wyciekała ciemnoczerwona krew.

Wtedy z przeraźliwym skrzypieniem otworzyły się drzwi od szafy, po czym wyszedł z niej XP-666 w stroju pielęgniarstwa. Z pobłażliwym uśmiechem spojrzał na trupa libido, zaczął klaskać, a gdy skończył, powiedział:

-Świetna akcja. John Wayne by się nie powstydził. A propos – spojrzał na mnie znacząco. – Pytał ostatnio o ciebie. Był trochę wkurzony. Podobno jesteś mu winny kasę za towar.

-Nie mam pieniędzy.

-Twój problem – XP-666 wzruszył ramionami, po czym spojrzał na mnie zalotnie. – No, jak ci się podobam w tym stroju? – zapytał kobiecym głosem. – Chyba zacząłeś w nim gustować, zanim zabiłeś tego biedaka na dywanie...? Hm...?

-Spierdalaj – moja mowa była zamazana.

W tym momencie zabrzmiało dyskretne pukanie do drzwi.

-Któryś z twoich nowych kumpli – XP-666 skrzywił się pogardliwie, otworzył okno i zwinnie jak małpa wskoczył na parapet. – No nic, na razie spadam – rzucił i wyskoczył.

Podszedłem do drzwi.

-Pan jest tu nowy, wiem bo widziałem jak panowie wchodzili, pan pozwoli więc, że się przedstawię. Nazywam się Jörg Traum – mówił cicho zażywny czterdziestolatek o czerwonej twarzy, konfidencko rozglądając się na boki.

-Marcin...yyy...Heiss – to już był bełkot. – Proszę, niech pan wejdzie.

Traum pokręcił gwałtownie głową.

-Nie, nie – jeszcze bardziej ściszył głos i na jego twarzy pojawił się uśmiech zwiastujący wielką frajdę. – To ja przyszedłem po pana.

-Nie rozumiem – wymamrotałem.

-W skrócie – sapnął Traum, ciągnąc mnie za rękaw – pod siódmką urządziliśmy małą orgietkę z pielęgniarstwą. Panowie, z którymi pan przyjechał, już tam są. Zapraszam serdecznie, tylko niech pan stara się nie tupać, jak będziemy iść po korytarzu. Pan rozumie, lekarze są raczej przeciwni.

-Przykro mi, ale nic z tego – starałem się równocześnie mówić wyraźnie i uwolnić rękaw z uchwytu jego żylastej dłoni. – Nie, żebym miał coś przeciwko, tyle że właśnie zażyłem Senkenol (pozwolicie państwo, że od tej chwili będę używał mniej enigmatycznych nazw środków przeze mnie używanych – jak wiadomo, im bardziej posuwa się spowiedź, tym jesteśmy bardziej szczerzy – chociaż nie jest to spowiedź w powszechnym tego słowa rozumieniu, tak, lecz o tym nie ma sensu nawet wspominać) więc rozumie pan...

-E, co też pan – Traum machnął ręką i oczy mu zabłyśły. – Te anielskie dziwki potrafią takie rzeczy, że stanąłby panu nawet jakby pan wziął arszenik. I pociągnął mnie za sobą.

Wszystkie dosłownie kąty i zakamarki pokoju nr 7 wypełnione były parami, trójkątami i wszelkimi innymi konfiguracjami rżnących się, liżących, sikających i srających na siebie, biczujących się i uprawiających wszelkie inne formy zmysłowych zabaw pacjentów z pielęgniarkami.

Co dziwne, ale nie wiem dlaczego spodziewałem się na pierwszym planie zobaczyć Michelle Pfeiffer. I rzeczywiście, siedziała naga na ascetyczno-luksusowym fotelu i paląc cygaro hawańskie, nie mogłem się mylić, najwyraźniej czekała na mnie. Spojrzała w moją stronę i przywołała mnie wzrokiem.

-Idź pan – usłyszałem dyszący szept Trauma.

Michelle Pfeiffer popatrzyła na mnie tym lekko nieobecnym wzrokiem, który zdążyłem już poznać i powiedziała:

-Ma pan okazję mnie zerznąć, jak to się pan wyraził – gestem znanym mi z filmów przegarnęła włosy i dodała:

-Mówiłam, że zobaczymy co się da zrobić.

-Niestety – wymamrotałem. – Właśnie zażyłem Senkenol, zabiłem swoje post-chemiczne libido, więc nie ma szans, żeby mi stanął.

Michelle zaśmiała się lekko.

-Co za bzdury – powiedziała. – Przecież wiadomo, że wszystkie prochy to tylko placebo.

I rozłożyła szeroko nogi.

...wzgórek łonowy (mons pubis) jest utworzony z tkanki tłuszczowej i w okresie dojrzałości płciowej ma owłosienie. Niektóre kobiety uprawiają tzw. „golenie cipy”, co podoba się niektórym mężczyznom, a niektórym nie. Wargi sromowe większe (labia majora pudendi) są wypełnionymi tkanką tłuszczową fałdami skórnymi. Powierzchnia boczna warg sromowych większych zwrócona jest do przyśrodkowej powierzchni uda. Powierzchnia przyśrodkowa, o zabarwieniu różowym, ogranicza szparę sromu (rima pudendi). Wargi sromowe mniejsze (labia minora pudendi) zbudowane są...

-No i co, jebako – szeptała Michelle Pfeiffer. – No i co, ogierze...? Rzniesz mnie jak piła tarczowa – wywróciła oczami, jęknęła. – Znowu dochodzę... Zajeb mnie na śmierć... Jak starą kobyłę...Jak starą kurwę....

-Ale ubaw, co? – usłyszałem dochodzący z boku zdyszany głos Vierkranka. – I co, warto było przyjechać?...

Spojrzałem – Vierkrank czterema postaciami na różne sposoby bawił się z czterema pielęgniarzkami, z których każda była niemalże sobowtórem, kolejno: Winony Ryder (pozycja klasyczna), Naomi Campbell (analnie), Julii Roberts (oralnie), Jodie Foster (zabawiała się z przypadkiem cierpiącym na wypadanie kiszki stolcowej w ciekawą formę koprofagii).

-Teraz wszystko rozumiem – powiedziałem z uznaniem. – Skopiować siebie czterokrotnie i nie dać się wyleczyć. Teraz rozumiem.

-A co! – rżał Vierkrank, szczytując z Julią Roberts (połknęła wszystko fachowo jak profesjonalistka). – Zdradzę panu, panie Heiss, bo pana polubiłem, że to dopiero początek. Będzie mnie pięciu, sześciu, siedmiuuuu... – zamilkł, gdyż właśnie szczytował z Naomi Campbell.

...z cienkich płatów skórnych i leżą między wargami sromowymi większymi, oddzielone od nich rowkiem. Fałdy boczne warg sromowych mniejszych łączą się tuż ponad lechtaczką, tworząc jej napletek (preputium clitorium posterior), fałdy przyśrodkowe łączą się ze sobą i przyczepiają do lechtaczki, tworząc jej wędzidełko (frenulum clitoridis). Między wargami sromowymi mniejszymi znajduje się przedsionek pochwy. W przedsionku widać ujście pochwy. Jest to otwór służący do tzw. „ruchania”, które jest czynnością niezwykle przyjemną dla mężczyzny. Kobietom w trakcie tej czynności jest przyjemnie dzięki lechtaczce. Lechtaczka (clitoris) jest tworem odpowiadającym prąciu...

Zauważyłem Jesusa Ernesta Golgotę, który chwacko rznął w odbyt prawie-sobowtóra młodego Leonardo di Caprio.

-Ale mam szczęście! – zawołał z rozanieloną twarzą. – Jedyne tak młody sanitariusz w klinice i tak uległy! – wołałem się odwrócić, gdyż twarz jego wykrzywił charakterystyczny krzywy uśmiech Fritza Haarmana.

...otwór końcowy przewodu pokarmowego nazywamy odbytem (amus)...

-Ej, ty – usłyszałem pod sobą niezadowolony głos Michelle Pfeiffer. – Nie gadaj, tylko mnie rznij.

-I jak się panu podoba? – usłyszałem głos Jörga Trauma.

Spojrzałem – właśnie szczytował a pielęgniarka łudząco podobna do Lindy Evangelisty ochoczo spijała spermę niespotykanej błękitnego koloru (być może była to oznaka przynależności do arystokracji) wytryskającą z jego czerwonego penisa.

-Aha, żebyś nie zapomniał – powiedziała Michelle. – Ja też chcę wszystko połknąć. Masz mi się spuścić do buzi, pamiętaj.

Czuąc, że zaraz będę szczytował, posłusznie wyszedłem z Michelle a ona nadstawiła otwarte usta. Patrząc, jak Michelle mrucząc z rozkoszy połyka perłowe krople mojego nasienia, a potem jeszcze ssie i oblizuje żołądek mojego kutasa, zwróciłem się do Trauma:

-Wie pan, czuję się jak aktor porno.

-I prawidłowo – czerwoną twarz Trauma wykrzywił chytry uśmieszek. – Każdy ma takie sny, na jakie zasługuje.

-Nie rozumiem – wyjąkałem, widząc jak moja prawie-Michelle Pfeiffer najpierw błędnie a potem rozplywa się w powietrzu.

-Po obudzeniu się proszę zmienić prześcieradło – chichotał czerwony goły Traum. – Profesor byłby zaniepokojony...

Wtedy zabrzmiało głośnie pukanie i wszystko wokół znikło.

Ujrzałem nad sobą profesjonalnie obojętną twarz prawie-Michelle Pfeiffer.

-Co prawda jest dopiero szósta piętnaście – odezwała się – lecz ośmielam budzić pana już teraz, gdyż miał pan polucję nocną.

Dostrzegłem w jej dłoni gąbkę.

-Najpierw pana umyję, a potem zmienię prześcieradło – powiedziała zrzucając ze mnie koldrę.

-Poradzę sobie – zdołałem wyjąkać jeszcze nie do końca rozbudzony.

Ton Michelle Pfeiffer ucinał wszelkie dyskusje.

-W naszym zakładzie należy się panu wszechstronna opieka. Niech pan się nie wstydzi, jestem pielęgniarką. Robiłam rzeczy, których nie jest pan sobie nawet w stanie wyobrazić.

Wszelkie wydzieliny ludzkiego organizmu nie są mi obce. Każda pielęgniarka musi wykazać

się na egzaminie profesjonalnym opanowaniem uczucia obrzydzenia, jak i podniecenia.

Proszę wstać.

Wstałem. Mój nieprzytomny wzrok zarejestrował balię z wodą.

Michelle zaczęła mnie myć. Wolnymi ruchami namydliła mi penisa i jądra. Przez ułamek sekundy popatrzyła na moją twarz, potem spojrzała na gąbkę, przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

Nie użyła gąbki. Nagimi dłońmi kilkakrotnie namydlała i opłukiwała mój stopniowo rozbudzający się narząd. W miarę, gdy to robiła, na jej twarzy stopniowo uzewnętrzniał się wyzywający makijaż. I gdy w końcu dostałem potężnej erekcji, udawała zdziwienie i odezwała się:

-Ależ pan jest jeszcze podniecony!

Zbliżyła twarz do mojego podbrzusza, popatrzyła mi w oczy chłodnym wzrokiem i dodała:

-W stanie tak silnego pobudzenia nie może pan iść na badanie. Mogłoby to wywołać nieprzewidywalne reakcje zarówno z pana strony, jak i ze strony personelu lekarskiego. To, co teraz zrobię, niech pan potraktuje jako zwykły zabieg pielęgniarstwa.

Więcej nic nie mówiła. Wsadziła sobie mojego kutasa głęboko w usta.

W tym momencie otworzyły się drzwi od szafy i na środek pokoju wyskoczył XP-666.

-A kuku, świntuszkule! – wykrzyknął. – Popatrz w dół!

Popatrzyłem. Mój kutas, który przeobraził się w psylocybesa tkwił w ustach XP-666.

*Obudziłem się zlany zimnym potem i spermą. Za oknem wstawał świt. Na szarym
niebie tkwiło blade słońce niczym ogromna komórka jajowa w nieskończonej macicy
Wszechświata.*

5.ZABAWA W TRUPA I PASTERECZKĘ

Pierwszy sen na nowym miejscu zmęczył mnie tak bardzo, że jeszcze długo po przebudzeniu snulem się niczym żywy trup, a jawa wydawała mi się podejrzenie nierzeczywista. Uczucie to potęgowały niektóre spostrzeżenia, takie jak na przykład:

-trzy pielęgniarki, które zobaczyłem od razu po wyjściu z pokoju były niemalże sobowtórami : Umy Thurman, Kathleen Turner i Bo Derek;

-z jednej z kabin prysznicowych dochodziły kopulacyjne odgłosy;

-Johann Vierkrank, gdy mijał mnie w drodze do łazienki, mrugnął do mnie porozumiewawczo a jedna z jego składowych najwidoczniej była tak zmęczona, że jeszcze spała chrapiąc potężnie.

I właśnie mój półtrupci stan zainteresował tęgiego mężczyznę o dystyngowanym wyglądzie, który jakiś czas obserwował mnie z bezpiecznego oddalenia, po czym podszedł do mnie, uklonił się i odezwał:

-Wydaje mi się, że się jeszcze nie znamy, pozwoli więc pan, iż się przedstawię. Jestem Heinrich von Todensanzeige. Miło mi pana poznać.

-Marcin Heiss – przedstawiłem się słabym głosem, który, jak zauważyłem, u mojego rozmówcy wywołał wyraźne zadowolenie. – Mnie również jest miło.

-Jak widzę, nie czuje się pan najlepiej – zauważył i nie czekając na jakąkolwiek reakcję z mojej strony dodał, spoglądając na mnie znacząco – Dziś taka trupia aura...

Przez chwilę milczał, ja również, gdyż w moim otępiałym umyśle nie zrodziła się żadna, mniej czy bardziej sensowna wypowiedź. W końcu Heinrich von Todensanzeige pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział:

-No tak. Widzę, że nie jest pan jeszcze wtajemniczony.

-Wtajemniczony...? W co?

-Jak to w co? – Heinrich von Todensanzeige wydawał się być naprawdę zdumiony. – Jak to w co? W zasady Gry, oczywiście.

W tym momencie nadeszła prawie-Michelle Pfeiffer i przerwała nam brutalnie ledwo co zaczęłą rozmowę, zwracając się do mnie:

-Profesor Nebel pana wzywa.

Nie wiem dlaczego spodziewałem się zobaczyć boga lewitującego w oparach różowego dymu.

-Być może spodziewał się pan zobaczyć boga lewitującego w oparach różowego dymu – profesor Nebel uśmiechnął się. – Przykro mi, jeśli pana zawiodłem.

Twarz profesora Nebla była twarzą tak zwyczajną, że aż charakterystyczną. Na dobrą sprawę rysy jego twarzy mogłem porównać do każdych znanych mi rysów twarzy, które poznałem w ciągu całego mojego zasranego życia. To samo dotyczyło jego gestów i zmiennej modulacji głosu.

-Witam pana w klinice, panie Heiss – powiedział z uśmiechem mojego ojca.

Kiwnąłem głową jak niedorozwinięta marionetka.

-Cieszę się, naprawdę się cieszę, że zdecydował się pan na przyjazd – wskazał mi krzesło z uprzejmym wyrazem twarzy Eugeniusza Gnoma, znanego mi cierpiącego na epilepsję nauczyciela tańca. – Doktor Łapski wiele mi pisał o pańskim przypadku.

-Naprawdę? – na nic więcej w owej chwili nie potrafiłem się zdobyć.

-Tak, bardzo wiele – profesor Nebel pokiwał głową z powagą charakterystyczną dla Leoncjusza Lizaka, mojego przez dziewięć lat promotora na nieukończonym przeze mnie wydziale ichtiologii na Uniwersytecie Babiogórskim. – Jak pisał, pański przypadek jest wyjątkowy, niespotykany i sprawia wrażenie, powtarzam- sprawia wrażenie beznadziejnego. Dla mnie bowiem nie istnieją przypadki beznadziejne – powiedział z przekonaniem wyrytym na twarzy, która teraz bliźniaczo przypominała oblicze nie znanego mi z imienia i nazwiska sprzedawcy w aptece, który nie raz odmawiał mi sprzedania pewnych medykamentów.

-Ciesz mi to – w głos swój usiłowałem tchnąć nutę optymizmu, lecz nie wyszło mi to w najmniejszym stopniu.

-Chciałbym pana bliżej poznać – powiedział głosem łudząco podobnym do pewnego policjanta, który pewnego razu bezskutecznie perswadował mi zejście z drzewa w parku. – Czy mógłby mi pan coś o sobie powiedzieć?

-Ale co? – zapytałem po chwili milczenia.

-Cokolwiek – zachęcał profesor z wyrazem twarzy, który oczywiście mi kogoś przypominała, ale już nie wiedziałem kogo.

...z okna na górze dolatywały pogańskie ryki; ja schowałem skrzydła pod kurtkę i ruszyłem przed siebie ciemną zaśnieżoną ulicą. Noc i zima – tak, to nieraz ma w sobie coś magicznego, lecz niestety, często jest zbyt rzewno-tkliwe.

Po jakimś czasie natknąłem się na Rysia. Siedział na jakimś murku i był kompletnie przysypany śniegiem. Dotknąłem go a potem pstryknąłem w czoło. Był twardy, zamarzl

-Oj, Ryś, Ryś – westchnąłem.

Nie wiem, jak mi się udało to zrobić (Ryś ważył 117 kg), ale zaciągnąłem go do jego domu.

Ciotkę Rysia obudził stuk głowy Rysia o schody.

-Kto tam? – szepnęła rozspanym głosem.

-Ja przyniosłem Rysia, proszę pani – wyjaśniłem – gdyż Ryś zamarzl.

-Aha, to dobrze, dobrze – wyszeptała ciotka, wsunęła rozczochraną głowę z powrotem do swojego pokoju i zatrzęsnęła drzwiami.

Pośrodku zagraconego pokoju Rysia udało mi się rozpalić ognisko (posłużyły mi do tego krzesła oraz dzieła zebrane Bartha na podpałkę). Posadziłem Rysia blisko ognia, zapaliłem skręta i czekałem...

-Każda, nawet najprostsza historia posiada swoje drugie dno – powiedział profesor Nebel; w tym momencie łudząco przypominał Rysia. – Często i trzecie, nierzadko czwarte, a zdarza się, że piąte i szóste. Wystarczy tylko umieć słuchać. Cztery lata temu jeden z moich pacjentów opowiedział mi po prostu, jak kasował bilet w tramwaju, a ja natychmiast postawiłem diagnozę – nowotwór lewej półkuli mózgu.

...Ryś poruszył głowę. Czapa topniejącego śniegu spadła z jego skołtunionych włosów na ramiona. Zamrugał zóławionymi oczami.

-Co jest...? – zadudnił słabo.

-Zamarzłeś – wyjaśniłem i wrzuciłem końcówkę skręta w dopalające się ognisko. – To znaczy odmarzłeś.

-Jak to? – Ryś zmarszczył czoło.

-Znalazłem cię – wyjaśniałem. – Byłeś twardy jak lód. Musiałeś coś wziąć i zaległeś na mrozie. Poniekąd uratowałem ci życie.

Ryś wstał z trudem. Z traskiem rozprostował potężne ciało. Ze zdziwieniem spojrział na dymiące resztki ogniska.

-Nic nie pamiętam – mruknął.

-Zgubiłeś się, jak szliśmy do Siwego – powiedziałem. – Byłeś w kiepskim stanie i Pani Zima najwidoczniej cię zaskoczyła.

Ryś zamyślił się, a potem nagle jego oczy rozbłyły.

-Do Siwego...?

-Tak.

-A czy tam była Łysa? – zapytał podnieconym mrukiem.

-Była.

-A... – przełknął ślinę – ... zrobiła Pokaz...?

-Zrobiła, Rysiu.

Ryś zaczął chodzić po pokoju w kółko, aż dudniła podłoga.. W ustach miętosił przekleństwa.

-Co ci jest, Ryś?

-Przegapiłem. Z własnej głupoty. Po co brałem to żółte świństwo...? – mówił Ryś na granicy płaczu i zapytał:

-A ty...? Widziałeś...?

-Albo na przykład taki przypadek – mówił profesor Nebel, tym razem o twarzy Władysława Widioty, mojego nauczyciela wf ze szkoły podstawowej. – Pacjent wyznał, że myje zęby tylko trzydzieści dwie sekundy. Ja od razu rozpoznałem cyklofrenię wątroby, lecz było już za późno. Ostatnie stadium. Nic się nie dało zrobić.

...-Nie – odparłem. – Mnie to nie bawi. Woląłem wziąć gipfelinę.

Ryś spojrzał na mnie jak na głupiego.

-Co ty, głupi?

-Nie, Ryś. Woląłem wziąć, ale zrobiłem to świadomie. A ty co? Co brałeś?

-Mutapon – burknął.

*-Poza tym, jak już mówiłem – w tym momencie poczułem, że potrzebuję kolejnej dawki
– Nie bierze mnie to.*

*-A mnie tak – Ryś zaczął dyszeć.- Chcę zlizywać krew z jej cipy. I ruchać ją, ruchać...!
Ja też jestem dzieckiem szatana!*

-Synem – sprostowałem.

*-Synem – powtórzył Ryś machinalnie, umilkł, zmarkotniał i usiadł na podłodze.
Milczał długo, po czym...*

*-Mam nadzieję graniczącą z pewnością, że spodoba się panu w naszej klinice –
uśmiech profesora Nebła tym razem był uśmiechem Jacka Nicholsona rozmawiającego z
Nikitą Michalkowem. – Leczenie w naszym d o m u jest intensywne, lecz nie nachalne, a już
na pewno nie zazna pan ponurości szpitala. Milczał długo, po czym...?*

...mruknął:

-Muszę coś wymyślić.

*Udało mi się namówić Rysia na zakup dwóch działek gipfeliny. Dealer ukazał się w
postaci archanielskiej, wleciał przez okno, zostawił towar i wziął pieniądze lekko
zawstydzony, tłumacząc że Niebo upada i należy zrobić remont.*

*Już po chwili Ryś zaczął mamrotać, że wypadł z czasu (w niespodziewanym momencie
ujawnił się wpływ Kurta Vonneguta).*

-Tak! – zawołał nagle. – Skoro wypadłem z czasu, to możemy iść do Siwego!

-Po co? - zapytałem, myśląc o tym, jak długo będzie jeszcze działać gipfelina i ile jeszcze do świtu.

-Skoro wypadłem z czasu, to zdążę na Pokaz Łysej – wyjaśnił Ryś. – W każdej chwili zdążę.

-Chyba nie, Rysiu – powiedziałem łagodnie, gdyż łagodność z reguły jest moim zwykłym stanem po gipfelinie.

Jednak Ryś był nieubłagany, równie nieubłagany jak szary świt, który za sprawą Rysia zmienił się we wczesny wieczór..

-Cieszę się, że jest pan tak wylewny – powiedział profesor w tym momencie podobny do kolegi Wysokiego, brata Łysej. – i to za pierwszym razem. Czy może pan powiedzieć, na czym polegał tzw. Pokaz Łysej...?

..Pokaz Łysej:

Pośród pogańskich tańców pojawiała się naga Łysa .Cała w drgawkach i konwulsjach spowodowanych przedawkowaniem Axtinu siadała na wysokim taborecie i jak tylko mogła najszerzej rozstawiała nogi. Potem, wywracając wokół szklistymi oczami, wkładała sobie do brudnej cipy (co to był za zapach – ci, którzy brali halucynogeny mówili, że ukazywał się w postaci złośliwego kudłatego skrzata z toporem w dłoni) różne przedmioty, które uważała za magiczne. Były to jakieś gliniane kulki, kawałki metalowych prętów, stare szklane strzykawki,

butelki o dziwnych kształtach. Często były to przedmioty o ostrych krawędziach, nieraz więc polala się krew i ulatywały postrzępione kawałki ektoplazmy. Zawsze znajdowali się chętni, którzy zlizywali tę krew i próbowali wchłaniać ektoplazmę. Od tej chwili byli to ludzie straceni...

-To interesujące, co pan mówi – twarz profesora Nebła przybrała wyrazu straceńczej powagi Walta Whitmana. – Bardzo interesujące.

-Ja jeszcze nic nie powiedziałem – odezwałem się. – Ja tylko myślałem. Nie powiedziałem ani słowa.

-Od narodzin myśli do jej zwerbalizowania trwa pewien, krótszy czy dłuższy proces – powiedział profesor czyniąc dłońmi gest charakterystyczny dla Allena Ginsberga. – Ja, dla oszczędzenia sobie czasu a pacjentowi zbędnego wysiłku, pomijam ten proces.

...Umierasz! Wokół krewni i druhowie;

wzrok ci przygasa, szepczesz głosem cichym,

odchodzisz dokądś, ale dokąd – kto wie?

*Jakże byt rzeczy tego świata lichy!**

* Sakja Pandita

-Ależ z pana pesymista! – zawołał profesor Nebel z twarzą Martina Sheena, grającego ojca, pragnącego uchronić córkę przed zerżnięciem przez gang Purpurowych Demonów. – Doktor Łapski w swoim liście wspominał mi o tym.

-Ten czterowiersz nie ja napisałem – sprostowałem.

-Ale pojawił się on w pana myślach – powiedział profesor i w tym momencie nikogo mi nie przypominał.

-Zrobiłem to specjalnie.

Profesor Nebel popatrzył na mnie z przenikliwością spojrzenia Władimira Kaszpirowskiego.

-Jest pan tego całkowicie pewien?

Po długiej chwili milczenia odważyłem się zadać pytanie:

-Czy postawił pan już diagnozę?

-Wszystko w swoim czasie. A teraz nie zatrzymuję już pana. Powinien się pan rozejrzeć.

Po wyjściu z gabinetu profesora Nebela byłem tak osłabiony, a przez to jeszcze bardziej trupi, że pan Heinrich von Todensanzeige podszedł do mnie od razu i zaszczyił mnie rozmową, którą zaczął dokładnie w tym miejscu, w którym nam przerwano.

-...*Jak to w co? W zasady gry oczywiście.*

-*Jakiej gry?*

-*Pan wybaczy moje zdumienie – powiedział von Todensanzeige. – Wynika ono z faktu, że chyba już zapomniałem, iż na świecie istnieją jeszcze osoby, które nie znają zasad Gry.*

-*Jakiej Gry? – ośmieliłem się zapytać.*

-*W Trupa i Pastieczkę – odparł z uroczystym namaszczeniem Heinrich von Todensanzeige.*

-*W zasadzie nie jestem zwolennikiem gier – odważyłem się wyznać.*

Heinrich von Todensanzeige popatrzył na mnie wzrokiem inkwizytora.

-*Mówiąc takie rzeczy w tych murach – rzekł surowo – to tak, jakby mówił pan, że nie ma Boga.*

-*A jest? – wyrwało mi się.*

Von Todensanzeige zmieszał się, zaraz jednak opanował się i powiedział z naciskiem:

-*Jako przewodniczący Gry w tygodnie nieparzyste apeluję do pana, żeby pan nie utrudniał i zaraz poszedł ze mną do pokoju nr 7.*

-*Nr 7... – powiedziałem wolno i znacząco popatrzyłem von Todensanzeige'owi w oczy. On jednak zachowywał się tak, jakby mojego spojrzenia nie rozumiał. Marszcząc czoło powiedział tonem rozkazu:*

-*Proszę za mną.*

-*Dobrze – powiedziałem więc i poszedłem za nim.*

Pokój nr 7 wypełniony był pacjentami i pielęgniarkami, tym jednak różniła się sytuacja od tej w moim śnie (?), że pielęgniarki ubrane były w stroje alpejskich pasterczek, pacjenci natomiast karnie siedzieli w szeregu pod ścianą. Heinrich von Todensanzeige szepnął mi do ucha:

-Niech pan się nic nie obawia. W odpowiednim momencie poprowadzę pana. A teraz niech pan usiądzie pod ścianą razem ze wszystkimi. Zaraz się zacznie.

Istotnie, po krótkiej chwili z szeregu pacjentów wyszedł chudy i wysoki mężczyzna z wylupiastymi oczami i stanął pośrodku pokoju. Długie ręce uniósł w górę, po czym zaczął wykonywać osobliwe zwiewne gesty, następnie chwycił się za szyję i lekko drżącym z emocji głosem zaczął mówić:

-Ja, Hans Stiel, żyłem sobie, biegałem swobodny jak dziki koń, wdychałem powietrze a wydychałem co innego. Byłem cały pulsujący i moja temperatura oscylowała w granicach trzydziestu sześciu i sześciu. Byłem silny i pracowałem jako fotograf. Au, auu... – zawył. – I umarłem. Teraz jestem trupem. Co ze mną będzie, ach, co ze mną będzie?... – w geście udawanej rozpaczyny zakrył twarz rękami i zastygł w bezruchu.

W tym momencie zbliżyła się do niego pielęgniarka-pastereczka, niemalże sobowtór Sophie Marceau.

-Och, jaki piękny trupek – odezwała się, tanecznym krokiem obchodząc Hansa Stiela dookoła. – Ja, prosta pastereczka, nie widziałam jeszcze takiego pięknego trupka...!

Wykonując gesty mające na celu uzewnętrznąć jej zainteresowanie, szczebiotała dalej:

-Biedna ci ja sierota! Chłopaki ze wsi naśmiewają się ze mnie, że ja biedna jak ta mysz polna, męża ci ja nie znajdę! A tu taki piękny trupek! No i cóż z tego, że on trup – mówiła, w międzyczasie pozbywając się haftowanej bluzki – Kiedy i dla mnie nie ma miejsca wśród żywych! – sprawnym ruchem pozbyła się barwnej spódnicy. – A trupek sztywny, to i na pewno

i malutki u niego sztywny jak stal – zachichotała, ściągając halkę. – A moje obie dziurki, ta słodka niczym brzoskwinka i ta małeńka ciasna takie spragnione twardej stali! A moja buzia tak spragniona najslodsze nektaru, co tak pięknie tryska, niczym źródło... – pozbyła się barchanowych majtek i już zupełnie naga zajęła się rozporkiem Hansa Stiela, który nadal stał bez ruchu z dłońmi przy twarzy.

-Ach – wykrzyknęła pastereczka-Sophie Marceau i klasnęła w dłonie, gdy udało się jej wydobyć na światło dzienne penisa Hansa Stiela w stanie potężnej erekcji. – Nie taki on malutki! A twardy! Ohoho! Hm... – udała zastanowienie. – Jakby tu go napocząć...? Chyba moja ciasna dziurka najbardziej jest głodną!

Wypięła pośladki i nakierowując penisa, wetknęła go sobie głęboko w anus i zaczęła płynnie ruszać tyłkiem.

-Och, och! – zawołała. – Toż taki trupek to czysta rozkosz!

Popatrzyłem na poczerwieniałą twarz Heinricha von Todensanzeige.

-Czy to znowu jakaś orgietka? – zapytałem półgłosem.

-Nic pan nie rozumie – powiedział von Todensanzeige gniewnym szeptem. – To misterium przeczące nadrzędnej roli życia jako jedyne procesu kreacji.

-I co z tego wynika? – zapytałem, lecz von Todensanzeige uciszył mnie niecierpliwym ruchem dłoni.

Podczas gdy pastereczka postępując wyjęła penisa z odbytu i wsadziła go sobie w usta, inne pastereczki zaczęły pozbywać się ubrań śpiewając jakąś pieśń w niezrozumiałym języku. Ku mojemu przerażeniu jedna z nich podeszła do mnie i ze słowami „jaki piękny trupek” zaczęła dobierać się do mojego rozporka. Rozpoznałem prawie-Michelle Pfeiffer.

-Proszę pani – powiedziałem. – Ja nie jestem trupem. Ja jeszcze żyję.

Michelle Pfeiffer popatrzyła na mnie chłodno.

-Tak ci się tylko wydaje – powiedziała głosem XP-666.

6. BIEGACZ LĘKU

Po mojej panicznej ucieczce z pokoju nr 7 w trakcie Gry w Trupa i Pastereczkę zauważyłem, że pacjenci (niezbyt ostentacyjnie ale jednak) zaczęli mnie unikać. Niezbyt mi to przeszkadzało, gdyż w tej chwili nade wszystko potrzebowałem chociaż namiastki spokoju.

Postanowiłem wybrać się na przechadzkę po okolicy. Pamiętając słowa Johanna Vierkranka, poczułem coś na kształt pomieszania ciekawości i lęku, za nic bowiem nie chciałem, by akurat teraz przytrafiło mi się wpadnięcie w próżnię. Zaraz jednak zbywszy to głupie uczucie wzruszeniem ramionami, wyszedłem z gmachu kliniki. Obejrzawszy budynek z zewnątrz (stwierdziłem, że jest on podobny do profesora Nebla, gdyż oglądany z różnych stron i pod różnymi kątami za każdym razem przypominał co innego – Luwr, Kunsterhaus, stodołę itd.), ruszyłem w drogę.

Zagłębiłem się w okalający klinikę ze wszystkich stron las, o którym Vierkrank mówił z takim niepokojem.

A idąc myślałem.

...Łysa potrafiła wydawać z siebie infradźwięki śmiertelne (7 Hz). Kiedy Żuczek umarł podobno na skutek przedawkowania glukeiny, ja wiedziałem, że to nie mogło być przyczyną jego śmierci. Glukeiny nie można przedawkować – ja sam wziąłem raz dawkę ok. 0,78 tony i stało się jedynie to, że przez trzy dni nie mogłem trafić na powierzchnię ziemi – albo latałem, albo drążyłem podziemne korytarze jak kret. Jediną skuteczną tarczą przed śmiertelną bronią Łysej było głośne słuchanie muzyki. Słuchałem więc muzyki przez cały czas – z początku ze strachu, po jakimś czasie stałem się melomanem do granic szaleństwa. Razem z Destylatorem bardzo długo mieliśmy wspólną idee fixe – wydestylować z dźwięków muzyki narkotyk wszechczasów. Niestety, w międzyczasie Destylator wziął na raz tyle glukeiny, że zniknął – czy pod ziemią czy w chmurach – tego nie wiedział nikt. W każdym razie już nie wrócił...

Drzewa, drzewa, drzewa. Wszystkie identyczne, w dodatku stojące w równych szeregach jak wojsko na defiladzie.

...słabość w rękach spowodowana nadużywaniem Biegsamu nie powstrzymała mnie przed nauką (?) gry na instrumentach muzycznych. Pierwszy instrument, z którego zacząłem wydobywać dźwięki, był osobliwym połączeniem organów kościelnych, gitary elektrycznej, bongosów i gipfeliny...

I naraz droga. Nic specjalnego, zwykła ścieżka leśna, ale przecież skoro istniała, nie ulegało wątpliwości, że d o k a d ś prowadzi. Spojrzałem w jedną stronę, potem w drugą, a gdy spojrzałem z powrotem, zobaczyłem sylwetkę biegnącego w moją stronę człowieka. Zbliżał się do mnie wolno, lecz nieubłaganie.

Zatrzymał się dyszący i spocony, przysiadł na mchu, nabrał kilka głębokich oddechów i dopiero wtedy na mnie spojrzał. Uśmiechnął się do mnie w tak charakterystyczny sposób, że od razu rozpoznałem w nim Amerykanina. Odgarnął z czoła grzywę jasnych włosów i odezwał się do mnie po niemiecku:

-Nie znam pana.

-Ja też pana nie znam – odezwałem się do niego po angielsku; i tak już zostało.

-Ja – powiedział.

-Yeah – powiedziałem.

-Skąd się pan tu wziął? – zapytał mnie. – Z próżni, czy jest pan nowym pacjentem kliniki?

-I jedno, i drugie – odparłem.

-Wunderbar – znowu uśmiechnął się zębami z amerykańskiego plastiku. – Nowa ofiara niecných praktyk pseudomedycznych! Jestem Jonathan Houston. – przedstawił się.

-Marcin Heiss.

Patrzył na mnie z ciekawością, z jaką obserwuje się karły, garbusów lub piękne egzotyczne ptaki.

-I jak tam? – rzucił swobodnie. – Podoba się? Z miny pana wnioskuję, że jest pan tu od niedawna, lecz już co nieco zdążyło panu wypaczyć umysł. Zdążył pan na Święto Kału? Brał pan udział w Cotygodniowych Obradach Komisji ds. Ustalania, Kto Pan a Kto Sługa? Grał pan w Trupa i Pastereczkę? Uczestniczył pan w Misterium Śmierdzącej Skarpety? A może po prostu wyszalał się pan na zwykłej orgii?

-Zostałem zaciągnięty na Grę w Trupa i Pastereczkę, lecz udało mi się uciec – odparłem. – A w orgii uczestniczyłem, ale we śnie.

-To nie ma żadnego znaczenia- we śnie, czy na jawie – Jonathan Houston popatrzył na mnie z politowaniem. – Niech pan nie udaje świętoszka. Brał pan udział i już. A czemuż to uciekł pan w trakcie Gry...? Nie podobały się panu pielęgniarki? O ile wiem, Nebel, wybierając je, przeprowadził selekcję kurw z całego niemal świata. Nie chciał pan przelecieć Marilyn Monroe czy tam Claudii Schiffer? Przecież to bardzo przyjemne...

-Nie rozumiem skąd ten sarkazm – przerwałem mu. – To całkiem nieamerykańskie. Muzyka country z zasady jest zaprzeczeniem sarkazmu. Zachowuje się pan bardzo podejrzanie.

Houston zmieszał się, a nawet pobladł nieco.

-Scheisse - mruknął. – Wygrał pan.

-Co wygrałem?

-Mój ojciec był Niemcem – wyznał niechętnie. – Hess. Rudolf Hess. Słyszał pan...?

-Chyba tak – zmarszczyłem czoło. – Ostatnie lata mojego zasranego życia nieco osłabiły moją pamięć, ale coś mi to mówi. Pana tata był, zdaje się, pastorem...?

-Nie – Jonathan Houston potrząsnął głową. – Pastorem był dziadek. Tata był szefem pewnej kliniki, tak jak profesor Nebel. Mama była zakonnicą Żydowskiego Kościoła

Manicheistycznego. Po II Wojnie Państwowej tata został w Spandau, ja zaś z mamą wyjechaliśmy do Stanów Zjednoczonych. Tam zmieniłem nazwisko na Houston, gdyż wszyscy moi pracodawcy przy wymawianiu nazwiska Hess dostawali czkawki.

-Byłbym zapomniał – odezwał się Houston po dwudziestu minutach katatonicznego odrętwienia, w które razem wpadliśmy. – Mam dla pana list.

-List? – zdziwiłem się. – Dla mnie? Od kogo?

-W lesie spotkałem pewnego mężczyznę – powiedział Houston. – Był podobny do Burta Lancastera...nie...raczej do Clinty Eastwooda. Wręczył mi list i polecił mi go panu doręczyć. Proszę.

Rozłożyłem złożoną we czworo kartkę papieru i przeczytałem słowa skreślone beczelnie niedbałym pismem:

„Obilem już mordę waszemu bogowi. Jeśli w ciągu tysiąca lat nie oddasz mi forsy za towar, dobiore się do dupy waszej matce boskiej.

John Wayne”

-Zła wiadomość? – zapytał Houston, obserwując uważnie moją twarz.

-Nie, to nic – odparłem. – Po prostu ten list jest jednym z wielu objawów mojej choroby.

-Dlaczego pan biega? – zapytałem. – Przecież to bardzo niezdrowe. Osłabia serce i powoduje uzależnienie trzydzieści trzy razy silniejsze od heroiny.

-Dlaczego?... – powtórzył moje pytanie i w ułamku sekundy jego twarz skurczyła się w ataku panicznego lęku. – Biegam bo się boję – zdołał wykrztusić ledwie słyszalnym szeptem.

Tym razem po trzydziestu trzech minutach katatonicznego odrętwienia, w które razem wpadliśmy, zapytałem:

-Jak to?

-Uśmieje się pan – teraz Jonathan Houston sprawiał wrażenie zażenowanego. – Ja uciekam przed lękiem

-Jakim lękiem? – zapytałem

-Przed śmiercią – wstyd ledwo pozwolił mu wypowiedzieć.

-To śmieszne – nie oszczędzałem go. – Ucieka pan przed śmiercią? Uważa pan, że śmierć nie ma nic innego do roboty, tylko właśnie pana gonić?

-Ja nic nie myślę – odparł zduszonym głosem Houston. – Ja się po prostu boję, nic więcej. Zdaje pan chyba sobie sprawę, że jakiegokolwiek poprawne, czy jak pan woli logiczne myślenie w mojej sytuacji jest niemożliwe.

-Pomogę panu – powiedziałem. – W myśleniu. Chodzi mi o to, że śmierć może pan równie dobrze spotkać na drodze swojego biegu.

-To wiem – szepnął Jonathan Houston. – Ale gdybym nie biegł wciąż przed siebie, usiadłbym i nie ruszałbym się z miejsca, a wtedy po krótkim czasie zacząłbym wyć ze strachu.

-I chce pan tak biec do końca?

-Ja już nie mam wyjścia

-Moim jedynym marzeniem jest umrzeć nie zdając sobie z tego sprawy. Świadomość jest najstraszniejszą rzeczą, jaką dostaliśmy od natury.

...branie dużych dawek entfernenonu pomagało mi zapominać o wszystkich koszmarach; niestety, działanie jednej dawki entfernenonu trwa zaledwie 4,365 minuty, musiałem więc łykać go praktycznie przez cały czas. Efektem ubocznym działania entfernenonu jest maniacka produkcja literacka. Nieuniknione więc było to, że odkryje mnie środowisko literackie. Pewnego dnia przyszło trzech mężczyzn z aparatami fotograficznymi (w ciągu jednej nocy pokryłem drobnym pismem wszystkie ściany swojego mieszkania – nie wiem, w jaki sposób się o tym dowiedzieli), obfotografowali ściany, krzyknęli „wiwat!”, przez 7,98 minuty klepali mnie po plecach powtarzając „kolego”, dali się naciągnąć, choć niechętnie na kasę na cztery dawki entfernenonu (ich entuzjazm jakoś przygasł) i wyszli. Po jakimś czasie przysłano mi pocztą jakąś gazetę z reprintami moich ścian na rozkładówce wraz z przekazem pieniężnym, który wystarczył mi jedynie na dwie dawki armutyny, w dodatku zmieszanej w proporcjach 2:3 z przedwojennym proszkiem do zębów. Na dodatek reprint podpisany był nazwiskiem mojego sąsiada. Fotografowie – literaci musieli się pomylić, bądź też byli źli na mnie z powodu naciągnięcia ich na pieniądze i zrobili mi kawał. Niezależnie od tego Literacka Agencja Detektywistyczna doszła, że nie jestem swoim sąsiadem...

Pogrążony w niespodziewanych myślach, nie zauważyłem, kiedy zniknął Jonathan Houston. Popychany siłą bezwładności poszedłem więc dalej.

6. TIMOR OFFICIT

... i automatycznie zostałem przyjęty do Stowarzyszenia Literatów Tworzących Dzieła a nie Jakieś Tam Niepoważne Chujki. Zostałem obciążony przymusową składką miesięczną wartości 10 000 dawek Axtinu, przez co musiałem przejść do podziemia, co na szczęście w tamtym momencie nie było takie trudne, gdyż glukeina poważnie staniała na skutek nasycenia rynku...

-Oho, widzę, że nie tylko ja sam jestem miłośnikiem balansowania na krawędzi – z zamyślenia wyrwał mnie modulowany chwacko głos.

Mężczyzna o powierzchowności łagodnego zapaśnika patrzył na mnie jak mason na masona.

-Dzień dobry – powiedziałem, bo cóż miałem powiedzieć i zapytałem:

-Obawiam się, że nie zrozumiałem pana.

Łagodny zapaśnik zmrużył prawe oko i powiedział:

-Pan pozwoli, że się najpierw przedstawię, jak wymagają tego zasady, jakieś tam zasady bliżej nie sprecyzowanego dobrego wychowania. Nazywam się Ravi Bulsara i trudno mi wyrazić swoją radość ze spotkania pana w tym miejscu.

-Marcin Heiss – przedstawiłem się. – Mnie również jest i mam nadzieję, że będzie nadal miło, że pana spotkałem, teraz jednak pomijając wspomniane przez pana niesprecyzowane zasady dobrego wychowania, zapytam wprost: o co, kurwa, chodzi, bo cię nie rozumiem, brudny azjato.

-Brawo! – Ravi Bulsara niczym dziecko klasnął w ręce. – Poëtis omnia licet! Mówię tak, ponieważ przez przypadek słyszałem pańskie myśli i wiem, że jest pan artystą.

-Nie miał pan prawa podsłuchiwać moich myśli.

-Myślał pan głośno... – rzekł zmieszany Bulsara i dodał tonem usprawiedliwienia:

-Poza tym mówiłem już, że to był przypadek i jeśli pana uraziłem, jest mi niezmiernie przykro...

-Trzeba było zatkać uszy – (byłem przerażony własnym chamstwem, pomimo tego, iż wiadomo wszystkim, że biały człowiek jest lepszy od jakiegoś śmierdzącego hindusa – ale jednak). – Już raz tu ktoś czytał mi w myślach i średnio mi się to podobało.

-Ista quidem vis est! – zawołał Ravi Bulsara z ledwo wychwytnymi nutami fałszu w głosie; czuł się winny i chciał od siebie odsunąć uwagę. – Kto taki!?

-Za dużo chciałby pan wiedzieć – powiedziałem.

Ravi Bulsara popatrzył mi w oczy z nagłą powagą.

-Chyba ma pan rację.

-Niech pan nie żywi do mnie urazy – powiedział Bulsara z nieśmiałym uśmiechem żebraka z Bombaju. – Zwłaszcza, że spotykamy się w takim miejscu. Ira odium generat, concordia nutrit amorem.

-W porządku – zgodziłem się. – Niech pan tylko mi powie, skąd pan tak dobrze zna łacinę.

Popatrzył na mnie zdumiony.

-Pan żartuje?

-Ani trochę.

Bulsara pokręcił z niedowierzaniem głową.

-Nieprawdopodobne – orzekł. – Kiedy ostatni raz czytał pan, bądź słuchał wiadomości ze świata?

-Jakieś pięć lat temu – odparłem po chwili zastanowienia.

Ravi Bulsara nadal kręcił głową w najwyższym stadium zdumienia.

-Prawdziwy artysta – powiedział, patrząc na mnie z podziwem. – To wszystko tłumaczy.

-Co?

-Dwa lata temu łacina stała się urzędowym językiem Indii – wyjaśnił i dodał cicho, w zamyśleniu:

-Czy też w innych przypadkach możliwe jest zmartwychwstanie...?

-Zaraz panu wszystko wytłumaczę – mówił Bulsara. – Oddalenie się od miejsca uzdrowienia (mam na myśli oczywiście Klinikę maestra profesora Nebła) powoduje automatyczne wejście w strefę graniczną anty-uzdrowienia. Jest to balansowanie na krawędzi, o której już mówiłem. Jeden nieostrożny ruch, jedno niezgrabne przechylenie się na niewłaściwą stronę i... – przełknął głośno ślinę – ...irremeabilis unda. Mors.

-Dlaczego mówi pan, że to niewłaściwa strona? – zapytałem. – Vivere non est necesse.

Ravi Bulsara spojrzał na mnie rozszerzonymi z przerażenia oczami.

-In viverae hortis nascuntur semina mortis – dodałem.

-Jeśli boi się pan śmierci – zapytałem Bulsarę – to dlaczego balansuje pan na jej krawędzi?

-A czy nie fascynuje nas najbardziej to, czego się boimy? O czym nie chcemy wiedzieć i myśleć, co odpycha nas i my to odpychamy? Tylko... – westchnął - ...timor officit.

-Ohe! Iam satis est! – zawołałem znudzony i ruszyłem dalej zostawiając przerażonego biednego Ravi'ego Bulsarę, który obserwował jak przekraczam ustaloną przez niego granicę życia i śmierci. Oleum et operam perdidi, poza tym strasznie zachciało mi się lać i poszedłem szukać ustronnego miejsca.

Gdy wyciągnąłem kutasa, aby podlać wiekowy dąb, zza drzewa wyszła prawie że-Michelle Pfeiffer. O mało nie dostałem zawału, nie mówiąc już o tym, że z wrażenia mogłem sobie zasikać spodnie.

-Omnia homini, dum vivit, speranda sunt – wymamrotałem z rozpędu. Natomiast Michelle Pfeiffer rzuciła jak zwykle surowo:

-Po pierwsze: co to za samowolne przechadzki, po drugie: żądam wyjaśnień dotyczących pana ucieczki, po trzecie: proszę nie chować penisa. Pissing też lubię.

Nie ulec twardemu charakterowi Michelle Pfeiffer było rzeczą niemożliwą, więc po oddaniu moczu na jej piękną twarz, zostałem niemal za kołnierz doprowadzony z powrotem do gmachu kliniki.

-Rozłazę się jak wszy po piździe – narzekała po drodze prawie- Michelle Pfeiffer i patrząc na mnie stanowczo, dodała:

-I niech pan nie myśli, że to jedno siknięcie załatwi sprawę. Jutro Święto Kału.

7. JUHLA LIKA

...w jelicie grubym wskutek wchłaniania wody następuje zagęszczenie treści i zamiana jej na kał. W formowaniu mas kałowych dużą rolę odgrywa śluz wytwarzany przez błonę śluzową jelita grubego, który skleja nie strawione resztki pokarmu. W skład kału wchodzi: 1) woda, 2) nie strawione i nie dające się strawić resztki pokarmu, 3) barwniki pochodzące z nie strawionego pokarmu oraz barwniki żółciowe, 4) duże ilości drobnoustrojów, 5) produkty działalności bakteryjnej, 6) cholesterol, 7) sole mineralne sodu, potasu, wapnia, magnezu i żelaza. Oddawanie kału, czyli defekacja, rozpoczyna się od pojawienia się uczucia parcia na stolec, które zostaje wywołane przez rozciąganie ścian odbytnicy nadchodzącymi masami kałowymi...

-Trudno się dzisiaj panu skupić – stwierdził profesor Nebel, wpatrując się we mnie przenikliwym spojrzeniem Jeffa Goldbluma. – Chciałbym dzisiaj poruszyć pewien temat, nie jestem jednak pewien, czy jest pan gotowy.

-O co chodzi? – zapytałem głosem robota, przez cały czas nie mogąc przestać myśleć o gównie. Co gorsza, zauważyłem u siebie oznaki podniecenia, co prawda nie zmysłowego, przypominało raczej stan poruszenia przed egzaminem, do którego jestem przygotowany.

Profesor Nebel o twarzy zamyślnego Mao Ze-donga długą chwilę milczał, po czym odezwał się ostrożnie lecz stanowczo:

-Chodzi mi o łapę.

...Włosa wypuścili ze szpitala.

-Kurwa, patrz – powiedział pokazując mi fiolkę wypełnioną watą. Na samym dnie fiolki spoczywała jedna fioletowa kapsułka. – Weltallon – wyjaśnił. – Nieprawdopodobnie mocne. Wiesz – powiedział ni z tego, ni z owego. – Amerykanie nawet katar leczą psychotropami. Masz katar? – zapytał.

-Nie – zaprzeczyłem. – Kaszel – i zakaszlałem.

-Chwileczkę – sapnął Włos i przez chwilę przeszukiwał kieszenie. Wreszcie znalazł fiolkę wypełnioną watą z jedną zielono-czerwoną kapsułką na dnie i podał mi ją.

-Łykaj – oczy mu zabłyśły. – Kodeina przy tym to niedorozwinięty karzeł. Od razu ci po tym przejdzie.

Łyknąłem obojętnie. Kaszel uspokoił się istotnie, za to zacząłem puchnąć i było to nieopisanie euforyczne uczucie...

-Oczywiście nie musi pan o tym mówić, jeśli pan nie chce – powiedział Nebel głosem Johna Lydona.

-Wiem o tym – zapewnilem go.

...znaleźliśmy się na zapluty tarasie otwartej przez władze miasta (ze względów estetycznych i bezpieczeństwa) jedynej w mieście piwiarni dla mutantów wszelkiej maści.

-Jak cię przesłuchują, zaczną torturować – Włos połknął już Weltallon, mówił odbytem i unosił się 5,78 cm ponad krzesłem, miał oczy z tyłu głowy i patrzył na mnie przenikliwie – to najważniejsze jest to, żebyś nie pisał ani jednego słowa, w ogóle nie wydał z siebie głosu. Jeśli powiesz jedno słowo, to powiesz i drugie, i w końcu powiesz wszystko.

-Bzdury – powiedziałem. – Wystarczy, że dadzą ci Verratol, to wyśpiewasz wszystko i jeszcze będziesz szczęśliwy jak wyruchana w dupę świni.

-Zawsze trzeba być przygotowanym na wszystko – popierdywał lewitujący Włos. – Czy ty wiesz, że są ludzie, którzy walczą o wolność tego miasta...? – urwał, ukradkiem rozejrzał się dookoła i pierdnął cicho:

-Spadamy stąd.

-Dlaczego? – poprawiłem się Faulenzerem, więc najchętniej siedziałbym tam, gdzie siedziałem przez całą wieczność.

-Tylko nie odwracaj się gwałtownie – Włos przestał lewitować. – Tamten przy płocie nas obserwuje.

Bardzo wolno odwróciłem głowę. Metrowy mutant, oparty bezwładnie o druczany płot patrzył w naszą stronę trojgiem zalzawionych oczu.

-Tak, jest to z całą pewnością dość ciężki przypadek łapy – oznajmił mi profesor Nebel jako prezydent Łukaszenka. – Tak pisał doktor Łapski, ja mogę to potwierdzić na podstawie moich osobistych obserwacji.

-Dla mnie to nic nowego – powiedziałem.

-Ale ja pana uwolnię z mocy łapy – profesor Nebel wyglądał w owej chwili jak Skrzyżowanie Harry’ego Houdiniego z Davidem Copperfieldem. Czekalem tylko, kiedy wypowie magiczne „bim – sala – bim”. Zamiast tego zapytał głosem kanclerza Schrödera:

-Do czego porównałby pan nakrywającą pana łapę? Proszę o pierwsze skojarzenie.

-Dzisiaj kojarzy mi się z przyduszającą mnie do ziemi czapą gówna – odparłem tak jak chciał profesor Nebel, bez zastanowienia.

Zapisujący coś w opasłej księdze Nebel wyglądał jak Koszałek Opalek.

-Dziękuję. To na razie wszystko. Na dzisiaj daję panu spokój i nie zatrzymuję pana.

...- O jaką wolność? – zapytałem.

-Glukeinową – wypierdzał Włos. – Powstał Glukeinowy Front Wyzwolenia z Niewyzwolenia. Szykują rewolucję.

-To się nie uda – potrząsnąłem głową, po chwili dodałem:

-Chyba, że w Chinach.

Włos wskazał pozbawionym paznokcia palcem jasno oświetlony budynek.

-To szpital – wyjaśnił cichym pierdem. – Obok szpitala jest wielkie pole, gdzie wyrzucają odcięte nogi, ręce, organy wewnętrzne. Takie wysypisko. Można znaleźć coś fajnego. Chodźmy tam – chwycił mnie za rękaw.

-Po co? – wyrwałem mu się gwałtownie.

-Iiii...Nic takiego... Ja chcę tylko zatelefonować ze szpitala – popatrzył na mnie fałszywym wzrokiem. – No chodź. Mam przed tobą ukłęknać, żebyś poszedł? Dobra...

-Nie.

Włos ukłęknął przede mną i chwycił mnie za nogawkę spodni.

-Chodź – sapnął amunalnie.

-Nie – wyszarpnąłem mu się i pognałem przed siebie ulicą.

-Marcin! – usłyszałem jeszcze jego oddalające się pierdzenie. – Marcin! Nie bój się szpitala!...

Gdy tylko opuściłem gabinet, od razu podeszło do mnie dwóch rośliwych sanitariuszy (krwawe znamiona na ich czołach świadczyły o tym, że są przekupieni przez pacjentów), wzięli mnie pod rękę i jeden z nich odezwał się tonem nie znoszącym sprzeciwu:

-Zaraz rozpocznie się Święto Kału. Pana obecność na obchodach jest obowiązkowa.

Nawet się nie broniłem. Posłusznie dałem się poprowadzić do pokoju nr 7.

...u większości ludzi odbytnica pozostaje pusta aż do chwili pojawienia się uczucia parcia. W przerwach pomiędzy oddawaniem stolca ujście zewnętrzne odbytnicy jest zamknięte wskutek stałego tonicznego skurczu obydwóch mięśni zwieraczy odbytu. Z chwilą gdy rozciąganie odbytnicy osiągnie pewien stopień nasilenia, następują odruchowe skurcze jej ściany i rozluźnienie zwieraczy odbytu, przy czym kał zaczyna się wydobywać na zewnątrz...

Człowiek przebrany za muchę końską stał na podwyższeniu w kształcie wielkiej muszli klozetowej. Pacjenci na przemian z pielęgniarkami otaczali go kołem, kucając na podłodze. Gdy tylko zostałem wprowadzony do pokoju nr 7, człowiek – mucha odezwał się w te słowa:

-Witam was, wszyscy tu zgromadzeni Wydalacze! Pozdrawiam was, Czyści Nieoczyszczeni! Błogosławię was, Czcciele Przedsmaku Bytu Noworodczego! Dziękuję wam, żeście się tak licznie zgromadzili – mimo przebrania, które utrudniało mi stwierdzenie, czy tak jest w istocie, dałbym głowę, że patrzy w moją stronę. – Z łaski Ducha Wielkiego Brata Perturabo, jak i waszej przychylności w tym miesiącu ja- Juha Paholainen będę Prowadzącym Święta Kału, które w ramach danego mi przywileju nazwę JUHLA LIKA .

W tym momencie wykonał kilka niezrozumiałych gestów, na które zgromadzeni reagowali żywiołowo, wołając: „o, tak!”, „niech się stanie!”, „gównno, o, gównno!”, „daj nam byt!”, po czym kontynuował dalej:

-Czyż nie jest rzeczą konieczną, nadrzędną i pierwszą wychwalać nieodzowny, nieodłączny a wzgardzany przez maluczkich element sprawczy oczyszczenia? Czyż Brat Perturabo nie miał racji twierdziwszy defekując na perski dywan, że jego odchody są uświęcone? Czyż Czystość zagnieżdżyłaby się w sercach naszych i rectum naszym, gdyby nie to, co ją powoduje?

W podobny sposób przemawiał śpiewnym głosem tak długo, aż wprowadził zebranych w stan najwyższego uniesienia. Ja z kolei czułem się coraz bardziej znużony i biorąc pod uwagę moją skłonność do zamyśleń, zamyśliłem się głęboko.

...Łoś brał dużo, często i wszystko do momentu, w którym przeczytał przypadkowo broszurkę medyczną i dowiedział się z niej ze zdziwieniem idioty, że mu to szkodzi. Wtedy przestał brać nawet witaminy, stał się czcicielem Ra, a po jakimś czasie został nawet Kapłanem Kościoła Czcieli Słońca Ale Tylko Wtedy Gdy Świeci i wkrótce wyjechał do Zairu przekonywać miejscową ludność, że Słońce to nie takie byle co.

Wtedy (kiedy to było?) Łoś brał nieprawdopodobne ilości Sonenstralu i glukeiny. Łoś był prawdziwym muzykiem, grał świetnie, tyle że rzeczy do dupy. Oprócz tego, że był multiinstrumentalistą, był najlepszym wokalistą na tej szerokości geograficznej, ale nikt o tym nie wiedział. Poza tym nafaszerowany dummeryną miał widzenie, że tylko tzw. komercja może zapewnić mu sławę i wieczne szczęście. Biorąc to widzenie niezwykle poważnie postanowił w najbliższym (po nim) czasie poważnie się zeszmacić, lecz na szczęście (?) nie zdążył, bo jw.

-To jest coś – Łoś zgłosił „Stimmung”, co przez moment wywołało u mnie odruch wymiotny, zaraz jednak znanymi tylko sobie sposobami wróciłem do swojego dawnego ja i niebezpieczeństwo zarzygania głośników minęło.

Z powodu seksualnej posuchy oraz tego, że żadna kobieta nie była w stanie wytrzymać z Łosiem dłużej niż 3,666 minuty, Łoś coraz częściej parał się gawędziarstwem seksualnym..

Głośny okrzyk Muchy – Juhy Paholainena:

-Defekujmy, bracia – zwrócił moje organy percepcji ku otaczającym mnie sprawom.

Mój ledwo co zbudzony zmysł postrzegania zarejestrował zbliżającą się w moim kierunku niemalże- Michelle Pfeiffer.

-JUHLA LIKA – odezwała się mechanicznym głosem. – Czyż to nie szczęście być naznaczona tym, co ze skalanego czystego czyni?

-Myślałem, że pani to po prostu lubi – powiedziałem. – Jest pani kurwą, co uświadomił mi Jonathan Houston-Hess, więc nieobce są pani różne praktyki, z których część, może i znaczną, polubiła pani.

Popatrzyła na mnie momentalnie wytrzeźwiałym wzrokiem.

-Wszystko potrafisz zepsuć – popatrzyła na mnie z niechęcią. – Pewnie, grałam w filmach z cyklu „Shit lovers”, ale tu przecież nie o to chodzi, głupku.

-A o co?

-Zdejmuj gacie – Michelle Pfeiffer zdenerwowała się – i rób. Potem ci wytłumaczę.

...do wydalenia kału przyczynia się wydacie aktywne parcie tłoczni brzusznej, tj. wzrost ciśnienia w jamie brzusznej powstający wskutek silnego wydechu przy zamkniętej głośni i skurczu mięśni brzucha. Defekacja kończy się skurczem mięśnia dźwigacza odbytu, który wciąga wynicowującą się przy tym błonę śluzową. Ośrodki nerwowe kierujące odruchem defekacji mieszczą się w odcinku krzyżowym rdzenia kręgowego. Zniszczenie tego ośrodka prowadzi do rozluźnienia mięśni zwieraczy odbytu i nietrzymania kału...

-Po co? – brutalnie oderwałem dłonie Michelle Pfeiffer od mojego rozporka. – Mam na panią nasrać – jeżeli to miałoby służyć pani przyjemności, to jeszcze rozumiem, jeśli nie, to pytam jeszcze raz – po co?

-Albo naprawdę jesteś taki głupi, albo udajesz – Michelle Pfeiffer popatrzyła na mnie z odrazą. – Czy w ogóle nie zrozumiałeś słów Mistrza Ceremonii?

-Szczere mówiąc nie słuchałem go zbyt dokładnie – odparłem, czując nabierający na sile niepokojący odór.

-Panie Heiss – usłyszałem z boku zduszony głos Vierkranka. – Niech pan będzie grzeczny. Nie może pan ciągle łamać zasad współżycia klinicznego, bo nikt pana nie będzie lubił.

Popatrzyłem w stronę głosu. Vierkrank kucnął nad twarzą leżącą na podłodze prawie że- Pameli Anderson i postękiwał z wysiłku.

-Cholera – wierzchem dłoni otarłem spocone czoło. – Coś mi nie idzie.

Szybko odwróciłem głowę i powiedziałem, sam siebie zaskakując swoją stanowczością:

-Jestem chory na łapę. Jestem przekonany, że oddanie kału na twarz jakiegokolwiek kobiety może mi tylko zaszkodzić.

Wtedy podszedł do mnie Mistrz Ceremonii i wolnym ruchem zdjął z twarzy muszkę maskę. Ujrzałem wykrzywione oblicze XP-666.

-Tym razem wygrałeś – zawarczał jak wściekły pies. – Ale prędzej czy później zrobię z ciebie kupę gówna.

*Zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem, stwierdziłem że leżę w łóżku we własnym pokoju.
Przed oczami tańczyły mi czerwone plamy.*

*-Ma pan wysoką gorączkę – jak przez ścianę waty usłyszałem głos Michelle Pfeiffer. –
Niech pan nie wstaje. Powinien pan leżeć i najlepiej byłoby, gdyby pan spróbował zasnąć.
Niech pan to połknie – zobaczyłem smukłą dłoń, na której leżała mała biała tabletka.*

-Co to jest? – zdołałem wyszeptać.

-Placebo – odparła prawie- Michelle Pfeiffer.

Zamknąłem oczy i zapadłem się w miękkie objęcia półtrwania.

8. PLACEBO I ZOËA

...w miękkich objęciach półtrwania...

...Łoś coraz częściej parł się gawędziarstwem seksualnym...

...i nietrzymania kału...

-Ehem-hm-hr.. – usłyszałem tuż nad uchem coś pomiędzy zwyczajnym chrząknięciem a odchrząkiwaniem flegmy – dźwięk z pewnością użyty, aby zwrócić moją uwagę. Uniosłem ciężkie powieki, pod którymi przesypywały się tony piasku.

Stwierdziwszy, że jestem w lesie i siedzę na pniu ściętego drzewa, popatrzyłem w górę i ujrzałem nad sobą okrągłą jak słońce i równie jak słońce promienną twarz albinosa w średnim wieku. Patrzył na mnie z troską zmieszaną z życzliwością.

-Źle się pan czuje? – zapytał łagodnie.

-Mam gorączkę – odpowiedziałem jak automat. – Miałem połknąć placebo i leżeć w łóżku. Pan też był na Święcie Kału? – zapytałem, patrząc na niego oczami, które z pewnością były oczami szaleńca.

Albinos pokiwał w zadumie okrągłą głową.

-Tak – powiedział z powagą w głosie. – Zapuszczanie się tak głęboko w las jest niebezpieczne. Zawsze tak twierdziłem.

-Ale pan też tu jest – zauważyłem po chwili, potrzebnej, by mój pracujący na zwolnionych obrotach mózg zwerbalizował myśl.

Albinos zignorował moje spostrzeżenie.

-Pan pozwoli, że się przedstawię – wyciągnął w moją stronę białą dłoń. – Aki Jumala. Tak jak pan jestem pacjentem Kliniki profesora Nebla. Bardzo mi miło.

Uścisk jego dłoni pozbawionej pigmentu spowodował z kolei w mojej dłoni brak czucia – tak jakbym ścisnął powietrze.

-Marcin Heiss – przedstawiłem się nieswoim głosem; usiłowałem wstać; po kilku nieudanych próbach stanąłem niepewnie na drżących nogach. – Jestem chory.

-Co panu dolega? – zapytał Aki Jumala z nieudawanym zaniepokojeniem.

-Tak na co dzień mam łapę – wyznałem, nieprzytomnie rozglądając się dookoła. – W tej chwili ponadto mam gorączkę i czuję się tak, jakbym miał zemdleć.

Aki Jumala pokiwał ze współczuciem głową.

-Cierpi pan na łapę – odezwał się lekko zamyślony. – Jaki pan jest lekkomyślny – ton jego głosu nabrał cech ojcowskiej przygany. – Cierpiąc na łapę zapuszczać się tak głęboko w las! Przecież chyba nie chce pan wpaść w dziurę?...

-Jaką dziurę? – spytałem; musiałem z powrotem spocząć na pieńku.

-Niektórzy nazywają ją próżnią – odparł Jumala. – Inni piekłem, jeszcze inni wirem, paszczą, otchłanią, stacją bez nazwy, snem bez snów – mówił. – Nazwa jest najmniej istotna. Istotne jest to, że przez nieuwagę, przypadek, źle pojętą odwagę można się tam dostać.

-Jak tam jest? – spytałem. – Wie pan to?

-Tam jest nijak – odparł Jumala. – Nie wiem jak pan sądzi, ale ja uważam, że to najgorsze, co może spotkać. To tak, jakby się przez całe życie jadło nieprzyprawione jedzenie, uprawiało seks nie odczuwając bodźców zmysłowych, czy też cierpiało nie czując bólu.

-To ostatnie mi się podoba – stwierdziłem.

Jumala popatrzył na mnie z gorzkim uśmiechem.

-Chyba pan nie wie, co pan mówi.

Po długiej chwili dość niezręcznego milczenia, zapytałem:

-Pan jest Finem, prawda?

-Tak – odparł z melancholijnym uśmiechem. – Tak się złożyło.

-W takim razie z pewnością zna pan swojego rodaka – ciągnąłem. – Nazywa się Juha Paholainen. To też pacjent kliniki.

Jumala zmarszczył brwi i odparł szybko:

-Nie znam nikogo takiego. Musiał się pan pomylić.

-Pamiętam dobrze to nazwisko – nalegałem.

-Z pewnością n i e m a nikogo takiego – powiedział Jumala tonem urywającym wszelkie dyskusje.

Zaśmiałem się nieco histerycznie.

-Wszystko więc wskazuje na to – pomyślałem głośno – że przez cały czas byłem w lesie.

Jumala patrzył na mnie, ze smutnym uśmiechem kiwał białą głową. Podszedł do mnie i ujął moje wiotkie ciało pod pachy, usiłując mnie podnieść na nogi. Przymknąłem oczy, raczej niepotrzebnie, gdyż ponownie znalazłem się w miękkich objęciach półtrwania.

...za brudną szybą okna wstawał brudny świt. Zimna, szarawa poświata nappełniła zagracony pokój.

-Zostało trochę glukoiny? – odezwał się Elvis Układ Nerwowy omdlewającym głosem.

-Nie – odparłem głosem po dummerynie, którego brzmienie można było porównać z kwileniem niemowlaka. – Zostało trochę Biegsamu..

-Daj – westchnął Elvis Układ Nerwowy. Połknął cztery kapsułki i zsunął się z fotela na zakurzony dywan.

-Chyba pójde – powiedziałem usiłując wstać. Gdy mi się to udało, mój mózg wysłał kilka słabych impulsów pamięci.

-Aha – przypomniałem sobie; graniczyło to z cudem. – Kto to była ta dziewczyna, która wyszła po północy?

Elvis Układ Nerwowy spojrział na mnie wzrokiem pełnym sennego niezrozumienia.

-Po co ci dziewczyna...? – zrobił zwiwną dłonią nieokreślony gest. – Weź gipfelinę. John Wayne powinien mieć.

-Nie twoja sprawa – zakwililem, łykając dwie kapsułki Biegsamu- w reakcji z dummeryną miał paradoksalne działanie pobudzające. – Jak wiesz to gadaj.

-Dziewczyna... – mamrotał. – Dziewczyna.... – i już miał zamiar bawić się tym wyrazem w nieskończoność, lecz ja momentalnie pobudzony podszedłem do niego krokiem kaprała, potrząsnąłem go za wiotkie ramię i zawolałem:

-Szary płaszcz! – i jeszcze raz:

-Miała szary płaszcz! – to już był wrzask. – Jak szarość porannej plaży, po której idzie w twoją stronę krab! Rozumiesz! Krab!

Elvis Układ Nerwowy uniósł na ułamek sekundy opadające powieki i wyszeptał:

-Czy miała psa?... Psa z oczami jak dwie kręcące się mandale?...

-Tak! – wrzeszczałem. – Wilczur! Szary jak poranna plaża, po której idzie w twoją stronę krab!

-Wiem... czarne krótkie włosy...jak kapłanka Puu...To Zoëa...

-Jak?

-Nazywa się Zoëa Brachyura... – mówił Elvis Układ Nerwowy głosem już stamtąd. – Ma dziesięć nóg i gra na flecie historię Wszechświata...

Obżarty Mutaponem, Aufamem i erwekeiną, miotany post-chemicznym libido po odstawieniu gipfeliny czterysta stuleci czekałem przed muzeum oceanograficznym. W końcu dostrzegłem jej sylwetkę w szarym płaszczu. Szalejący od rana wiatr rozwiewał jego poły. Przystanęła. Próbowwała się zapiąć. Wstałem z kamiennego murku, który natychmiast rozsypał się w pył i podszedłem do niej chemicznie szybkim krokiem.

-Cześć, Zoëa.

Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem. Puściła poły płaszcza, które znowu porwał wiatr.

-My się znamy? – zapytała.

-Tak – odparłem. – Nie wiem, czy mnie sobie przypominasz, bo wydaje mi się, że tam, gdzie się ostatnio spotkaliśmy przez większość czasu byłem paprocią.

Przyglądając mi się uważnie, pokręciła wolno głową.

-Nie.

-Wczoraj byliśmy razem u Elvisa Układ Nerwowy – powiedziałem.

-Aha – pokiwała głową i skrzywiła się. – Palant.

-Ja?

-Nie, Elvis Układ Nerwowy – powiedziała. – Ciebie nie znam, to nie wiem, czy jesteś palantem.

-A ja cię znam – mówiłem szybko, trochę za szybko, nic jednak na to nie mogłem poradzić. – Nazywasz się Zoëa Brachyura, masz psa o oczach jak dwie kręcące się swastyki, jesteś kapłanką Aurinko...

-Nie jestem kapłanką – zaprzeczyła. – Nic o mnie nie wiesz oprócz tego jak się nazywam.

-Weźmy Verratol – zaproponowałem. – Będziemy wiedzieć o sobie wszystko.

Zaśmiała się krótko i mrużąc oczy wpatrywała się we mnie przez długą chwilę.

-Teraz sobie ciebie przypominam – powiedziała wolno, z pewnością jakieś 4,509 raza wolniej niż ja przed chwilą. – Przez cały czas siedziałeś w fotelu. Pamiętam, że pomyślałam jak można siedzieć sześć godzin w fotelu...

-Byłem paprocią – przypomniałem.

-...i nawet nie wstać, żeby się wysikać.

-Paprocie nie sikają – zauważyłem.

-A może sikałeś w gacie?

-Nie noszę gaci – powiedziałem. – Chodź, pójdziemy nad morze.

-Po co? – zapytała Zoëa beznamiętnie.

-Bo twój płaszcz jest koloru porannej plaży, po której idzie w twoją stronę krab...

Chłodny dotyk na moich ustach spowodował, że otworzyłem oczy.

-No, proszę – prawie- Michelle Pfeiffer usiłowała włożyć mi tabletkę do ust. – Niech pan to połknie.

Przewróciłem dookoła bolącymi gałkami ocznymi. Byłem w moim klinicznym pokoju.

-Co pani mi daje? – zdołałem wyszeptać.

-To Myrkkol – odparła. – Od razu postawi pana na nogi.

-To jest placebo – szeptałem. – Sama pani mówiła.

Michelle Pfeiffer zrobiła zdumioną minę.

-Nic podobnego – Michelle coraz mniej delikatnie usiłowała wetknąć mi białą tabletkę do ust.

-Nie połknę tego – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – Najpierw chcę się widzieć z profesorem.

Michelle Pfeiffer roześmiała się pogardliwie.

-Ho, ho, jakie zachcianki – jedną ręką przytrzymując mi głowę, drugą gwałtem wpychała mi do ust. – Łykaj, kurwa, bo pożałujesz.

Zacisnąłem zęby tak mocno, że o mało mi się nie pokruszyły. Michelle, widząc mój upór, dała za wygraną, odwróciła twarz a gdy po chwili odwróciła się z powrotem, ta twarz była lodowato spokojnym obliczem Johna Wayne'a.

-Jeśli to połkniesz – odezwał się beznamiętnie – umorzę twój dług i będziemy kwita.

Otworzyłem oczy i ujrzałem pochyloną nad sobą twarz Akiego Jumali.

-Zasłabł pan – usłyszałem jego zatroskany głos. – Musimy natychmiast wracać do kliniki.

Zarzucił mnie sobie na plecy jak worek kartofli. Niósł mnie szybko, jakbym nic nie ważył.

Zamknąłem oczy i zapadłem się w miękkie objęcia półtrwania

10. SALAMI

...morze z pasem plaży zanurzone w szarości jej płaszcza...

*...ona ma psa, kota, hoduje rośliny. Pewnie tylko dlatego, że u Elvisa Układ Nerwowy
byłem paprocią, dała się wyciągnąć na plażę...*

...w naszą stronę dziarskim krokiem podążał krab.

-A jednak – powiedziałem. – Skąd on się tu wziął?

-Uciekł – stwierdziła Zoëa. – Z muzeum oceanograficznego albo z restauracji.

Krab był tuż, tuż.

Zoëa pochyliła się nad nim, musnęła dłonią jego pancerz i zapytała:

-Skąd się tu wziąłeś?

*Krab popatrzył na nią oczami jak dwa wirujące słońca i zapytał głosem nieżyjącego
(?) Żuczka:*

-Macie może działkę glukeiny?...

Gdy wstałem z łóżka, byłem jeszcze osłabiony, ale dłużej nie wytrzymałbym w łóżku, ubrałem się i wyszedłem z pokoju. Pierwszą osobą, na którą się natknąłem był Ravi Bulsara. Popatrzył na mnie z podziwem, zmieszanym z lękiem i palącą ciekawością.

-Wrócił pan – odezwał się drżącym z emocji głosem. – Zdecydował się pan przejść granicę i wrócił pan. Niepojęte. Proszę, proszę, niech pan mi o tym opowie. Hoc mihi si dixeris, eris mihi magnus Apollo...

-Niewiele pamiętam – odparłem wykrętnie.

-Na pewno był pan in vacuo – Bulsara patrzył mi w oczy błagalnie. – Niech pan mówi, niech pan mówi...

-To bardzo non liquet – powiedziałem surowo – Noli me tangere!

Na ile pozwalało mi na to osłabienie, wyrwałem rękaw z odruchowego uchwytu Bulsary i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie.

-Noli nimium stomachari...! – usłyszałem jeszcze jego przeproszające wołanie.

-Dzień dobry, panie Vierkrank.

Popatrzył na mnie nieco nieprzytomnie.

-Ach, pan Heiss – przypomniał sobie. – Witam pana. Z małą różnicą – nazywam się Fünfkrank.

Popatrzyłem na niego zaskoczony i...

-Rzeczywiście – stwierdziłem. – Jest pana pięciu. Kiedy to się stało?

-Dzisiejszej nocy – odparł Fünfkrank z zadowoleniem. – Obudziłem się już w piątkę.

-Co dolega piątemu panu? – zapytałem.

-Ach, nic oryginalnego – Fünfkrank machnął ręką. – Słoniowatość penisa. A propos, jak się pan miewa?

-Nieźle – odparłem i popatrzyłem na niego znacząco. – Ale na pewno sto sześćdziesiąt razy gorzej od pana. Posuwać pięć pielęgniarek na raz, no, to dopiero perspektywa...

Johann Fünfkrank popatrzył na mnie dziwnie i mruknąwszy jakieś „do zobaczenia” ruszył przed siebie szybkim krokiem.

Na schodach w dół dogonił mnie Jonathan Houston.

-Guten Tag! – przywitał mnie dziarskim okrzykiem. – Z przyjemnością widzę pana żywego!

-Ja pana również, mister Houston – zrewanżowałem się i zapytałem:

-Nie biega pan?

-Najpierw śniadanie – odparł. – Wszystko po kolei. Porządek. Wie pan, zamilowanie do porządku chyba przekazał mi tata. Mama mówiła mi, że miał na tym punkcie niemalże obsesję. Nawet kiedy stwierdził, że czas umierać i zwolnić miejsce dla innych, sam pokierował własną śmiercią. Ordnung muss sein, często powtarzał to wyświechtane powiedzenie, które w jego ustach zawsze brzmiało świeżo i głęboko.

-Jasne – pokiwałem głową. – Przecież najpierw jemy, a potem sramy, a nie jemy główna z przekonaniem, że zamieni się w naszym żołądku w kawior i szampan.

-Otóż to – Houston pokiwał jasną głową. – Idzie pan na śniadanie? – zapytał.

-Chyba tak – odparłem bez entuzjazmu i w tym momencie spostrzegłem Heinricha von Totensanzeige, który mijał nas dostojnym krokiem.

-Dzień dobry, panie von Totensanzeige – zawołałem za nim.

Odwrócił się i uważnym wzrokiem zlustrował mnie od stóp do głów.

-My się znamy? – zapytał uprzejmym tonem. – Niestety, nie przypominam sobie...

-Nieważne – przerwałem mu. W sposób ledwo zauważalny wzruszył ramionami i poszedł dalej.

-No to chodźmy na to śniadanie – odezwał się niecierpliwie Houston i dałbym głowę, że usłyszałem jego szept:

-To on. Trup i Pastereczka. Uważaj.

-Słucham...? – spojrzałem na niego z natężeniem.

-Chodźmy na śniadanie – powtórzył głośniejszym głosem Houston, tak jakby myślał, że nie dosłyszę.

W tym momencie spostrzegłem idącą korytarzem w dole śnieżnobiałą postać.

-Panie Jumala – zwróciłem się do albinosa. – Chciałbym panu podziękować.

Albinos popatrzył na mnie czerwonymi jak królik oczami.

-Przepraszam – zwrócił się do mnie jak do natręta. – Chyba pan mnie z kimś pomylił.

-Jak to...? – powiedziałem z malejącą pewnością. – Pan Aki Jumala, prawda...?

Albinos potrząsnął głową.

-Nazywam się Juha Paholainen – powiedział. – Przepraszam, śpieszę się.

-Zaraz, zaraz – próbowałem go zatrzymać – Więc nie nazywa się pan Aki Jumala?

-Z całą pewnością – uśmiechnął się krzywo.

-Przecież... – byłem zdezorientowany. – Aki Jumala...

-Proszę pana – powiedział albinos stanowczo. – Jestem jedynym Finem w klinice i mogę pana zapewnić, że nikogo o tym nazwisku tu n i e m a.

...-A propos Stockhausena... – odezwał się Łoś i urwał, przez chwilę grzebał po kieszeniach, wreszcie znalazł plastikowe pudełko z fioletowo-kremowymi kapsułkami Horenamu i podał mi je mówiąc:

-Weź trzy. Będzie ci przyjemniej słuchać.

Wziąłem cztery, mając na uwadze, że opowieści Łosia nie są wcale takie zajmujące, poza tym byłem na valinpitamatonie, który ma działanie jak najbardziej wsobne.

-A propos Stockhausena – zaczął na nowo Łoś, wzięwszy przedtem kertoaninę. – Pamiętasz tę małą, mówili na nią Lizak o Przedłużonym Działaniu? Na jednej imprezie wszystkim nam, tobie też, zrobiła laskę, w sumie dwudziestu czterem facetom...?

-Nie pamiętam – odparłem po przeszukaniu upośledzonej sfery pamięci.

-To ona ma teraz jakiegoś poważnego dupka – ciągnął Łoś – i podobno przestała brać, wpada do mnie od czasu do czasu na małe ruchanko i nie tylko. Żebyś ty widział, jak zachłannie ta kurewka chleje mój mocz i zjada moje gówno...

-Po co ci to? – przerwałem mu. – Lepiej bierz gipfelinę...

Nie zauważyłem nawet jak znalazłem się w klinicznej jadalni. Przy stole, który był okrągły jak w legendzie o królu Arturze, po mojej lewej stronie siedział Jonathan Houston, po prawej nieznany mi jeszcze stary człowiek z wianuszką siwych włosów okalających pokrytą plamami wątrobianymi łysą czaszkę. Dookoła siedzieli wszyscy inni pacjenci i dopiero teraz dotarł do mnie fakt, że byli to sami mężczyźni.

-Czemu...? – zapytałem Houstona.

-W lewym skrzydle budynku jest oddział żeński – odparł Houston. – Mężczyznom jest tam wstęp wzbroniony. Wziąwszy jednak pod uwagę nasze pielęgniarki – dodał z uśmiechem sportowca-idioty – raczej nikt nie czuje takiej potrzeby.

-A panie mają pielęgniarzy – pół-zapytałem, pół-stwierdziłem, jakbym dobrze wiedział.

-Nie wiem – Houston wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że tak. Na zasadzie symetrii.

Na podwyższonym miejscu honorowym zasiadł profesor Nebel, który wszedł do salonu jadalnego w trakcie mojej rozmowy. Z jego pleców wyrastały ogromne skrzydła koloru starego złota. Przywitał wszystkich dobrotliwym skinieniem głowy i dopiero wtedy wszyscy zabrali się do jedzenia.

-Profesor jada z nami – wyraziłem głośno swoją myśl. – A więc nie jada na oddziale kobiecym. To dyskryminacja.

-Na oddziale kobiecym też jada – powiedział Houston, nalewając sobie do talerza owsianki.

-Później? – spytałem.

-Nie, w tym samym czasie.

-Jak to?

-Skąd mam wiedzieć? – w lekko zniecierpliwionym tonie głosu Houstona zaczęła przeważać arogancja chłopaka z Teksasu. – Nie pytaj mnie pan. Nie jestem pierdolonym profesorem Neblem.

-O, salami – zauważył staruszek z prawej strony i cały się zaślinił. – Ja tak lubię salami.

Z niewidocznych głośników popłynęła cicho muzyka. Był to „Stimmung” Stockhausena. To spowodowało, że na nieokreślony czas wypadłem nieco z rzeczywistości.

...Łoś zignorował moją uwagę o gipfelinie, rozpiął rozporek, wyciągnął kutasa i zaczął walić konia. Tak było za każdym razem, gdy opowiadał i przestałem zwracać na to uwagę.

-Miał się odbyć koncert Stockhausena z wywołanym duchem Milesa Davisa. Mnie nie było stać na bilet, ale w telewizji miała być transmisja. Przygotowywałem się do tego jak do święta zalegalizowania dragów. Wziąłem chyba z dwa kilo Horenamu, Sonenstral i o dwudziestej zasiadłem wygodnie przed telewizorem. Stockhausen z Davisem zaczynają improwizować, ja pomału odlatuję, po dziesięciu minutach dzwonek do drzwi. Ja, wkurwiony, otwieram a tam Lizak o Przedłużonym Działaniu. Wpuszczam niechętnie to ciało, mówię: „Siadaj i słuchaj. To co słyszysz, to muzyka”. A ona łapie mnie za kutasa i mówi: „Łoś, chodź. Swędzą mnie wszystkie dziury. Pozwolę ci na wszystko, naprawdę na wszystko.” Ja jej tłumaczę: „Słuchaj, czekałem na ten koncert miesiąc”, ale czuję, że ja mięknię a mój kutas twardnieje. „Kupię ci płytę.” – mówi Lizak. I wiesz co?

-Co? – zapytałem z grzeczności.

-Poszedłem z nią. Zerżnąłem ją we wszystkie otwory, spuszczałem się i szczałem jej do ryja, żarła moje gówno i tarzała się w nim, wsadzałem jej ręce w cipę, w dupę, potem kazałem jej samej szczać i srać a potem to wypijała i zżerała..!

Łoś jęknął cicho. Kilka kropel spermy zleciało na wytarty dywan...

-Jakieś dziwne to salami – głos staruszka po prawej wyrwał mnie z zamyślenia. – Słodkawe jakieś. Zupełnie jakby kto cukru dosypał.

-Rzeczywiście. – odezwał się mężczyzna z wyglądu przypominający podstarzałego Johna Lennona i odetchnął z ulgą. – Od razu zauważyłem, ale nie chciałem nic mówić, bo myślałem, że znowu mam halucynacje. Słodkie, prawda, panie Lanze?...

Staruszek pokiwał łysą głową. Skrzywił się płaczliwie.

-Słodkie, panie Lennon – siąknął nosem. – A ja tak lubię salami...

Popatrzyłem uważnie na krążki salami ułożone na półmisku, po czym zacząłem rozglądać się po jadalni. Gdy zlokalizowałem Fünfkranka (siedział akurat po przeciwnej stronie okrągłego stołu i podobnie jak ja wpatrywał się w półmisek salami z dość głupią miną), zwołałem do niego scenicznym szeptem:

-Halo, panie Fünfkrank.

Uniósł wzrok znad talerza i popatrzył na mnie pytająco.

-Nie wie pan czasami, gdzie podziewa się pan Jesus Golgota? – zapytałem. – Nie zauważyłem go na tej sali.

-Golgota nabroił i poszedł do karceru – odpowiedział Fünfkrank używając do tego języka migowego, który na szczęście znałem, odkąd Dżidzi stracił słuch i trzeba było znaleźć wspólny sposób porozumiewania się.

-Nie rozumiem – wymigałem. – Do jakiego karceru? Co takiego nabroił?

-Włazł tam, gdzie nie trzeba i profesor musiał go ukarać – wymigał Fünfkrank.

-Ukarać...? Za co...?

-Istnieją pewne reguły, których nie można łamać – odparł Fünfkrank ręcznie. – Tu jest porządek. Inaczej ciemnica, czarny chleb, czarna kawa.

Oczywiście chciałem dowiedzieć się czegoś więcej, jednak Fünfkrank odwrócił głowę i nie reagował nawet na moje: „Pst! Pst!”.

Popatrzyłem wobec tego na Jonathana Houstona, który w skupieniu kończył owsiankę.

-Mister Houston – urwałem na moment, zastanawiając się, jak sformułować pytanie – Z jakich powodów pacjent trafia do karceru...? – słowo „karcer” wypowiedziałem w taki sposób, jakby jego istnienie nie stanowiło dla mnie nowości.

-Z różnych powodów, człowieku – odparł teksański chłopak Nat Houston. – Nie pytaj mnie o zasady funkcjonowania burdelu. Są ogólnie znane. Nie zgrywaj naiwniaka, człowieku, nie wciskaj mi mowy-trawy. Idę pobiegać – na ułamek sekundy na jego teksańskiej twarzy pojawił się lęk. – Co będę siedział z pierdołami, bez urazy – dodał, wstał i wyszedł dziarskim, lekko kołyszącym się krokiem.

Wobec tego popatrzyłem na staruszka Lanze, który kompletnie zdezorientowany bez ruchu siedział nad talerzem.

-Niech pan tego nie je – poradziłem.

-Ja tak lubię salami – wymamrotał Lanze. – Słodkie też lubię, ale osobno.

-Niech pan tego nie je – powtórzyłem.

Po skończonym śniadaniu, które upłynęło w napiętej atmosferze spowodowanej podejrzanymi właściwościami salami, przy wyjściu nieomal nie zderzyłem się z fińskim albinosem.

-Panie Jumala – odezwałem się do niego – czy jak pan woli Paholainen. Chciałbym coś wyjaśnić.

Albinos z bezradną miną rozłożył ręce.

-En ymmärrä - powiedział. – En puhu englantia.

Popatrzyłem na niego i odezwałem się agresywnie:

-Niech się pan nie zgrywa.

-Anteeksi – powiedział, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Olen suomalaisen. Ne rozumec english. Näkemin. Terve, ystävä. – i poszedł przed siebie korytarzem prowadzącym do pokoi.

Lecz gdy znalazł się przed zakrętem korytarza, zatrzymał się i odwrócił. Uśmiechając się krzywo, odezwał się głosem XP-666:

-Gdy się pozbywasz swoich starych druhów,

nowym nie ufaj dlatego, że nowi!

Gdy w spółkę zadał się z ministrem kruków,

*Rychło postradał życie – władca sówi.**

-Ty skurwysynu – wyszeptalem. Pokonując strach, podbiegłem do zakrętu korytarza i spojrzałem. Nikogo tam nie było.

Stało się. Udało mi się przedostać do lewego skrzydła budynku kliniki. Ukryty w koszu na brudną bieliznę słyszałem rozmowę dwóch sanitariuszy – niemalże sobowtórów Brada Pitta i Johnny’ego Deppa.

-I co? – mówił prawie- Brad Pitt. – Nie znalazł się ten mały di Caprio?

-Zniknął –odparł prawie- Johnny Depp. – Kręcił się z jakimś pierdolniętym z prawego skrzydła. Nie chciałem donosić, a teraz widzę, że trzeba było. Potem zniknął.

-Pojebańcy – powiedział Brad Pitt. – Chodźmy do pań. Chyba już czekają.

Usłyszałem oddalające się kroki. Odczekałem kilka minut i wydostałem się ze smrodu poplamionych wszelkimi ludzkimi wydzielinami stert prześcieradeł i poszewek. Znalazłem w

* Sakja Pandita

koszu śmierdzący, ale nie poplamiony strój pielęgniarza. Szybko przebrałem się w niego i ruszyłem korytarzem starając się, żeby mój krok nie był ani za szybki, ani za wolny.

Nie wiem, ile czasu bląkałem się w plątaniu korytarzy w całkowicie sterylnej ciszy. Wreszcie mój wyczulony zmysł słuchu zarejestrował ciche odgłosy, które po dłuższej chwili zaklasyfikowałem jako piski podnieconych kobiet.

-Tu jest tak samo – pomyślałem na głos. – Symetria.

Usłyszałem coś jakby odgłos uderzeń o metal. Rytmiczny, niemal znudzony.

Ruszyłem w jego stronę.

Stanąłem przed żelaznymi nitowanymi drzwiami z więziennym judaszem i zamkniętą na kłódkę klapką, która, jak sądziłem, zamykała otwór do wydawania jedzenia.

-Jest tam kto? – zapytałem pół-szeptem.

-Wypuście mnie – usłyszałem kobiecy głos.

-Jestem pacjentem – powiedziałem. – Nie mam klucza.

-Drzwi nie można otworzyć tylko od wewnątrz – usłyszałem głos. – Z twojej strony wystarczy nacisnąć klamkę.

Tak, jak mówiła, udało mi się otworzyć drzwi.

Z ciemności karceru wyjrzała dziewczyna o czarnych krótkich włosach. Oślepiąca światłem, mrużyła podkrążone oczy.

Nie wiem, ile czasu milczałem.

-Zoëa –odezwałem się w końcu.

11. DAMEN UND HERREN

...-Największą wartość ma to, co zostało stworzone spontanicznie – powiedziała Magda, patrząc na mnie tym swoim spojrzeniem „czy coś do niego dociera”. – Spontanicznie, bez żadnych poprawek i układzeń.

-Na przykład gównem – byłem na Nauramie; każde więc słowo sprawiało mi niewypowiedzianą radość.

-Nie śmieć się ze mnie – Magda już-już miała się obrazić, w ostatniej jednak chwili stwierdziła – słusznie – że to bez sensu.

-Śmieję się – popatrzyłem na jej twarz, która w zależności od tego, co wziąłem – podobala mi się albo nie – bo mi wesoło. Wziąłem Nauram. Gdybym wziął Traurigoł, byłbym smutny, a melancholia targła by strzępami mej poranionej duszy.

Magda zrobiła jedną ze swoich 386 zboliałych min. Uniosłem w górę palec.

-Pst – syknąłem nie mogąc opanować chichotu. – Tylko nie próbuj teraz wymóc na mnie jakiejś obietnicy. Nigdy w swoim zasranym życiu nic nikomu nie obiecałem i nie obiecuję. Wiesz, Mario Magdaleno, mam taką zasadę

Magda nie podjęła wobec tego nie podjętego przeze siebie jakiegoś bezsensowno-tabuistycznego tematu; ja natomiast długą chwilę grzebałem po kieszeniach.

-Przyniosłem ci kasetę – przez moment wydawało mi się, że mówię uszami. – Powinno ci się spodobać, skoro lubisz rzeczy spontaniczne. Sesja z Wysokim. To bardzo interesujące – Wysoki gra na zwiniętym w rulon dywanie i erwekeinie, ja gram na połączeniu organów kościelnych, gitary elektrycznej i gipfeliny.

-Daj – Magda wyciągnęła bladą rękę z prześwitującymi przez skórę błękitnymi żyłami...

-Zoëa – odezwałem się w końcu.

Patrzyła na mnie niewidzącymi oczami, dopóki nie przyzwyczały się do światła.

-Kim jesteś? – szepnęła.

-To ja – wydałem z siebie głos; dopiero w tym momencie zauważyłem, że Zoëa jest naga. Siniaki pokrywały jej wychudzone ciało.

-Popatrz na mnie – poprosiłem.

Skierowała na mnie nieprzytomne spojrzenie podkrążonych sino oczu.

-Jesteś sanitariuszem...? – zapytała i odruchowo cofnęła się wgląd celi. – Nie rób tego, proszę...

-A... – zapomniałem, że mam na sobie śmierdzący strój sanitariusza. – Nie, nie. To... ten... kamuflaż. Ja jestem Marcin. Heiss. 39,9. Popatrz na mnie. Powinnaś mnie pamiętać.

Popatrzyła na mnie jeszcze raz, zmarszczyła czoło i szepnęła:

-Verratol.

Odetchnąłem z ulgą.

-No właśnie – pokiwałem głową. – Kiedyś wzięliśmy razem Verratol, żeby wiedzieć o sobie wszystko, a potem kochaliśmy się na erwekeinie. Gdyby nie łapa...

-Pamiętam – powiedziała Zoëa. – Mieliliśmy spędzić ze sobą całe życie ale ty gdzieś zniknąłeś.

-Dorwała mnie łapa – powiedziałem i żeby zmienić temat, zapytałem:

-Czy to jest właśnie karcer?

Zoëa pokiwała głową.

-We wszystkich celach są ludzie?

-Tak, są – odparła. – Zimno mi. Uciekajmy stąd.

Zdjąłem śmierdzącą kurtkę sanitariusza i okryłem nią trzęsącą się Zoëę.

-Zaraz, zaraz – powiedziałem. – Trzeba ich wszystkich uwolnić.

-Nie ma czasu – powiedziała Zoëa. – Oni tu zaraz będą.

-Kto?

-XP-666 i John Wayne – odparła Zoëa dygocząc.

-Już wiem – odezwałem się zielonkawą parą armutynowych dźwięków.

-Co wiesz? – zapytał Słoń; w miarę jak wstrzykiwał sobie dummerynę, na jego skudłaconej głowie zaczęły wyrastać ośle uszy.

-Dlaczego jest tak a nie inaczej – odparłem. – Dlaczego nie ma do kogo złożyć podania o cofnięcie do stadium plemnika...

-No? – dummeryna zaczęła działać; oczy Słonia zamieniły się w żaróweczki i zaczął zmieniać kolory jak kameleon.

*-Bo **Sierżant Pieprzy Klub Samotnych Serc** – odparłem z przekonaniem, przeszukując kieszenie z nadzieją odnalezienia pudełka z kapsułkami Axtinu. – Od początku tak było, a nikt się nie zorientował*

Słoń zaświecił oczami w moją stronę i zmienił kolor z zielonego na czerwony.

-Ty, 39,9 – stwierdził psychologicznie – myślisz akurat wtedy, kiedy nie trzeba. Stąd to wszystko. Wstawaj – klepnął mnie w ramię trójpalczystą łapą gada. – Idziemy.

-Dokąd? – spytałem. – Kurwa, zgubiłem Axtin.

-Właśnie – głos Słonia przeistoczył się w syk grzechotnika. – Musimy zlokalizować Johna Wayne'a. Bo za dłużej niż pół godziny nie widzę naszej przyszłości.

-Tak – szepnąłem (tym razem szarą chmurą). – Sierżancie.

-Nie – potrząsnąłem bohatercko głową. – Nie pójdziemy, dopóki wszystkich nie uwolnię.

-No to szybko – mięśnie twarzy Zoëi były napięte do granic możliwości. – Szybko, bo zwariuję ze strachu.

Popatrzyłem na nią i pomimo tego, że nie chciałem teraz o to pytać, zapytałem:

-Zoëa... Co ci robili?

Popatrzyła na mnie przerażonymi, zeszklonymi w jednej chwili oczami.

...-Sądzisz, że to dobrze, że kupiliśmy kauanzerynę? – przesłałem Słoniowi telepatyczne pytanie.

-Tak, 39,9 – Słoń chwycił mnie za łokieć. – Przeżyjemy 867 i pół życia. Zaraz kupimy w sklepie kolonialnym kawalek Wszechświata i pójdziemy nad morze. Tam chodzą kraby...

-Moje imię – mówiła zduszonym głosem Zoëa – znaczy „krab”.

-Zoëa? Krab? – popatrzyłem na nią; to znaczy na tę jej część, na którą popatrzyłby niemal każdy mężczyzna bez względu na okoliczności – na porośnięty delikatnymi czarnymi włosami wzgórek łonowy. – Wtedy, pierwszego dnia...

-Krab. Zoëa Brachyura – przerwała mi Zoëa. – Słowo „krab” czytane na wspak to „bark”. Sześć dni temu jeden z sanitariuszy, prawie sobowtór Sylvestra Stallone złamał bark. Powiedzieli, że to z pewnością moja wina i wsadzili mnie do karceru. Najpierw przez trzy dni mnie bili, sikali na mnie i gwałcili, ale potem było gorzej... – urwała.

Nie mam pojęcia, ile czasu milczałem. W rachubę wchodzi tylko dwie możliwości – trzysta dwadzieścia osiem lat lub trzy tysięczne sekundy.

-Gorzej? – wydałem z siebie namiastkę głosu.

...-A kruk do niego: nigdy więcej, koleś – relacjonowałem wiersz Słoniowi, który pod wpływem kauanzeryny upodabniał się stopniowo do Sakji Pandity (oprócz twarzy). – Koleżka to, tamto, a kruk na to wszystko: nevermind, zapomnij, stary.

-Znaczy – odezwał się Słoń dziurkami od połamanego wielokrotnie nosa – kruk raczej uważał, że przejebane jest ogólnie.

-Przejebane! – podchwyciłem z chemiczną euforią. – Masz rację, przejebane od atomów do Himalajów!

-No, ale i ten gość pojebany, że słuchał jakiegoś pierdolonego kruka – stwierdził Słoń głosem łudząco podobnym do szumu Adriatyku.

-A ty nigdy nie słuchasz przesłań ptaszków na Ninturamie? – zapytałem Słonia złośliwie, próbując zburzyć jego naturalistyczny choć oparty na chemii chamski światopogląd.

-Ten gość – odezwał się Słoń nie otwierając ust – to by lepiej robił, jakby słuchał własnego ptaka.

-Tak – powiedziałem przeciągle, wypatrując na piasku plaży kraba. – Masz rację. Nie znał jeszcze gipfeliny...

...potem Zoëa powiedziała nagle, że śpieszy się na tramwaj; poszedłem z nią. Chemia niespodziewanie spowodowała, że nie miałem pojęcia, o czym z nią rozmawiać. Zwróciła na to uwagę.

-Co brałeś? – spytała, a ja nie odpowiedziałem, nie pamiętałem już.

W końcu zaczęła sama mówić.

Ma psa, kota, gekona i hoduje rzadkie odmiany roślin. Zaczęła o nich opowiadać; trudno mi się było skupić; zresztą chemicznie niewiele mnie to obchodziło; długo, długo nadawaliśmy na różnych falach – ona na ultrakrótkich, ja na długich. Ona to, ja to, ona to, ja to, a zupełnie to ze sobą nie związane i znudzone sobą – jak Adam i Ewa w cieniu skrzydlatej Lilith. Nie, nie, nie, pomyślałem i ryzykując kolejne stłumienie post-chemicznego libido, powiedziałem:

-To nie żarty. Ja nie żartowałem. Weźmy Verratol.

Popatrzyła na mnie – były dwie możliwości: że chwila ta trwała 6,666 wieku lub 0,0077 tysięcznych sekundy – i powiedziała:

-O.K.

-Señor Golgota! – zawołałem, gdy z mroku kolejnej celi wydostała się dygocząca niewielka postać z podbitymi oczami.

-Señor Heiss? – wychrypiał; jego obwiedzione fioletem oczy przypominały nacięte śliwki węgierki (Jó étvágyat kívánok! Ez nagyon ízlik!), co niewątpliwie utrudniało mu patrzenie. – To pan?

-Owszem – odparłem. – Więc jednak Fünfrank mówił prawdę, że jest pan w karczerze!

-Sechskrank –mruknął Jesus Ernesto Golgota. – On już się nazywa Sechskrank, skurwysyn, koprofag i kłamliwy gnój, to on mnie zakapował.

-A co pan zrobił? – popatrzyłem na Golgotę i w głębi duszy wołałem, żeby mi tego nie mówił. Golgota chrząknął z zakłopotaniem, jego chude pobite ciało jakby skurczyło się jeszcze bardziej.

-Carramba – mruknął. – Przyjechałem do tego zasranego Reinigung, bo miałem być poddany natychmiastowemu leczeniu. Zostałem zlekceważony i stało się...

-Co się stało? – zapytałem, a wszelkie bóstwa mi świadkiem, że nie chciałem zadać tego pytania.

Jesus Ernesto Golgota chrząknął znowu i wyznał:

-Zrobiłem salami z tego małego di Caprio.

-O kurwa – odezwała się Zoëa.

...-O kurwa – odezwała się Zoëa i popatrzyła na mnie oczami jak dwie wirujące runy; najwidoczniej Verratol rozpoczął już swoje działanie. – Jestem kapłanką Kämmen.

Mój mózg zaczął produkować najpierw słowa, potem krótkie zdania, długie, w końcu barwne okresy barokowe; jedynie mój narząd mowy nie nadążał z ich werbalizacją.

-Ja jestem kapłanem Pilvi – odezwałem się. – Chwytam chmury. Ty jesteś kapłanką Kämmen, musisz mi pomóc i to natychmiast.

Twarz Zoëi stała się surowa i nieruchoma jak wyrzeźbiony w białej skale totem złożony z atomów światła.

-Kämmen to nie jest miłosierny bóg – powiedziała nie otwierając ust. – Powinieneś o tym wiedzieć. Ludzie go obrazili i odtąd On ich zwalcza.

-Pilvi nie ma szans w konfrontacji z Kämmen – powiedziałem a wydało mi się, że to w dalszym ciągu mówi Zoëa. – Kämmen może sprawić, że chmur już nie będzie albo, że będą czarne jak palone zwłoki.

-Wszyscy jesteśmy palonymi zwłokami – na moich oczach Zoëa przeistoczyła się w czarną panterę, która niespokojnie zaczęła krzątać po pokoju.

-Jesteśmy palonymi zwłokami z Auschwitz – powtórzyła w języku pantery. – Wydaje nam się tylko, że nasze ciało jest białe a słońce czyni je brązowym. Ra nie żyje.

-Aurinko żyje – powiedziałem, czując że teraz ja przechodzę transformację, którą przed chwilą uległa Zoëa. – Pilvi walczy z Aurinko. Kämmen pokonał Ra, ale to nie znaczy, że pokonał Aurinko. Bez Aurinko nie byłoby Pilvi.

W progu ukazał się gnom z siekierą w dłoni. Jego brodatą twarz wykrzywił złośliwy uśmiech.

-Widzisz go? – zapytałem jeż jako pantera obchodząc Zoëę dookoła.

-To Piru – powiedziała Zoëa. – To mój pomocnik. Ani Zły Jumala, ani Dobry Jumala nie zdążyli go pokonać, chociaż próbują od dwudziestu dwóch milionów lat i dwóch dni.

-Piru – wypowiedziałem to imię, będąc panterą poczułem gniew i dzikość pantery. Wrr... - Piru - wycharczałem. – Wiem o co mu chodzi. On chce, żeby moje feromony zadziałały na ciebie jak na samicę a jednocześnie żebym ja poczuł smród twojej pizdy, ale to będzie tylko twoje złudzenie – ale to złudzenie może zniszczyć wszystko, bo nie poczuje świętego zapachu twojej pizdy – bo twoja pizda jest Świętą Pizdą – a ja muszę poczuć tę świętość, bo...

-Musimy wziąć erwekeinę – powiedziała Zoëa – To nas uratuje. To sprawi, że się w sobie zakochamy. Twój chuj będzie dla mnie Świętym Chujem, a gdy wszystko się uspokoi, pozostanie Miłość. Zdajesz sobie sprawę – spojrzała na mnie fosforyzującymi ślepiami pantery – że ta Miłość będzie wieczna i nic nie będzie w stanie jej przerwać? Decydujesz się? – zapytała.

-Tak – odparłem i popatrzyłem na swoje dłonie – były ludzkie. Kończyło się działanie Verratolu. Sięgnąłem więc po kapsułki erwekeiny.

...-Chcesz? – Słoń podał mi listek z biało-różowymi kapsułkami finturamu.

Wziąłem cztery. Pierdolony John Wayne nie miał przy sobie nic innego. Kazał przyjść jutro, żeby się popisać zastrzelił z kolta jakiegoś przechodnia i pstryknąwszy w kapelusz oddalił się kołyszącym krokiem.

Nieubłagane zbliżał się świt. Szarość powoli spopielala ordynarną wąsatą twarz Słonia.

-Szary piasek, szare morze – szepnąłem. – Szary Wszechświat. Jesteśmy bezbronni.

-Mylisz się, 39,9 – zaprotestował Słoń, zły na to, że po finturamie nie uniósł się w górę ani o mikron. Ja natomiast lewitowałem zaledwie 0,82 cm nad piaskiem.

-Mylisz się – powtórzył to z taką mocą, jakby był na heroinie. – Ja, nie wiadomo co bym wziął, zawsze mam siłę przypierdolić temu, kto na to zasłużył. Zauważ – zmienił temat. – Tyle razy musiałem się napierdalać z alkoholikami. A spójrz- pierdolone państwo roztacza nad nimi opiekę. Najtańszy belt kosztuje 3,70 peelenów, a działka głupiej armutyny – 30.

-To zostań alkoholikiem – powiedziałem, unosząc się na chwiejnych nogach.

Słoń roześmiał się, jakby usłyszał kawał stulecia.

Na pasie mokrego piasku przy brzegu zamajaczył mi bezkształtny kształt.

-Krab! – zawołałem; nie zdołałem się opanować.

Słoń westchnął niebieską parą i poszedł sprawdzić.

-39,9 – powiedział, gdy wrócił. – To rozdeptana meduza. Albo człowiek – dodał po chwili i patrząc na listek finturamu powiedział:

-Ale główniany towar. 39,9, musimy coś skombinować.

...-Kocham cię erwekeinowo – powiedziała Zoëa. – Najmocniej jak można. Będziemy ze sobą na zawsze. Wiesz o tym?

-Wiem – powiedziałem i poczułem, że przybieram postać papugi ary. – Poczekaj chwilę. Zaraz i ja będę ciebie kochał.

-Przeleć mnie – Zoëa była teraz przez krótki moment w swojej nagiej kobiecej postaci. – A jeśli razi cię to słowo, to kochaj mnie. Kochaj.

-O, pan Jörg Traum – powiedziałem otworzywszy kolejne drzwi. – A więc pan istnieje, błękitnospermowcu.

-I tak, i nie – Traum zakrywał wstydliwie dłonią swój purpurowy narząd. – Wie pan, panie Heiss, raz jestem, raz mnie nie ma – w zależności od okoliczności.

-Nie rozumiem.

-Herr Heiss, moje istnienie zależy ściśle od profesora Nebela. – wyjaśniał Traum. – Parszywe to. Profesor Nebel powie – jest sen – jest Jörg, powie – nie ma snu – Jörg odchodzi w próżnię.

-Sny są zawsze – odezwała się Zoëa. – Uciekajmy stąd, bo nie dość, że nas wszystkich z powrotem zamkną w karcerach, to i Heissa spotka taki sam los.

Oczywiście nikomu o tym nie mówiąc (oprócz Tomka – on nic nie brał, nigdy – jemu o tym wspominałem, ale i to rzadko) bardzo chciałem się zakochać, czyli, jak w moim wypadku – potwierdzić siebie.

-Nie ma co się tak miotać – snuł swoje wywody Tomek; te wywody były dla mnie czymś tak dziwnym, że podejrzewałem Tomka, iż to on coś wziął a nie ja – tak, tak, tak chyba jest zawsze, gdy chemia usiłuje odbyć stosunek z naturą. – Miotać – ciągnął – i rozpaczliwie szukać Susan – Tomek na kartce papieru narysował linię prostą. – Ta linia to twoje życie – wyjaśnił i zakrzywił linię. – Spójrz, w ten sposób może zdarzyć się tak, że w pogoni za mrzonkami nie spotkasz swojej prawdziwej miłości – i narysował kropkę w oddaleniu od linii.

Zwalczając opadanie powiek, popatrzyłem na kartkę.

-Czy ta kropka jak fajdnięcie muchy to ma być moja miłość? – zapytałem się głosem 78 – letniego starca. – Kis me tuche, przyjacielu.

Tomek westchnął z ubolewaniem.

-Mogłeś chociaż narysować większą kropkę – dodałem głosem gdzieś zza siebie. – Albo kwiatek, czy coś w tym stylu.

-Brałeś coś – Tomek popatrzył na mnie tymi swoimi nierzeczywistymi oczami.

-To oczywiste – spojrzałem na niego jak na Króla Idiotów. – To oczywiste. To oczywis... Ale tylko armutynę – powiedziałem to w sposób, jakbym się tłumaczył; nienawidziłem tego lecz jestestwo Tomka zawsze obligowało mnie do tego tonu. – Działkę armutyny. To tak, jakbym nic nie brał.

-Ach, tak – Tomek pokiwał głową (**pokiwał głową – absolutne pokiwanie**).

-Ale skąd mogę wiedzieć – zapytałem patrząc na kartkę (wyrwało mi się chemiczne ziewnięcie) – że akurat skręcam z linii swojego życia?

-Posłuchaj mnie uważnie – cierpliwość Tomka, oswojona z większością moich stanów, była doprawdy stalowa. – Wytłumaczę ci to jeszcze raz...

-Tędy – Zoëa wskazała kierunek. – Tam jest tunel. Na końcu tego tunelu kiedyś była krata, dopóki pacjent Dieter Zahn jej nie przegryzł. Jeżeli jej jeszcze nie naprawili, mamy szansę stąd uciec.

-Uciekajmy – zdołała wykrztusić Gudrun Lochstein, jedna z pięciu osób, które uwolniłem (po wewnętrznej stronie jej ud straszyla zakrzepła krew). – Uciekajmy.

Magda otworzyła mi drzwi i przybrała jedną z 386 zbolących min, jakimi dysponowała.

-Jestem na gipfelinie – powiedziałem bez zbędnych wstępów. – Przychodzę do ciebie tylko w jednym celu...lu lu lu.

-Jakim? – zapytała Magda cicho, z góry znając odpowiedź.

-Mam ochotę, tę, tę, tę, nie, to coś więcej – odparłem, rozpinając rozporek. – To nieodparta potrzeba. Ba. Muszę ci się spuścić do buzi. To znaczy ejakulować w twój otwór gębowy.

No i wyciągnąłem swojego nabrzmiałego do granic (jego) możliwości penisa.

-Mam polknąć? – zapytała jak automat Magda.

-Tak – odparłem dysząc. – Wszystko, do ostatniej kropli. Ghdf. Panspermia.

Wszedłem w głęb mieszkania. Magda wsadziła sobie mojego kutasa do ust i zaczęła mocno ssać. Wytrysk miałem momentalnie. Spermy było tyle, że Magda ledwo nadążyła z połykaniem. Cienka perłowa strużka popłynęła po jej brodzie.

Roześmiałem się histerycznie.

-Perły przed wieprze! Zapłodniłem twój żołądek! – zawołałem zapinając spodnie. – Urodzisz żołądkowca! Anteeksi!

Magda, patrząc na mnie zesklonymi oczami, otarła kącik ust. Krótką chwilę rozmazywała spermę w palcach. W końcu oblizwała palce i powiedziała cicho:

-Idź już.

Ciemny i wąski korytarz, w miarę jak posuwaliśmy się jego wilgotno-betonowym torem, wydawał się wydłużać w nieskończoność.

-Nie uda nam się – odezwał się Miloš Prohazka, jeden z tych, których uwolniłem. – Na pewno już naprawili kratę.

-Zamknij się pan – mruknął Traum. – Katastrofista się znalazł.

A niespodziewanie korytarz rozjaśniło niebieskie światło i wszyscy ujrzeliśmy postać profesora Nebła ze złotymi skrzydłami, który na nasz widok uśmiechnął się jak Toshiro Mifune i odezwał się głosem Emila Janningsa:

-Meine Damen und Herren. Witam serdecznie i zapraszam do siebie.

-Tak – odezwał się profesor Nebel głosem Henry’ego Fondy. – Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli.

Profesor Nebel przybrał postać Buddy, przymknął oczy i trwał w nim długo a my wszyscy – Gudrun Lochstein, Jörg Traum, Jesus Ernesto Golgota, Miloš Prohazka, Zoëa i ja – delikatnie mówiąc zdezorientowani, poświęciliśmy ten czas milczeniu, poświęconemu na rozejrzenie się po wnętrzu pomieszczenia, do którego zaprowadził nas profesor. Wnętrze było urządzone w dziwny sposób – jak cała klinika – było połączeniem luksusu i ascezy, lecz nie to głównie zwróciło naszą uwagę.

Na obitych purpurowym aksamitem ścianach wisiały oprawione w zwykłe antyramy portrety: Bundy’ego, ibn Ladena, Gacy’ego, Haarmana, Svedenborga, Skrobota, Mansona, Maniego, Chrystusa, Saddama Hussejna, Pinocheta, Bocassy, Lenny Bruce’a, Stalina, Ginsberga i wielu innych.

-Ciesz się, że zwróciliście państwo uwagę na wiszące portrety – otwartwszy oczy Nebel momentalnie przeobraził się w Moona. – To nam ułatwi porozumienie.

-Ja dziękuję uprzejmie za porozumienie – wyrwał się Prohazka. – Dziękuję za wszystko. Ja chcę stąd wyjść.

Golgota spiorunował go wzrokiem (na ile to było możliwe, wzięwszy pod uwagę wątpliwą w świetle naukowym umiejętność wypuszczania z narządu wzroku piorunów oraz śliwkowy stan oczu Jesusa Ernesto).

-Zamknij się, Pepiku – syknął. – Chcesz, żeby cię jeszcze raz wyruchali w dupę..? Lubisz to..?

-Spierdalaj – syknął Prohazka. – Tchórze.

Profesor Nebel, oczywiście słysząc to wszystko, roześmiał się jak Anthony Quinn w roli Greka Zorby i odezwał się głosem Jana Pawła II:

-Ależ nie musicie się państwo niczego obawiać – rozłożył ręce w geście rabbiego Barucha z Belz. – Wszystko, co złe, już minęło. To przeszłość. To wszystko już za wami – i, jak to już raz uczynił, zmienił swoją fizyczność w fizyczność Sakji Pandity i wydekłamał (tajemniczym sposobem jednocześnie po tybetańsku, niemiecku, fińsku i węgiersku):

*-Wszystkiego objąć i pojąć nie sposób,
gdy rozum ciasny masz, choć i głęboki;
nikt nie usłyszy dźwięków ani głosów
choćby najbardziej przenikliwym okiem.*

-On ma pierdolca – szepnął ledwo dosłyszalnie Prohazka unikając wzroku Golgoty (piorun).

Postanowiłem jako jedyny, który nie siedział w karcerze, odezwać się, chociaż lęk empatycznie przejęty od pozostałej piątki więźniów szarpał moje i tak dostatecznie zszarpane nerwy:

-Profesorze – nie wiem jak to się stało ale mój głos nie drżał. – Czterowiersz Pandity nie załatwi sprawy. Wszyscy chcemy wiedzieć o co chodzi i co z nami będzie.

Nebel popatrzył na mnie oczami Klausa Kinskiego.

-Tak właśnie przypuszczałem, panie Heiss, że to pan zabierze głos w imieniu reszty państwa – i jak sądzę, żeby nas uspokoić, zmienił postać na Johna Kennedy’ego. – W końcu to pan jako jedyny nie spędził czasu w karcerze. A co was czeka? – uśmiechnął się jak Humphrey Bogart. – Czeką was nagroda.

-Kara, która was spotkała – mówił prof. Nebel (Sai-Baba) – miała na celu stworzenie w państwa umysłach pewnego odruchu pomagającego pojąć dobrodziejstwo nagrody. Łatwo jest karać za zbrodnie – czy jednak ktoś pomyślał o ich nagradzaniu w imię paradoksalnej kuracji penitencjarnym miłosierdziem?...

-Nie wiem – odezwał się Prohazka. – Ja nie chcę żadnej od pana nagrody. Ja chcę stąd wyjść.

-Nie wyjdzie pan, dopóki nie doświadczy pan zadośćuczynienia w postaci rozkoszy – powiedział profesor Nebel jako profesor Nebel (!). – Gdyby tak się nie stało, reputacja mojej renomowanej kliniki mogłaby poważnie ucierpieć.

Prof. Nebel popatrzył na mnie oczami Tyrannosaurusa.

-Hm, jedynie z panem Heissem jest pewien problem.

Słabość w rękach spowodowana nadużywaniem armutyny nie powstrzymała mnie przed nauką gry na instrumentach muzycznych. Kolejny instrument był połączeniem elektrycznej harfy, werbla i Mutaponu.

Na jednej z sesji Wysoki wyciągnął ampulki z kraftgeistyną i uśmiechając się gipfelinowo, powiedział:

-Smacznego – i dodał. – To będzie Muzyka Wszechczasów.

Wstrzyknął sobie w kutasa (tylko tam nie miał zrostów) trzy działki kraftgeistyny i chwycił swój instrument. Było to osobliwe połączenie dzieł zebranych Russela, zwiniętego w rulon kilimu przedstawiającego faceta jedzącego gówna, czajnika (narodowego instrumentu

Eskimosów – ci to dopiero mają pierdolca, pijane gównem z ulic Kopenhagi) z dorobionymi do tego wszystkiego siedmioma strunami. I rozpoczął.

Rozpoczął od kilku miękkich akordów. Potem ledwo dotykał strun. Muskał je opuszkami palców. Ostatni w ten sposób dźwięk przedłużył. Delikatne a zarazem przenikliwe dźwięki wydawały się wypełzać ze wszystkich stron pustki; napęły duszne powietrze. Potem Wysoki chwycił zamontowaną nie wiadomo jakim cudem wajchę i dźwięk zaczął falować, raz szybciej, raz wolniej. I znowu – znowu – raz wolniej, raz szybciej. Niespodziewanie (choć w jakiś sposób spodziewanie) znowu zabrzmiały pełne akordy, coraz mocniejsze i coraz bardziej zdecydowane. Ich miarowy rytm hipnotyzował. Gdy Wysoki urwał i zakończył grę podciągnięciem najcieńszej struny i kopnięciem w kilim (gość jedzący gównem pisał atonalnie), w naelektryzowanym powietrzu zawisła Nieskończoność a potem absolutna cisza.

Wysoki uśmiechnął się uniósł wzrok. Miał kocie oczy.

-Udało mi się – powiedział trochę zaskoczony, bardziej zadowolony.

Mnie się nie udawało. Ja mam słuch absolutny a Wysoki nie miał go w ogóle. Stroił swój instrument, brzuchem wyczuwając rezonansy strun...

-Chodzi mi o to – powiedział profesor Nebel pod postacią Pilata – że pan Heiss nie przeszedł etapu czyśca.

-A co? – odezwał się beczelny Prohazka. – Co, ty bóg jesteś, czy co...?

Byłem w tej chwili tak sparaliżowany lękiem, że nie mogłem nawet przekazać Prohazce spojrzenia wdzięczności.

-Ach, panie Milošu – profesor Nebel popatrzył na niego spojrzeniem Mansona. – Na pana miejscu bym milczał.

I mówił dalej:

-Ewentualnie mógłbym w przypadku pana Heissa pominąć etap czyśćca. W tym jednak wypadku musiałbym zastosować nieodzowną procedurę. Musicie państwo wymienić głośno wszystkie swoje zbrodnie.

-Nie! – krzyknęła Gudrun Lochstein, lecz Golgota uciszył ją słowami:

-Morda w kubel, głupia suko – i pociągnął ją mocno za włosy.

-Aj – jęknęła pani Lochstein.

-To procedura nie do ominięcia – powiedział Nebel ze stanowczością Napoleona Bonaparte. – Inaczej reputacja mojej renomowanej kliniki mogłaby poważnie ucierpieć.

-Zaczniemy więc od najbardziej spektakularnej postaci w naszym gronie – w tym momencie profesor Nebel był Homerem. – Jest nią señor Jesus Ernesto Golgota.

-Wiedziałem – mruknął Golgota.

-Albo... – prof. Nebel zawiesił głos z maestrią Lawrence’a Oliviera – ...zaczniemy od damy – spojrzał na zaleknioną Gudrun Lochstein. – Panie mają pierwszeństwo. Nawet przed mężczyznami.

-Nie... – jęknęła pani Lochstein.

-Pani Lochstein – polecił Nebel nie znoszącym sprzeciwu głosem dr Mengele. – Proszę się tu położyć – wskazał mahoniowy stolik. – Proszę się położyć i jak tylko pani potrafi najszerszej rozłożyć nogi.

Gudrun Lochstein jak automat spełniła polecenie profesora; Nebel natomiast, przeobraziwszy się w Charliego Chaplina, zacisnął dłoń w pięść, po czym bez najmniejszego oporu, jednym pchnięciem wsunął ją do pochwy pani Lochstein. Jakiś czas wykonywał pięścią ruchy kopulacyjne; Gudrun Lochstein nie wydała z siebie żadnego dźwięku, jeno słozy z ócz jej poleciały.

Profesor wysunął pięść.

-Voila! – zawołał czyniąc kilka tanecznych kroków á la John Travolta, po czym momentalnie spowaźniał, jego twarz upodobniła się do zasępionego oblicza Marlona Brando i powiedział:

-To był tylko taki mały pokaz. Wierzcie mi państwo, że pochwa pani Lochstein pomieściłaby moją głowę, nie chciałem jednak państwa zbytnio szokować. Pani Lochstein – zwrócił się do leżącej kobiety. – Czy mógłbym się dowiedzieć, ile dzieci pani urodziła?

Gudrun Lochstein, zamieniona w skalę przerażenia, tak jak to skały mają w zwyczaju – milczała. Twarz profesora Nebela upodobniła się do oblicza Haarmana (Golgota popatrzył na profesora z żywym zainteresowaniem).

-Proszę odpowiedzieć.

-Dziewiętnaścioro – pisnęła Gudrun Lochstein głosem zdeptanej myszy.

-A ile z nich żyje? – pytał szczekliwie Nebel-Haarman.

-Żadne – mysz w głosie pani Lochstein była w agonii.

-Jak to się stało?

-Uduśiłam je wszystkie poduszką i wrzuciłam do gnojówki – po wypowiedzeniu przez Gudrun Lochstein ostatniego słowa mysz zdechła.

-Pani już dziękujemy – odezwał się profesor Nebel głosem Jezusa Chrystusa.

Popatrzył na Golgotę.

-Proszę – rzekł łagodnie. – Teraz pan.

Mieszanka Horenamu, kertoaniny i Nauramu uczyniła z nas nad ranem parę starych dobrych małżonków przepadających za swoim pozbawionym namiętności towarzystwem.

Siedząc naprzeciw siebie w bujanych fotelach wyglądających jak zrobione z powyginanych secesyjnie świetlówek, obydwójce w znakomitych nastrojach prowadziliśmy leniwą konwersację w języku rosyjskim, gdyż w sposób naturalny, bez porozumienia się ze sobą język ten, pełen miękkich fonemów, wydał nam się najbardziej w owej chwili odpowiednim.

-Marcinie – słowa Zoëi snuły się łagodnym strumieniem ciepła. – Jakaż to niewypowiedziana radość mieć erwekeinową pewność subtelności i spokoju, w jakim upłynie życie nasze, gdy to zwykła codzienność z dnia na dzień nabierać będzie dla nas coraz bardziej zadziwiających kolorów i niespodzianek, które przedtem prozą życia nazwalibyśmy.

-Zoëo – rzekłem, a w dłoni mojej wyrosła mahoniowa fajka buchająca kłębamii aromatycznego dymu. – Szczęściem jest pewność, że harmonijnego związku dusz naszych nie jest w stanie zakłócić żadne gipfelinowe zauroczenie. Ogarnia mnie glukeinowa fala szczęścia, gdy impulsy mojego mózgu utwierdzają mnie w niepojętej pewności tej myśli.

-Czy może, Marcinie, nie budzi to w tobie melancholii i podskórnie faulenzerałowego smutku przed przecuciem rutyny gasnących uczuć?

-Jestem pełen mutaponowej pewności – odparłem wypuszczając dowcipnie odbytem dym, który w powietrzu układał się w cyryliczne słowa potwierdzające moją mowę – że nawet

entfernenon nie zakłóci związku naszych w platoński sposób na powrót połączonych dusz. Czeką nas weltallonowa przyszłość, a gdy światło zacznie przygasać, odejdziemy z cichą godnością valinpitamatonu.

-Przypadłość pana Golgoty już znamy – powiedział prof. Nebel kropka w kropkę podobny do Ronalda Reagana z pierwszymi objawami Alzheimera. – Och, chyba zaczęłam unikać wędlin – roześmiał się metalicznym rechotem Phila Collinsa.

-Bardzo dowcipne – mruknął Jesus Ernesto Golgota kompletnie zdruzgotany tym, co przed chwilą sam wyznał.

-Księżę proboszczu – ponownie pod postacią Homera Nebel zwrócił się do Miloša Prohazki. – Prosimy.

-Pan jest księdzem? – zdziwiła się Zoëa. – Nie widziałam jeszcze księdza z tak wielkim kutasem – dodała spoglądając na jego (dopiero teraz to zauważyłam – w ciągłej erekcji) narząd płciowy.

-Jakimś cudem Opatrzności udało mi się przejść przez sito komisji weryfikacyjnej Seminarium Duchownego w Kabulu – powiedział Prohazka, w widoczny sposób mile podbechtany uwagą Zoëi. – Na egzaminie pisemnym krążył pewien stary klecha i mierzył linijką (dwustronną, centymetrową i calową) kandydatom członki. Kto miał powyżej 13 cm, momentalnie był wypraszany z sali i poddany ekskomunice. Gdy przyszło do mnie, staremu się popierdoliło i zmierzył mi kutasa w calach. A że mam akurat 12,5 cala, zostałam księdzem.

-Do rzeczy, proszę księdza – ponaglił Prohazkę Nebel w postaci zniecierpliwionego Morgana Freemana.

-Co tu dużo gadać – ksiądz Miloš wzruszył ramionami. – Po latach teologicznych rozważań i eksperymentów odkryłem, że imię Jezus czytane na wspak brzmi Suzy; olśniony tym odkryciem napisałem nową wersję Biblii. Lecz gdy chciałem opublikować to dzieło, zostałem wyklęty a moją Neobiblią zainteresowało się jedynie Kryptoekumeniczno – Koprofagiczne Wydawnictwo Pornocentryczne.

Z goryczą popatrzył po wszystkich zebranych w gabinecie.

-Ot, i cała moja winą – mruknął. – W dniu, kiedy już miałem założyć własny Suzeanistyczny Kościół Różowosutkowców Sromowych, zostałem pod groźbą kastracji wysłany przez papieża na przymusowe leczenie. Tutaj.

-O kurwa – po raz trzeci powiedziała Zoëa.

Niestety, w ciągu jednej doby (za sprawą machinacji finansowo-okultystycznych Johna Wayne'a), cena glukeiny podskoczyła o 1003,82 %, momentalnie więc zostałem wypchnięty anty-grawitacją post-chemiczną z podziemia na wysokość 153m 32cm, po czym miałem miękkie lądowanie – lecz tylko pozornie – gdyż spadłem na batut rozłożony specjalnie dla mnie i uczyniwszy poczwórne salto zostałem schwytyany przez lasso przez agentów Literackiej Agencji Detektywistycznej.

-Co ty sobie wyobrażasz, gnojku – warknął jeden z zakapturzonych ku-klux-klanowo agentów, gdy zostałem przywiązany przez nich do krzesła w wilgotnej ciemnicy. – Że możesz pisać za frajer? To kosztuje, karaluchu niewdzięczny.

Na moje szczęście, będąc jeszcze w powietrzu, połknąłem odruchowo cztery kapsułki Mutaponu, i gdy zaczął działać – rycząc jak ranny lew – rozerwałem okowy i poturbowawszy

agentów oraz kopniakiem otworzywszy stalowe drzwi – z godnością trwającą jeszcze 0,42 godziny, ruszyłem przed siebie...

-Tak, jestem winny – mamrotał Jörg Traum. – Ośmielam się być, gdy pan profesor nakazuje mi, żeby mnie nie było. Nie dość na tym- urządzam na własną rękę urządzam widowiska i imprezy sennie.

-Dziękuję, Traum – powiedział Nebel oschłym tonem Jeana Gabina i gdy pstryknął palcami, Traum zniknął.

-Zaraz, zaraz – zaprotestował ksiądz Prohazka. – Pan go znowu ukarał. To nie fair.

Profesor Nebel (cóż za perfidia) upodobniwszy się do Suzy Chrystus, popatrzył na Prohazkę łagodnymi oczami łani i odezwał się śpiewnie:

-Odesłanie człowieka w niebyt nie jest karą. A już na pewno nie dla Jörga Trauma, który człowiekiem nie jest.

-A kim?... – bąknął kompletnie zbity z tropu ksiądz Prohazka.

-Jakby to panu powiedzieć – Nebel-Suzy Chrystus zastanawiał(a) się przez chwilę. – Traum jest czymś w rodzaju zdziczałego Golema ulepionego z odchodów wielu ciał astralnych.

Huczną noc przełomu wieków spędziłem (wg powiedzenia Żuczka) w granicach województwa, które na skutek niezbyt fortunnego zmieszania sotaniny, Menneisysu z Mutaponem niebezpiecznie upodobniło się do Generalnej Guberni.

W jakiejś mrocznej pracowni rzeźbiarskiej strąciłem z postumentu gipsową głowę Adolfa Hüttlera. Zbiła się na 77 kawałków.

-Halt! – usłyszałem, lecz pociągnięty za sobą przez Elvisa Układ Nerwowy, uciekłem z nim przez pole brukwi, goniony wystrzałami z panzerfaustów.

Później o mało nie zamarzliśmy na jakimś pustkowiu. Dygoczący z przeraźliwego zimna Elvis Układ Nerwowy odgoniwszy kopniakiem psa szczekającego dupą podszedł do tablicy informacyjnej, przeczytał:

-WYPIZDÓW – i westchnął, lecz akurat w tym momencie z mroźnej mgły wyjechał majestatyczny piętrowy londyński autobus. Za kierownicą siedział święty Mikołaj.

-Let's go! – zawołał. – Ho, ho, ho!

Po zażyciu ogromnej dawki specjalnie na tę okazję zakupionego Senkenolu w ciągu ułamka sekundy znaleźliśmy się w ogromnej, pełnej ludzi hali, której ściany były tak oddalone od siebie, że niknęły na horyzoncie rozświetlonym zorzą polarną.

-Paljonko kello on? – zapytał Elvis szeptem, który bez trudu przedarł się przez łomot mechanicznej muzyki.

Powąchałem zegarek i odparłem:

-Varttia vaille kaksitoista.

-Olen väsynyt – szepnął słabo Elvis Układ Nerwowy i osunął się miękko na szklaną podłogę. Gdy pochylałem się, żeby pomóc mu wstać, poczułem na ramieniu delikatne dotknięcie. Odwróciłem się.

-Terve – powiedziała Zoëa. – Voisitteko erwekeina, minun sydän.

Podąłem Zoëi kapsułkę.

-Olkaa hyvä – powiedziałem z uśmiechem. – Hyvää matkaa.

-Rakastaa sinun – powiedziała Zoëa. – Kocham cię.

W tym momencie skończył się wiek.

13. GÓWNO PRAWDA

Podczas gdy profesor Nebel prowadził z suzeanistą Prohazką ożywioną dysputę religijną, ja z Zoëą zaczęliśmy porozumiewać się językiem tików nerwowych, którego nauczyliśmy się niegdyś podczas naszych ekstatycznych seansów tarkoitantinowo-kraftgeistycznych.

„Nie ufam mu – wytikalem. – Coś mi tu nie gra. Nie wiem za bardzo co, ale zdecydowanie nie ufam mu.”

„Słusznie – wytikala Zoëa. – On chce nas zabić.”

„Dlaczego?” – wytikalem przerażony.

„Posłuchaj mnie – tikala Zoëa. – Historia ze złamanym barkiem Stallone’a to był tylko pretekst. Przed chwilą to zrozumiałam.”

„To znaczy...?” – zatikalem.

„Krab – czyli to, co oznacza moje imię – wytikiwała Zoëa – to Mgławica w konstelacji Byka. Jest pozostałością po gwiazdzie supernowej, zaobserwowanej przez Chińczyków w 1504 roku. Cały czas się rozszerza. Teraz słuchaj uważnie: Nebel znaczy mgła, Byk – zodiakalnie czas pomiędzy 21.04 a 21.06., a teraz mamy właśnie maj; $1504 - 1+5+0+4=10$; $1+0=1$, czyli to oznacza mnie jedną...”

„A Chińczycy?” – zatikalem.

„Nebel nienawidzi Chińczyków – odtikala Zoëa. – Jego ojczym sadysta miał na nazwisko Reis. Nebel chce wypowiedzieć wojnę Chinom. Za jej początek uważa zamordowanie mnie. Myślę, że w słuszności jego racji utwierdza go jeszcze fakt, że Mgławica Kraba przez cały czas się rozszerza – tak jak przez cały czas, z roku na rok przybywa Chińczyków.”

„Chce zamordować ciebie – wytikalem. – A co chce zrobić z resztą?”

„Przecież nie zostawi świadków – wytikala Zoëa. – Zginiemy wszyscy.”

-Jaki Golem!? – wykrzykiwał Suzeanistyczny Ksiądz Prohazka. – Pochodzę z Pragi i o golemach wiem wszystko! Rozumie pan? Wszystko!

Profesor Nebel, widząc że sprytna transformacja w Suzy Chrystus nie pomaga okiełznać temperamentu Prohazki, momentalnie zmienił postać w Alesteira Crowleya o wzmożonej w 38% charyzmie.

-Tak, panie Prohazka – popatrzył na niego stalowymi, pozbawionymi człowieczeństwa oczami. – Traum jest Golemem, jedynie pański ciasny umysł nie jest w stanie pojąć, że nie jest on ulepiony z gliny, a ożywił go wsadzony w usta bilet do Reinigung.

-Golem jest obrońcą ludu wybranego !!! – darł się niebezpiecznie czerwony na twarzy Miloš Prohazka.

-Lud wybrany to pacjenci mojej kliniki – odparł Nebel-Crowley, który niepokojąco niepokojąco zaczął przejawiać cechy pederastyczno-szaleńczego emploi Niżyńskiego. – Tyle, że Traum, jak już ci mówiłem, marny Pepiku, zbłądził- lecz jego błąd jest niczym w porównaniu z błędem pizdy twojej matki (a raczej maciory), która przyjęła chuja twojego ojca i to doprowadziło do żaloby narodzin twojego żalosego jestestwa!

-Ty pierdolony szwabie!... – wydyszał Prohazka łapiąc się za serce.

-Ty chyba nie jesteś Czechem – Nebel uśmiechnął się mało zabawnym uśmiechem Klause Marii Brandauera. – Tyle lat lizaliście nam dupy, a ty co? Jaki z ciebie patriota?... – wyciągnął z kieszeni kitla termometr i rzucił go w kąt gabinetu. – Aport! – krzyknął.

Niestety, Prohazka zaaportował.

„Co robić? – zatikałem do Zoëi. – Przecież żeby zapobiec temu, jest jeden sposób – zabić jego. Ja jednak rzadko zabijam ludzi i nie mam w tym doświadczenia.”

„Mam jeszcze inne podejrzenia – wytikała Zoëa. – Już ci o nich mówiłam, jeśli pamiętasz.”

„Jakie? – zatikałem.

„Takie, że to nie jest profesor Nebel i nie trzeba go będzie koniecznie zabijać – wytikała Zoëa. – To najprawdopodobniej jest XP-666 albo John Wayne.”

„Kuinka kauan se kestää...? – wytikałem słabo na dźwięk tych dwu ksyw, po czym...

...po czym profesor Nebel popatrzył z cynicznym grymasem twarzy Iggy Popa na toczącego zawałowo-epileptyczną pianę Prohazkę i powiedział:

-O.K. Nie wysilajcie się. Znam język tikowy. Tak, to ja. Wiecie kim jestem. Więc jako zadośćuczynienie za cierpienia przeszłe i przyszłe mam dla was wszystkich nagrodę: multinarkotyk wszechczasów – Myrkkol. Musicie wziąć go wszyscy – wówczas doświadczycie rozkoszy nieznanej Ziemskim Dzieciom.

Niestety (dla niego) XP-666 na nasze (Zoëi i moje) zdeterminowane: „spierdalaj” nie potrafił do końca utrzymać postaci profesora Nebla w żadnym z jego image’ów i warknąwszy:

-Jeszcze was, kurwa, dostanę – zniknął in vacuo (albo gdzie indziej).

Zniknął. Lecz...

14. RAKKAUS EXPRESS

Lecz wraz ze zniknięciem XP-666 nastąpił powrót do punktu wyjścia (na szczęście bez następującego na ogół w takich przypadkach wyzerowania pamięci) i oto ponownie stałem w śmierdzącym kombinezonie przed pancernymi drzwiami karceru.

-Już otwieram – zawołałem cicho i nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się z przeraźliwym zgrzytem. Za drzwiami stał Aki Jumala – Mika Paholainen i uśmiechał się łagodnie.

-Tak ogólnie, nie – wyznałem po wzięciu pięciu kapsulek Verratolu – ogólnie i właściwie, wiesz, to straszliwie się nudzę. Marzę o miłości, cokolwiek by to znaczyło.

Słoń pokiwał głową z wyższością Marcholta nad Salomonem lub jeża nad szczotką do włosów.

-Ty, 39,9, nudzisz się bo w chujowym mieście żyjesz – oznajmił. – Un as ton iemia lbyšča sunanu dę. Cos ięta kgap iszty mini ewie rzysz, 39,9.

-Wierzę – westchnąłem obłoczkiem o nieprzyjemnym kolorze trupich uszu. – Jebem ti dušu, wierzę. Porca dei. Kurwa.

-Bo co się tyczy tej, jak to ty nazwałeś, miłości, cokolwiek by to znaczyło – zaczął opowiadać, uprzednio ukradkiem wstrzyknąwszy sobie trzy centymetry sześciennie kertoaniny; widząc to, ukradkiem połknąłem cztery kapsułki Horenamu. – Wczoraj, napierdolony od stóp do głów gipfeliną, stoję na przystanku tramwajowym z kurwą, wydaje mi się, że to nie tramwaje jeżdżą a helikoptery – i cap ją za pizdę. A tu mój ojczym wychodzi z helikoptera; obciach, ale skurwiel udaje dobrego, uosobienie taktu i tolerancji, i udał, że niby mnie nie zna. Skurwiel bo skurwiel, ale w porządku, bo gliniarz, a żadnego syfu z dragami mi nie zrobił jeszcze. A ostatnio brałem Axtin z takim jednym i z jego laską. On też gada – no, jak to tam... a, hipster tak jak ty...

-Ale ja... – usiłowałem sprostować.

-No dobra, dobra, nieważne – ciągnął niecierpliwie Słoń. – On wziął jakiś gówniany, trefny Entfernenon i leży jak długi. Ocknął się, a jego laska mi na chuju lata. I wiesz co on powiedział...?

-Co?

-, „Sylwia, co ty robisz!?”

-Ciekawe. Po Entfernenonie...?

-No. A jak opowiadałem to temu Tomkowi, wiesz, to on śmiał się z tego jak z najlepszego kawału...

-A propos – przerwałem Słoniowi sennie. – Znam świetny kawał. Jeden facet chciał kupić nowy samochód. Kupił i okazało się, że kupił starego grata.

-Super. Rozumiesz, 39,9, on śmiał się, bo mi nie wierzył. On to jest zupełnie, kurwa, inny świat.

-Tak. Inny – przyznałem i dodałem z zaskoczeniem, które mnie samego zaskoczyło. – O nie bierze. Nic.

-Właśnie – Słoń sięgnął po Axtin. – On żyje pod kloszem i nie pada na niego gówno. To idiota.

Na widok fińskiego albinosa uśmiechnąłem się ze zrezygnowaniem i z równym zrezygnowaniem machnąłem ręką.

-Terve – rzuciłem. – Cześć, Paholainen. Ty i tak nic nie rozumiesz, więc cię tylko wypuszczę. A ja po fińsku mówię tylko, gdy jestem na czymś.

-Obawiam się, że zaszła pomyłka – odezwał się Fin. – Nie nazywam się Paholainen. Jestem Aki Jumala i rozumiem pana znakomicie.

-No tak – odezwałem się po chwili potrzebnej mi na miejsza o to, co. – Pan mnie rozumie, ale za to ja nie rozumiem nic.

-Czego pan nie rozumie? – zapytał Jumala; śnieżnobiała barwa jego ciała czyniła go podobnym do greckich posągów jak również do greckiego sera feta. – Nazywam się Aki Jumala, zostałem zamknięty w karcerze, a pan mnie z niego uwolnił.

Przyjrzałem mu się uważnie.

-Nie bili pana – zauważyłem.

-Na razie nie. Na razie się nie ośmielili – odparł Jumala.

-Dlaczego pana tu zamknęli? – zapytałem.

Aki Jumala popatrzył na mnie przenikliwie czerwonymi oczami.

-Nie domyśla się pan?

Agnus Dei westchnął ciężko, jednocześnie wypuszczając uszami dwa różowe obłoczki.

-Nie wiem sam, po co dałem się namówić na Nauram – jego twarz była roześmiana, tylko oczy były smutne jak pizda matki Teresy. – Nie jestem w nastroju.

-Szidzuram – powiedziałem śmiejąc się tubalnie; zorientowałem się, że mówię od końca, poprawiłem się. – Marudzisz. Po to właśnie wziąłeś Nauram, żeby ze smutnego buldoga przeobrazić się w wesołego kundelka.

-Nie, nie – Agnus Dei machnął chudą jak rozciągnięty byczy penis ręką. – Naprawdę. Kiepsko się czuję. Chyba muszę iść na odtrucie.

-Bzdura – rechotałem. – Zaraz lepiej się poczujesz. Jakby co, mam przy sobie jeszcze Mutapon.

-Nie – Agnus Dei dostał drgawek. – Muszę się odtruc – powtórzył, lecz zaraz powiedział. – Daj cztery.

Podąłem mu cztery kapsułki. Przedtem sam wziąłem trzy i przyjrzałem się Agnusowi Dei. Był koloru popiołu z Chesterfieldów – nie było więc z nim aż tak źle. Kiedy Agnus Dei był koloru popiołu z Białomorów, był to krytyczny moment, w którym powinien on iść na odtrucie.

-Co cię tak naszło? – zapytał Agnus Dei tym swoim głosem, który już w Mezozoiku upodobił się do pierdzenia trzmiela.

-Papierosa? – wyciągnąłem z kieszeni złotej marynarki paczkę Chesterfieldów.

-Nie – Agnus Dei pokręcił porośniętą szarą wełną głową. – Po Nauramie nadymam się papierosem jak żaba. Raz o mało co nie pękłem. Co cię naszło? – powtórzył. – Przychodzisz, każesz brać...

Spojrzałem na niego z mutaponową dumą i nauramowo-glukeinowym poczuciem szczęścia.

-Agnus – powiedziałem czując jak rosną mi skrzydła (to dziwne uczucie pomieszania bólu i podniecenia). – Jestem zakochany erwekeinowo.

-Aha – wybuchył Agnus Dei a jego oblicze niepokojąco zaczynało nabierać barwy popiołu z Extra Mocnych. – Ja też się raz zakochałem. Na halucynogenach. I wiesz co?

-Co?

-Kiedy mi przeszedł młyn, moja miłość zniknęła – powiedział Agnus Dei. – Szukam jej do tej pory – dodał.

-Niestety – powiedział Jumala. – To tylko kwestia czasu.

-Co jest kwestią czasu? – zapytałem, niespokojnie rozglądając się na boki. – Lepiej stąd zwiewajmy.

-Nie ma pośpiechu – Jumala wzruszył alabastrowymi ramionami. – Panu nic nie grozi a mnie złapią, jeśli tylko będą chcieli.

-Kto? – zapytałem.

-Oni – Jumala uczynił ogólny gest rękami, po którym niemożliwością było wypytować o szczegóły. Przypomniałem sobie jednak poprzednie pytanie, więc je powtórzyłem:

-Co jest kwestią czasu?

Jumala przymknął oczy i skulił ramiona jak z zimna.

-Właśnie to – odparł ze szczególnym, pełnym akceptacji zrezygnowaniem. – Złapią mnie, jeśli tylko będą chcieli i zrobią to, co zwykle.

-Co takiego? – spojrzałem na jego zamknięte oczy. Otworzył je.

-Nie domyśla się pan?

Poprzez seledynową watę w uszach przebijam się do głosu Łosia, który mówi, mówi, mówi (wziął chyba kilogram kertoaniny), i już, na razie nieśmiało, majstruje przy rozporku.

-Taki na przykład Pepe to zawodowiec – mówi Łoś i ukradkiem wciąga potężnym nosem następne (chyba) pół kilo kertoaniny (ja, z żyłami wypełnionymi pół na pół krwią i valinpitamatonom ukradkiem lykam sześć Horenarów – nie wiem już, czy robię to, bo interesuje mnie to, co Łoś ma do powiedzenia, czy po to żeby nie zdechnąć z nudów, gdyż jego głos staje się czasami relaksacyjną muzyką, a czasami chce się walić głową w ścianę).

-Jaki zawodowiec....? – unoszę kamienne powieki. – I jaki Pepe...?

-Ech, znasz go – odpowiada Łoś nie zadając sobie trudu przypomnienia mi skąd. – To zawodowiec w rwaniu dup. Ostatnio, po jednej, co ja mówię, po pół-działce gipfeliny wyrwał taką jedną, grubą głupią, ale luz. Wyruchał, złazi z niej, wyszczał jej się do ryja. A ona długa, długą chwilę leży i nagle wybucha śmiechem. „Co jest? - pyta Pepe. „W butach! – ona rechocze jak pierdolnięta. – Jak kurwa z pornoli, Pepe, w butach!”. Pepe patrzy i fakt, zdjęła wszystko oprócz kurewsko czerwonych szpilek.

-To ciekawe – mówię zdawkowo, wkurwiony na to, że Horenar jeszcze nie zaczął działać.

-Pepe dobry kumpel – snuje Łoś a ja czuję, że jeśli Horenąm zaraz nie podziała, to się porzygam z nudów. – Raz mi, uważasz, załatwił dupę. Nie to, żebym sam nie mógł sobie załatwić – patrzy na mnie trwożliwym spojrzeniem płochliwego okapi. – Tak, z dobrego serca mi załatwił dupę. Tyle, że fleja była. Wyruchałem, spuściłem się jej do ryja, potem wyszczałem, potem nasrałem pomiędzy cyce. Wytarłem dupę i patrzę, że ona też się ubiera. „Umyłabyś się – mówię. – Nikogo nie ma na mecie.” A ona... – Łoś zawiesił głos i wyciągnął wzwiedzonego chuja (w trakcie opowieści ukradkiem wchłonął dwadzieścia trzy centymetry sześciennę gipfeliny). – ...ona na to rozmazując gówno po cycach: „E tam” – i zakłada białą bluzkę...

-Zabawne – mówię zdawkowo, myśląc: „Albo zwiększyła mi się tolerancja, albo ten pierdolony Horenąm to oszukane gówno pół na pół z prochami z Auschwitz.”

-A najlepsze to było z jedną z takich bliźniaczek – ciągnie niezmordowany Łoś i już bez cienia żenady wali konia. – Udało mi się ją wyrwać na imprezie u Elvisa Układ Nerwowy i zaprowadzić do siłowni. Wiesz gdzie to jest?

-Tak – kiwam głową. – W siłowni.

(Zanim zaczął pakować w nos, Łoś pakował w mięśnie i faszerował się sterydami).

-No to – mówi Łoś wali chwacko konia – w tej siłowni jest materac. Próbuję a ona mnie cap za chuja i mówi: „Nie, Maksymilianie, naprawdę, nie nada.” Wkurwiłem się, aż musiałem wziąć Leponam i pytam: „To po co tu ze mną przyszłaś w takim razie?” A ona, idiotka, nie potrafi odpowiedzieć. Próbuję jeszcze raz i znowu to samo. A ja byłem tak nabuzowany (Leponam nie pomógł), że w końcu pakuję jej chuja w dziób – tu Łoś przyśpieszył trzepanie, jego fallus stał się ciemnofioletowy – i mówię: „Bierz”. Normalnie, 39,9, wyrpiałem ją w ryj. Spuściłem się jej do ryja, wyszczałem itd., patrzę, wszystko splywa jej po brodzie a ona – gęba otwarta i mina głupia jak u papieża. Daję jej litościwie swoją koszulkę i

mówię: „Obetrzyj się.” A ona, słuchasz mnie, na to: „Nie, Maksymilianie, pobrudzę ci koszulkę.”

-Zabawne – mówię zrezygnowany, czując że Horenem już nie zadziała i że jeśli Łoś za chwilę nie skończy, będę zmuszony walić głową w ścianę.

-Kładę się na materacu – na szczęście Łoś już sapie a jego penis wspomagany ręką osiąga apogeum. – Wszystko mam w dupie i tylko biorę Senkenol, żeby jakoś przekimać do rana. A wiesz, co ona? Zamiast pójść w pizdu- nikt jej nie zabraniał- całą noc siedziała przy mnie i nie spała. Rozumiesz, 39,9, całą noc czuwała, żebym jej przypadkiem nie wsadził.

-Zabawne – mamrocze załamany.

-A i tak... – jak przez mgłę widzę kutasa Łosia w tym szczególnym zwierzęcym momencie przed orgazmem. – A i tak – Łoś sapie ciężko – jak się obudziłem, to na śniadanie piła moją spermę i szczochy, żarła moje gówno – pierwsza kropla spermy wytrysnęła z kutasa Łosia. –

Potem wsadzałem jej rękę w pizdę chociaż się wzbierała kazałem jej szczać israć dokryształowego azonu – Łoś tryskał spermą na reprodukcję „Śniadania na trawie”. –

Potem kazałem jej to wszystko zeżrećiii... – zawiesił głos a jego kutas też się zawiesił – ...zeżarła to wyliżała mi dupę...! – ostatnia kropla łosiowej spermy trafiła mnie w oko.

-Uważałbyś – powiedziałem przecierając oko.

Moje paniczno-histeryczne pragnienie miłości doprowadziło do kłopotów związanych z ponownym niezbyt przyjemnym zetknięciem ze Stowarzyszeniem Literatów Tworzących Dzieła a nie Jakies Tam Niepoważne Chujki. Wziąwszy nieopatrznie potężną dawkę entfernenonu straciłem przytomność, a gdy się ocknąłem, wszystkie ściany mieszkania

zapisane były drobnym chybotliwym pismem a mnie ogarnął blady strach, gdyż wiedziałem, że Literacka Agencja Detektywistyczna działa szybciej od Mossadu i że odnalezienie mnie przez nich to tylko kwestia czasu. Na drżących nogach stanąłem przed ścianą i żeby zagłuszyć jakiś strach, zacząłem czytać:

Nr 374. SENNI GENIUSZE EZSUINEG INNES .473 rN

Rok 1914, 1939, 2014, g.14:02

-Ten pociąg nie odjedzie! – darł się krwiścieczerwony na twarzy zawiadowca stacji, z pasją wymachując wszystkimi posiadanymi przez niego rękami.

A ruchliwy kolejarz o krwiścierudych włosach wychodzących spod granatowej czapki przykrywającej wcześniej założony hełm Hermesa, obskakiwał zawiadowcę dookoła, co chwilę łapał go nerwowo za narządy płciowe, z wyrazem napięcia na twarzy z nieudolnie zmytym makijażem szeptał mu coś do ucha, wciskał mu pod pazuchę pęto suchej kiełbasy, bił się w piersi. Zawiadowca natomiast nieubłagane potrząsał okrągłą i pomarszczoną jak jądro głową i wrzeszczał strasznym głosem, w którym drgały basowe struny ostatecznej furii graniczącej z szałem (po którym już tylko krok dzieli od zakupu czarnego konia zaopatrzonego w pianę na pysku).

-Nie! Nie!!! – i wywracał w osobliwy sposób przekrwionymi na seledynowo gałkami ocznymi. – Ten pociąg nie odjedzie, słyszysz!!?

-Ładne rzeczy – mruknął Ferenc i popatrzył na Gyulę posępnie. – Słyszałeś?

Gyula kiwnął ze zniecierpliwieniem głową, gdyż w tej chwili nie interesowało go bynajmniej to, czy pociąg odjedzie, czy też nie, lecz tylko i wyłącznie sama scena ożywionej wymiany zdań pomiędzy osobnikami w granatowych mundurach, którzy z napięcia lewitowali już 2,543765322456 cm nad ziemią. Patrzył na nich, z zachłanną ciekawością chłonąc każde ich słowo i gest, skadował ich w doskonały sposób swoimi wszczepionymi na Ukrainie prostokątnymi tęczówkami i na kiju kupionym w Kijowie starał się jak najbliżej przybliżyć zawieszony na nim mikrofon Telefunkena.

-Będą się bić – szepnął do siebie w zachwycie. – Jak u Peckinpaha. Krew, bezsens, trupy, konwój.

Niestety, Gyula nie zdążył jak najbliżej przybliżyć kijowskiego kija zaudioizowanego, gdyż w sąsiedni peron uderzył pieron, a potem wjechał pociąg, zagłuszając skutecznie słowa mundurowych i dalszego ciągu ich ożywionej werbalizacji gorączkowych myśli można było się jedynie domyślać. A z całą pewnością musiała być ona interesująco przełomowa, skoro już

w następnej dziesięciotysięcznej części sekundy krwiścierudy kolejarz (który w dziwny sposób zgubił hełm Hermesa, lecz granatowa czapka nadal tkwiła na jego głowie) biegł w stronę pociągu, wołając: „Wsiadaćszybkoodjeżdżamy!!!”. Zawiadowca natomiast stał w miejscu z twarzą, której fizyczny rozkład wskazywał na krańcowe wyczerpanie i zmętniałymi oczami bezmyślnie gapił się w dal, gdzie ból, śmierć, smród i rzygowiny.

-Szybkoszybko!!! – wołał rudy, przywołując Ferenca i Gyulę niecierpliwymi ruchami wszystkich rąk, które miał w posiadaniu. – Wsiadajcie!!! Niemachwilidostracenia!!!

Nie namyślając się więc chwycili bagaże (a były wśród nich np. bagaże) i zakażeni przez kolejarza panicznym pośpiechem po chwili już gnali co sił korytarzem pociągu, który tak przypominał korytarz pociągu, że raczej z pewnością był korytarzem pociągu a nie niczym innym. Pociąg sapnął, szarpnął, pierdnął i ruszył.

-W porządeczku – wysapał rudy, zdjął czapkę i zaczął się nią wachlować tak zawzięcie, że krwiste druciki jego gęstej czupryny zaczęły falować jak łany zbóż na letnim wietrze. – Udało się – uśmiechnął się spękanymi wargami, lecz uśmiech w ciągu 0,00694 sek. spęłzył z jego twarzy i rudy westchnął żałośnie całą wątłą piersią. – Aj, panowie, żebyście wy mogli pojąć, jak on – ruchem głowy wskazał okno, za którym coraz szybciej przesuwały się rzygawiczne krajobrazy w borych kolorach – mnie nienawidzi. A ile ja się muszę z nim naużerać za każdym razem, ile na to idzie suchej kielbasy i komiksów z Kaczorem Donaldem, żeby ten chomąt, żeby dał zezwolenie, panowie rozumiecie, zezwolenie na odjazd mojego pociągu, to wiem tylko ja i... no... sam nie wiem!

-A czemuż to? – spytał Ferenc, zerkając bezbarwnymi oczami za okno. Zawiadowca stacji (z rozłożoną już częściowo twarzą) biegł wzdłuż przyśpieszającego pociągu, krzyczał coś niemrawo, zaraz został w tyle.

-Nie mam zielonego ani w jakimkolwiek innym kolorze pojęcia – odparł krwiście-itd. rozeźlonym tonem. – zawziął się na mnie. Od trzydziestu trzech lat powtarza, że mój kurs na tej linii należy zlikwidować, szyny przerobić na żyłki do podcinania żył, że niby nikt wtedy nie jeździ, to po co mój pociąg, ale to tylko pretekst, ja wiem. Próbowalem na spokojnie, mówię: „Antal, przestań. Powiedz, czego ty ode mnie chcesz”. No ale z nim to w ogóle nie można rozmawiać, bo on od razu wrzeszczy, idiota, podobno jak się urodził to też wrzeszczał zamiast jak każdy normalny noworodek śpiewać „umpa umpa la la la”. Co zrobić, kiedy on jest nade mną i moim pociągiem. Ale ja... mówię panom. Gdyby tylko...

-I to tak za każdym razem? – pytał Ferenc.

-Za każdym – odparł ponuro kierownik pociągu. – Ja zdrowie tracę, ja już mam wycięty żołądek i przysadkę mózgową. Ja już nie mogę. Panowie zobaczycie, że ja w końcu nie wytrzymam i zrobię coś strasznego a wtedy...

-O.K., O.K – brutalnie przerwał mu Gyula. – Chcielibyśmy pójść do naszego przedziału. Trochę się zmęczyliśmy, rozumie pan. Chce nam się jeść, pić, srać i pocić.

-Oczywiście – rudy pokiwał skwapliwie głową i rozejrzawszy się wokół, wskazał najbliższe drzwi. – Proszę uprzejmie, oto panów przedział.

g.14.04

Patrzyli na migające za oknem drzewa a pierwszy milczenie przerwał Gyula:

-Ale to, że pociąg jest pusty, to fakt.

-Co...? - Ferenc odkleił wzrok od widoku ściany drzew.

-Rozglądałem się, jak biegliśmy – wyjaśnił Gyula, kopnięciem umieszczając swoją torbę, w której skład wchodziła m.in. torba, na miejsce na torby na półce pod sufitem. – Ty, a po co myśmy tak biegli?

-Może tylko ten wagon jest pusty – powiedział obojętnie Ferenc. – Czasem tak bywa, szczególnie wtedy, gdy w wagonie nie ma ludzi. Wtedy jest pusty zupełnie. Nie zapomniałeś mapy? – zapytał z nagłym niepokojem.

-Nie. Mówię ci, tylko my wsiedliśmy do tego pociągu – powiedział Gyula, siadając naprzeciw Ferencowi. – A se przypomnij, jak ta gruba kasjerka w Wypizdowie się dziwiła jak kupowaliśmy bilety, co to ją musiałem opierdolić, że to ją głównie obchodzi, dokąd...

-Niepotrzebnie – Gyula ziewnął. – A zresztą... Skonany jestem. Krowa się pali.

-Co?

-Za oknem.

g.14.56

-Jak ten pociąg zapierdala, nie wydaje ci się – odezwał się Gyula – Jakbyśmy byli na ajaaninie. Ekspres to jest, czy jak? Intercity? Interbrain?

-Gdzie ekspres – odezwał się Ferenc. – Rychlik.

-No przecież wiem, do śmierdzącej pizdy kurwy matki, tak tylko mówię.

-Aha. Masz może papierosa?

-Mam. Proszę cię uprzejmie.

Jakiś czas palili w milczeniu, aż Ferenc zaczął zerkać na Gyulę, przez 4min. 38sek. coś w sobie thumił, wreszcie jednym zaciągnięciem spalił 2,67545 cm papierosa i powiedział wypuszczając z siebie skondensowany dym w formie szaroburego (aaa...kotki) płynu:

-Tak, tak, tak, tak.. Ja, yes, kyllä, igen. Nie będę udawał, czuję się lekko nieswój.

-A wiesz – odezwał się Gyula z ulgą w głosie, która to ulga w widoczny sposób mu ulżyła. – Nie powiem, żebym ja nie. Bowiem skłamałbym jak parszywy pies śmierdzącego murzyna pedała, będącego parówką obleśnego żyda.

-No to naprawdę milej mi na duszy, przyjacielu bynajmniej. By najmniej kluczyć powiem wprost. Może... by tak... coś zarzucić...? Czy jak...?

-O... tak, tak. Miałem tylko na względzie twój deklarowany powrót do społeczeństwa, hm, hm, i...

-A ja twoją obietnicę zaprzestania wprowadzania w krwiobiegu podejrzanych substancji pochodzenia chemicznego... Ale skoro...

-W końcu...

-Pewnie...

-Co tam...

-Przecież, kurwa...

-No co...

-Bocsánat, szeretnék öntől valamt kérdezni.

-Parancsoljon...?

-Nie śmiałbym podejrzewać, ale czyżbyś być może wykazał się tak dalekowzroczną profetyczną przezornością i w przepastnej otchłani swego bagażu skrywał dajmy na to...

-Ech, nie. Mając na względzie tw...

-Jak przykro, gdyż ja podobnie. Chuj kurwa pizda.

-Klnę swą bezmyślność. Kurwa pizda chuj.

-A ja swoją. Pizda chuj kurwa.

-Ty, ale dilerzy są wszędzie, zgodzisz się chyba ze mną, co?

-Ty masz łeb, he, he, ćpunie łobuzie.

-Poszukajmy wagonu restauracyjnego. Może tam nie być kelnera, ale diler na pewno będzie.

-Idziesz już – beret włóż.

-Szubi-dubi, ameryka.

g.15.38

-Wydaje mi się, że powinniśmy iść w przeciwnym kierunku – odezwał się Ferenc, gdy mijali 3859 pusty przedział. – Ty, miałeś rację. Pusto jak w czymś pustym. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że wsiedliśmy nie do tego pociągu co trzeba.

-Nie denerwuj mnie – powiedział Gyula. – Bo i ja tak zacznę myśleć, a zdublowana fala myślowa nabierze takiej mocy, że stanie się to prawdą, nawet jeśli prawdą nie jest. Poza tym ja mam mapę i...

-Ale wziąłeś ją na pewno? – spytał Ferenc ostrożnie. – Nie zapomniałeś? Wolalbym nie myśleć, co by było, gdyby przez przypadek...

-Przypadek to bardzo dyskusyjna sprawa, poza tym nie pytaj mnie już po raz 58324 o to samo, prosiłbym cię bardzo.

W tym momencie (co za przypadek) zdający się nie mieć końca ciąqqaqg przedziałów urwał się jak dostawa gipfeliny przechwycona przez Wydział Antynarkotykowy im. Szymona Szupnika. Ferenc i Gyula weszli do wagonu restauracyjnego, którego wystrój był pomieszaniem tajwańskiego burdelu, chińskiej palarni opium i kościoła Adwentystów Szerokonosych. Przystanęli i rozejrzeli się po wnętrzu. Było puste pozorną przyczajoną pustką.

-Jak sam widzisz – powiedział Gyula – na razie nie widzisz dilerów. Lokal nie ma raczej wzięcia. Wyznam ci w sekrecie, że nie ma on najlepszej reputacji. Niegdyś miało tu miejsce pewne niezbyt przyjemne zdarzenie.

-Cóż się, na Boga, stało?

-Otóż barman (diler w wolnych chwilach) Lajos, potężny chłop o umysłowości powiedzmy sobie szczerze, raczej infantylnej, zakochał się na amen w pięknej nagiej fordanserce. Ona miała na imię Ilona i była bardzo pięknym mężczyzną po operacji zmiany płci, cóż, kiedy odrzucała wszelkie końskie poniekąd zaloty Lajosa. Więc Lajos, desperat, w nadziei, że poruszy kamienne serce Ilony, na oczach wszystkich nałogowców przeróżnego sortu poderżnął sobie gardło górną częścią stłuczonej butelki po tokaju, czyli tzw. tulipankiem. Nie wziął jednak pod uwagę, biedaczysko, tego, że gdy się wykrwawi na śmierć (co się istotnie stało) cała jego miłość przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

-Cóż za straszna historia! – zawołał Ferenc. – Słuchaj, słuchaj, byłbym zapomniał, a ja tobie też mam coś do opowiedzenia. Otóż, posłuchaj, to zabawne, siedziałem na słupku na

lewym półdupku a prawy półdupek wystawał za słupek. Hop – siup, zmiana dup! Węc z kolei siedziałem na słupku na prawym półdupku a lewy półdupek wystawał za słupek. Hop – siup, zmiana dup! No i ponownie siedziałem na słupku na lewym półdupku a prawy półdupek wystawał za słupek. Hop – siup...!

-Brawo, brawo! – zawołał Gyula, klaszcząc kłaniającemu się Ferencowi, który z radości popuścił na rzadko w spodnie (jego zwieracze były nadwerężone jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy to jego starszy brat Sándor każdą przepustkę z wojska wykorzystywał na chwackie chędożenie go grubym penisem w odbyt). – To pasjonujące. Dupa, podobnie jak nasze coraz bardziej wygłodniałe mózgi, jak każdy mózg, składa się z dwóch połówek! Zrozumiałem dokładnie, co miałeś na myśli. Brawo. Zesrałeś się znowu...?

Ferenc spoważniał. Popatrzył na Gyulę zamyślonym wzrokiem.

-Myślisz, że... – odezwał się wolno, z wysiłkiem. – Myślisz, że czekają tam na nas...?

Gyula skrzywił się.

-Człowieku – warknął. – Co ci znowu łązi po łbie. Idź lepiej umyć dupę.

-Lubię jak jest brudna – mruknął Ferenc.

g.15.39

-Ty, tu też nikogo nie ma – powiedział Ferenc, wychylając się za lśniąca niklem ladę. – Ani kawalka diler. Hop, hop! – zawołał. – Czy tu się diluje? Albo chociaż obsługuje? Bo rozglądniemy się i obsłużymy się sami – dodał, ukradkiem rozglądając się na boki.

Gyula zbliżył się do lady.

-Byleby coś było – mruknął czując narastającą panikę, przejawiającą się u niego nieudolnym stepowaniem. – Musimy przeszukać lokal.

g.15.45

-Tak coś czulem – leżący na podłodze Gyula powoli syczył słowa – że w tych butelkach nie ma wody. Laudanum, stary, stare dobre laudanum, już Whitman to chlał, no i ten... Poe.

-No i Zsigmond Cipő – dodał Ferenc.

-Kto to...? – zapytał Gyula.

-Nie wiem – odparł Ferenc.

g.17.21

-Wiesz, co chciałbym? – spytał Ferenc.

-Wiem.

-No?

-Chciałbym już tam być. Albo spać, może umrzeć. Tak, morze, umrzyj. O!...

-Co?

-Nie, nic, wydawało mi się.

g.17.22

-Nie czuję się wcale lepiej – powiedział Gyula. – Mam wrażenie jakbym był w coś wrabiany, to nieznośne. Przez całe życie nie mogłem pozbyć się wrażenia, że jestem w coś wrabiany, a przypomnieć sobie o tym to dno, koniec.

-Ten las za oknem – powiedział Ferenc. – Przyroda jest brudna i boję się jej. Najbardziej lubię światło elektryczne. Iść nocą poboczem asfaltu, gdy mijają mnie z naprzeciwka samochody i uzuzfh... Przepraszam. Uważasz, że to chore?

-To bardzo romantycznie przytulne. Ale ja jestem tradycjonalistą. Jestem fundamentalistą, panie dziejku.

-Wiesz, opowiedział bym ci coś, czego bym później żałował, ale nie mam niczego takiego.

Usłyszeli hałas, jakby 33 słoniowe kutasy zabębniły o blachę miedzianą. Odwrócili się w jego kierunku. Ujrzeni wysuwający się ponad kontuar płomień rudych kłaków a potem zakłopotaną twarz kolejarza. Popatrzył na nich płochliwie, roześmiał się nerwowo jak Marilyn Monroe, po czym w kilku susach dopadł do stolika, przy którym siedzieli Gyula i Ferenc.

-Ach, więc pan jest dilerem... Właśnie sobie pozwoliliśmy... – Zaczął Gyula niewyraźnie, lecz rudy przerwał mu hałaśliwie, tak, że jego głos długą chwilę obijał się o ściany jak niedorozwinięta piłeczka pingpongowa.

-Ależ nie ma o czym...! – rudy gwałtownie potrząsnął rudą głową, tak rudą, że... – Ten buc Antal przekabacił wszystkich dilerów, kelnerów, kurwy i barmana i tak to... a ja się nie rozdwoję, nie rozstroję, nie rozszószczę, co najwyżej się rozstroję nerwowo wobec zaist... A muszę przecież kierować pociągiem. Proszę, używajcie sobie, panowie, na zdrowie.

Oszklone drzwi otworzyły się i do przedziału weszła płomienście rudowłosa dziewczyna. Nie zatrzymując się i nie patrząc na nikogo, energicznym krokiem przeszła przez burdeliczno-narkotyczny lokal i wyszła drugim wejściem, tym od północy, gdzie brunatne psy rozszarpują zgnile ścierwa orłów, od północy zakłętej w lód 54361987654 lat temu (lub, jak twierdzi Mór Álmatlánság, 3,56 minuty temu).

-Jednak nie jesteśmy tu sami jak trzy palce w dupie – zauważył Ferenc wesolutko. – Chłapnie pan laudanum?... Jeśli nie jest pan narkomanem a alkoholikiem, to znaleźliśmy tu jeszcze tequillę, irańską wódkę i czeski absynt.

-A, to tylko Ilona Zoëa Váll-Fájdalom – powiedział rudy z niewyraźnym uśmiechem. – Jeździ na tej trasie już od lat, właściwie należy już do personelu. Tyle, że za każdym razem, za każdym odjazdem kupuje bilet. Mówię jej: „Ilona, czemu ty...” Owszem, chłapnę, jeśli można kieliszek absyntu, pociąg się chyba nie wykolei.

-To ja ją chyba widziałem – powiedział Gyula. – Jak wsiadała. Ale pomyliła mi się z panem.

-Co takiego...? – mięśnie twarzy rudego spięły się jakby poddano go elektrowstrząsom, przy których asystował sam Lombroso.

-Kolor – wyjaśnił Gyula. – Włosów. Podobny.

-A...Tak – uspokojony kolejarz pokiwał głową; zafalowały włosy koloru trupiej krwi. – Ją w szkole nazywali Siostrą Płomień, a mnie Trupia Krew.

-Trupia Krew? – odezwał się Gyula po wchłonięciu kolejnej dawki laudanum. – Dlaczego Trupia Krew?

-Koledzy twierdzili, że moje włosy mają kolor krwi wyciekającej z ust trupowi, który stał się trupem w wyniku potrącenia przez laotańskiego Fiata 126 L – wyjaśnił rudy ponuro i przysiadł się do stolika. – Koledzy... Ci gnoje zawsze byli złośliwi.

-Chodziliście razem do szkoły? – spytał Ferenc. – Ten pociąg pędzi jak sam skurwysyn, nie uważa pan? Coś pan powinien powiedzieć maszyniście, to niebezpieczne. Można przejechać jeża, kreta albo Miklósa Örega, to niebezpieczne.

-Chodziliśmy – powiedział Trupia Krew, wpatrując się w pusty kieliszek z zielonkawymi zaciekami na ściankach. – Nalejcie, panowie, teraz może tej irańskiej. Myślałem, że w Iranie...

-Przeszli na katolicyzm – powiedział Gyula.

-Nie ma żadnego maszynisty. Antal ich wszystkich, skurwiel, przekabacił. A przez nią to ciągle w szkole siedziałem, bo ona szła siedzieć. Kilka razy, panowie, w jednej klasie.

-Ten Antal – odezwał się Gyula leniwie. – Chuj skurwiału.

-Co racja, to racja – Trupia Krew nerwowo chwycił kieliszek napelniony zielonkawym płynem. – Mówiłem jej: „Ilona, co ty robisz po całych dniach...?”, a ona się tylko śmiała.

-Myślę sobie – Ferenc z chemicznym niepokojem wpatrywał się w okno. – Otworzyć tak, to by nam lby pourywało. A nasze mózgi wysysałyby krawlipe wergonne. To mówi pan, że Antal tych tam.... maszynistów...

-Bez wątpienia – rudy pokiwał głową. – bez wątpienia gwałtowna fej-owa wentylacja. Znikala na cale dni i noce i nikt nie wiedzial, dokad ona chodzi, a ja próbowałem ją śledzić i czułem się jak wszarz. Co głupi jestem, to głupi.

-Pociekło panu po brodzie – zauważył Gyula.

-A teraz w tym pociągu – kolejarz przechylił kieliszek, uszami jego pisnęły słowa „to se ne vrati”. – Jej nikt nie rozumie. Pytałem: „Ilona, po co ty jeździsz, skoro... – zaklinałem. – Wsiądź, daj mi zapomnieć.” – zaklinałem. „Ja muszę jeździć, ona na to, właśnie tym pociągiem. Bo może...”, i w tym miejscu zawsze przerywa. Ja jestem tylko człowiek. „Jak tak dalej, mówię, to nie wiem, dokąd nas ten pociąg doprowadzi.” „Nas? – ona na to i patrzy na mnie z politowaniem. – ty będziesz się miotał, Trupia krew, w tę i z powrotem A ja...” – i tu zawsze przerywa i gna przed siebie korytarzem.

g.19.34

Do wagonu weszła Siostra Płomień, zatrzymała się przy drzwiach, przez długą chwilę obserwowała siedzących przy stoliku. Gyula, Ferenc i Trupia Krew umilkli.

-Ty – odezwała się po jakich czterech minutach, patrząc na rudego. – Ty chyba powinienes być z przodu, co? Ktoś chyba musi kierować tym pociągami, prawda? Powiedz mi, może się mylę.

Kolejarz spojrział na niego ponuro. Bez słowa wstał od stolika, drobnym kroczkiem konia hodowanego w stajniach hrabiego Hohenlohe lawirował pomiędzy innymi stolikami, minął Ilonę Zoëę Väll-Fajdalom i zniknął za drzwiami.

Siostra Płomień podeszła do stolika, przy którym pozostali Gyula z Ferencem, przykucnęła, położyła dłonie jedna na drugą i oparła na nich brodę. Uśmiechając się, patrzyła morskimi jak kradzione szmaragdy oczami to na jednego, to na drugiego.

-Chciałabym – odezwała się – żeby wszystkim było dobrze.

-Wszystkim? – zdumiał się Gyula. – Żydom, murzynom, mężczydom i żyrzynom też? Nie wiesz chyba, co mówisz. Przecież oni mają nieświeże oddechy.

-Co tam. Jeśli wszystkim- to i mnie. Tamci mnie nie interesują. Mówił wam coś o mnie? – zapytała.

-Mówił – odparł Gyula.

-Siostra Płomień mówił. I że pani dwóje miała.

-Tylko tyle?

-No, nie powiedziałbym.

-Pewnie. A ten – spojrzała na Ferenc – dlaczego nic nie mówi? Mużydzi obcięli mu język?

Ferenc spojrzał na nią rozlatanym wzrokiem noworodka.

-Najmocniej panią przepraszam, lecz właśnie zapatrzyłem się w okno, gdyż zastanawiałem się, gdzie my teraz możemy być.

-W pociągu.

-Oczywiście. Ale wszystko słyszałem i mogę powtórzyć. Żydzi, murzyni, mużydzi, żyrzyni, nieświeże oddechy, dobrze, Siostra Płomień, dwóje, pewnie, język.

-Że pani jeździ tędy – wtrącił Gyula. – Kupuje bilety. Napije się pani laudanum? Śledził panią.

-Nie, nie napiję się. Laudanum kojarzy mi się z poparzoną twarzą Nikiego Laudy. Dokąd jedziecie, szlachetni junacy naćpani?

-A, bo wie pani, kolega ma dziewczynę, co nie. Ja też mam dziewczynę. No to my właśnie do tych dziewczyn wedle szczęścia, tak myślę. Egyedül vagyok. Csak anyám van. Chlip.

-No właśnie – wtrącił Ferenc. – I wedle szczęścia tego kazały nam one przyjechać, chuj wie dokąd. Najmocniej przepraszam. Elnézet kérek. Kolega ma mapę. Tak myślę. Dziewczyny przysłały. I chuj.

Ilona ziewnęła.

-Tym pociągiem? Przecież tam nic nie ma.

-Gdzie?

-Nic nie ma – powtórzyła Siostra Płomień kręcąc głową. – Nie ma.

g.19.48

-Przyznacie chyba, że nie jest to całkiem normalne, żeby drzewa za oknem zlewały się w jednolitą brunatną ścianę – słabym głosem odezwał się Ferenc i wstał gwałtownie. – Przepraszam, ale ja muszę wyjść.

Gdy pochylony wprzód oddalił się chwiejnym, lecz panicznie szybkim krokiem, płomiennowłosa Ilona Zoëa zajęła jego miejsce i wyraźnie z czegoś zadowolona (a przecież tyle ludzi codziennie ginie z głodu) zajrzała Gyuli w ukraińsko-filmowe oczy.

-Poszedł rzygać. Przedawkował. Może nawet dostanie zapaści albo umrze – wyjaśnił Gyula.

-Kiedy tu szłam, korytarzem pełzł wąż – powiedziała Siostra Płomień. – Pełzł a potem zniknął. Ty masz mapę? – zapytała z fałszywą obojętnością.

-Igen. No. Ja cię jakbym już znał – powiedział Gyula. – Jakbym cię kiedyś tego.

-Nikt mnie jeszcze nie tego – Ilona uśmiechnęła się zwycięsko. – Daj spojrzeć.

-Nie.

-Daj. Dostaniesz coś.

-Wiesz, nie wspominałem o tym, ale co to tam za mapa. Bazgroły takie. Kredką świecową. Czy szminką. Jak palcem umoczonym w gównie na ścianie kibla w Peszcie.

-Nie szkodzi. Daj.

-No, co ty. Nawet jemu nie pokazywałem – kiwnął głową w stronę kibla (przypominam, że to nie Peszt, tylko pociąg; pociągi są podobne do stonóg-rycerzy). – A na kopercie nadawcy ani kawałka. Fajnie, co?

-Daj, tylko spojrzę. Przez chwilę. Tylko zerknę. Przez sekundę. Przez 0,0007 sekundy.

-Hyhm, ja się domyślam, wiesz, hyhm, to nie mapa, to jakiś pierdolony rysunek. Sztuka. Jak się odejdzie i spojrzy z odległości dwóch metrów i trzynastu centymetrów...

Umilkli, gdy do przedziału wpadł Ferenc. Był wyraźnie poruszony.

-Ale numer! – zawołał, odruchowo usuwając kopniakiem Ilonę Zoëę ze swojego miejsca. Pisnęła „pisk!” i klapnęła na podłogę. – Księdza widziałem na korytarzu. Jak mnie zobaczył to uciekł. Eee... Ghmh...A może to był kominiarz... Nie zdążyłem mu się dokładnie przyjrzeć.

-Nie musiałeś mnie kopać. Nie znaczy to, że tego nie lubię, ale mogłeś uprzedzić – mruknęła Ilona, w szczególny sposób łącząc w głosie obrazę i zadowolenie. – To nie mógł być kominiarz, w żadnym wypadku.

g.20.01

-Jesteście głupi – powiedziała Siostra Płomień. – I nikt na was nie czeka. Nie macie żadnej mapy. Nie myślcie, że pojedziecie dalej tym pociągiem. Już ja was załatwię. Viszontlátásra. Ratunku! – krzyknęła przenikliwie.

Do wagonu wpadł Trupia Krew. W jego oczach lśniło szaleństwo, w dłoni lśnił tulipANEK.

-Nikt jej nie będzie... tego... – wychrypiał, zbliżając się z miną mordercy do Ferenca i Gyuli.

-Tylko spokojnie...! – z oddali zabrzmiało wołanie kominiarza.

(na nutę „Minden rendben van):

Senni geniusze

Mniejsi od ziarnka kawy

Senni geniusze

Wśród trawy

Wśród trawy

Senni geniusze

g.21.17

-Bo ja się nie boję przyrody – mówił Gyula. – Ja bałem się tylko raz w życiu. To było wtedy jak ją poznałem i w nocy strasznie krzyczałem, poczułem się szalony. Krzyczałem, bo bałem się, że już nigdy, nigdy w życiu nie poczuję się szalony.

-A ten dom miał być zielony...? – spytał Ferenc. – Czy jak...? Jak to było?

-Gdzie tam dom, dwór cały, pałac że chuj. Z czerwonej cegły, zatopiony w zieleni rozkoszy i najśmielszych marzeń. I jak zobaczymy w środkowym oknie światło, to będziemy wiedzieli.

-Co będziemy wiedzieli?

-Wszystko. Żeby tylko ten las się skończył.

-Słuchaj, czy one tam będą?

-Pytasz mnie 58325 raz. Co mam ci odpowiedzieć?

-Chciałbym być gdzie indziej, zupełnie gdzie indziej. Nocą las zaczyna szeptać, ja słyszę zawsze to, czego bym nie chciał usłyszeć. Boże, śmierć...

-A wiesz, stary, mnie to jakoś gównie obchodzi.

Usłyszeli dobiegający z oddali warkot silnika samochodowego; coś jakby Fiata 126 L. Nie minęła chwila a oślepiło ich światło reflektorów.

g.00.00

-Nazywam się Zsigmond Cipő – powiedział tysięjący grubas (swoją drogą dziwne, że nie poddano grubasów eksterminacji jako jednostki kompromitujące ludzkość), gdy usiedli na tylnym siedzeniu Fiata 126L. – A to moja żona, Ilona Zoëa Nem- Bejrat. Ilona, przywitaj się z panami.

-Witam się – odezwała się dziewczyna o długich czarnych jak otchłań piekielna lub śliskie wnętrze odbytu murzyna o nieświeżym oddechu (jw.). – Z panami.

-Chodzić po lesie nocą to tak niezbyt – powiedział Cipő, gdy ruszyli z potwornym pierdzeniem silnika. – Niebezpiecznie. Dzikie zwierzęta. Ale gorsi są ludzie. Spotkać takiego jednego to pewna śmierć. Ale nie dla mnie. Ja się tam nie boję, to się zatrzymałem. Ale nie myślcie, jakby z wami było coś nie tak, zabiłbym was jak wściekłe psy, a musicie wiedzieć, że w swoim życiu zabiłem sporą ilość wściekłych psów. Sekunda. Pół. Ćwierć. Mokra plama. Co tak zimno? Ilona, załóż mi beret. Zauważcie panowie, to ciekawe, berety noszą tylko śmierdzący robole oraz najwięksi artyści. Bez stanów pośrednich. A ja jestem stanem pośrednim i – wobec tego, co by tu nie mówić, w pewnym sensie – rewolucjonistą. A dokąd to panowie podążacie, he?

*-Tak na razie to chcielibyśmy wyjść z tego lasu – odpowiedział Gyula słabym głosem.
– Na szczęście państwo...*

Kruczo(też)czarnowłosa Ilona Zoëa Nem- Bejárat nasunęła Zsigmondowi Cipő czarny (też jw.) beret na oczy i roześmiała się jak pierdolnięta lub, jeśli kto woli, Japończyk.. Cipő gwałtownym ruchem zsunął beret na tył głowy.

-Głupie żarty – warknął jak wściekły ten, co jest wściekły.

-Oni są strasznie wystraszeni – odezwała się obojętnie Ilona, gdy odwróciła się w stronę tylnego siedzenia.

-No, no, no, no – wymruczał Cipő, dodając gazu. – Bo i ja taką plotkę słyszałem, że wojna jest, czy jak. A powtarzałem, powtarzałem, że jak się ich przestanie pilnować, to od razu urządzą wojnę. Oni to uwielbiają.

-Sratatatata! Puf! Puf! Y, y,y,y,y – wrzasnęła Ilona Zoëa. – Zabity! Zostały ci jeszcze tylko trzy życia!

-Panowie wybaczcie mojej żonie – powiedział Cipő półgębkiem. – Ona stara się zwrócić na siebie uwagę.

-Panowie, wybaczcie mi – odezwała się Ilona z nieśmiałym uśmiechem. – Zresztą... Jesteście naćpani po przysadkę mózgową i szyszynkę. Myślicie, że tego nie widać? Poza tym od któregoś z was śmierdzi gównem.

-To ode mnie. Puszczają mi zwieracze. Mój brat... E, nieważne i nie na temat – powiedział Ferenc. – Tak jest, przyznaję, trochęmy spożyli narkotyków. Ale o wojnie niceśmy nie słyszeli.

-My z żoną wcale się nie kochamy – powiedział Cipő z osobliwą satysfakcją w głosie. – Nie lubimy się również. A nie dajemy sobie wolności. Głupio, co?

g.00.00

-Panowie, panowie, wszystko mi jedno – mówił Cipő, przyśpieszając ciągle. – Skręciłbym w te drzewa, to byśmy przypier...! – zakaszlał się i obsmarkał. – Nie za bardzo wiem, co mnie powstrzymuje. Może...Wiem, zginąć nie jest tak łatwo. Na pewno byśmy się tylko połamali i pomiażdżyli, a to obciach i kłopot jak cholera, w dodatku boli. Poza tym... kurwa, zginąć też jakoś głupio. Głupio, o Jezu. Ja raz rozwalilem mojej żonie głowę i wybiłem oko, to było dawno temu, kiedy jeszcze chciało nam się ze sobą bić. Ona do mnie strzelała, straciłem jądro. I głupio, głupio...

g.00.00

Ilona Zoëa ze szklanym okiem Nem- Bejárat otworzyła okno i zaczęła krzyczeć:

-Jest noc! Jest noc! I wcale nie ma księżycy! To wielka kula gówna! Nem ég a villany!

Jest noc! Jest noc!!!

-Głupio – szeptał jednojądzy Cipő, płacząc. – Boże, jak głupio.

-To my już tu wysiadziemy – odezwał się Gyula. – Las się kończy.

g.00.00

-Las się skończył – odezwał się Ferenc zmęczonym głosem – a zaczął się jeszcze większy las. Czy czujesz tę malaryczną wilgoć?... Tu są bagna, z których nie można się wydostać.

Z oddali dochodziły odgłosy strzałów i przytłumionych wybuchów.

-Strzelają do siebie – odezwał się Gyula. – Niedługo przestaną, a przecież wojna nigdy się nie skończy. Tak?

-Tak.

-Ja biłem tę swoją. To wojna. A ty?

-Też. Spieszmy się.

-Póki jeszcze chce nam się bić.

-Wielkie szczęście. Tak, wielkie szczęście. I śmierć.

g.00.00

*-Jesteśmy partyzantami – szeptały czarne cienie wychylające się zza drzew. –
Walczyliśmy o to, o co musieliśmy walczyć. Przed walką dostawaliśmy tappainę i szklankę
wody. Jest z nami Ilona Zoëa Nyár- Évezred o oczach koloru nieba i włosach koloru słońca.
Opatruje nasze rany. Teraz walczymy tylko dla niej.*

g.00.00

*-Wsiadajcie, jeśli chcecie! – w ciemności rozległo się patetyczne wołanie. – Będziecie
mogli dostąpić zaszczytu uczestniczenia w inauguracji otwarcia pierwszej poprowadzonej
przez las linii tramwajowej! Możecie sobie myśleć co tam sobie chcecie, ale ja wiem jedno, że
gdyby nie Ilona Zoëa Kék- Villamos, nigdy by nam się nie udało! Hura, hura, nie udało!*

g.00.00

-...a bo w ogóle to tu miało być miasto, wielkie miasto! Lecz cóż zrobić! Ilona nie pozwoliła ściąć lasu!

(na nutę „Minden rendben van):

Senni geniusze

Mniejszy od ziarnka pieprzu

Senni geniusze

Dwóch wieprzów

Dwóch wieprzów

Senni geniusze

g.04.48

Bładym brzaskiem wyszli na jasną polanę, pośrodku której stał mały dwupłatowiec. Pilot, w przylegającej mu gładko do czaszki skórzanej czapce pilotce i w goglach, siedział w pozycji po turecku na jednym ze skrzydeł. Na widok dwóch mężczyzn wychodzących z lasu, zdziwił się i powiedział:

-O, ludzie.

Zeskoczył ze skrzydła, przywołał ich gestem dłoni z pomalowanymi na karminowo paznokciami.

-Macie szczęście, właśnie chcę startować. Wsiadajcie.

Wsiedli bezwolnie, w milczeniu. Już po chwili unosili się wysoko w przestworzach.

-Właśnie sobie coś przypomniałem – odezwał się Ferenc tak cicho, że nikt nie mógł usłyszeć jego głosu wśród wycia zapierającego dech wiatru. – Bo gdy ją poznałem, w nocy miałem sen. Śnił mi się biały pokój, w którym na nią czekałem. To był chyba jakiś szpital, tak, to było w szpitalu i ja na nią czekałem stojąc bez ruchu przy oknie. I w pewnym momencie zobaczyłem spadający z nieba samolot. Spadł gdzieś w głąb lasu ale nie było słychać żadnej eksplozji, nie było żadnego ognia, dymu, nic. Pomyślałem, że z pewnością za moment wybuchnie, przestraszyłem się, że poranią mnie odłamki i położyłem się na podłodze. Lecz nadal było cicho. A zaraz usłyszałem przybierające na sile ludzkie głosy, wołania, krzyki a nawet śmiechy. Obudziłem się. Samolot nie wybuchł. To chyba dobrze, że nie wybuchł...?

-Niech pan ląduje! – krzyknął Gyula patrząc w dół. – Widzę ceglany dom! Niech pan ląduje! – krzyczał szarpiąc pilota za ramię.

-Nie! – krzyczał pilot wyrывая się. – Nie mogę! Jest wojna! Muszę lecieć!

-I co z tego!? Co!? Ląduj!

-Nie!

-Ląduj!!!

-NIE!!!

I tak się szarpali, odlatując gdzieś daleko. Z samolotu wypadła mapa, którą złapała Ilona Zoëa Keserű- Forrás, ta szatynka. Zaglądając w mapę, nie mogła opanować śmiechu.

15. SOBOWTÓR

No właśnie. Zoëa. Krab. Bark. Lecz...

Jumala popatrzył na mnie i...

Na...

Być może (?) z powodu odgłosu zbliżających się kroków nastąpiły kolejne perturbacje z czasem; kiedy otworzyłem oczy wyrwany z miękkich objęć półtrwania, ponownie stałem sam przed zamkniętymi drzwiami karceru. Ogarnęła mnie panika, gdyż odgłos kroków i męskich głosów zbliżał się powoli, lecz nieubłagane.

„Słyszałem kiedyś – mój zalękniony umysł wyprodukował myśl o szybkości światła – że jeśli się czegoś naprawdę mocno chce, to się to staje. Boże, Boże, chcę być niewidzialny...”

I nie wiem, czy sprawiła to ta myśl, czy niezwykle właściwości miejsca, w którym się znajdowałem – nieważne – w każdym razie stałem się niewidzialny.

Zza zakrętu korytarza wyszło czterech sanitariuszy, którzy byli niemalże sobowtórami: Bruce'a Willisa, Ricky'ego Martina, Rudolfa Valentino i Clinta Eastwooda. Przyciśnięty całą powierzchnią niewidzialnego ciała do zimnej betonowej ściany, słyszałem ich rozmowę.

-No i co?

-Nic. A co ma być?

-Nic. Tylko mam tego dość.

-Czego ty masz dość, kolego?

-Tych kurw. Obsługując je, sam czuję się jak kurwa.

-A nie jesteś kurwą?

-Byłem. Mówię ci, stary, byłem. W tym cały problem. Byłem kurwą, dopóki dzisiaj przy śniadaniu nie poczułem obrzydzenia i postanowiłem, że nie będę już kurwą.

-A co ty jadłeś na śniadanie, skoro ci się tak zmieniło?

-Płatki.

-Jakie, kurwa, płatki?

-Owsiane.

-Co jeszcze?

-No, mleko. Płatki owsiane z mlekiem. Znaczy... owsiankę.

-Fle... Zmień menu, Bruce.

-Co to ma za znaczenie?

-Ma, ma. Ja połknąłem krwisty befsztyk. Popiłem wodę z kranu. I nie mam dylematów, dopóki Nebel płaci.

-To obrzydliwe.

-No to się porzygaj owsianką, tylko nie zamęczaj mnie swoimi rozterkami duchowymi.

-Poza tym nie jestem Bruce'em Willisem.

-No i co z tego? Ja też nie jestem Rudolfem Valentino. Czy to...

Zniknęli za kolejnym zakrętem korytarza.

Kiedy zniknęli, na powrót – dzięki nie wiem czemu – na powrót stałem się widzialny.

-Aj, aj, aj – mamrotałem. – Kto jest prawdziwy? Kto jest kopią? Skąd mogę wiedzieć, że nie przeleciałem prawdziwej Michelle Pfeiffer...? Nic już nie wiem i nie rozumiem. Co jest prawdą, a co nie? Ci czterej... Wiem! To ukryta kamera! Kamera tak ukryta, że poplątała się z rzeczywistością i ze snem. Ale... – rozglądnąłem się trwożliwie dokoła – ...kto... co za siła... siła Złego Boga... Telewizja Złego Boga ma największą oglądalność... Jego publicznością są anioły i brunatne psy... i ja, ten, którego nie ma... nie chcę, żeby był... dobrze, w porządku... jest... jestem. Jestem w tym świecie, w którym on chce, żebym istniał... Istnieję. Tak. Ale jest, jest, jest, wierzę w to, ja jestem gdzie indziej, zupełnie gdzie indziej... Tamta prawda, nie ta, to prawda, ta prawda to tylko złośliwe majaki... Przepraszam pana, zablądziłem, chciałbym zapytać o drogę... Nie zna pan?... Pan też jest...? Jest...? Jest...eee...? Niech pan stąd idzie, niech pan da mi spokój... Pan też jest stąd, panie Jumala?...

-Nie – usłyszałem głos Jumali dobiegający zewsząd. – Nie jestem stąd.

-...i teraz nie odezwiesz się już, bo ja nie chcę, żebyś się odzywał. Zaraz... Tylko powiedz mi...

Nie musiał nic mówić, gdyż zza zakrętu korytarza wyszedł prawie że – ja, podszedł do mnie i jak gdyby nic uśmiechnął się i rzucił swobodnie:

-No, cześć.

..

16. SOBOWTÓR II, DECYDUJĄCE STARCIE

-No, cześć.

17. SOBOWTÓR KONTRA MÓZG

Po wyczerpującej walce z własnym sobowtorem, od opisu której się wstrzymam, stanąłem (może to nudne, lecz cóż, taka jest prawda) przed *zamkniętymi* drzwiami karceru i lekko zmęczonym głosem zawołałem:

-Hej! Jest tam kto?

Był to głos ani męski, ani żeński, przenikliwy aż do niezbadanych czeluści mojego mózgu:

-Tak, tak. Jest. Otwórz drzwi. Śmierć jest zjawiskiem nieodgadnionym.

Kierowany niezbadanym odruchem, otworzyłem drzwi i oczom moim ukazał się profesor Nebel w postaci Szymona Słupnika.

-Dobrze już, dobrze – przemawiał łagodnym głosem. – Niech pan się nie denerwuje, mr. Heiss.

-Jak mam się nie denerwować – odezwałem się a mój głos dochodził jak gdyby zewsząd. – Ten, kto nic nie wie, chce się czegoś dowiedzieć. Poza tym... wie pan...

-Wiem – powiedział profesor Nebel, kropka w kropkę podobny do – dwuosobowo – Secco i Vanzettiego. – Kusi pana, żeby wiedzieć. Kusi pana, prawda?

-Kusi – przyznałem.

-Dno – uśmiechnął się Nebel i był to *jego* uśmiech. – Po co chce pan wiedzieć? Po co? Nie wiedzieć to...

-Ale ja...

-Ciągle się pan *jaka* – twarz profesora zaczęła nabierać niepokojących dla mnie rysów; z początku rozmyśla się jak w gęstej mgle a potem... – *Jaka* się pan, miota, błądzi, myli sen z jawą...

-Jawa to wyspa – przerwałem Neblowi, którego twarz...

-Tak, to wyspa, od której oddalił się pan tak daleko – twarz Nebla... – i oddala przez cały czas, a szanse powrotu są coraz słabsze i słabsze... I pan, Heiss, jest coraz słabszy... I słabszy... I będę....

Twarz Nebla była *moją* twarzą.

Nie była to twarz Mansona, Goebbelsa, Bonnie Parker ani Clyde'a Barrowa. To była *moja* twarz. Nie była to z pewnością twarz Freda Astaira, Boba Dylana, Woody'ego Guthriego. To była *moja* twarz. W żadnym wypadku nie mogła być to twarz Napoleona Bonaparte, Aleksandra Macedońskiego ani Saddama Hussejna. Była *moją* twarzą. Nie było to również oblicze Halleya, Crowleya czy rabiego Löwe. Było to *moje* oblicze. I nie była to też ani twarz Marcella Mastroianniego, ani Jamesa Deana, ani Emila Janningsa. To była z nieubłaganą pewnością *moja* i tylko *moja* twarz.

Ja uśmiechnął się uśmiechem, na określenie którego nie znajduję nazwy, i jeśli ktokolwiek znajdzie kiedykolwiek nazwę na jego określenie, to z pewnością nie ja.

-No i co – odezwał się *ja*. – Podszycasz się pode mnie, Heiss.

-Pod nikogo się nie podszycam – odparłem starając się opanować drżenie wewnętrzne. – Ja to ja, a nie ty.

-Jesteś oszustem – skrzywił się *ja*. – Nawet w swoim braku profesjonalizmu w tym procederze wykazałeś się niechlujstwem właściwym amatorom.

-Nie rozumiem – powiedziałem beznamiętnie, czekając tylko, kiedy ten koszmarny sen się skończy.

-No, powiedz – zapytał *ja* zjadliwym tonem. – Jak ty się nazywasz?

-Przecież dobrze wiesz jak – warknąłem. – Oszuście personalno-osobowościowy.

-Ach tak – *ja* wyciągnął z kieszeni marynarki lusterko i zaczął się w nim przeglądać z wyraźną satysfakcją. – Powiedz jak. Co ci zależy wypowiedzieć **swoje** nazwisko?

-Nic mi nie szkodzi – odparłem (niestety) drżącym głosem i nabrawszy powietrza powiedziałem:

-Marcin Heiss.

-Oj, oszuście, cwaniaczku – *ja* krzywiąc się, puścił perskie oko. – Tak jak czułem- amator i niechluj. *Ja* nazywam się Marcin Reis. *Ja* jestem *ja*.

I w tym momencie mój umysł zmobilizowany ekstremalnym stresem zmobilizował się, uruchomił na pełnych obrotach, po czym zgłębiwszy w stopniu najwyższym sferę pamięci, spowodował triumfalną werbalizację:

-**Reis** to nazwisko pańskiego ojczyma, którego pan nienawidzi, profesorze Nebel. Niech pan obmyśla swoją chorą wojnę z Chinami, a mnie niech pan zostawi w spokoju, zanim mnie to wszystko zacznie nudzić.

I tak, jak przypuszczałem, *jego* moja twarz rozplynęła się we mgle, a jej miejsce....

...zajęło (zgoła inaczej, niż się spodziewałem) śnieżnobiałe oblicze Jumali.

-A, więc to pan – wycodziłem. – To pan jest Skurwysynością Losu albo, jak pan woli, Podstępny Demiurgiem.

-Nie – powiedział po prostu Jumala.

-A kim? – zapytałem, siląc się na złośliwość. – Alem Capone? Michaeliem Jacksonem?

-Też nie – odparł Jumala. – Znałeś fiński, kiedy byłeś high. Teraz nie pamiętasz?

-Wiem. Wiem. I co? Czy ja jestem stworzony na obraz i podobieństwo twoje?

-Byłeś. Teraz szukamy swoich podobieństw we mgle.

-Nie dam się nabrać. To kolejny koszmarny sen.

-Tak sądzisz?

-Wiem o tym. Nie wiesz, co robisz. To wszystko czyni mnie odpornym na marne kuglarskie sztuczki.

-Czy ty nie rozumiesz, że nie chcę dla ciebie źle? Naprawdę jesteś aż tak głupi? Nie sądzę. Znam cię.

-Nie możesz mnie znać.

-Jeśli pamiętałybyś fiński teraz a nie tylko w żalosnych momentach chemicznej ekstazy, wiedziałabyś, że mówię prawdę. Twój mózg nie ma przede mną tajemnic.

-Posłuchaj mnie, mądry panie. Mój mózg jest otoczony nieprzenikliwą skorupą bólu i nikt, nie wiem jak byłby potężny, nie może go przeniknąć. Choćbyś był Bogiem czy Demiurgiem, jesteś słaby – wiesz dobrze o tym – i twoje żalosne władcze podrygi są śmieszne, a raczej żalosne.

-Synu, nie zasmucaj mnie.

-Oj, bo się porzygam.

-Jam jest A i Ω , synu człowieczy.

-Zaraz będę rzygał, jeśli nie przestaniesz.

-Zasmucasz mnie.

-Ty też mnie zasmucasz, Paholainen. Sądziłem, że jesteś bardziej inteligentny. Potrzebne ci jest szkolenie psychologiczne. To są *nowe czasy* i kto jak kto, ale ty powinienesz sobie zdawać z tego sprawę.

W czasie nie trwającym dłużej niż 0,000666 sek. Jego twarz przeobraziła się w wykrzywione oblicze XP-666 w kapeluszu Johna Wayne'a.

-Trudny jesteś – warknął, przeobrażając się w śmierzdzącą chmurę koloru musztardy. – Ale jeszcze się spotkamy. I to nie raz, Heiss.

18. UWOLNIONY

I znowu stałem przed zamkniętymi drzwiami karceru. I nie wiem, czy sprawił to smród kombinezonu, który miałem na sobie, czy poważne psychiczne osłabienie spowodowane ostatnimi niewyjaśnionymi wydarzeniami – fakt, że zasłabłem, osunąłem się bezwładnie na marmurową podłogę i straciłem świadomość...

...a ocknąłem się w salonie jadalnym, gdzie siedziałem pomiędzy Jonathanem Houstonem a staruszką Lanze, a przede mną parował porcelanowy talerz wypełniony po brzegi *ryżem*.

-Shit – usłyszałem niezadowolony pomruk Houstona. – Scheisse. Co za idiotyczne pomysły. Pałeczki...! To może dobre dla żółtków, ja nie jestem przyzwyczajony do jedzenia dwoma patykami. Ja, prosty chłopak z Teksasu, mam wsuwać za pomocą dwóch patyków...! To uwłacza nie tylko mi, ale i gwiazdzistemu sztandarowi, którego jestem przedstawicielem w tej popieprzonej części świata, świata którego jesteśmy niekwestionowanymi opiekunami i, nie bójmy się tego wypowiedzieć głośno, władcami... – w głosie Houstona narastało fanatyczne uniesienie, które brutalnie przerwał mężczyzna niepokojąco podobny do podstarzałego Johna Lennona:

-Zamknij się, Houston.

-Hess – wyrwało mi się (... mi świadkiem, że wypowiedziałem to zupełnie automatycznie).

-Właśnie, Hess – podchwycił Lennon (?). – Nie po to od lat lecę się tu na *śmierć*, żeby taki faszystowski dupek jak ty szarpał moje i tak zszarpane pięcioma kulkami nerwy. Jeżeli pałeczki do *ryżu* ranią twoje pierdolone neofickie uczucia amerykańskie, to wpierdalaj *ryż* łyżką albo paluchami i płacz, że twój w pierwszym pokoleniu ziomkowie nie wybili wszystkich żółtków.

Houston-Hess poczerwieniał gwałtownie, zaczął dyszeć cholerycznie i zduszonym wściekłością głosem wycedził:

-Dziwię się, Lennon, że prof. Nebel zgodził się przyjąć kogoś takiego jak ty. Stanowisz zagrożenie nie tylko dla *wolnego świata*, ale i...

-Panowie, przestańcie – płaczliwym głosem odezwał się staruszek Lanze. – Wszelkie kłótnie niepomnie mnie denerwują. A jak się denerwuję, strasznie skacze mi ciśnienie, dostaję palpacji serca a potem puszczają mi zwieracze.

-Ależ panie Lanze, niech pan się nie wstrzymuje – podjął ochotczo Lennon (!). – Wrr...Chętnie dam panu tzw. amerykański sztandar do podarcia.

Na obliczu staruszka wykwitł strach pomieszany z zawstydzeniem, a czego było więcej, trudno powiedzieć.

-Ale... Tak nie można – wybąkał śliniąc się nerwowo. – Panie Lennon, tak nie można...

-I pan to mówi?... – Lennon uśmiechnął się krzywo. – No tak, tego się mogłem spodziewać. Kiedy graliśmy w Hamburgu i naćpani wyzywaliśmy was

od hitlerowców, wy karnie biliście brawo. Co za gówno. Co za gówno... – w okrągłych okularach Lennona szkło pękło wzdłuż.

Ażeby w jakikolwiek sposób odnaleźć się w cofniętej nowej rzeczywistości, w sposób paniczny uchwyciłem się czegoś, a raczej kogoś, kto był związany ze starą rzeczywistością (nie tak znowu starą, lecz jednak w obliczu tego, co ostatnio przeżyłem; czy w sposób senny, czy jawny – nieważne). W każdym bądź razie zamigłem do Sechskranka:

-E, panie Sechskrank

Przechwycił moje spojrzenie wspomagane językiem migowym i zrobił tak zaskoczoną minę, jak ktoś zaskoczony przez kogoś zaskakującego kogoś.

-Do mnie pan mówi?... – wymigał, aczkolwiek niechętnie.

-Do pana, Sechskrank – odmigałem niecierpliwie.

-Hm – migał Sechskrank. – To chyba pomyłka. Nazywam się Siebenkrank, proszę pana i...

-Jak zwał, tak zwał – zasapałem migowo. – Może się pan nazywać i Achtkrank a nawet Neunkrank, to nie ma znaczenia.

-A co ma znaczenie? – wymigał niechętnie Siebenkrank.

Długą chwilę milczałem walcząc z pustką w umyśle. W końcu jedyne, co udało mi się wykształcić, to:

-Gipfelina.

-Co takiego? – zniecierpliwionym tonem spytał Siebenkrank.

-Zoëa – zdołałem wykrztusić.

Zoëa, Zoëa, Zoëa, Zoëa.

Tak, tak, chciałem być uwolniony. Na zawsze.

...we mgle.

...to jest gabinet luster. Tutaj, proszę państwa, zobaczycie swoje *ja* lub swoje **ja** w krzywym, nie oddającym codziennego hołdu rzeczywistości zwierciadle, odbicie którego nie chcecie z początku znać, a potem...

...ratunku.

...nie chcecie znać innego. Bo wy...

...nikt mi nie pomoże.

...to jest gabinet luster.

...retsul tenibag tsej ot

...hibhjbib wkhjbej nbknkcmmn nkvbkshncjs qjn jnm cbk nabkjb
jvjfirhjerjjhfi njfjfj nikjnjjfjffnf...

20. WIECZNE PIÓRA

I stało się tak:

Kiedy otworzyłem oczy na ile pozwoliły mi na to spuchnięte powieki, ujrzałem pochyloną nad sobą twarz doktora Łapskiego. Jego oblicze było zawodowo zafrasowane. W dłoni trzymał gruszkę do lewatywy; co chwilę miażdżył ją w niespokojnej dłoni wypuszczając kłęb śmierdzącego starą gumą i śladami gówna powietrza prosto na moja twarz.

-Ocknął się pan wreszcie - odezwał się cicho, niemal szeptem. - Już prawie z profesorem traciliśmy nadzieję.

-Co się stało...? - mój głos był schrypniętym, ledwie dosłyszalnym szeptem.

-Trwał pan w katatonicznym letargu wiele dni - odparł Łapski.

-Jak to?... - usiłowałem podnieść się z łóżka, lecz po pierwszej nieudanej próbie zaniechałem tego wysiłku ponad moje siły.

-Zapadł pan w letarg - powiedział doktor i na jego twarzy zakwitł uśmiech tak nasycony smutkiem, że... - I nie chcemy już przed panem niczego ukrywać - dodał nie patrząc mi w oczy.

-Nie rozumiem - wyszeptałem czując ulatujące ze mnie siły.

-Pan umiera, panie Heiss - usłyszałem spokojny głos profesora Nebela.

Pokonując ból gałek ocznych popatrzyłem zamglonym wzrokiem w stronę głosu. Profesor Nebel, w swojej postaci stał w rogu białej sali. Ubrany był w czarny frak, do którego nie pasowały jedynie pomarańczowe buty kowbojskie, jakie miał na nogach.

-Jak to? - wydało mi się, że mój głos przestał być słyszalny; jednak dla nich najwidoczniej nie stanowiło to przeszkody, gdyż profesor Nebel odezwał się cichym spokojnym głosem:

-Właśnie tak - i popatrzył na mnie wzrokiem pełnym powagi. Umiera pan.

Boże mój, Boże, tak bardzo chcę żyć!...

-Niech pan się nie boi - powiedział doktor Łapski. - Śmierć wcale nie musi oznaczać końca.

-W dupie mam takie pocieszenie - mój głos nabierał siły; przechodził od pełnego gniewu krzyku po upokarzający skowyt. - Ja chcę żyć!... O Boże, zeżrą mnie robaki, nie będzie mnie, nic po mnie nie zostanie, zgniję, zgniję...!

-Czy jest pan pewny, że chce pan dalej tkwić w męczarni zwanej życiem? - profesor Nebel przeświecił mnie hipnotycznym spojrzeniem. - I czy jest pan pewien, że nic po panu nie pozostanie?...

Przez długą chwilę usiłowałem poruszyć jakąkolwiek z części mojego ciała, jednak po 7 nieudanych próbach zaprzestałem tych beznadziejnych czynności.

-Przecież jeszcze przed chwilą byłem pełen życia - odezwałem się, z przerażeniem słysząc jak mój głos zamienia się w ledwie zrozumiały bełkot. - Siebenkrank, Michelle Pfeiffer, Houston, Jumala, XP-666, Prohazka, Golgota, Paholainen, Bulsara... - wyliczałem dysząc i dokończyłem szeptem - Zoëa...

-Za moment się pan z nią spotka - powiedział niewzruszonym głosem Nebel. - Po śmierci spotykamy się z tymi, których kochaliśmy za życia.

-Przecież... Przecież ona żyje... - wybełkotałem.

-Wyłącznie w pana umyśle - przerwał mi Łapski. - Ona umarła. Już dawno temu.

-I co...? Umrę, przestanę istnieć - szeptałem słabnącym głosem. - Zdechnę jak parszywy pies... I nic, kompletnie nic po mnie nie pozostanie...?

Profesor Nebel z ledwie zauważalnym pobłażliwym uśmiechem wygładził poły czarnego fraka.

-Pan nie wie co mówi, Heiss - odezwał się cicho. - Przecież i ja, i doktor Łapski, wszyscy oni - Siebenkrank, Houston, Bulsara i inni te wszystkie chore wydarzenia, w których brał pan udział to majaki pańskiego gasnącego mózgu. My znikniemy, tak, to prawda, ale pozostanie po panu coś, z istnienia czego nie zdawał pan sobie nigdy sprawy...

-Co...? - zdołałem wykrztusić.

-Pióra z pańskich skrzydeł - wyszeptał Nebel-Mgła. - Czuje je pan?...

Ostatnim wysiłkiem obejrzałem się za siebie. Skrzydła wyrastające z moich pleców były wielkie, miały kolor starego złota.

-Pióra z pańskich skrzydeł będą wieczne - powiedział Nebel rozplywając się w powietrzu.

-Piękne, wieczne pióra - odezwał się niknący Łapski. - Uniesie się pan wysoko, wysoko i spotka pan tylko tych, których pan kocha.

Zanim Nebel i Łapski zniknęli, zamknąłem oczy. Teraz wyraźnie czułem skrzydła, te skrzydła wyrastające z moich pleców.

-Nareszcie - wyszeptałem bezgłośnie.

EPILOG

Na tamtym świecie i na tym, widomym,
 Mądrość da życie dostatnie i błogie;
 Tu i tam rozum księcia Sutasomy
 Był dla Sudasy osłoną przed wrogiem.*

-Straciliśmy go - powiedział lekarz w okularach grubych jak denka od słoików.

Drugi z lekarzy, młody człowiek o urodzie Latynosa nie mógł powstrzymać drżenia rąk, dyszał ciężko.

-To pana pierwszy zgon? - oczy nienaturalnie powiększone okularami-denkami spoczęły na śniadej twarzy młodego lekarza.

-Nie - odparł młody lekarz. - Ale chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

-Przyzwyczaisz się - zaśmiał się gorzko lekarz w okularach. - Bo... - popatrzył na *mnie martwego*. - Co za różnica, *tu* czy *tam*...?

-Nie wiem - odparł młody lekarz głucho. - Gdybym wiedział, być może nie zostałbym lekarzem.

Umarłem.

Może wydaje się to wam dziwne, że mogę do was pisać, ale wierzcie mi, jest to możliwe.

Co jeszcze? Nie spotkałem tam Zoëi.

I o ile to możliwe, dopóki jest to do zniesienia, starajcie się nie przechodzić na tę drugą stronę.

Jeśli tutaj jest wam bardzo źle, tam będzie wam jeszcze gorzej.

* Sakja Pandita

KOŚCIOSZCZUR

Bóg nałożył pieczęć na ich serca
i na ich słuch,
a na ich oczach położył zasłonę.
Dla nich kara będzie straszna.

KORAN, SURA II AL-BAKARA, 7

Jeden

„Straszny tłok” – pomyślała Agnieszka. Nigdy nie była w tej restauracji; poprowadzono ich do stolika przy bufecie. Dev uśmiechnął się i przelotnie spojrzał w oczy Agnieszki czarnymi jak noc oczami. Zaczerwieniła się wewnętrznie. Agnieszka nie przyznała się jeszcze nikomu ze wstydlivej w jej mniemaniu rzeczy. Nic nie mogła poradzić na to, że jej ulubionym rodzajem męskiej urody był typ gwiazdora z Bollywood. A Dev wyglądał właśnie jak gwiazdor z Bollywood.

Poznali się dzisiaj przed południem, gdy Agnieszka pomogła mu wybrać rękawiczki w sklepie, w którym bez entuzjazmu pracowała. Mimo, że miała chłopaka, kochała go i myślała o nim jako o potencjalnym mężu, gdy Dev zaprosił ją na kolację, zgodziła się bez wahania. Ten oliwkowy facet uśmiechnął się tylko i myśli o Michale uleciały w jednej chwili gdzieś daleko.

-Fajnie tu – odezwała się, żeby coś powiedzieć.

Kelner, który natomiast wyglądał jak młody Tom Jones na występach w Las Vegas, podał im menu.

Dev poprosił o danie, którego nazwy Agnieszka nawet nie odważyłaby się wymówić i na chybił trafił zamówiła coś dla siebie, mając tylko nadzieję, że poprawnie odczytuje nazwę potrawy.

-Umieram z głodu – odezwał się Dev; Agnieszka zauważyła to już wcześniej – mówił bez krzty obcego akcentu. – Może rozglądniemy się po sałatkach?

Agnieszka oczywiście wstała jak na rozkaz. Podeszli do stołu. Pstrokatosc sałatek i przystawek przyprawiała o zawrót głowy.

Zauważyła, że Dev jest mańkutem, niezgrabnie trzymał talerz w prawej ręce, lewą nakładał jedną z sałatek. Jednocześnie wsypywał do talerzy i salaterok z ukrytej pod talerzem prawej dłoni żółtawy proszek.

Zauważył, że ona to zauważyła.

-Idź do stolika – warknął z jakimś zwierzęcym wyrazem twarzy.

Wtedy poczuła i zrozumiała, że nie umie przeciwstawić się jego woli. Sztywno usiadła na krześle, czując w głowie jakąś lodowatą pustkę.

Dwa

Był półmrok

Naga kobieta leżąca na brudnej podłodze usiłowała się podnieść, jednak ręce, jak i kostki miała mocno skrępowane drutem kolczastym, który wbijał się w ciało przy najmniejszym ruchu. Zastygła więc, tylko co jakiś czas jej ciałem wstrząsał dreszcz.

Michał stał nad nią. Był nagi i w dłoni trzymał młotek.

Przykucnął nad kobietą i czując niespodziewany przypływ fali wściekłości, z niesamowitą siłą uderzył ściętą częścią obucha w jej kolano. Trysnęła krew a kobieta zawyla nieładnie. Żelazo przerwało więzadła kolana i roztrzaskało rzepkę. Młotek zahaczył o rzepkę i każde wściekłe szarpnięcie unosiło w górę kość. Odgłos rwących się ścięgien zagłuszał oszalałe krzyki kobiety. W końcu Michał odrzucił młotek z wyrwaną całkowicie rzepką.

Wstał.

Kobieta wiała się w potwornym bólu, a Michał spojrzał na jej twarz. Zobaczył tylko mocno napiętą skórę. Zaczął się śmiać, a jego śmiech połączył się w jedno ze zwierzęcym skowytom kobiety bez twarzy. Zaraz dołączył inny wibrujący dźwięk.

Michał otworzył szeroko oczy. Leżał w łóżku i był mokry od potu.

Telefon brzęczał monotonnie.

Michał wstał niezdarnie i chwiejnym krokiem przeszedł ciemny pokój. Uniósł słuchawkę telefonu.

-Słucham – wyszeptał przez wysuszone gardło, chrząknął i powtórzył głośniejszym głosem: - Słucham.

-Michał? – usłyszał jak zawsze histeryczny głos Mai.

Wierzchem dłoni otarł pokryte kropelkami potu czoło.

-Tak to ja – zerknął na zegar, była czwarta trzydzieści pięć. – Cześć. Stało się coś?

Przez chwilę słyszał tylko spazmatyczne dyszenie a potem usłyszał odpowiedź:

-Marcin nie żyje.

Trzy

Agnieszka poczuła na ramieniu ciężką męską dłoń. Obróciła głowę i chciała wstać, lecz lodowaty wzrok mężczyzny nakazał jej pozostanie przy stoliku. Facet miał jasne włosy, niebieskie oczy i wydatne szczęki, co czyniło go nieco podobnym do Roberta Redforda – zupełnie nie w typie Agnieszki. Zerknęła na niego ze strachem i już w jej głowie zrodziła się myśl, że przyjscie tutaj było niewybaczalnym błędem. Redford obserwował coś skupionym błękitnym wzrokiem. Agnieszka spojrzała tam również i serce jej zamarło. Do Deva z obu stron podeszło dwóch mężczyzn ubranych w jednakowe ciemne garnitury. Gdy

Dev zorientował się, że idą do niego, na chwilę zamarł. Potem rzucił talerzem w stronę bufetu. Zrobiło się zamieszanie, Dev chciał je wykorzystać i rzucił się do ucieczki, lecz na drodze stanął mu jeden z mężczyzn a w jego ręce zabłysnął pistolet. Dev zatrzymał się popatrzył na obu facetów i roześmiał się z dziwną beztroską. Rozłożył szeroko ręce w geście mówiącym: „Dobra, macie mnie.”

Jeden z facetów przyłożył Devowi pistolet do pleców. W restauracji zapanowała martwa cisza. Przeżeni ludzie patrzyli na całą scenę w napięciu. Używając specjalnej chusteczki, jeden z mężczyzn starł z rozwartej dłoni Deva resztki proszku, drugi założył mu kajdanki.

-Proszę zamknąć bufet – jeden z mężczyzn, przypuszczalnie szef całej akcji zwrócił się do zaferowanego właściciela restauracji.

Zza pleców Agnieszka usłyszała głos Redforda:

-Proszę państwa o nie zbliżanie się do bufetu. Ten mężczyzna posypał potrawy środkiem, który po spożyciu powoduje krótkotrwałą euforię, a potem śmierć. Proszę odgrodzić bufet – spojrzał na właściciela lokalu. – Do czasu przybycia policji – a do Agnieszki zwrócił się ścisłym głosem: – Proszę za mną.

Paradoksalnie Agnieszka poczuła ulgę. Wyszli. Przed restauracją stały dwa radiowozy. Do jednego z nich wepchnięto nie stawiającego oporu Deva, drugim pojechała Agnieszka, która przez całą drogę do siedziby policji zastanawiała się, jak to się stało, że przyjęła zaproszenie Deva, o którym wiedziała tylko tyle, że jest cudzoziemcem, o jego hipnotycznym nad nią wpływem i co teraz z nią będzie.

Cztery

Zegadłowicz ze zdziwieniem spojrzał na policyjny radiowóz przed jego domem. Zatrzymał samochód i przez chwilę szukał kluczy, dopóki nie przypomniał sobie, że zostawił je w innej marynarce.

Nacisnął więc dzwonek drząc z zimna, które tego dnia było szczególnie przenikliwe.

Drzwi otworzył mu policjant. Zdumiony Zegadłowicz machinalnie cofnął się o krok. Wtedy zauważył ludzi z sąsiednich domów i patrzyli w jego kierunku.

-Pan Adam Zegadłowicz? – raczej stwierdził niż spytał policjant, gestem zapraszając go do środka.

Pokiwał w milczeniu głową i z jakimś niewytłumaczalnym trudem przekroczył próg. Zamknął za sobą drzwi z przesadną delikatnością.

-Coś się stało? – głos Zegadłowicza dochodził jakby nie z jego krtani.

-Jestem policjantem – powiedział łagodnie policjant. – Proszę, niech pan wejdzie.

-Nic nie rozumiem – mówił Zegadłowicz. – Co pan tu robi?

Policjant poprowadził Zegadłowicza do kuchni, gdzie stał mężczyzna w cywilu.

-Jestem inspektor Miller – przedstawił się.

Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, miał miły i spokojny głos, co zdecydowanie kontrastowało z jego wyglądem. Złamany wklęsnięty nos, trzydniowy co najmniej zarost i zacięty wyraz twarzy upodabniały go raczej do emerytowanego boksera.

-Proszę usiąść – zwrócił się do Zegadłowicza. – Napije się pan herbaty?

-Czy ktoś mógłby mi, do cholery, wyjaśnić, co się tu dzieje? – Zegadłowicz usiadł odruchowo, zaraz wstał. – Czy to jakiś wypadek? – poczuł jak serce podchodzi mu do gardła – Czy chodzi o wypadek? Czy to moja żona? Nie chcę herbaty.

-Pańska żona jest u znajomego sąsiada – Miller zmarszczył brwi. – Pan Nadolski, tak, jest u pana Nadolskiego. Śpi po środku uspokajającym – dodał miękko.

-Po jakim środku? O czym pan, kurwa, mówi? Co się stało?! – Zegadłowicz dyszał, co chwilę przenosił wzrok z jednego policjanta na drugiego.

-Okolo dwudziestej włamano się do pańskiego domu – powiedział Miller spokojniej niż zwykle. – Kiedy przyjechalismy, znaleźliśmy dwa ciała. Zidentyfikowano je jako trzynastoletnie Katarzynę Burdę i pańską córkę. Obie nie żyły. Bardzo mi przykro.

Pięć

-Nic więcej już nie powiem – histeryczny głos Mai oscylował na najwyższych tonach, aż doznałem wrażenia, że jak metalowa spirala wkręca mi się w ucho, nerwowo odsunąłem słuchawkę, – bo dostanę ataku. Tak, mogę dostać ataku. Doktor powiedział... powiedział... – zabrzmiał przerywany sygnał.

-Co? – mruknąłem głucho i bezwładnym ruchem odłożyłem słuchawkę. – Możesz powtórzyć? – rzuciłem w przestrzeń spóźnione pytanie.

Popatrzyłem w ciemne okno, za którym targane oślizgłym jesiennym wiatrem bezradnie fruwały pokurczone liście. Jeden z nich przykleił się do obsmarkanej szyby i zatrzepotał rozpaczliwie. On i ja prawdopodobnie czuliśmy się w tej chwili tak samo.

-Marcin nie żyje – powiedziałem do liścia.

Liść odkleił się od szyby i w uleciał gdzieś w popłochu.

Mam na imię Jakub.

Sześć

-Gahim – zapytał policjant beznamiętnym tonem – Mówi to panu coś?

-Tracę cierpliwość – westchnął Dev. – Dobrze, jeśli to ma ułatwić sprawę to tak, wiem, co oznacza słowo gahim. Tak się bowiem składa, że pomimo tego, że jestem hindusem, znam arabski. Gahim tłumaczy się jako gehennę, czyli piekło. Jest pan usatysfakcjonowany? Można sprawdzić w słowniku, inspektorze Brański.

Brański uśmiechnął się krzywo.

-Więc tak pan pogrywa – popatrzył Devowi w oczy. – Zna pan chyba wiele języków, panie Amar. Z pewnością jest pan poliglota. Mówi pan bez akcentu, wygląda pan na światowego człowieka. Trochę znudzonego urokami życia. Poszukującego mocnych wrażeń. Czy to dlatego zatrul pan jedzenie w bufecie?

-Co takiego?

-Słuchaj – warknął Brański. – Obserwujemy cię od dłuższego czasu, dłuższego niż możesz się domyślać. Więc radzę ci zmienić podejście do całej sprawy.

-Ojej! – zaśmiał się Dev Amar.

Śledczy Snarski, siedzący do tej pory bez słowa, uprzedził reakcję inspektora, który potrafił być bardzo porywczy.

-Co to za substancja? – uniósł w górę woreczek z żółtawym proszkiem. – Czy to jest to, o czym wszyscy wiemy?

Dev wzruszył ramionami.

-Zbadajcie to – odparł lekko. – Macie chyba jakieś laboratorium?

-Owszem, mamy – powstrzymując irytację odparł inspektor Brański. – I zaraz tam wszyscy pójdziemy i wspólnie poczekamy na wynik ekspertyzy, panie Amar – popatrzył na Agnieszkę, której zdawał się do tej pory nie zauważać.

-Ta pani nie ma z nic wspólnego – zawołał Dev i popatrzył na Agnieszkę szczerze przepraszająco. – Pani skorzystała z mojego zaproszenia na kolację. Chciałem mieć jakieś towarzystwo. Poznaliśmy się rano, gdy kupowałem rękawiczki w sklepie w centrum handlowym, gdzie pracuje. Nie ma sensu jej niepokoić.

-Niewykluczone – Brański spojrzał na Agnieszkę posępnie. – Pomimo tego, co pan mówi, panie Amar, pani pójdzie z nami. Jeśli okaże się, że nie jest zamieszana w sprawę, będzie wolna.

Siedem

„Nie żyją” – ta myśl pozbawiła go sił i uśmierzyła napięcie. Usiadł wolno.

-Bardzo mi przykro – powtórzył inspektor Miller prawie szeptem.

Po nie wiadomo ile trwającym tępyim stuporze, Zegadłowicz ocknął się i zobaczył na stole przed sobą kubek parującej herbaty.

-O Boże – zdołał wychrypieć. – Ale dlaczego?

-Przypuszczalnie ktoś włamał się, żeby okraść dom – odparł Miller

Około ósmej. Około ósmej. Wtedy, kiedy był z Ewą kilka ulic dalej. Zamiast być w domu.

-Kiedy znaleziono pańską córkę i tę drugą dziewczynę... – urwał Miller wyraźnie zły na siebie.

-W jaki sposób to zrobiono? – spytał głucho Zegadłowicz, nie mogąc zmusić się, by spojrzeć na policjantów.

-Panie Zegadłowicz... – Miller zająknął się. – Nie sędzę, żeby musiał pan w tej chwili to wiedzieć.

-Mam prawo wiedzieć.

Miller na chwilę przymknął oczy. Zaraz otworzył je i odparł cicho:

-Użyto tasaka.

Osiem

Mam na imię Jakub.

-Pan znajduje się na posterunku policji – sennym głosem odezwał się łysy człowiek za biurkiem. – Ja jestem policjantem – powiedział i wolnym ruchem wskazując chudego człowieka nerwowo drepczącego w miejscu przy oknie dodał: – A to mój współpracownik policjant.

-Jesteśmy policjantami – odezwał się nerwowo chudy pod oknem i spojrzał na siedzącego Jakuba groźnie. – Niech pan nie próbuje kręcić. Za składanie fałszywych zeznań grozi... kara.

-Tu nie chodzi o kradzież czegoś małego w dużym sklepie – wymruczał łysy za biurkiem. – Ludzkie życie to coś więcej.

-Ludzka śmierć to coś więcej – dodał chudy spod okna.

-Wiem – szepnął zdławionym głosem Jakub, odchrząknął i powtórzył: – Wiem.

Gdzieś zza ściany dobiegał nieznośny odgłos zaciętej płyty gramofonowej.

-Pan się nazywa... – łysy nieskoordynowanymi ruchami w zwolnionym tempie zaczął przesuwając leżące na biurku papiery

-Jakub Wiąz – powiedział Jakub.

Łysy najwidoczniej odnalazł szukaną kartkę papieru, spojrzał na nią przysuwając blisko twarzy, po czym przeniósł na Jakuba zdumione spojrzenie.

-Ma pan rację – powiedział tonem nieskrywanego zdziwienia. – To prawda. Jakub Wiąz.

Chudy pokiwał lekko głową i popatrzył na Jakuba z łagodną aprobatą.

-Widzę, że chce pan współpracować, panie Wiąz – powiedział. – To dobrze. Rozsądnie.

Jakub przysięgłby, że poprzez odgłos zaciętej płyty przebija się zgłuszony ludzki krzyk. Nerwowym spojrzeniem omiółł wnętrze tonącego w mroku gabinetu, zarośniętego pajęczynami i wilgotnymi zaciekami grzyba.

-Ja nic jeszcze takiego nie powiedziałem – wymamrotał niepewnie Jakub.

-Od czegoś trzeba zacząć – stwierdził flegmatycznie łysy za biurkiem.

-Kiedy ostatni raz widział pan Marcina Cedra? – zapytał zniecierpliwiony chudy i szybkim krokiem podszedł do krzesła, na którym siedział Jakub.

-Nie jestem pewien – odparł Jakub.

-Jak to? – chudy zmarszczył brwi.

-Właśnie tak – powiedział Jakub. – Nie pamiętam dokładnie, a nie chciałbym skłamać.

-To dobrze, że nie chce pan skłamać – stwierdził łysy za biurkiem i popatrzył na Jakuba łagodnie. – Tutaj zawsze wszyscy strasznie kłamią – skrzywił się z obrzydzeniem – Łżą jak psy, nawet kiedy nie mają żadnego powodu. Ale pan niech mówi wszystko, co tylko pan wie.

-Wszystko może mieć znaczenie – wtrącił chudy opierając się rękami o poręcz krzesła Jakuba; Jakub poczuł jego oddech – mieszaninę orzeszków ziemnych i suchej kiełbasy. – Policjant to nie jakiś zawszony spowiednik, niemniej jednak...

-Diabeł tkwi w szczegółach – przerwał mu łysy i rozciągnął mięsiste usta w tajemniczym uśmiechu. – Diabeł. Szatan. Niech pan mówi.

-My będziemy słuchać – powiedział spokojnie chudy.

-Niech pan mówi – powtórzył cicho łysy policjant.

-Marcin Cedr był... jest... był moim największym przyjacielem – mówiłem ja, Jakub. – Jeśli można powiedzieć, że istnieją dwie bliźniacze dusze, to śmiało mogę powiedzieć, że nasze właśnie takie były. Poznawaliśmy wszystkie strony życia, te dobre, jak i złe. Doszliśmy do etapu, kiedy porozumiewaliśmy się monosylabami, które w naszym przypadku zastępowały wielkie dyskusje. Staczaliśmy się w otchłanie i wznosiliśmy się na wyżyny, jakich już teraz nie jestem w stanie pojąć.

Pewnej szalonej nocy pojawiła się Maria i równie szybko jak miłość pojawiła się trucizna i paniczne osamotnienie obłądnie przeplatane z przekonaniem o słuszności tego, co jest, powiązaniem z nieskończonością tego, co będzie i pogardą dla tego, co było.

-Czy mógłby pan mówić trochę jaśniej? – przerwał mu skrzywiony z niesmakiem chudy policjant, który teraz dla odmiany opierał się o wyładowaną papierami szafę, która skrzypiała przeraźliwie przy najmniejszym ruchu.

-Tak, oczywiście – Jakub pokiwał głową. – Maria i ja związaliśmy się ze sobą i był to chyba kliniczny przykład toksycznej pary. Powtarzam – toksycznej. Kliniczny. Maria pomału, ale skutecznie wkraczała we wszystkie dziedziny mojego życia, wprowadzając z początku niewielkie, lecz rosnące stopniowo ograniczenia i zakazy, które ja bez wyjątku uznawałem za słuszne. Zaczęliśmy

stanowić dwuosobową sektę, sektę w której ona była zakamuflowanym guru a ja – wiernym...

-Edward, zanotuj – przerwał Jakubowi chudy spod szafy. – Sekta.

-Pozbawiwszy mnie wszelkich pasji i zainteresowań – ciągnął Jakub – Maria zabrała się za moich przyjaciół. Pod jej wpływem wszyscy z nich pomału, lecz skutecznie wydali mi się nic nie wartymi idiotami – Jakub urwał i popatrzył w okno. Zabłąkany w zgniłojesienniej atmosferze wilgotny liść krążył koło obsmarkanej szyby, nie zdecydował się jednak przykleić i poszybował w szarosiną dal.

-I co dalej? – zapytał rzeczowym tonem łysy policjant za biurkiem.

-W końcu zasugerowała mi, że bym zerwał stosunki z Marcinem – odparł Jakub. – Zrozumcie, panowie, jej sugestia była równoznaczna z rozkazem. Zerwałem więc stosunki z Marcinem. Nie widzieliśmy się trzy lata, całe trzy lata, bo tyle trwał mój... związek z Marią. Potem, sam nie wiem jak mi się to udało, wyrwałem się spod jej władzy, nagi, pozbawiony umysłu i osobowości. Przeszedłem ciężką terapię, pozszywano mi moją osobowość ze strzępów jak patchwork i odnalazłem Marcina.

-I? – zapytał chudy policjant.

-No... – Jakub potarł dłonią twarz. – Ja się zmieniłem. On się zmienił. Ucieszył się na mój widok, lecz wiadome było, że nic nie zatrze straconych lat. Spotykaliśmy się, lecz rzadko. Sporadycznie. Każdy miał własne życie. To znaczy – Jakub dodał po chwili, – że on miał własne życie, nie ja.

-Edward, zanotuj – odezwał się chudy. – On nie.

Dziewięć

Pensjonat.

-A twoi rodzice? – zapytał Rysiek i odruchowo oblizał wargi.

Już czuł, że jego dżinsy stają się za ciasne w kroczu.

-Myślą, że zaniósę ci kolację i pójde spać – odparła z wyraźnym podnieceniem w głosie. – Nie będą mnie sprawdzać, ufają mi – roześmiała się, Rysiek roześmiał się również.

-Dobrzy rodzice.

Szczerząc w uśmiechu nierówne trochę zęby, które jednak zamiast ją szpecić, dodawały jej uroku, zdjęła błyskawicznie bluzkę i kładąc się na łóżko, gorączkowo pozbywała się reszty ubrania. Rysiek, nieco oszołomiony, próbował za nią nadążyć. Stracił równowagę i gdy nerwowo ściągał spodnie, ciężko padł na łóżko w dżinsach na kostkach i skarpetkach. Szybko pomogła rozebrać mu się do końca.

-Jak ty właściwie masz na imię? – wysapał.

-Marianna – odparła i położyła dłoń na jego ustach. – Ale już nic więcej nie mów. Weź mnie – szepnęła mu do ucha. – Szybko.

Usiadła na nim okrakiem i gładko przyjęła go środka. Zaczęła się kołysać miarowo, jednocześnie obniżając się, aż dotknęła ustami ust Ryśka. Rysiek poczuł, jak wsysa jego język do swoich ust. Zaczęła przyspieszać, prawie podskakiwała na nim, jednocześnie Rysiek czuł, jak jej szczęki zaciskają się na jego języku.

Gdy mu go odgryzła krew momentalnie napełniła ich usta.

A to był dopiero początek zabawy.

Krew splamiła prześcieradło.

Dziesięć

-No dobra – westchnął łysy zza biurka. – Wiele to nam pan nie pomógł. W każdym razie nie kłamał pan a to dobrze, bo tu z reguły wszyscy kłamią. Ale to już chyba mówiłem.

-Chyba – wtrącił z machinalną bezmyślnością chudy, który stanął za plecami łysego.

-Chyba – równie odruchowo powtórzył za nim łysy i w tym momencie odgłos zaciętej płyty jak i ludzki krzyk umilkły. – Prawdę mówiąc po człowieku, który uważany jest za największego przyjaciela denata spodziewaliśmy się więcej...

-O, tak – surowe spojrzenie chudego było już nieco zmęczone.

-W każdym bądź razie ominie pana chyba najbardziej niemiły obowiązek dotyczący denata, to znaczy pana i denata – cedził leniwie łysy.

-To znaczy? – zapytał Jakub.

-Identyfikacja zwłok – odparł chudy i ponownie przeszedł spod szafy pod okno i uprzedziwszy ewentualne pytanie dodał: – Chociaż tak zupełnie to nie będzie konieczne. Po panu Marcinie Cedrze został tylko szkielet. Czyściutki szkielet.

-Jak to? – wydusił Jakub i znowu usłyszał pogłos ludzkiego krzyku.

-Szkielet – wyjaśnił niewzruszenie łysy za biurkiem. – Szkielet czysty, jak spreparowany. Nie ogryziony czy też, hm, okrojony. Czyściutki. Jak wygotowany. Spreparowany. Białły jak pierwszy śnieg. To dziwne, dlatego i my jesteśmy dzisiaj dziwni. Pan Marcin Cedr został rozpoznany po użębieniu. A dla pana to... Nie ma co oglądać. Widział pan kiedyś szkielet w pracowni biologicznej w szkole, co? – łysy spojrzał na Jakuba przekrwionym okiem. – Ja lubię go oglądać.

-Widziałem – ledwo słyszalnie wyszeptał Jakub.

-No – odezwał się sucho chudy policjant. – A na piersi miał złoty medalion.

-Jaki medalion? – Jakub spojrzał na niego nieprzytomnie.

-Normalny – odparł twardo chudy policjant. – A na nim wygrawerowane jedno dziwne słowo – urwał efektownie. – G a h i m. Wie pan, co to jest gahim?

-Nie – szepnął Jakub.

Nie wiedziałem.

Jedenaście

Agnieszka szła ulicą zataczając się jak pijana. W jej głowie szalał chaos. Nie nadążała za następującymi po sobie wydarzeniami. Zwolniono ją szybko i bez najmniejszego słowa wyjaśnienia, w kategoriyczny sposób każąc jedynie zapomnieć o całej sprawie i to jak najszybciej.

Była już noc. Nieliczni ludzie snuli się ulicami. Agnieszka odruchowo kierowała się w stronę domu, nie myślała wcale o tym, że trzeba przejść niemal połowę miasta. Zrobiło się chłodno i zaczęła siąpić nieznosna mżawka. Agnieszka podniosła kołnierz, zapięła kurtkę i wsadziła ręce do kieszeni. Namacała w jednej z nich coś, czego przedtem na pewno tam nie było. Wyjęła to wolnym ruchem ręki. Była to mała plastikowa torebka. W mdłym świetle latarni zauważyła, że wypełniona jest żółtawym proszkiem.

Tłumione emocje dały o sobie znać i ciszę ulicy przeszył jej głośny, histeryczny śmiech.

Dwanaście

-Musimy pana poprosić, panie Zegadłowicz – martwą ciszę przerwał łagodny głos inspektora Millera – żeby opuścił pan dom na dzień lub dwa, dopóki nasi ludzie nie skończą swojej pracy. Ma pan się gdzie zatrzymać na noc lub dwie?

Zegadłowicz kiwnął głową jak automat.

-Chcę zobaczyć pokój Doroty – odezwał się głucho.

Inspektor Miller przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć.

-Chcę zobaczyć pokój Doroty – powtórzył Zegadłowicz z zaciętym wyrazem twarzy.

-Panie Adamie – powiedział Miller – To nie jest najlepszy pomysł. Po co panu teraz taka tortura?

-Mam prawo.

Miller patrzył z niepokojem, jak Zegadłowicz chwiejnym krokiem wychodzi z kuchni.

Zegadłowiczowi wydawało się, że śni. Z łazienki wyszedł jeszcze jeden policjant, gruby i rudy. Wyglądał jak świnia. Zapinał rozporek.

-Uff – odezwał się otłuszczonym głosem. – Od rana mam sraczkę – sapnął.

Zegadłowicz minął go i wszedł do salonu, który wyglądał, jakby przeleciało przez niego tornado. Plamy krwi na podłodze, poprzykrywane kawałkami folii. Skierował się w kierunku schodów i wolno zaczął wchodzić

wolnym krokiem. W połowie drogi przysiadł na schodku. Stracił siły. Po jakimś czasie bezmyślnego gapienia się przed siebie, wstał i poszedł dalej. Drzwi do pokoju Doroty były zamknięte, drżącą dłoń położył na klamce.

Pociągnął ją w dół. Drzwi uchyliły się z cichym skrzypieniem.

„Nigdy nie skrzypiały” – pomyślał odruchowo.

Wszedł do środka.

Trzynaście

Patrząc na przesiąkniętą krwią pościel, która utworzyła całun dla Ryśka, ojciec Marianny uśmiechnął się. Trochę krwi wsiąkło w dywan. Wiedział, że musi się pośpieszyć, żeby nie pozostała plama nie dająca się niczym usunąć. Będzie musiał również szybko zmyć krew ze ścian. Poszedł do składziku gospodarczego. Wziął dużą gąbkę, kilka szmat i wiadro. Gdy wrócił do pokoju, kałuża gęstej krwi zaczęła tworzyć ornament wokół ciała Ryśka. Skrzywił się i jednym mocnym ruchem uniósł ciało do góry. Szybko zaniósł ciało Ryśka do łazienki i jak worek kartofli zwałił je do wanny.

Gdy wrócił do pokoju, zastał w niej Bożenę.

-Jak mała się czuje? – zapytał, stawiając wiadro z wodą na podłodze.

-Zasnęła – odparła Bożena. – Najpierw ją umyłam, potem zaprowadziłam do łóżka. Była bardzo wyczerpana, zasnęła jak kamień – omiotła obojętnym wzrokiem pokój. – Zygmunt – spytała – Ile czasu ci to zajmie?

-Jak zwykle – odpowiedział Zygmunt. – Jakąś godzinę.

Bożena pokiwała głową i że pokrwawiony zegar na nocnym stoliku wskazuje trzynaście po północy.

-Zajmij się zaraz listą gości – powiedział Zygmunt.

-Jasne – pokiwała głową. – A co z ciałem?

-Zajmę się tym – uśmiechnął się lekceważąco. – Nie ma pośpiechu. Czy to pierwszy raz?

-Masz rację – uśmiechnęła się Bożena. – Musimy zachowywać się jak zawsze. I działać metodycznie.

Czternaście

Tym razem to chudy policjant siedział za biurkiem a łysy stał przy pokrytym zaciekami oknie.

-To było morderstwo – odezwał się chudy policjant tonem tak triumfalnym, jakby co najmniej odkrył prawo powszechnego ciężenia. – Nie tam żadna kradzież małej rzeczy w dużym sklepie. Morderstwo i to w dodatku tajemnicze morderstwo.

-Pod każdym względem – wtrącił flegmatycznie łysy spod okna.

-Pod każdym względem – powtórzył chudy i patrząc na Jakuba z ukosa uśmiechnął się krzywo. – A nam jakoś trudno jest uwierzyć, że pan, panie Wiąz, będąc najlepszym przyjacielem denata, nie wie pan o nim praktycznie nic.

-Ja już panom tłumaczyłem – powiedziałem, niecierpliwie wiercąc się na skrzypiącym krześle. – Przez trzy lata praktycznie nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Zaledwie kilka miesięcy temu...

-Wiem, wiem – chudy przerwał mu machnięciem ręki, jakby odganiał natrętą końską muchę. – Maria. Dwuosobowa sekta. Trzy lata. Pranie mózgu. Niemniej jednak...

-Kilka dni bywa nieraz długim okresem w życiu człowieka – przerwał mu łysy i majestatycznym krokiem przeszedł przez gabinet i stanął pod rozpadającą się szafą. – Co tu dopiero mówić o kilku miesiącach. Wierzymy w to, że pan coś jednak wie. Ufamy w to. Marcin Cedr to był pański najlepszy przyjaciel. Tak obrazowo mówił nam pan o upadkach i wzlotach, tych wyżynach... Nieważne. Nam już nie chodzi o jakieś cuda. Przyda nam się jakakolwiek informacja. W zaufaniu możemy panu powiedzieć, że podjęte śledztwo kręci się w kółko jak stary młyn do kawy, to znaczy, e, zepsuty stary młyn do kawy, to znaczy gówno, co stoi w miejscu. Chyba nie chciałby pan, żeby morderca, czy też mordercy pańskiego serdecznego przyjaciela uszli bezkarni? Cokolwiek, cokolwiek. Kontakty, powiązania, jakieś nazwisko, telefon, adres, coś co obilo się panu o uszy. Czasem obija się coś o uszy. Obija i sami z początku nie wiemy, że zostaje w głowie, można jednak...

Przysiągłbym, że znowu słyszę odgłos ludzkiego krzyku dobiegającego poprzez upiorny dźwięk zaciętej płyty gramofonowej.

-Czy panowie nie są w stanie zrozumieć tego – wycodziłem przez zaciśnięte zęby i zamknąłem oczy tak mocno, że pod powiekami zaczęły mi krążyć świetliste seledynowe plamy – że można z kimś stracić kontakt raz na zawsze, szczególnie będąc wrakiem pozszywanym z cudem ocalałych fragmentów podgniłej sfatygowanej duszy?... A taki gówniany umysł jest tępym jak zardzewiała siekiera i nie rejestruje nic, choćby mu to latało przed oczami jak jakiś zaszary ostrzegający przed niebezpieczeństwem puszczyk?

-Więc jednak nic? – po chwili ciężkiej ciszy odezwał się chudy.

Zacięta płyta i krzyk umilkły.

-Nic – powiedziałem.

Piętnaście

Zbudził mnie dzwonek telefonu. Zapaliłem lampkę nocną i sięgnąłem po słuchawkę.

-Jakub? – usłyszałem głos Michała.

-Tak, to ja – odparłem i chrząknąłem.

-Słyszałeś o Marcinie?

-Tak. Maja do mnie dzwoniła. Przesłuchiowano mnie już w tej sprawie kilka razy.

-Przesłuchiowano cię? Kiedy? Kilka razy?

-No, na pewno raz. Potem spałem... Może to był sen. Ale raz na pewno mnie przesłuchiwali. Chociaż...

-Co ty pierdolisz?

-Nic.

-Mnie też zawiadomiła Maja. Sorry, że cię obudziłem, chociaż może i dobrze dla ciebie, ale obdzwaniam wszystkich znajomych. Dzwoniłem do Agnieszki, ale jej nie ma. Znowu się pewnie gdzieś szlaja ta szmata. Kurwa, tym razem to już koniec. Ale ja nie o tym chciałem. Trzeba się spotkać, co?

-Koniecznie.

-Dobra, słyszę, że jesteś nieprzytomny. Przesłuchiwali cię, ta... Będę kończył. Dzwonię dalej. I zadzwonię później.

-O.K., będę czekał.

-To na razie.

-Cześć

Odłożyłem słuchawkę i zgasilem nocną lampkę.

Szesnaście

-Cieszymy się, że chce pan z nami współpracować – odezwał się chudy policjant bawiąc się ołówkiem. – Pięknie, pięknie. A więc jednak przypomnieli pan sobie coś niecoś?

Przez trwającą ułamek sekundy chwilę Jakub nasłuchiwał odgłosu zaciętej płyty gramofonowej i, kuląc się lekko w sobie, ludzkiego krzyku. To jednak było złudzenie. Trwała sterylna cisza.

-Nic nie wiem – odparł Jakub. – I nie wiem zupełnie, co tu robię.

Łysy policjant wolnym ruchem potarł porośnięty szorstką szczecina policzek.

-Ale my coś wiemy – powiedział sennie. – Wiemy trochę... Co nieco – ziewnął. – Od pana troszkę wiemy...

-Gównu wiecie – zdenerwował się Jakub. – Nic wam jeszcze nie powiedziałem.

-Uhuuhu – odezwał się łysy. – Jaki to porywczy.

-Przepraszam – bąknął Jakub obserwując fantastyczne kształty rozrastającego się na ścianie grzyba. – Jestem nerwowym człowiekiem. Policjanci jak na komendę zachichotali histerycznie, jeden cieńszym, drugi grubszy głosem, jednak który którym, tego Jakub nie umiał odgadnąć.

Ten pan jest nerwowym człowiekiem – wysapał łysy łapiąc powietrze ustami jak duszący się rekin. – Jejku, jakie to przykre.

-To okropne! – wydusił chudy w przerwie pomiędzy duszącym go chichotem. – Ten pan powinien jechać do sana... – czknął – ...torium!

Za oknem na krótki moment wyszło blade słońce. Jakby ze wstydem rozjaśniło wszystko dokoła, za chwilę z widocznym poczuciem obowiązku schowało się za ołowiane chmury.

-Przepraszam – powiedział Jakub. – Do widzenia. – i wyszedł.

Siedemnaście

Na widok powracającego z pokoju córki inspektor Miller doznał szoku.

-Panie Zegadłowicz – zdołał wyjąkać. – Pan posiwiął!...

Zegadłowicz spojrzał w przekrzywione lustro w korytarzu lustro i ujrzał skąpaną w półmroku, postarzałą o dekadę twarz z groteskową peruką białych włosów na głowie.

Policjanci milczeli.

Osiemnaście

Moje tępe odrętwienie przerwał natrętnie głośny dzwonek telefonu. Wstałem z fotela i poruszając się jak automat, podszedłem do aparatu i kanciastym ruchem podniosłem słuchawkę.

-Tak – wychrypiałem nie używanym od kilku godzin głosem.

-Tak, tak – usłyszałem w słuchawce skrzekliwy głos przypominający gadającą papugę. – Tak, tak.

-Kto mówi? – zapytałem mrugając nieprzytomnie, ze zdumieniem stwierdzając, że zbliża się południe.

-Marcin? – zaskrzeczał głos.

Spocilem się w ciągu ułamka sekundy.

-Jaki Marcin?

-No, no, jak to jaki? Cedr. Cedr.

-On nie żyje.

-Ach... Więc już nadszedł czas. Stało się, hi, hi. Tak trudno trafić we właściwy czas i miejsce. Trudno, nieprawdaż?

-Kim pan jest?

-Och... Przedstawić się byłoby takie trywialne. Oj, trywialne. Ty jesteś ten Jakub, jak sądzę? Myślę, że to ty. Czy ty jesteś trywialny? E, chyba nie. A ja tak.

-Czego pan chce?

-Wszystko we właściwym czasie. Nie można mieszać czasów. Jak już mówiłem, trafić we właściwy czas i miejsce jest trudno. Oj, oj, jak trudno. Mogę ci tylko udzielić pewnej wskazówki.

-Nie rozumiem.

-Jasne, na razie nic nie rozumiesz. Teraz nie jest wtedy ani później. Wskazówka to jest... no, nie wiesz, co to jest wskazówka?

-...

-Wiesz, wiesz. Ja wierzę w ludzi. Jesteśmy tacy sami, w każdym razie podobni, tak, tak. Ta wskazówka to będzie jedno słowo, którego, jak sądzę nie znasz. Tym bardziej będzie dla ciebie cenny. Słuchasz mnie, Jakubie, hm?

-Tak. Jakie to słowo?

-K o ś c i o s z c z u r.

Dziewiętnaście

Matka Marcina przywitała mnie dobrotliwym uśmiechem na pomarszczonej twarzy z wyżłobionymi po łzach bliznami. W mgnieniu oka dostrzegłem, że przeszła na starczą stronę życia. Wobec jej niedostępnego świata nowych zachowań i nawyków poczułem się bezradny i wiedziałem już, że rozmowa będzie bezcelowa.. Trudno mi było wykrztusić choć jedno słowo.

-Tak dziś chłodno. I ta mgła. – powiedziała kiwając głową z niezrozumiałym rodzajem starczej subiektywnej mądrości. – O, Marcin zawsze jest taki zimny. Od tamtej pory.

-Od kiedy? – bezsensowne pytanie wydostało mi się przez ściśnięte gardło.

-Gdy uszło z niego ciepło – odparła; kiwając ciągle głową popatrzyła na mnie pobłaźliwie. – Kiedyś też był mgłą. Ale taką gorącą. Ty chyba wiesz o tym – dodała ciszej i jej twarz skamieniała w bezmyślnym smutku.

Spuścił wzrok. Długą chwilę składałem się do wypowiedzenia kilku słów.

-Chciałem się pożegnać – odezwałem się w końcu. – Życzę pani...
Życzę...

Spojrzałem na matkę Marcina. Spała z półotwartymi ustami, z głową przechyloną w bok..

-Miałem dziwny telefon – szepnąłem zupełnie bez sensu gdy już wychodziłem, żeby zanurzyć się w dusznej mgle, która powodowała w moim rozedrganym umyśle niewyraźne słowami ani myślą osamotnienie i lęk.

Dwadzieścia

-Może teraz w końcu powiesz mi, gdzie byłeś tamtej nocy? – syknął Michał. – Co ci zależy. Przecież to i tak koniec.

Agnieszka milczała z zaciętym wyrazem na bladej twarzy.

Jakub odwrócił wzrok.

Siąpił zbutwiały jesienny deszcz, tworząc na cmentarzu sieć błotnistych kałuż połączonych krętymi strumykami. Zgniłe resztki liści zamieniły miejsca pomiędzy kałużami w ślizgawkę. Skromny kondukt pogrzebowy zachowywał się zabawnie – dzielił się na tych, którzy jak nieporadne króliki kicali pomiędzy kałużami i na tych, którzy grzęźli w śliskim błocie trzepocąc przy tym rękami jak ranne mewy. Jedynie grabarze w niepojęty sposób szli prosto i pewnie, z ponurymi minami niosąc na barkach ociekającą wodą trumnę.

-Tak to jest – mówił przy otwartym grobie pucułowaty ksiądz, sepleniąc straszliwie. – Człowiek żyje a potem umiera. Żyje a potem umiera. Tak to jest.

Grabarze w końcu zakopali trumnę, a właściwie przygnietli ją półpłynnym błotem.

-Lekka jakaś była – stwierdził z ponurą obojętnością jeden z grabarzy.

Zabrzmiał szloch. Jakub ukradkiem spojrzał w tamtą stronę. To matka Marcina, sześćdziesięciokilkuletnia wdowa wycierała nos chustką w kratę.

-I już – szepnął głucho Jakub i w tym momencie jego uwagę zwrócił jeden z ludzi towarzyszących pogrzebowi. Stał na uboczu, wyprostowany jak świeca, w całkowitym bezruchu. Jego blada, niemal biała twarz nie wyrażała absolutnie niczego, do tego stopnia, że jej rysy zdawały się być zatarte. Czarny garnitur, pomimo deszczu, wydawał się być suchy.

-Znasz go? – Jakub lekko pociągnął Michała za rękaw.

-Co?... – Michał nieprzytomnie zamrugnął zaczerwienionymi oczami, omiótł wzrokiem wskazaną przez Jakuba postać. – Nie, nie znam.

-Coś jest z nim nie tak – mruknął Jakub i dokładnie zlustrował nieruchomego człowieka.

Wtedy zauważył, że mężczyzna ten ma lewy but na prawej nodze i odwrotnie.

Spostrzegłem biały kartonik, wbity na sztorc w błoto, tak bardzo kontrastujący z otaczającą go brudną zieloną breją, że nie mogłem się powstrzymać, żeby go nie podnieść.

Człowiek w zamienionych butach zniknął za bramą cmentarza.

Spojrzałem na karteczkę. Była to wizytówka, na której prostą czarną czcionką widniało słowo **Gahim**. Nic więcej. Schowałem ją do kieszeni.

-Kuba, chodźmy – usłyszałem nad uchem głos Michała i poczułem lekkie klepnięcie w ramię. –Już po wszystkim. Gdzie ty chciałeś uciec?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

-Szedłem – bąknąłem.

-Chodź, Aga –Michał popatrzył smutnym wzrokiem na ledwo trzymającą się na nogach Agnieszkę i westchnął.

Dwadzieścia jeden

Pensjonat.

-A czy, jeśli pan pozwoli, mogę zapytać – Bożena uśmiechnęła się z profesjonalną uprzejmością – dlaczego wybrał pan akurat nasz pensjonat?

Mateusz popatrzył przez okno na majaczące we mgle szczyty gór.

-Wie pani – odparł równie uprzejmie jak ona, - chyba dlatego, że stoi on na takim uboczu. Wszystkie inne ściśnięte są jeden przy drugim, pełno w nich ludzi, a to niezbyt mi odpowiada.

-Taki młody człowiek – uśmiechała się Bożena. – Nie lubi pan towarzystwa?

-Chciałbym odpocząć – odparł Mateusz krótko.

-Rozumiem – Bożena pokiwała ze zrozumieniem głową. – Poza sezonem jest tu raczej spokojnie.

Przez recepcję przemknęła jak zjawą młoda dziewczyna z rozwianymi długimi rudymi włosami. Na ułamek sekundy zatrzymała na Mateuszu wzrok, po czym zniknęła gdzieś w głębi pensjonatu.

-To nasza córka Marianna – wyjaśniła Bożena, patrząc na Mateusza uważnie. – Śpieszyła się. Z pewnością się jeszcze poznacie.

-Z pewnością – Mateusz pokiwał głową.

-Proszę – Bożena podała mu klucze. – Pokój 66. Miłego wypoczynku.

-Dziękuję.

Bożena patrzyła na lekko zgarbione plecy wchodzącego na schody Mateusza.

Dwadzieścia dwa

Obudziłem się z kacem i niczego innego się nie spodziewałem. Nie chodziło tu nawet o alkohol, który wypilem na stypie po Marcinie z Mają, milczącą Agnieszka, Michałem, Łukaszem, Iwoną i jeszcze kilkoma przyjaciółmi. Nie wypilem go aż tak wiele. Wydawało mi się, byłem raczej tego pewny, że kac jest reakcją obronną organizmu na o wiele gorszy stan, jakiego mógłbym dostąpić.

-On naprawdę nie żyje – wychrypiałem, pomimo iż wiedziałem, że w tej chwili nie powinienem o tym ani myśleć, ani co więcej wypowiadać tego na głos.

Jak zwykle przy śniadaniu otworzyłem gazetę z poprzedniego dnia. Przeszło mi to w nawyk, pomimo, że nie interesowały mnie słowa, jakie wyczytywałem. Szczątkowe śniadanie złożone z jakichś węglowodanów ledwo przechodziło mi przez gardło a słowa drukowane w gazecie przelatywały mi przez umysł w stanie nienaruszonym.

Do momentu, kiedy mój mózg polechtały słowa nieco różniące się od poprzednich:

„Preparowanie szkieletów – ludzkich, zwierzęcych, pełny profesjonalizm, tel. 876975676, po 15.00.”

Następne ogłoszenie, na którym spoczął mój błędzący wzrok, brzmiało po prostu:

„Jestem jeszcze młody i nie wiem, co ze sobą zrobić. Oczekuję propozycji, ze śmiercią włącznie.”

Inne:

„Od sześciu lat pracuję nad tym, żeby to wszystko rozpiardolić. Poszukuję współpracownika do papierkowej roboty.”

Wreszcie mój mózg poraził napis, szlachetny w swojej prostocie:

*„**Gahim.** Poznaj to, czego nie poznałeś. Czekamy na ciebie. Co noc.”*

Potrząsnął obolałą głową, moje szare komórki prześwidrowało złotymi zgłoskami słowo **gahim**.

Odłożyłem gazetę. Z kieszeni przewieszanej przez oparcie krzesła marynarki wyciągnąłem lekko ubłocony biały kartonik i wpatrując się w niego, z początku owładnięty gonitwą myśli, wkrótce zapadłem się w tępy stupor, w którym trwałem aż do późnego wieczora.

Dwadzieścia trzy

Rozebrał się, szybko wsunął się do łóżka i położył obok Marleny. Wymamrotała coś przez sen. Zegadłowicz niezwykle delikatnie objął ją za szyję. Drgnęła i obudziła się. Usiadła na łóżku. Nawet w ciemności zauważył, że ma mokre policzki.

-Jezu – wyszeptała łamiącym się głosem. – Adam, masz białe włosy...

-Nieważne – powiedział głosem androida. – Moje ciało tak zareagowało – odgarnął siwą grzywkę, opadającą mu na czoło. – To nieważne. Po prostu posiwiałem. To nie jest ważne.

Marlena przytuliła się do jego zeszywniałego ciała.

-Gdybyśmy tam byli – zaszlochała. – Gdybym nie była w szpitalu, a ty nie miałbyś zebrania, to wszystko byłoby inaczej.

Chciał coś powiedzieć, lecz nie umiał w tej chwili kłamać, a prawda...

-Boże – szepnął tylko.

Pograżyli się w rozpacz, a ich odczucia różniły się od siebie.

-Boże – powtórzył jeszcze raz Zegadłowicz.

Dwadzieścia cztery

W restauracji był tłok.

„To bardzo dobrze” – pomyślała Agnieszka i jeszcze raz rozejrzała się uważnie po sali, szukając podejrzanych twarzy.

„Nikt nie wygląda na tajniaka – podeszła do stołu z przystawkami i sałatkami. – Chyba mnie nie śledzą.”

Na chwilę zacisnęła mocno powieki.

Potem wzięła do ręki talerz i udając, że rozgląda się po potrawach, ukradkiem sypała do sałatek żółtawy proszek z małej foliowej torebki.

Dwadzieścia pięć

-On był nienormalny – wycedził Michał i odstawił pusty kieliszek. – Sorry, że akurat mówię to na stypie po nim, ale był. Ale nie przypuszczałem, że aż tak nienormalny, żeby dać się zabić. I jeszcze... kurwa, nie przejdzie mi to przez gardło.

-On się zaczął zadawać z niezłymi pojebami – odezwał się dotąd milczący Łukasz. – Takimi pojebami, że wam się to w pale nie mieści.

-Jak to się nie mieści? – spytał Jakub.

-Nie mieści – powtórzył Łukasz i Jakub przysięgłby, że w jego oczach przez moment zamigotał paniczny strach. – Nie mieści.

-Mam atak – wymamrotała słabo Maja i osunęła się na krzesło.

-Uspokój się, histeryczko! – wrzasnął na nią jej chłopak, Łukasz. – Uspokój się! Chociaż dzisiaj! Daj mi się spokojnie upić!

-Przestańcie – poprosiłem.

Dwadzieścia sześć

Deszcz zacinał zimnymi strugami.

Skończył kopać dół i wrzucił do dołu sztywnego trupa czarnego kota. Chwycił znowu za łopatę i zaczął wrzucać do dołu lepkie błoto. Po niedługim czasie dół był zakopany.

Usłyszał za sobą szmer. Odrzucił łopatę i odwrócił się tak szybko, że pośliznął się na mokrej ziemi i omal nie upadł.

Nikogo nie zauważył w ciemności.

Rozsunął ociekające wodą zarośla i, rozgarniając je, szedł powoli.

Poczuł, że coś dotyka jego ramienia. Nieomal wrzasnął. To pokręcona gałąź uderzyła w niego. Szedł dalej osłaniając twarz przed bezlistnymi gałęziami, chłuszczącymi go jak bicz.

I gdy wyłonił się z zarośli, ujrzał przed sobą postać, która trzymała pozostawioną przez niego łopatę. W strugach deszczu nie umiał rozpoznać jego twarzy. Długa jak wieczność chwilę stali naprzeciwko siebie bez ruchu.

Nagle postać rzuciła łopatę, która poszybowała szerokim łukiem i uderzyła go w policzek. Uderzenie zgruchotało kość i jego prawy policzek zapadł się. Trzask kości zagłuszył okrzyk bólu. Upadł w błoto. Postać podeszła do niego i przez chwilę stała nad nim a potem jeszcze raz z całej siły uderzyła łopatą, tym razem w nogi. Obie kości goleniowe były złamane. Wył z bólu, czując, jak jeden z piszczeli przebija mu się przez skórę.

Postać chwyciła go za włosy i unióś jego głowę w górę.

Skowyczał jak pies, gdy ujrzał długą szpilkę zbliżającą się do jego prawego oka.

Michał zerwał się z pościeli, dysząc ciężko. Był mokry od potu.

-Sen – zdołał wyszeptać przez ściśnięte gardło.

Dwadzieścia siedem

Mam na imię Jakub. Nie mogę o tym zapomnieć.

Wieczorem usłyszał pukanie do drzwi. Pokonując nieznośny ból całego ciała, dźwignął się z kanapy i podszedł do drzwi.

Sąsiad spod trzynastki najwidoczniej wrócił właśnie z hydraulicznej pracy, miał na sobie bowiem brudne dżinsowe ogrodniczki i flanelową koszulę w kratę. Wysłuzona stara skórzana teczka zwisała fantazyjnie z jego muskularnego ramienia.

-He – wydał z siebie schrypnięty alkoholowy głos. – Witam sąsiada. Witam, witam.

-No, ja też pana witam – wyjąkał Jakub i zamrugał nerwowo. – Pan sąsiad. Jak miło. Proszę, pan wejdzie...

Sąsiad wszedł, nonszalancko rzucając teczkę w korytarzu.

-Ech, sąsiad, sąsiad – rzucił, kłapiąc na fotelu. – Ty to chyba masz niezłe kłopoty. Zgadza się?

-No, nie wiem – wyjąkał Jakub przestępując z nogi na nogę.

-Bo jak się nie zgadza, to się nie zgadza – sąsiad hydraulik prześwidrowywał Jakuba zażawionymi oczkami. – To sobie pójdę. Ja jednak myślę, że się zgadza. No nie?

-W porządku – Jakub pokiwał głową. – Mam kłopoty. Wie pan coś na ten temat?

Sąsiad zaśmiał się chrapliwie i popatrzył na Jakuba figlarnie.

-Trudno nie wiedzieć, sąsiad – założył nogę na nogę ukazując przybrudzone białe skarpetki.

-Proszę się wyrażać jaśniej – Jakub pomału zaczął tracić cierpliwość.

-Trudno nic nie zauważyć – ciągnął sąsiad. – Wracam z roboty do domu, a tam na każdym domu, na każdym murze nasmarowane czerwoną farbą takimi wielkimi bykami JAKUB WIĄZ, JAKUB WIĄZ, JAKUB WIĄZ... Wszędzie. Zgłupieć można. To pomyślałem, że chyba coś jest nie tak, kawał jakiś, czy naraził się pan komuś, czy jak...

Oświeiliłem kieszonkową latarką niemal każdy milimetr ścian domów w okolicy kilometra.

Nic. Ani kropli czerwonej farby.

JAKUB WIĄZ.

Nie, nie...

Nic nie ma.

Nic takiego.

Nieprawda.

Nie ma.

Ja

Nic.

Spokojnie. Nikt....

Gdy wróciłem do domu, nie zastałem tam sąsiada. Wtedy zacząłem zastanawiać się intensywnie, czy mam sąsiada hydraulika. Nie. Tak. Chwileczkę. Muszę się uspokoić.

Muszę pozbierać myśli.

Myśli.

Fakty. Zaraz....

Zaraz...

Machinalnie wyciągnąłem z kieszeni przybrudzony biały kartonik, który ciągle tam tkwił.

Dwadzieścia osiem

Jakiś czas temu.

-Panie Adamie, nie sądzi pan, że trochę pan demonizuje całe zdarzenie? – dyrektor szkoły Paliświat skrzywił się zadając to pytanie.

Zegadłowicz popatrzył na niego z niedowierzaniem.

-Demonizuję? Ten chłopak to szaleniec – mówił, próbując panować nad nerwami. – Widziałem całe zdarzenie. Zapraszam do gabinetu lekarskiego, panie dyrektorze. Obejrzy pan ucznia Dębowicza, który czeka na przyjazd ambulansu.

Paliświat uniósł dłoń.

-Spokojnie – powiedział. – Nie mówię, że nic się nie stało. Ale to był przykry wypadek

-Przykry wypadek?! – zawołał Zegadłowicz; nerwy puściły. – Miller odgryzł Dębowiczowi ucho. Kurwa mać, on je przeżuł i połknął! Jak pan myśli, co zrobi następnym razem? Urwie mi nogę?

-Teraz to już pan przesadza – zirytował się Paliświat. – Czego pan właściwie chce? Co mam zrobić z Millerem? Wezwać policję i poprosić, żeby zamknęli gówniarza w więzieniu? Już wezwałem jego matkę. Powiedziała, że przyjedzie jak najszybciej. Millera zawiesiłem w prawach ucznia do czasu, aż sprawa przycichnie.

Zegadłowicz potrząsnął z niedowierzaniem głową.

-Orientuje się pan – spytał spokojniejszym już głosem – czy Miller wykazywał w przeszłości jakieś odchylenia od normy? Może zdarzyło się już coś podobnego?

-Skąd? – odparł dyrektor. – Chłopak dobrze się uczy i jest bardzo inteligentny.

-Nie wątpię – syknął Zegadłowicz. – To nie ma nic do rzeczy.

-Owszem, ma – powiedział stanowczo Paliświat. – Jak dotąd nie było z nim żadnych problemów.

Zegadłowicz podszedł do drzwi gabinetu i uchylił je. Miller siedział w sekretariacie z całkowicie obojętną twarzą. Zegadłowicz popatrzył przez chwilę na chłopaka, zaraz zamknął drzwi gabinetu.

-Zaobserwowałem, że Mateusz Miller zdaje się przewodzić klasie – powiedział.

Dyrektor wzruszył ramionami.

-Chyba nie muszę panu tłumaczyć, że tak zazwyczaj bywa z inteligentnymi uczniami – odparł. – Pan jest chyba do niego uprzedzony, panie Adamie?

-Uprzedzony?!

-Tak – Paliświat pokiwał głową. – Niech pan weźmie pod uwagę, że chłopak ma rok do matury.

Mężczyźni przez chwilę patrzyli na siebie w napięciu. Rozległo się pukanie do drzwi gabinetu. Sekretarka wsunęła głowę, popatrzyła na nich ze zdziwieniem.

-Przyszła pani Miller – przerwała ich milczenie.

Paliświat chrząknął.

-Niech wejdzie do gabinetu – polecił nie patrząc na Zegadłowicza.

Drobna kobieta o mysich włosach spiętych w koński ogon weszła do gabinetu. Ubrana była cała w obcisły dżins. Paliświat przywitał ją i poprosił, żeby usiadła.

-Zostałam wezwana – odezwała się cichym głosem. – Czy stało się coś poważnego? Nic nie stało się owi? – zapytała z niepokojem.

-Chodzi o bójkę – odparł szybko Paliświat, jakby chciał uprzedzić Zegadłowicza. – Pani syn brał w niej udział.

-Czy on jest ranny? – zapytała Pani Miller z szeroko rozwartymi oczami. – Widziałam go siedzącego w sekretariacie, ale nie zdążyłam z nim porozmawiać.

-Wprost przeciwnie – Zegadłowicz uprzedził odpowiedź dyrektora – Pani syn dostał ataku szału i odgryzł ucho drugiemu uczniowi.

Paliświat popatrzył na niego wściekle.

-To z pewnością był nieszczęśliwy wypadek – uśmiechnął się drętw. – Pomyśleliśmy jednak, że najlepiej będzie, jeżeli przez parę dni nie będzie chodził do szkoły.

Kobieta milczała chwilę, po czym odezwała się uprzejmym tonem:

-Oczywiście, zostanie w domu, skoro uważa pan to za najlepsze rozwiązanie. Mam szczerą nadzieję, że ten drugi chłopiec szybko wydobrzeje.

-Z pewnością – powiedział z przekąsem Zegadłowicz. – Ucho mu jednak nie odrośnie, jak sędzę.

Pani Miller popatrzyła na niego z ledwie zauważalną niechęcią.

-Chyba zbyt pochopnie wini pan a za to, co zaszło.

-Mam oczy, pani Miller – powiedział Zegadłowicz.

-Mógł zostać sprowokowany.

-Sprowokowany do odgryzienia koledze ucha? Uważa pani, że to normalne?

-Nie dajmy się ponieść emocjom – przerwał ich wymianę zdań poczerwieniały na twarzy Paliświat. – Ja jednak jestem pewien, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Pani Miller wstała z krzesła.

-Najlepiej, jak już pójdę – powiedziała szybko. – Zabiorę Mateusza ze sobą.

Gdy wyszła, dyrektor popatrzył na Zegadłowicza ciężkim wzrokiem.

-Zadowolony? – zapytał siląc się na spokój, po czym popatrzył na zegarek. – Zdaje się, że ma pan teraz lekcję, panie Zegadłowicz.

Zegadłowicz szybkim krokiem wyszedł z gabinetu trzaskając za sobą drzwiami.

Dwadzieścia dziewięć

Ja, Jakub.

Wskoczył na tylne siedzenie pierwszej taksówki na postoju.

-Dokąd jedziemy? – zapytał taksówkarz nie odwracając głowy.

Przez chwilę nie bardzo wiedział, co powiedzieć. W końcu odparł po prostu:

-Gahim.

Po chwili ciszy kierowca powiedział beznamiętnie:

-Spierdalaj pan.

-Słucham? – bąknął Jakub.

-Spierdalaj pan z mojego samochodu – powiedział kierowca. – Ale już.

Wysiadł i zdumiony patrzył jak samochód z piskiem opon odjeżdża z postoju.

-Dokąd? – rzucił znudzonym głosem kierowca drugiej taksówki i ziewnął nie zasłaniając ust.

Nozdrza Jakuba poraził stężony dym marihuany.

-Właściwie to... – ciszę późnego wieczoru przerwał odgłos klaksonu, powtórzony kilkakrotnym echem. – ..Gahim. Wie pan, co to jest i gdzie?

-Jasne, że wiem. To jakiś teatrzyk, czy coś w tym stylu. Podejrzane miejsce – taksówkarz w dziwnie dobrotliwy sposób wydał mięsiste wargi. – Nie jestem z dupy wyjęty. Wożę takich jak pan od trzynastu lat. Dzisiaj mam rocznicę, á propos.

-Gratuluje – Jakub chrząknął i zakaszłał. Po chwili dodał:

-To może powinien pan dzisiaj odpocząć? – i popatrzył z niepokojem na zaczerwienione i załzawione oczy kierowcy.

-E, kolego, to czego pan właściwie chce? – zapytał taksówkarz i zaśmiał się krótko, dychawicznie. – Wież pana, czy odpoczywać?... Poza tym nawet w święto jestem w stanie prowadzić taryfę. Pijany nie jestem.

-Zauważyłem – mruknął Jakub.

-Oczywiście mógł pana zbulwersować zapach tego wspaniałego dymu w moim wozie – mówił taksówkarz, płynnym, acz lekko zwolnionymi ruchami zmieniając biegi. – Jak zdążyłem wypercypować poprzez moje wyostrzone zmysły zna go pan dobrze. To dobrze. To dobrze. Dobrze. Niech pan sobie wyobrazi, że na moim miejscu siedzi jakaś pijana zarzygana świnka. To by było karygodne, tak karygodne jak zabicie Abła przez Kaina, to znaczy odwrotnie, to znaczy...

-Czy mógłby pan chociaż uchylić okno? – Jakub przerwał słowotok kierowcy. – Wydaje mi się, że mnie również wyostrzają się zmysły, a nie jestem pewien, czy mi to dzisiaj potrzebne...

-Wyostrzone zmysły jeszcze nikomu nie zaszkodziły – powiedział taksówkarz z uśmiechem lubości na ustach, lecz uchylił okno. – Ale wedle życzenia.

Twarz Jakub owionął podmuch może niezbyt czystego, lecz neutralnego powietrza.

-Dziękuję – powiedział Jakub cicho. – Kiedyś też paliłem dużo marihuany, ale to było bardzo, bardzo dawno temu. Naprawdę bardzo. Teraz zostało mi tylko już to śmierdzące powietrze za oknem.

-Współczuję panu – powiedział niezwykle poważnym tonem taksówkarz i zamilkł na resztę drogi poprzez ciemne wąskie uliczki.

-Niewiele mnie może zaskoczyć – taksówkarz, który przedstawił się jako Gabriel popatrzył na Jakuba. – W końcu taką mam pracę. Ale... Po co chcesz jechać do Gahim? To miejsce ma dziwną opinię. Niektórzy ciągną tam jak w dym, inni unikają, albo się boją. A ja nawet nie wiem dokładnie, co to jest.

Jakub oderwał zamglony wzrok od szyby, po której goniły się strugi deszczu.

-To za długa historia jak na teraz – odpowiedział wolno. – Ale czuję, że muszę. Postępuję intuicyjnie. A intuicja i inne... takie... wskazówki każą mi tam jechać. Nawet nie wiem, czego szukam, ale szukam. To ważne.

Gabriel zaciągnął się z fajki, przytrzymał dym w płucach, po czym zaczął mówić, stopniowo wydychając dym:

-Miałem kumpla. Był super jako kumpel. Rafał.. Normalnie można powiedzieć, że prawie przyjaciel, chociaż co to znaczy przyjaciel?... Dobra.... I raz zaczął się zadawać z dziwnymi ludźmi. Oni byli dziwni i on sam stał się dziwny. Takiego go przedtem nie znałem. Bo dzwoni do mnie Rafał w nocy i ja poznaję jego głos, a on nawija w obcym języku. I to dramatycznym tonem. Pytam, co jest i słyszę sygnał. Potem widzę go na ulicy, jakiś taki zmarnowany, blady, a co najgorsze, zauważyłem, że odwrotnie buty założył. Uciekł na mój

widok, tyle, że zgubił reklamówkę tego twojego Gahim. A potem po dwóch miesiącach dowiaduję się, że Rafał w szpitalu wariatów. No to go odwiedziłem. A on w kaftanie, wzdryga się, rzuca i mówi: „Szczury”. Ja pytam, jakie szczury a on przymyka ze strachu oczy, twarz ma jak opłatek i chrypi: „Szczury. Wszędzie szczury.”

-Kościoszczury? – wyrwało się Jakubowi.

Gabriel popatrzył na niego ze zdziwieniem. Zmarszczył z wysiłkiem czoło.

-Szczury – powtórzył wolno. – Szczury. Szczury.

-Nikt nie ma pojęcia – ciągnął leniwie Jakub. – Nikt naprawdę nie ma pojęcia, jak można być zniewolonym przez kobietę. Zresztą, nie chodzi tu o kobietę. Dokąd jedziemy?

-Nasz klient, nasz pan – odparł Gabriel spowity kłębam dymu. – Tam, dokąd chciałeś, Kubuś, samobójco. Do Gahim, kochany. Jesteś dorosły, nie mogę cię powstrzymać....

-Rzygać mi się chce – omdlewającym głosem odezwał się Jakub.

-Tak, tak – powiedział skwapliwie Gabriel. – Ktoś, kto dawno nie palił... Poczekaj chwilę, tu zjadę, tu jest stacja benzynowa. Załatwisz, co trzeba, ja na ciebie poczekam.

Chwiejnym krokiem Jakub wydostał się z taksówki i stanął na mokrym asfalcie. Ostre światła stacji benzynowej poraziły jego oczy.

-Zaraz będę – rzucił Jakub, zygzakiem zbliżając się do mglistych świateł.

-Czekam – usłyszał głos taksówkarza Gabriela. – Czekam na ciebie.

Jakub przeszedł kilka kroków, przystanął dysząc. Potrząsnął głową, ruszył dalej. Po niespełna dziesięciu krokach zabrzmiał wybuch, który poraził gorącą falą jego plecy i rzucił go twarzą na zabłocony asfalt.

Kiedy odwrócił się, zobaczył, że wóz taksówkarza Gabriela stoi w płomieniach sięgających ugwieżdżonego nieba.

Upadł. Jego świadomość uleciała nie wiadomo dokąd.

Poczuł w gardle delikatne muśnięcie ciepłej wilgotnej gąbki.

Zwymiotował.

Gorąco.

Rozłożył szeroko ręce.

Poleciał wyrывая się z lepkiej zimnej rzeczywistości w przyjemnie ciepłą nieświadomość.

Lecę.

Chlap.

*wszystko płonie w otchłani wilgoci
po omacku szukam swojej głowy
słońce zaszło*

Trzydzieści

Jeden z policjantów, poruszając się jakby w zwolnionym tempie podszedł do Deva Amara i odpiął mu kajdanki. Reszta policjantów stała bez ruchu z nogami jak z kamienia.

-Inspektorze Brański – odezwał się Dev beztrąsko, – widzi pan, jakie to proste.

Brański chciał coś powiedzieć, ale poczuł, że nie może.

-Kiedy wyjdę – mówił Dev – żaden z was nie będzie mógł się ruszyć przez dziesięć minut, a potem ty, Brański, wyjmiesz z kabury pistolet i strzelisz sobie w usta – omótl wzrokiem resztę policjantów. – Oczywiście żaden z was nie będzie mógł mu w tym przeszkodzić.

Popatrzył na Brańskiego, na którego czole pojawiły się drobne kropelki potu. Popatrzył na niego z pogardą, a potem poklepał po policzku.

-Cóż, wszystko ma swój koniec – zaśmiał się cicho. – Nie martw się, wysyłam cię do lepszej rzeczywistości.

Dev nie spiesząc się przesadnie wyszedł z gabinetu.

Po dziesięciu minutach głuchoj ciszy w gabinecie rozległ się strzał.

Trzydzieści jeden

Wnętrze restauracji wyglądało trochę jak po mafijnych porachunkach. Sanitariusze wynosili leżące wszędzie zastygłe w różnych pozach ciała. Niektóre z nich były półnagie, agent C zauważył, że kilka nagich par zamarło splecione na zawsze w miłosnym uścisku.

-To było nieprawdopodobne – jękał się właściciel restauracji. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem i nigdy już nie chciałbym zobaczyć.

Jeden z mężczyzn w ciemnych garniturach, agent A położył mu w uspokajającym geście dłoń na ramieniu i powiedział cichym głosem:

-Niech pan się spróbuje uspokoić. Proszę nam opowiedzieć wszystko od początku.

Właściciel restauracji wziął głęboki oddech, chwilę milczał, potem zaczął mówić:

-Wszystko było normalnie, jak każdego wieczora. Wszyscy siedzieli przy stolikach, było trochę głośno, bo restauracja była pełna. A potem... – zamilkł.

-Proszę mówić dalej – poprosił agent B.

Właściciel restauracji przełknął ślinę.

-Usłyszałem narastające śmiechy i dziwne okrzyki radości. Wyszedłem z zaplecza i zauważyłem, że ludzie zachowują się, jakby byli w jakimś dziwnym uniesieniu. To zaczęło się nasilać. Zaczęli wykrzykiwać w euforii jakieś niezrozumiałe słowa, wchodzili na stoły i tańczyli. Niektórzy zaczęli zdzierać z siebie ubrania, krzycząc, że krępują ich dusze... – zająknął się. – Potem pojawiły się kopulujące pary, tarzające się w porzrzuconym wszędzie jedzeniu.

Zamilkł.

-A potem? – zapytał agent B.

-Potem ze strasznym krzykiem jedno po drugim zaczęli padać na podłogę, na stoły, wili się a potem przestali się ruszać.

-Dobrze – agent A pokiwał głową. – Dziękujemy panu. To na razie wszystko. Wezwiemy pana jeszcze, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Właściciel restauracji oddalił się marynarskim krokiem.

-No to już wszystko jasne – odezwał się agent A.

-Jedzenie do analizy – powiedział agent C. – Ciała poddać sekcji. Jestem dziwnie pewny co do wyników analiz.

-Tylko kto? – agent B zmarszczył czoło. – Amara przymknęliśmy...

-Może ma współnika – powiedział agent A i popatrzył na swoich kolegów. – Albo ucznia.

Trzydzieści dwa

Dzwonek telefonu.

-Halo, Agnieszka?

-Agnieszka, jesteś tam? Odezwij się, to ja, Michał.

-Jestem.

-Dzwonię, bo...

-Tak?

-Nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać?

-Nie, raczej nie. Powiedziałeś koniec. Jak koniec, to koniec.

-Mówię różne rzeczy, jak jestem zdenerwowany. Chciałbym coś wyjaśnić.

-Co takiego?

-Gdzie byłeś tamtej nocy i jeszcze kilka mniej ważnych spraw.

-Halo, Agnieszka.

-Jestem.

-Uważasz, że nie zasługuję na rozmowę?

-Nie wiem.

-Co się z tobą dzieje?

-Nic.

-Agnieszka, może nie powinienem teraz tego mówić, różnie między nami bywało, ale ja ciągle... ciągle cię kocham i...

-Co takiego?

-Co?...

-Co ty mnie?

-Powiedziałem, że cię kocham i chciałbym...

-Nie rozumiem tego, co mówisz.

-Jak to nie rozumiesz? Kocham cię!

-Nie rozumiem.

-Przestań się ze mnie nabijać.

-Nie nabijam się. Po prostu nie rozumiem.

-Agnieszka, co z tobą?

-Ze mną? Nic.

-Nic?! No to się pierdol!... Pierdol się!...

Trzask rzucanej słuchawki.

Michała paliły uszy. Czuł wściekłość i wstyd, ale także odsunięty na plan dalszy niepokój.

„Znowu to powiedziałem tej kurwie! Znowu! Tej popierdolonej kurwie! Po co w ogóle dzwoniłem!?”

Agnieszka wsunęła rękę do kieszeni dzinsów i namacała plastikową torebkę.

Kolejną.

Uśmiechnęła się do siebie.

Wstała i wolno założyła kurtkę. Nie mogła być teraz w domu.

Wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Trzydzieści trzy

Zegadłowicz zerwał się w środku nocy.

„Miller – huczało mu w głowie. – Miller!!!”

Popatrzył na śpiącą żonę, przez chwilę chciał ją obudzić, zaraz jednak uspokoił się i zrezygnował.

„Ten glina nazywał się Miller – myślał gorączkowo. – Tak jak ten główniarz psychopata. Muszę to sprawdzić. Tak, muszę to sprawdzić.”

Trzydzieści cztery

Wytlumiony pokój.

-Świetnie – powiedział agent B., dając się ponieść chwilowej niemocy – Brański nie żyje, Amar na wolności. Naprawdę wspaniale. Wnioskuje, że cała nasza praca idzie na marne.

-Niezupełnie – zripostował agent A. – Teraz przynajmniej mamy pewność, że Amar dysponuje siłą obezwładniającą. To coś w rodzaju hipnozy.

-Obawiam się, że to coś mocniejszego, niż hipnoza – odezwał się agent C. – Moim zdaniem to jakieś długoterminowe zniewolenie umysłu, które pan Amar wykorzystuje.

- Tak, racja – powiedział agent A. – Nawet podejrzewaliśmy przecież, że ma jakiegoś ucznia albo współnika, który być może działa wbrew sobie.

-Właśnie – powiedział agent B. – Albo współwyznawcę, który działa świadomie..

-Czego współwyznawcę? – zapytał agent C.

-Śmierci – odparł B. – Po prostu. Być może cała sprawa jest prostsza, niż myślimy. Wyznawcę śmierci.

-Wyznawcę śmierci – powtórzył agent C i popatrzył na kolegów uważnie. – Po prostu?

-Po prostu – powiedział agent B.

Trzydzieści pięć

Pensjonat.

Zygmunt patrzył na nogi dziewczyny wchodzącej na schody, a potem wrócił do kuchni, żeby dokończyć stygnącą kawę z Bożeną.

-Dziewczyna? - pół zapytała, pół stwierdziła Bożena. – Młoda?

-Młoda – odparł Zygmunt wolno.

-No to nie będzie pożytku – Bożena upiła łyk kawy – dla Marianny.

Zygmunt długą chwilę milczał, a potem powiedział spokojnym głosem:

-Dla Marianny nie.

Bożena spojrzała na niego ze zdziwieniem.

-A dla kogo? – zapytała patrząc na męża uważnie.

-Dla mnie – odparł lekko Zygmunt czując niewysłowioną ulgę.

-Co?

-Dla mnie. Od dawna chciałem spróbować.

-O czym ty mówisz?

-Chcę spróbować. Chcę doznać tego, co moja córka.

-Czy ty mówisz serio?

-Jak najbardziej. Chcę tego.

-Zygmunt, opanuj się. Pragniesz nowych wrażeń. Czy ja...

-Nie o to chodzi. Kocham cię i seks z tobą w pełni mnie zadowala...

-Ale?...

-Pragnę dostąpić takiego uniesienia, jak nasza córka.

-Posłuchaj, Zygmunt. Nie dość, że uważam to za zdradę, to przypomnij sobie, co mówił pan Amar: Marianna potrzebuje tego, żeby żyć. My nie. Ty nie.

-Bożena, ani nie uważam tego za zdradę, bo w tym momencie daję ci wolną rękę, jeśli o to chodzi. Tak, niepotrzebne mi to, żeby dalej żyć, ale nie wyobrażam sobie dalszego życia bez takiego doświadczenia. Tobie także daję wolną rękę.

-Co?

-To nie ma nic wspólnego z nami ani z naszym życiem płciowym.

-Pięknie to ująłeś.

-...Naszym życiem seksualnym, które mnie zadowala, jak już mówiłem.

-Zygmunt?...

-Tak?

-Upewnij mnie w tym, co powiedziałeś.

-Dobrze, chcę doznać uniesień, takich jak moja córka. Być może nie jest mi to dane, jednak chcę spróbować.

W pokoju 66 Mateusz oderwał oczy od czytanej książki i zmrużył oczy. Zamknął książkę i położył czarnym skórzanym wierzchem na stolik nocny. Popatrzył w ciemne okno i uśmiechnął się.

-Zygmunt...

-Co takiego?

-Ja też.

-Też?

-Dobrze. Tłumiłam to w sobie, ale skoro ty?... Ja też myślałam, że nie jest mi dane spróbować tego, bez czego nasza córka nie może żyć, Ale... Chciałam stłumić to w sobie do reszty, ale ty... Zygmunt, ja chyba czekałam na ciebie. Przepraszam cię za moją hipokryzję.

-...

-Też o tym myślałam i też chcę spróbować.

-Bożenko, moje kochanie, zrobimy to i dalej będziemy się kochać, jak przedtem.

-Tak, zróbmy to. Jestem głupia, przepraszam cię.

-Nie jesteś głupia, najdroższa.

Trzydzieści sześć

Agnieszka delectowała się każdą sekundą czasu, jaki sobie wyznaczyła. Nalała po brzegi ulubionego wina do ulubionego wielkiego kieliszka. Wsłuchiwała się w odgłosy wichury za oknem i odgłos ten sprawiał jej przyjemność. Targany wichrem liść przykleił się na moment do mokrej szyby, za chwilę poleciał gdzieś daleko.

Z kieszeni dzinsów wyjęła wolno torebkę i równie wolno wsypał jej zawartość do kieliszka. Z lekko melancholijnym uśmiechem poczekała, aż proszek rozpuści się w winie.

Potem jednym haustem wychyliła kielich i poczuła wzrastającą euforię.

Trzydzieści siedem

Jakub.

Stypa.

-On był nienormalny – wycedził Michał i odstawił pusty kieliszek. – Sorry, że akurat mówię to na stypie po nim, ale był. Ale nie przypuszczałem, że aż tak nienormalny, żeby dać się zabić. I jeszcze... kurwa, nie przejdzie mi to przez gardło.

-Co? –Łukasz skrzywił się boleśnie – Chyba ci odwala. Nie przejmuj się, to zrozumiałe.

-Co przez to rozumiesz? – Jakub chciał spojrzeć na niego z wyrzutem, jednak nie bardzo mu to wyszło.

Łukasz zaczął machać ręką, jakby chciał uśmierzyć ból po oparzeniu.

-E, no, czekaj, może niefortunnie się wyraziłem – łypnął na Jakuba przekrwionym okiem, w którym zabłysło załzawione pijacko wyczucie taktu. – Wiesz, po tym, co się stało, wszystkim nam odwala. To tragedia, wiadomo. Zresztą, zawsze nam odwala. Na przykład ja to robię różne dziwne rzeczy, e, sam wiesz, zawsze mi odpierdalało, e, nie tylko mnie, weź taką Maję, ja już sam nie wiem...

-Czekaj, czekaj – przerwał mu Jakub. – Nie o tym mówiłem.

-No, tak – Łukasz wykrzywił usta w ersztu uśmiechu. – Telefon od kogoś... Jakby papugi gadające. Ja wszystko rozumiem, Marcin był twoim przyjacielem, ja sam nie wiem, co by mi się w głowie działo... Jak to boli... A trochę mnie boli... głowa... Wiesz, ja sam zgrywam takiego normalnego, a niewiele się różni od Mai... A jej to... Wiesz... Dlatego ciągle z nią jestem...

-Posłuchaj mnie uważnie – powiedział wolno Jakub, starając się nie patrzeć na okno, za którym mgła gęstniała aż do postaci wręcz groteskowej, podobnej do cukrowej waty. – Postaraj się przez chwilę być przytomny. Ktoś w końcu musi być przytomny. Ten telefon...

Twarz Łukasza w okamgnieniu pozieleniała.

-Muszę cię przepro... – wyzapał słabo. – Będę rzygał – i chwiejnie wybiegł z pokoju.

Jakub wpadł w niespokojną ciszę, pełną odległych głośnych oddechów, sapań i chrapań. Wolnym ruchem potarł czoło. Wyczuwalna pod postacią drobnych wyładowań elektrycznych obecność innych ludzi poraziła nikłym, lecz dotkliwym prądem jego skronie.

Do zagraconego pokoiku jak duch wniknęła rozczochrana Maja.

-Cztery ataki w ciągu nocy – wymamrotała. – To całkiem nieźle. Zawsze było osiem, dwanaście... Chyba leki zaczęły działać.

-Miałem dziwny telefon – odezwał się Jakub głosem pozbawionym entuzjazmu.

Przeciągając się Maja uniosła ręce, koszula nocna podniosła się i Jakub zobaczył, że Maja ma wygolone krocze z licznymi zaschniętymi kropelkami krwi jako pozostałość po nieudolnym goleniu.

-Ja też mam dziwne telefony – powiedziała rozciągając blade usta w namiastce uśmiechu, – ale lekarz powiedział, że mi to przejdzie.

-Lekarze mają rację – odezwał się machinalnie Jakub. – Przejdzie. Pamiętasz, uciekłem od Marii, i wszystko mi przeszło. Wszystko. Pamiętasz?

Maja zmarszczyła blade czoło.

-Chyba tak – wycodziła powoli. – To nie było dla ciebie najlepsze. Chyba dobrze, że uciekłeś... I lekarze... Głowa mnie boli. To znaczy wszystko mnie boli.

-To przejdzie – powiedział Jakub.

Z bocznego pokoiku wyczołgał się Michał.

-Ratunku – wyjęczał i wymiotował na czerwono.

Agnieszka milczała przez cały czas, z bladą twarzą, kontrastującą z czarną sukienką. Przez całą stypę sztywno siedziała na krześle i nie ruszyła się ani razu.

Trzydzieści osiem

Zegadłowicz odebrał telefon w ostatniej chwili. Był w żałobnym garniturze i wrócił do domu po parasol.

-Halo.

Ewa uśmiechnęła się, słysząc jego głos.

-Hej, Adam, to ja. Możesz rozmawiać?

-Jeśli ci chodzi, czy jest moja żona – wycodził poirytowany Zegadłowicz, - to nie ma jej tutaj. Powiedziałem ci raz na zawsze, żebyś pod żadnym pozorem nie telefonowała do mnie do domu.

-Niepokoiłam się. Nie dawałeś znaku życia. Nie byłeś w szkole...

-Dziękuję za troskę.

-Co się dzieje? Przepraszam, że zadzwoniłam do domu, ale chyba ze sto razy dzwoniłam na komórkę, ale wyłączyłeś ją.

Zegadłowicz chwilę milczał, kciukiem drapiąc rączkę od parasola.

-Właśnie dlatego wyłączyłem – powiedział.

-O czym ty mówisz?

-Właśnie o tym.

Długa chwila ciszy.

-Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie chcesz mnie więcej widzieć? – zapytała Ewa wolno.

Zegadłowicz nabrał głęboko powietrza.

-Rozmawialiśmy kiedyś o tym – powiedział, - że romans nie może trwać w nieskończoność. Dla mnie ta nieskończoność skończyła się – zauważył, że bredzi, więc dodał tylko: - To koniec, Ewa.

-Skąd ta nagła zmiana uczuć? – głos Ewy był jakby zgłuszony. – Ostatnio mówiłeś zupełnie co innego.

-Zdarzyło się coś – odparł Zegadłowicz szybko, - o czym nie chcę mówić i... w ogóle nie chcę nic mówić.

-Dopadły męża wyrzuty sumienia? – Ewa cedziła słowa. – Nie chcesz ze mną porozmawiać?

-Nie mogę już z tobą rozmawiać.

-Aha. Teraz już wiem, że byłam dla ciebie po prostu szybkim numerkiem pomiędzy pracą a domem.

-Nie bądź wulgarna – mruknął Zegadłowicz. – Nie bądź chociaż wulgarna.

-Nie masz prawa rzucać mnie tak sobie, po prostu – Ewa uniosła głos. – Nie jestem kurwą, poderwaną na ulicy. Nie płaciłeś mi, mój kochany, nie licząc kilku drobniaków. Nie jestem taną dziwką.

-To co mam, według ciebie zrobić? – warknął zirytowany Zegadłowicz. – Pieniądze mogę ci przesłać na konto. Podaj tylko kwotę.

-Ty skurwysynu.

-Skończone – powiedział Zegadłowicz. – Możesz o mnie zapomnieć, a jeśli chodzi o szkołę, nie wiem jeszcze, czy wrócę do pracy i moja obecność będzie ci krępować.

-Adam...

Zegadłowicz rzucił słuchawkę. Oddychał głęboko. Chwilę stał patrząc w okno, potem zabrał parasol i wyszedł z domu na pogrzeb córki.

Trzydzieści dziewięć

Mateusz popatrzył na Bożenę. Pomyślała, że jest zaskoczony, więc powiedziała:

-Dzisiaj ja mam przyjemność przynieść panu kolację – uśmiechnęła się – Marianna śpi. Jest trochę chora.

-Bardzo mi miło – Mateusz uniósł się z łóżka, podszedł do Bożeny, wziął od niej tacę z jedzeniem i odłożył na nocny stolik. – Może pani usiądzie.

-Na chwilę – powiedziała i przycupnęła na krześle. Ten młody człowiek budził w niej onieśmienie, prawie lęk, który nie mogła zgłuszyć świadomości, że Bożena ukrywa pod swetrem duży kuchenny nóż.

-I co, nie nudzi się pan u nas? – zapytała, gdyż Mateusz milczał, a cisza dla Bożeny była nie do zniesienia.

Mateusz uśmiechnął się i przegarnął półdługie ciemne włosy.

-Rzadko się nudzę – odparł łagodnym głosem. – Życie jest przecież takie ciekawe. Niesie ze sobą tyle nowych nieznanych doznań.

„Chyba się wycofam” – pomyślała Bożena czując jak uwiera ją nóż.

Zygmunt zapukał cicho, nie czekając na odpowiedź uchylił drzwi i wsunął do pokoju głowę.

Dziewczyna leżała już w łóżku przykryta pościelą i wsparta na nagim ramieniu czytała jakieś czasopismo.

-Dobry wieczór, panno Ilonko – Zygmunt wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Czy można?

-Szykowałam się wprawdzie do snu – odparła z lekką niechęcią Ilona. – Ale proszę.

Zygmunt wszedł do środka, wnosząc ze sobą na tacy szampana i kieliszki. Ilona zmarszczyła brwi.

-Nie prosiłam o szampana – powiedziała.

Zygmunt roześmiał się sztucznie.

-A to już moja inicjatywa – powiedział. – Mieszkamy tak jakby pod jednym dachem i chyba powinniśmy się lepiej poznać.

-Co pan przez to rozumie? – zapytała Ilona lodowatym tonem.

-Po prostu – Zygmunt postawił tacę na nocnym stoliku i nie pytając o pozwolenie usiadł na łóżku. – Napijemy się dobrego szampana, porozmawiamy...

Ilona nakryła się kołdrą po samą szyję.

-Chyba powinien pan wziąć butelkę – powiedziała ostro – i wracać do żony.

Zygmunt uniósł brwi.

-Pani mnie podejrzuje... – zaśmiał się nerwowo. – Proszę się nie obawiać, przyszedłem w innym celu, niż pani myśli.

-Czyżby? – Ilona uśmiechnęła się krzywo. – Ja nie jestem taką dziewczyną.

-Ja naprawdę przyszedłem w innym celu – powtórzył Zygmunt i uśmiech znikł z jego twarzy.

Mateusz podszedł do Bożeny i odgarniając jej włosy musnął ustami jej kark. Bożenę przeszedł dreszcz.

-Naprawdę życie niesie ze sobą wiele nowych wrażeń – wyszeptał i zaczął całować ją po szyi.

Bożena czuła wzrastające podniecenie, które minęło, gdy Mateusz jednym szarpnięciem odgryzł jej prawe ucho. Zawyla i trzymając się za głowę upadła na podłogę. Mateusz pochylił się nad nią i ocierając usta z krwi wyciągnął spod jej swetra nóż.

-Przyda się – uśmiechnął się z lubością.

Szarpała się, gdy zaczął zdzierać z niej nocną koszulkę.

-Przestań – wysapał Zygmunt. – To nie ma sensu.

Chwycił za szyjkę szampana i biorąc duży rozmach rozbił butelkę na jej głowie. Szampan trysnął na wszystkie strony, na pościel, na ściany, nawet na sufit. Ilona znieruchomiała.

Poruszyła się znowu, gdy z całej siły zacisnął zęby na jej nagiej piersi. Krew zmieszała się z szampanem.

Czterdzieści

Gabinet nie wyglądał zbyt okazale, ale Zegadłowicz nie szukał znanego detektywa. Odpowiadał mu ten człowiek o twarzy sfatygowanego urokami życia trzydziestolatek, który przedstawił się jako Roman Berg, nie przeszkadzało mu, że pali papierosy jednego za drugim, tak że w gabinecie było zupełnie szaro.

Zegadłowicz też zapalił, chociaż nie robił tego od pięciu lat, kiedy rzucił palenie.

-Zrozumiał pan wszystko? – zapytał.

-Zrozumiałem – uśmiechnął się krzywo Berg. – Taki mam zawód. Rozumieć.

-To dobrze – Zegadłowicz zaciągnął się papierosem. – I przede wszystkim dyskrecja. Niech pan stara się, żeby było pana jak najmniej.

-Oczywiście – powiedział Berg.

-I powtarzam – Zegadłowicz wbił w niego ponure spojrzenie. – Żadnego kontaktu z policją. Oni nie mogą nic wiedzieć o pańskim działaniu.

-Czasami to bywa trudne, ale da się zrobić – powiedział Berg lekko. – Skoro się pan upiera.

-Upieram się.

-To jeszcze pozostała nam przyjemna rozmowa o pieniądzach – Berg wypuścił kółko z dymu.

-Oczywiście – Zegadłowicz odruchowo położył rękę na kieszeni, w której trzymał portfel.

Czterdzieści jeden

Marianna obudzona jakimiś dziwnymi dźwiękami szła wolno korytarzem, nasłuchując.

Z pokoju 66 wyszedł zakrwawiony od stóp do głów Mateusz.

-Wybacz – odezwał się z żartobliwym uśmiechem na twarzy, po której strugami ściekała krew, - ale chyba nieco poharatałem twoją mamusię. Może nawet trochę bardziej niż trochę... W każdym razie pożytku z niej już nie będzie.

Roześmiał się cicho.

Po chwili Marianna roześmiała się także.

Na schodach rozległo się dudnienie.

Na korytarz wbiegł Zygmunt, również cały we krwi.

-Udało mi się! – krzyczał w euforycznym uniesieniu. – Udało mi się!

Na widok stojących obok siebie Marianny i Mateusza zatrzymał się i wyraz jego twarzy zmienił się zupełnie.

-Co to ma.... – zaczął się jąkać, lecz nie dokończył, gdyż Mateusz szybkim ruchem wyciągnął rewolwer i strzelił mu w głowę. Ciało Zygmunta upadło ciężko na dywan.

-Z niego także nie będzie pożytku – powiedział Mateusz patrząc na milczącą Mariannę.

Po chwili spytał:

-Pójdziesz ze mną?

-Tak – odparła Marianna uśmiechając się błogo.

-Załatwimy tylko resztę pensjonariuszy i wyjedziemy z tej nory – powiedział Mateusz.

Marianna i Mateusz Miller, trzymając się za ręce, poszli pustym korytarzem.

Czterdzieści dwa

*wszystko płonie w otchłani wilgoci
po omacku szukam swojej głowy
słońce zaszło*

Ja, Jakub.

Jakub.

REM lub sen paradoksalny - faza snu, w której występują szybkie ruchy gałek ocznych (ang. Rapid Eye Movement). Na tym etapie snu występuje wysoka aktywność mózgu, oddech jest nieregularny, wzrasta częstość skurczów serca, pojawiają się marzenia senne. Faza REM występuje okresowo, zajmując około 25% czasu snu u młodych osób dorosłych. Po tej fazie pojawia się faza NREM. Epizody snu REM normalnie powtarzają się co 90 minut i trwają od 5 do 30 minut. Sen REM daje mniej wypoczynku niż sen wolnofalowy i jest zwykle związany z pojawieniem się marzeń sennych. Chociaż jego funkcja nie jest znana, wydaje się, że jest ważny dla zdrowia. Deprywacja snu REM u szczurów może doprowadzić do śmierci w ciągu kilku tygodni.

Koszmar senny (potocznie koszmar) - marzenie senne o treści wywołującej u śniącego uczucie strachu.

Zdarzenia, które podczas czuwania powodują powstania uczucia strachu bądź lęku, również podczas snienia wywołują te emocje.

Koszmary pojawiają się najczęściej u dzieci w wieku około 5 roku życia, choć spostrzegano je u młodszych dzieci.

Typowe koszmary senne

bycie nagim

spadanie

topienie się

śmierć własna lub osób bliskich

uczucie niemożności ucieczki przed niebezpieczeństwem

duchy, potwory i inne postacie czy zwierzęta wywołujące uczucie strachu
przykre wydarzenie, które może śniącego w nieodległym czasie spotkać

sny o treści kryminalnej (aresztowanie, rewizja)

sny o treści suicydalnej (wbicie sobie noża w brzuch, powieszenie się)

Wszystkie te zdarzenia, gdyby miały miejsce na jawie, wywoływałyby uczucie strachu i również dzieje się tak podczas marzeń sennych o tej treści.

...Ja...

Tak, Jakub.

Koniec snów.

Świadomość odzyskałem leżąc na zakurzonej kozetce w ciasnej zagraconej pakamerze z żarówką na drucie, gdzie ledwie mieścił się czarno-biały telewizor, włączony bez fonii.

Zanim zdążyłem się podnieść, do kanciapy wszedł wysuszony staruszek o twarzy stulatka.

-Obudził się pan – odezwał się głosem o brzmieniu zadziwiająco młodym, jak na jego wiek. – Bo już nie wiedziałem, co robić.

-Długo byłem nieprzytomny? – zapytałem, a mój głos nie brzmiał specjalnie młodo.

-Ze trzy godziny – odparł po chwili namysłu.

-Trzy godziny – powtórzyłem; próbowałem się podnieść, byłem cały obolały. – Gdzie ja jestem?

-A, u mnie w kanciapie – odparł staruszek i słodząc herbatę stojącą na stoliku. – Sam tu pana przytargałem.

Udało mi się usiąść na kozetce.

-A co z samochodem? – zapytałem patrząc w jego zgaszone przekrwione oczy. – Co z kierowcą?

Staruszek zmarszczył czoło.

-Z jakim samochodem? Tam nie było żadnego samochodu. Leżał pan nieprzytomny na szynach tramwajowych, to się przestraszyłem, że pana przejedzie i zatargałem pana tutaj – wyjaśniał monotonnym głosem. – Pomyślałem – pijany, ale wacham i nie. Dzwoniłem na pogotowie i wie pan, co mi powiedzieli? – spojrzał na mnie z goryczą w oczach.

-Co takiego? – nie mogłem oderwać wzroku od niemego ekranu telewizora.

-Żeby się pierdolił – odparł staruszek kiwając łysą głową.

-Coś podobnego – pokręciłem obolałą głową. – Telewizor się panu zepsuł – powiedziałem odruchowo.

Staruszek uśmiechnął się bezzębnymi ustami.

-Już jak go kupiłem był bez fonii – powiedział. – Ale nie wymieniałem go. Nauczyłem się czytać z ruchu ust i interpretować nieme obrazy.

Popatrzyłem na niego zdziwiony.

-Ciekawe – powiedziałem i zaraz wróciłem do nurtującej mnie kwestii: - Chwileczkę, jak to nie było samochodu? Tutaj jest stacja benzynowa, na której Gabriel chciał zatankować – przypominałem sobie gorączkowo. – Ja... nieważne... A potem samochód wybuchł, a ja upadłem i straciłem przytomność.

Staruszek pokręcił głową ze zdziwioną miną.

-Tu jest stacja benzynowa – powiedział. – Ale nieczynna chyba od piętnastu lat. Właściwie to ruiny stacji benzynowej. Nikt tam nie mógł zatankować. To niemożliwe, sam pan sprawdzi – kościstą dłońią wskazał mi nieudolnie pomalowane na czarno drzwi wejściowe.

Wyszedłem na zewnątrz. Mżyło. Ujrzałem walący się, obdrapany budynek stacji i trzy przedpotopowe dystrybutory, jeden przewrócony. Poczułem lęk, gdy stwierdziłem, że o ile pamiętałem, reszta okolicy raczej się zgadza. Drzewo, chyba topola. Wysoki słup z zegarem, który przyciągał uwagę. Była druga w nocy. Rozwidlenie ulicy. Odnowiony stary dom pomalowany krzykliwą różową farbą.

-To niemożliwe – wymamrotałem, gdy wróciłem do pakamery. – To niemożliwe. Czy tu w okolicy jest jakiś inny zegar na słupie? – spojrzałem na staruszkę, który głośno siorbał herbatę.

-Nie ma – odparł staruszek. – Ani w okolicy, ani w całym mieście. Znam dobrze miasto.

-To niemożliwe – powtórzyłem jeszcze raz.

-To może być kwestia oddziaływania Saturna – powiedział dziadek z namysłem i zanim zdołałem zareagować na te dziwne słowa, zapytał mnie: - Zrobić panu herbaty? Rozgrzeje się pan.

Pokiwałem głową jak automat.

-Tak, poproszę.

-Małą chwilkę – powiedział i zniknął za drugimi drzwiami, pomalowanymi nieumiejętnie na żółto.

Po godzinie spędzonej siedząc na kozetce i próbując myśleć, choć mózg rwał mi się w szwach jak kłębowisko starych szmat, postanowiłem zadziałać.

„Może zasłabł” – pomyślałem i uchyliłem żółte drzwi. Ciemność. Zakląłem cicho, gdy nie udało mi się namacać włącznika światła. Zacząłem więc iść, stwierdzając, że za drzwiami jest cuchnący stęchlizną korytarz.

Nie wiem ile czasu szedłem; na pewno za długo. Wilgoć przenikała moje ciało. Pajęczyny przyklejały mi się do twarzy.

Ujrzałem słabe światło i przyspieszyłem kroku.

Doszedłem do uchylonych drzwi. Otworzyłem je i wszedłem do maleńkiego pokoiku bez okien, oświetlonego na niebiesko.

Pośrodku stała skórzana kanapa, na której ułożone w pozycji siedzącej tkwiły nagie zwłoki trzech kobiet. Ciała pozbawione były głów.

Czterdzieści trzy

Wytlumiony pokój.

-Czy ktoś może mi wytłumaczyć – zapytał agent A – dlaczego policja uwolniła

Agnieszkę Konarską?

-Bo to banda idiotów – powiedział agent C. – Uznali, że ta dziewczyna jest rzeczywiście tylko przypadkową towarzyszką Deva Amara.

-Ona była, albo została uczniem – powiedział agent B. – Restauracja to jej dzieło.

-Czemu się zabiła? – rzucił w przestrzeń agent A.

-To teraz wydaje mi się mniej ważne – powiedział agent C. – Ważniejsze wydaje mi się, czy i ilu pozyskała nowych uczniów.

Czterdzieści cztery

Inspektor Miller czytał w napięciu:

...zjawisko to spotykane jest także u ludzi (nekrofagia, ludożerstwo) często ma podłoże religijne. Po raz ostatni wystąpił w Europie na masową skalę w latach 1932-1933 w ZSRR podczas wielkiego głodu na Ukrainie. Do najbardziej znanych przypadków kanibalizmu doszło ok. 1820 r. w Basutolandzie (obecnie Lesotho). Kiedy zapanował głód, miejscowe plemiona zaczęły polować na sąsiadów, których następnie zjadano. Ludzkie mięso tak napastnikom zasmakowało, że kanibalizm zaczęto uprawiać regularnie. Schwytanym ofiarom łamano nogi, by nie mogły uciec. W ten sposób powstało coś w rodzaju "żywej spiżarni". Za największy przysmak uchodziły dzieci i kobiety.

Jedzenie ludzkiego mięsa jest szkodliwe dla zdrowia. Zagrożenie wywołują priony, wirusopodobne białka - zmieniają one mózg w "gąbkę". Powodują u zwierząt chorobę wściekłych krów, zaś u ludzi chorobę Creutzfelda-Jacoba. Wśród plemion Nowej Gwinei, zwłaszcza ludu Fore, szalała podobna choroba, zwana kuru lub "śmiejącą się śmiercią". Zarażenie prionami następowało przy rytualnym spożyciu ciał zmarłych krewnych. Fore zrezygnowali z kanibalizmu w 1957 r., lecz starsi członkowie wciąż umierają na kuru.

I dalej, co innego:

...Fritz Haarmann urodził się w Hanowerze 25 października 1879 roku. Jego ojcem był palacz lokomotywy, znany dzięki swemu usposobieniu jako "Posępny Olle", matką, zaś kobieta kaleka i niezaradna, o 7 lat starsza od swego męża. Fritz, szóste dziecko tej niedobrej pary, był ulubieńcem matki, ojca zaś od dzieciństwa nienawidził, prawdopodobnie dlatego, że ten usiłował wychować go na mężczyznę, nakłaniał do zabaw z innymi chłopcami, zalecał odwagę, a nawet nieco brutalności. Fritz jednak najbardziej lubił przebywać z matką i pod jej okiem bawić się lalkami.

Gdy chłopiec miał 16 lat, ojciec - używając zapewne całego swego autorytetu, by przekonać protestującą żonę - umieścił go w szkole wojskowej w Neu Breisach, gdzie Fritz miał wreszcie nabyć owych męskich cech, których wyraźnie mu brakowało. Rachuby ojca zawiodły. Już po miesiącu Fritz został usunięty ze szkoły jako niezdolny do zajęć z powodu objawów epilepsji. Podjął pracę w fabryce cygar, gdzie jednak wykazał się wkrótce taką nieudolnością i lenistwem, że wyrzucono go, jak się można spodziewać, ku jego ogromnej radości. Nie zdążył nawet wypocząć po trudach pracy, gdy został aresztowany, bo przyłapano go na - jak byśmy dziś powiedzieli - czynach lubieżnych z nieletnimi, dodajmy: nieletnimi chłopcami. Ponieważ jego zachowanie budziło podejrzenia, że może być chory psychicznie, został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Po sześciomiesięcznej obserwacji zbiegł. Zastanawia fakt, że przez owe pół roku lekarze nie zdołali jeszcze postawić diagnozy.

Po ucieczce ze szpitala Haarmann nie usiłował już znaleźć pracy. Zajął się drobnymi przestępstwami, a także tym, co mu niedawno zarzucano - demoralizacją nieletnich chłopców. Nie ulega wątpliwości, że był homoseksualistą. Tym bardziej dziwi fakt, że w roku 1900 przez krótki okres utrzymywał wyłącznie stosunki heteroseksualne. Poznał mianowicie dziewczynę w której, jak twierdził, zakochał się. Obiecywał jej małżeństwo, gdy jednak zaszła w ciążę, porzucił ją pośpiesznie i uciekając przed odpowiedzialnością wstąpił do pułku strzelców, w którym służył nienagannie do roku 1903. Jego dziecko urodziło się martwe, on jednakże nawet o tym nie wiedział.

Powróciwszy do Hanoweru kontynuował swą karierę przestępczą. Jego zachowanie musiało przysparzać nie lada kłopotów staremu Haarmannowi, skoro podjął próbę ubezwłasnowolnienia syna. Należy żałować, że sąd nie znalazł podstaw do wydania decyzji o ubezwłasnowolnieniu.

Przez następnych 11 lat Fritz Haarmann mniej więcej tyle samo czasu spędził w więzieniu, co na wolności. Skazywano go za włamania, kradzieże

kieszonkowe i wyłudzenie pieniędzy. Jego nieszczęsny ojciec, nie tracąc widać nadziei, że syn zmieni swe postępowanie, załatwił dlań - posunięcie wyjątkowo ryzykowne - posadę jednoosobowej obsługi smażalni ryb. Fritz natychmiast ukradł cały utarg, towar i wyposażenie... Wreszcie w 1914 roku skazano go na 5 lat więzienia za kradzież z magazynu większej ilości towarów.

Zwolniono go z więzienia 1918 roku. Było to już po zawieszeniu broni i w Niemczech panował głód. W Hanowerze sytuacja była wyjątkowo zła. W tych właśnie warunkach Fritz Haarmann popełnił serię zbrodni, które stawia się wśród najbardziej zdumiewających przestępstw naszych czasów.

Z początku wydawało się, że Haarmann znalazł wreszcie swoje miejsce w życiu. Przyłączył się mianowicie do bandy przemytników, zajmujących się nielegalnym sprowadzaniem mięsa do głodującego miasta. Dotąd popełniał drobne przestępstwa i prawie natychmiast wpadał w ręce policji. Teraz, gdy zajął się przestępczością na dużą skalę, zaczęło mu się świetnie powodzić. Wynajął mieszkanie na Cellarstrasse 27, gdzie prowadził swe "biuro". Nie gardził kradzieżami, jeśli tylko mogły one przynieść wystarczająco wysoki zysk. Przy okazji był też konfidentem policji, co zapewniało mu względną bezkarność i jego kanały przemytnicze uchodziły za najpewniejsze. Jak się miało okazać, również i inna jego działalność trwała dzięki temu znacznie dłużej.

Do Hanoweru przybywały niezliczone pociągi z uciekinierami. Haarmann bywał częstym gościem na dworcu, gdzie rozglądał się uważnie i wśród tłumu zdezorientowanych przybyszów wypatrywał młodych chłopców (jak wyznał później, stawiał też pewne wymagania co do ich wyglądu i urody). Upatrzonym ofiarom proponował nocleg i pomoc w znalezieniu pracy w obcym mieście. Odnosił się do nich tak serdecznie i życzliwie, iż rzadko zdarzało się, by spotkał się z odmową. Co więcej, jeśli taki chłopak przybył do Hanoweru z rodzicami, sami namawiali syna, by skorzystał z nadarzającej się okazji.

Jedną z pierwszych ofiar Haarmanna był 17-letni Friedel Rothe. Jego rodzice nie widzieli Haarmanna na dworcu, lecz zaniepokojeni zniknięciem syna, rozpoczęli poszukiwania i wkrótce odkryli, że chłopak zaprzyjaźnił się z "detektywem" Haarmannem (ten bowiem chętnie przedstawiał się jako policyjny tajniak). Policja - jak należy sądzić, niezbyt gorliwie - przeszukała nawet mieszkanie Haarmanna, nie znajdując nic podejrzanego. Dopiero podczas procesu wyszło na jaw (opowiedział o tym z dumą sam Haarmann), że podczas przeszukania głowa chłopca, owinięta w gazetę, leżała na piecu.

Z braku dowodów śledztwo w sprawie zniknięcia Friedela Rothe zostało umorzone, lecz niedługo potem Haarmann trafił jednak na 9 miesięcy do więzienia, znów za czyny lubieżne z nieletnimi, przyłapano go bowiem in flagranti z innym chłopcem. Nie wiemy, czy podzieliłby on los nieszczęsnego

Friedela Rothe. Jeśli tak, to należy żałować, że Haarmanna przyłapano, zanim przystąpił do dzieła. Uratowałoby to życie wielu następnym ofiarom.

Haarmann powrócił do Hanoweru we wrześniu 1919 roku. Przeprowadził się na Neuestrasse i dalej zajmował się przemytem. Wtedy też poznał innego homoseksualistę, nazwiskiem Hans Grans, drobnego złodziejaska i stręczyciela. Obaj panowie przypadli sobie widać do gustu, wkrótce bowiem zawiazali osobliwą spółkę. Spotykali się w kawiarni Kröpcke, ulubionym lokalu wszelkiej maści zboczeńców. Tam właśnie powstawały plany ich kolejnych przedsięwzięć.

Metoda była zawsze taka sama. Haarmann i Grans odwiedzali dworzec kolejowy i pilnie przyglądali się wysiadającym. Upatrzoną ofiarę, którą zawsze był młody, przystojny chłopiec, zwabiali do mieszkania przy Neuestrasse, obiecując nocleg, wsparcie finansowe, pracę i wszelką pomoc. Tam chłopca zabijano. Haarmann twierdził z całą stanowczością, że czynił to osobiście, przegryzając gardło swej ofiary. Nie sposób jednak sprawdzić jego zeznań, gdyż zwłok nie odnaleziono. Potem dwaj wspólnicy fachowo dzielili ciało. Część zwłok sprzedawano następnie jako mięso tymi samymi kanałami, których Haarmann używał w swej działalności przemytniczej. Odzież sprzedawano na targu, zaś części nieużyteczne (czyli niejadalne) wyrzucano do rzeki.

Podczas procesu oskarżyciel przedstawił listę złożoną z 28 nazwisk przypuszczalnych ofiar Haarmanna. Uważano jednak, że było ich co najmniej 50, czego oczywiście, przy takim sposobie pozbywania się zwłok, nie sposób udowodnić. Zamordowani chłopcy mieli od 13 do 20 lat. Należy przypuszczać, że głównym motywem pary zabójców była chęć zysku. Jeden z nieszczęśników stracił życie tylko dlatego, że Gransowi spodobały się jego spodnie.

Znaleziono ciało tylko jednej ofiary, chłopca nazwiskiem Keimes. Zwłoki wydobyto z kanału. Jak wykazała sekcja, chłopak został uduszony. W związku z tą sprawą miał zresztą miejsce dziwny incydent. Haarmann odwiedził mianowicie rodziców "zaginionego", przedstawił się jako policyjny detektyw i obiecał państwu Keimes, że w przeciągu trzech dni odnajdzie ich syna i odprowadzi go do domu. Następnie udał się na policję i złożył poufne doniesienie, iż zabójcą Keimesa jest... Grans. Ponieważ Grans przebywał właśnie wtedy w więzieniu za drobną kradzież (o czym Haarmann doskonale wiedział), śledztwo umorzono. Prawdopodobnie Haarmann chciał tym posunięciem zapewnić sobie zaufanie policji, co najwyraźniej doskonale mu się udało.

Kilkakrotnie bardzo mało brakowało, by działalność Haarmanna została ujawniona. Pewnego razu schodził właśnie po schodach, niosąc przykryte kawałkiem gazety wiadro. Spotkał sąsiada, który nawiązał z nim rozmowę, gdy

nagle jakiś przeciąg sprawił, że gazeta sfrunęła z wiaderka, ukazując jego zawartość: krew. Sąsiad doniósł o tym wprawdzie policji, lecz nie wszczęto dochodzenia. Przemyt mięsa, jakim zajmował się konfident Haarmann, stawiał go poza podejrzeniem. Innym razem Haarmann znalazł się w dużo groźniejszej sytuacji. Mianowicie nabywca mięsa nabrał podejrzeń, że Haarmann sprzedał mu ludzkie ciało. Zaniósł więc cały zakupiony "towar" na policję, ryzykując grzywnę za kupowanie u spekulanta. Mięso przekazano do policyjnego laboratorium, gdzie zostało zbadane przez lekarza. Akta sprawy litościwie przemilczają jego nazwisko: specjalista ten stwierdził bowiem ponad wszelką wątpliwość, że dostarczone mięso jest... wieprzowiną!

W maju 1924 roku na brzegu rzeki znaleziono czaszkę, kilka tygodni później - drugą. Nieustannie napływały zgłoszenia o zaginięciu młodych chłopców, niedawno przybyłych do miasta. Nie ulega wątpliwości, że Haarmann znajdował się wśród podejrzanych: mijały jednak miesiące, on zaś nie niepokojony zabijał dalej.

Hanowerska policja wyznaczyła wreszcie do śledzenia Haarmanna dwóch detektywów, sprowadzonych specjalnie z Berlina (należy przypuszczać, że miejscowych obrotny konfident doskonale znał). Ci wkrótce zdołali przyłapać go na uwodzeniu pewnego chłopca, został więc zatrzymany. Podczas przeszukania znaleziono w jego mieszkaniu setki ubrań, które przeważnie były na niego za małe. Odkryto też, że syn dozorkczyni przy Neustrasse nosi marynarkę, która należała do jednego z zaginionych chłopców, zaś dzieci bawiące się nad rzeką odnalazły worek wypełniony kośćmi. Stwierdzono, że są to szczątki co najmniej 27 osób.

Haarmann został aresztowany i wkrótce postanowił się przyznać. Proces rozpoczął się 4 grudnia 1924 roku. Trwał 14 dni, wystąpiło na nim 130 świadków. Podczas procesu Haarmannowi pozostawiono zdumiewająco dużo swobody i traktowano go wyjątkowo łagodnie. Często przerywał zeznania świadków wesołymi uwagami (w ogóle humor mu dopisywał). Raz spytał sędziego z oburzeniem, dlaczego na sali jest tyle kobiet; otrzymał wyjaśnienie, że wysoki sąd, niestety, nie jest w stanie ich usunąć, a brzmiało to jak usprawiedliwianie się... Gdy roztrzęsione matki szlochały, opowiadając o swych synach, Haarmann wyraźnie nudził się i prosił sąd o pozwolenie na wypalenie cygara, którego natychmiast skwapliwie mu udzielano.

Nie przyznał się do zabicia niektórych chłopców. Okazano mu na przykład zdjęcie zaginionego Hermanna Wolfa; widać było wyraźnie, że chłopak był brzydki i źle ubrany. Haarmann stanowczo stwierdził, że interesowały go wyłącznie ładne ofiary.

Haarmann skazany został na śmierć przez ścięcie toporem, Grans - na 12 więzienia. Oczekując na egzekucję Haarmann opisał swe morderstwa i przyjemność, jaką odczuwał przy ich popełnianiu, co dowodzi, że zbrodnie te miały swe źródło w jego perwersyjnych skłonnościach.

Dalej:

...rządy tego rumuńskiego władcy najzwyczajniej oddaje jego przydomek: "tepes", co znaczy "palownik" lub "wbijacz na pal", aczkolwiek powszechniej identyfikowany jest pod przydomkiem "Dracula". Ten zaś swoją genezę wiąże z Zakonem Smoka, powołanym w 1387 r. przez króla węgierskiego, Zygmunta Luksemburskiego jako szczególnego rodzaju wspólnota militarno-religijna, której głównym celem była obrona chrześcijaństwa oraz walka z tureckim Imperium Osmańskim. Za symbol rycerze tego zakonu przyjęli wizerunek skrzydlatego smoka, stąd też określenie Vlada Tepesa Draculą ("drac" znaczy po rumuńsku "smok"). Wołoski książę znany był też pod innymi, wielce mówiącymi przydomkami - "diabeł", "syn smoka", "wojewoda na palach".

Vlad Dracula niemal tuż po koronacji na księcia Wołoszczyzny zainicjował "rządy twardej ręki", co w praktyce przekładało się na masowe mordy, rzezie dzieci i kobiet, puszczanie z dymem całych miast i wsi, czystki etniczne. Sumienie Vlady obciąża - według różnych źródeł - od 40 tys. do 100 tys. istnień ludzkich. Nowy władca zabrał się również za budowanie położonej wysoko w górach, w okolicach miejscowości zwanej Târgoviște, twierdzy obronnej, wykorzystując bezlitośnie mieszkańców swego królestwa do pracy ponad siły. Następnie Vlad pomścił śmierć bliskich i oczyścił Wołoszczyznę ze swych wrogów (z jego ręki zginął niedawny sojusznik- Jan Hunyadi). Odzyskał wiele naddunajskich i karpaccich wiosek i miast. Jednym ze zwyczajów panującego stało się najeżdżania niektórych miast na swoim terytorium i mordowanie dużej ilości ludzi. Świadomie, miasta wybierane dla tych bezsensownych ataków, były często miastami zamieszkałymi przez ludność większości niemieckiego lub innego obcego pochodzenia. W rezultacie większość przetrwałych zapisków dotyczących Vlady pochodzi z niemieckich pism propagandowych. To właśnie w jednym z nich znajdujemy najbardziej znany z obrazów - drzeworyt przedstawiający Vladę podczas spożywania obiadu na trawiastym wzgórzu otoczonym przez las pali, na które nabite są ciała. Przydomek Tepes ("palownik") nie pojawił się bez powodu. Nawet Turcy nazwali go *Kazıglu Bey*, co oznaczało "Książę Palownik". Śmierć na palu należała do jednej z najokrutniejszych - umierało się w potwornych męczarniach (pal wbijał się w osuwające ciało i rozrywał stopniowo wnętrze) i niezmiernie długo (nawet do trzech dni). Vlad czasem zganiał nieposłusznych mu mieszkańców miast lub wsi nad urwiste zbocze, poniżej którego ustawiony był rząd pali. Nie cofał się przed stosowaniem tak szokujących metod, jak

gotowanie, ćwiartowanie, obdzieranie ze skóry (podobno osobiście opatentował specjalną maszynę do tej tortury), obcinanie uszu, nosów, kończyn i narządów płciowych. Ale niekiedy zadawał się "zwykłym" odcięciem głowy. Istnieje wiele opowieści, o różnym stopniu autentyczności, opisujących niebywałe okrucieństwo Vlady w okresie jego panowania. Jedną z nich opowiada o kochance księcia, która mieszkała w domu na przedmieściach Târgoviște. Kobieta kochała księcia i spełniała wszystkie jego zachcianki. Vlad był człowiekiem bardzo zmiennym i melancholijnym, ale kobieta ta dokładała wszelkich starań, żeby rozświecić życie swojego kochanka. Pewnego razu, gdy książę był w nienajlepszym humorze, kobieta odważyła się zelgać mu, że jest ciężarna. Vlad rozkazał ją przesłuchać, a gdy kłamstwo kobiety wyszło na jaw, wziął nóż i rozciął jej brzuch aż do piersi i zostawił wijącą się w agonii. Pewnego razu do Vlady z posłaniem przybyło dwóch ambasadorów od sułtana. Kiedy wkroczyli do jego sali tronowej, poprosił ich o zdjęcie turbanów. Turcy odmówili, nie przypuszczając, że ich gest zostanie potraktowany jako ciężkie znieważenie gospodarza. Rozłoszczony Książę nakazał natychmiast, aby strażnicy pojmali ich i z satysfakcją przyglądał się, jak wielkimi gwoździami przybijano Turkom turbany do czaszki. Podobnie okrutne kary Tepes stosował także w stosunku do transylwańskich kupców, którzy sprzeciwiali się prawu handlowemu powołanemu przez niego w 1459 roku. Legenda mówi, iż w dniu św. Bartłomieja, w roku 1459, Vlad Dracula rozkazał wbić na pal 30 tysięcy kupców i szlachty z transylwańskiego miasta Brasov. Ponieważ chciał odczuć jeszcze większą przyjemność ze swego okrucieństwa, postanowił urządzić ucztę wśród nabitych na pale ciał. Rozkazał więc swoim bojarom rozstawić stół z jedzeniem w tym nietypowym "lesie zwłok". Podczas jedzenia, Tepes zauważył, że jeden z jego bojarów zatykał nos, próbując pozbyć się nieprzyjemnego zapachu zakrzepłej krwi i wnętrzności. Wówczas Vlad rozkazał wrażliwego szlachcica również nabić na pal, ale umieścić go wyżej niż inne ciała, żeby nie czuł już fetoru szczątków swoich poprzedników. Chociaż rządy Draculi opierały się na przemocy, zaczęły przynosić wkrótce nieoczekiwane rezultaty. Stworzone przez Vlady prawo było bezwzględnie przestrzegane przez rodaków. Nikt przy zdrowych zmysłach nie złamałby prawa, które przewidywało za drobne kłamstwo karę obcięcia języka, a każdy kto próbował oszukać klienta miał szansę jeszcze raz ocenić swoje postępowanie z wysokości pala. O efektywności metody zastraszania społeczeństwa niewspółmiernie surowymi karami do uczynków niech świadczy pewien fakt. Któregoś dnia Dracula ustawił złoty kielich na centralnym placu w Târgoviște. Kielich mógł być używany przez spragnionych wody podróżnych, lecz na zawsze miał pozostać na miejscu. Według źródeł historycznych nie został on nigdy skradziony. W oryginalny sposób rozwiązywał też problem bezrobotnych i włóczęgów. Kilka razy do roku z okazji obchodzonych świąt, spraszał na królewski dziedziniec w Târgoviște wszystkich napotkanych włóczęgów i żebraków. Po uroczystości, gdy goście leżeli upojeni trunkami, Vlad rozkazywał obłożyć

dziedziniec drewnem i podpalić. Zszokowanym bojarom wyjaśniał, że w "jego królestwie nikt nie będzie biedny". Ale nawet Vladowi - bestii w ludzkiej skórze, zdarzały się chwile nieoczekiwanej wspaniałomyślności. We sierpniu 1458 r. do Târgoviște przybył posłaniec, Polak, Benedykt de Boithor, w służbie węgierskiego króla. Podczas kolacji władca Wołoszczyzny rozkazał, ustawić złotą włócznię dokładnie naprzeciw królewskiego posła. Wtedy zapytał Polaka, czy wie dlaczego postawił tam tę włócznię. Benedykt odpowiedział, że przypuszcza, iż jakiś bojar obraził księcia, a ten chce go za to odpowiednio wynagrodzić. Gospodar powiedział, że rzeczywiście włócznia jest tu po to, aby uhonorować Polskiego gościa. Wówczas Benedykt stwierdził, że jeżeli uczynił cokolwiek, aby zasłużyć na śmierć, to książę powinien postąpić zgodnie z tym, co uważa za słuszne w tym wypadku. Vlad Dracula był bardzo zadowolony słysząc taką odpowiedź i obsypał posła prezentami i powiedział, że gdyby ten odpowiedział w jakikolwiek inny sposób, spoczął by na palu. Kiedyś dwóch mnichów przybyło z zagranicy, aby złożyć wizytę Vladowi III w jego pałacu w Târgoviște. Ciekaw reakcji duchownych, władca pokazał im swój ogród i rzędy nabitych na pal zwłok. Kiedy zapytał o ich wrażenia, pierwszy z mnichów odpowiedział: "Ty jesteś wyznaczony przez Boga, aby karać grzeszników." Drugi mnich miał na tyle odwagi, aby potępić brutalnego księcia. Według germańskich broszur, gospodar nagrodił pochlebczego mnicha, a zabił tego szczerego. Według wersji znalezionej w rosyjskich broszurach i rumuńskiej legendzie, Dracula nagrodił uczciwego mnicha za jego prawość i odwagę, a pochlebcę nabił na pal za jego nieszczerłość. Wołoszczyzna przez znaczną część rządów Vlady Tepesa była wolna od bezpośrednich najazdów, niemniej przygraniczne tereny stawały się celem tureckich ataków. Vlad miał świadomość, iż nie uda mu się powstrzymać w otwartej bitwie rosnącą w potęgę otomańską armię. Podjął zatem przygotowania do obrony w oblężeniu, a także bardzo ryzykowne próby wojny podjazdowej. Pewnej nocy Palownik poprowadził osobiście niewielki oddział zbrojny do tureckiego obozu z nadzieją pojmania i zabicia nowego władcy Imperium - sułtana, Suilimana II. Niezwykle śmiały plan w przypadku powodzenia doprowadziłby wojska tureckie do demoralizacji, a następnie łatwego wyparcie z własnego terytorium. Dzięki elementowi całkowitego zaskoczenia, doskonałej znajomości terenu oraz szalonej wręcz odwadze żołnierzy i samego Tepesa, atak oddziału o północy, prawie zakończył się sukcesem. Sułtan został ranny, chociaż nie była to rana ciężka, ale Vladowi udało się powrócić na czele sił własnych bez strat. Ten zuchwały atak jednak nie powstrzymał tureckiej armii. Dracula ukrył się w zamku-twierdzy w Târgoviște i rozpoczął przygotowania do ucieczki. Jego żona nie wierząc, że ucieczka jest możliwa, popełniła samobójstwo skacząc w nurt rzeki. Od tej pory rzeka ta nosi nazwę Księżniczka. Kilka godzin później Vlady dotknęła kolejna tragedia. Podczas ucieczki z zamku przez lasy, sługa wiozący dziecko Księcia upuścił je w lesie. Ścigający ich Turcy byli zbyt blisko, aby uciekający mogli ryzykować powrót i poszukiwanie zgubionego dziecka.

Ruszyli więc w dalszą drogę. I tak oto w ciągu jednego dnia wołoski władca stracił swój dom i rodzinę. Turcy nie zatrzymali się na długo w Târgoviște. Vlad podpalił miasto obracając go w ruinę i zatrzał wody we wszystkich studniach, które uciekając mijał po drodze. Na obrzeżach, miasto przywitało wojska sułtana głowami dwudziestu tysięcy zatkniętych na pale szpiegów. Taktyka "spalonej ziemi" przyniosła skutek - Turcy zostali odcięci od wody pitnej i możliwości schronienia się w twierdzy. W dodatku nieoczekiwanym sprzymierzeńcem Draculi okazała się epidemia czarnej dżumy, powodująca tak dotkliwe straty w szeregach armii, iż osmańscy dowódcy zarządzili odwrót. Tymczasem zmuszony do opuszczenia kraju Tepes udał się do króla Węgier, Macieja Korwina z nadzieją na otrzymanie pomocy. Zamiast jednak pomocy, pod fałszywym zarzutem sojuszu z Turkami, został wtrącony do lochu na 12 lat. Vlad -nawet w więzieniu okazał się niebezpieczny, choć w dość szczególny sposób. Niespodziewanie oczarował swoją osobą Ilonę, siostrę króla węgierskiego, dzięki czemu wkrótce został uwolniony. A nawet ożenił się z księżniczką i uzyskał przeprosiny od Korwina. W czasie kilku lat wspólnego życia, w otrzymanym w prezencie zamku, Vladowi i Ilonie urodził się syn. Jednak obowiązki państwowe wzywały i w 1476 roku wykorzystując sprzyjającą sytuację międzynarodową, odzyskał tron wołoski i zbudował dzisiejszy Bukareszt, stolicę Rumunii. Niebawem jednak Turcy ponowili ataki i Palownik zginął w zwycięskiej dla niego bitwie niedaleko Bukaresztu w grudniu 1476r. Nie ma zgody wśród historyków, co, do okoliczności jego śmierci, Najczęściej wspomina się o zdradzie hospodarskich bojarów. Inne źródła podają, że Książę Wołoski zginął, gdy ruszył z odsieczą otoczonemu przez tureckie oddziały mołdawskiemu władcy i kuzynowi, Stefanowi. A jeszcze inne mówią, iż na chwilę przed ostatecznym triumfem w bitwie, został zabity przez swoich żołnierzy. Faktem jest natomiast, iż martwemu Draculi ucięto głowę i wysłano ją do Konstantynopola, a resztę ciała spalono w klasztorze w pobliżu Snagov...

Dalej:

Dzięki psychiatrze doktorowi Karlowi Bergowi historia Petera Kürtena obfituje w szczegóły dotyczące charakteru zbrodniarza. Dr Berg badał Kürtena zarówno przed rozprawą, jak i po ogłoszeniu wyroku, uznając go za niezwykle interesujący przypadek. W toku wielogodzinnych rozmów zdołał zgromadzić dane dotyczące całego jego życia.

Peter Kürten urodził się w 1883 roku w Kolonii, w rodzinie formierza, człowieka bardzo brutalnego i alkoholika. Był trzecim z trzynastorga dzieci; rodzina żyła w nędzy i przez jakiś czas zajmowała tylko jeden pokój.

Atmosfera wychowawcza w rodzinie Kürtena była wyjątkowo "zwichrowana". Dzieci często bywały świadkami stosunków seksualnych swych rodziców, zdarzały się też kazirodcze stosunki ojca z córkami i pomiędzy rodzeństwem (pierwszą kobietą w życiu "wampira" była jedna z jego siostr). O ile rodzina matki, potulnej, zahukanej kobiety, składała się ze spokojnych, ciężko pracujących ludzi, o tyle w rodzinie ojca występowały przypadki przestępczości, alkoholizmu, chorób psychicznych i paraliżu.

Według słów samego Kürtena, sadyzm rozbudził w nim sąsiad, z zawodu hycel, który nauczył chłopca torturować i zabijać psy, w czym mały Peter wkrótce odnalazł przyjemność. Twierdził też, że swe pierwsze morderstwo popełnił w wieku 9 lat, spychając dwóch rówieśników z tratwy, którą pływali po rzece.

Gdy Kürten miał 13 lat, rodzina przeprowadziła się do Düsseldorfu. Wkrótce potem Peter uciekł z domu i żył z napadów rabunkowych, na swe ofiary wybierając przeważnie dziewczęta i kobiety. Już wtedy prowadził niezwykle intensywne i zarazem perwersyjne życie seksualne. Wkrótce odkrył, że największą przyjemność sprawia mu widok krwi pośmiertne drgawki ofiary (wypróbował to na owcach). Przez pewien czas mieszkał z prostytutką, która pozwalała mu na sadystyczne traktowanie jej podczas stosunku.

W wieku 15 lat został aresztowany za kradzież i wkrótce otrzymał pierwszy z 17 wyroków, jakie miały złożyć się na 27 lat jego życia. Więzienie opuścił dwa lata później, w 1899 roku, a stwierdziwszy, że jego rodzice rozwiedli się zamieszkał z kolejną prostytutką; jej także okrucieństwo i tortury sprawiały przyjemność (była dwa razy starsza od Kürtena).

Jak sam twierdził, swe pierwsze morderstwo na tle seksualnym popełnił w listopadzie 1899 roku, kiedy to zaczął dusić dziewczynę podczas stosunku w lesie i nagle stwierdził, że jego partnerka nie żyje. Gdy jednak później sprawdzono jego wypowiedzi, okazało się, że w tamtym okresie nie znaleziono w okolicy żadnych zwłok. Możliwe, zatem, że dziewczyna, odzyskawszy przytomność, po prostu poszła do domu i nikomu nie powiedziała o swoim przeżyciu.

Do roku 1904 Kürten częściej przebywał w więzieniu niż na wolności. Po odbyciu kolejnego wyroku (dłużący się czas w celi, umiłał sobie podobno marzeniami om zabijaniu kobiet) popełnił pierwsze w swej "karierze" podpalenie, stwierdzając, że widok ognia wywołuje u niego podniecenie seksualne, potęgowane dodatkowo przez myśl, że w płonącej stodole mógł spać jakiś włóczęga.

W 1905 roku, dokładnie 25 maja, Kürten popełnił swe pierwsze morderstwo, o którym są wiarygodne dane. Włamał się do gospody pod nieobecność właścicieli i w jednym z pokoi na piętrze natknął się na śpiącą 13-letnią Christine Klein. Udusił ją, po czym poderżnął jej gardło scyzorykiem i spowodował liczne obrażenia narządów seksualnych. Po kilku tygodniach życie innej dziewczyny znalazło się w niebezpieczeństwie, lecz w ostatniej chwili Kürtena spłoszył przechodzień. "Wampir" krążył też czasami z siekierą po pustych ulicach. W tym czasie napadł i ciężko zranił dwie osoby, widok ich krwi doprowadzał go do orgazmu. Dokonał też kilku podpałów, po czym (na szczęście) został przyłapany na kradzieży i następne 8 lat spędził w więzieniu.

Powróciwszy do Düsseldorfu w 1921 roku poznał w domu swej siostry kobietę, która wkrótce została jego żoną. Przyszła pani Kürten, grubokoścista, przedwcześnie postarzała i zdecydowanie brzydka, również spędziła 5 lat w więzieniu (za zabójstwo niewiernego kochanka). Trudno powiedzieć dlaczego Kürten ożenił się z nią - być może jej kryminalna przeszłość sprawiła, że ujrzał w niej bratnią duszę. Żona w każdym razie do końca jego życia pozostała jedyną osobą, wobec której żywił sympatię i przywiązanie. Przez ponad dwa lata po ślubie prowadził nawet dość przyzwoite życie, pracując w fabryce w Altenbergu, lecz wkrótce jego sadystyczne skłonności dały znać o sobie.

W 1925 roku Kürten powrócił do Düsseldorfu. Z zachwytem wspominał później, że miasto przywitało go czerwoną jak krew łuną zachodzącego słońca. Tego też dnia w Düsseldorfie rozpoczęły się rządy strachu.

Początki były jeszcze dość niewinne. W ciągu czterech lat (1925-28) Kürten, jak sam twierdził, czterokrotnie usiłował udusić kobietę i dokonał 17 podpałów.

W 1929 roku nastąpił punkt szczytowy w działalności "wampira". W styczniu miało miejsce 6 podpałów stodół, 3 lutego napadł na niejaką panią Kuhl, została uderzona nożem 24 razy i fakt, że przeżyła graniczy z cudem. 13 lutego znaleziono zwłoki 45-letniego mężczyzny nazwiskiem Scheer, został pchnięty nożem 20 razy. 9 marca robotnicy odkryli na placu budowy zwłoki 8-letniej Rose Ohliger, miała 13 ran od noża. Te trzy przypadki zaskoczyły policję: wszystkie ofiary miały rany klute na skroniach, co wskazywało na tego samego sprawcę. Wydawało się jednak niemożliwe, by maniak seksualny, jakim niewątpliwie był ów sprawca, napadł zarówno na kobietę, mężczyznę, jak i na dziecko.

Po dwóch kolejnych napadach ujęto człowieka, który z początku wydawał się być poszukiwanym "wampirem". Okazało się jednak, że trzy pierwsze napady nie były jego dziełem. Kürten zaś w tym czasie zadowalał się

romansami ze służącymi, które próbował udusić "dla żartu", zastanawiające jest, że żadna z nich nie złożyła o tym doniesienia.

W połowie sierpnia miały miejsce trzy napady, których ofiary, dwie kobiety i mężczyzna, uszły z życiem. Wreszcie 24 sierpnia odkryto podwójne morderstwo, które wstrząsnęło opinią publiczną całego miasta. Znaleziono ciała dwóch dziewczynek, 5-letniej Gertrude Hamacher i 14-letniej Louise Lenzen, obie zostały uduszone, po czym sprawca poderżnął im gardła (żadna nie została zgwałcona). Tego samego dnia miał miejsce jeszcze jeden napad, jego ofiara Gertrude Schulte, została jednak tylko lekko ranna i zdołała podać policji opis napastnika. Ów napad, dokonany w dzień po zabójstwie dwóch dziewczynek utwierdził policję w przekonaniu, że w mieście działa dwóch wampirów. Wydawało się niemożliwe, by ten sam człowiek już następnego dnia po zabiciu dwóch osób wybrał się na poszukiwanie kolejnej ofiary.

We wrześniu miały miejsce trzy napady, których ofiary zdołały się uratować. Pod koniec września znaleziono na łące ze strasznie zmasakrowaną głowę Idę Reuter (została także zgwałcona). Kolejną kobietę, Elizabeth Dorrier, znaleziono 12 października (tym razem sprawca posłużył się młotkiem). 25 października miały miejsce dwa napady, oba zakończyły się szczęśliwie dla ofiar. Natomiast 7 listopada znaleziono zwłoki 5-letniej Gertrude Albermann, dziecko zostało uduszone i 36 razy pchnięte nożem.

W połowie listopada Kürten napisał list do jednej z gazet, podając w nim miejsce ukrycia kolejnych zwłok. Dowodzi to, że pilnie studiował sprawę Kuby Rozpruwacza, który również zasłynął z listów pisanych do gazet. We wskazanym miejscu znaleziono zwłoki Marii Hahn, która zginęła w sierpniu, na jej ciele znajdowało się 20 ran kłutych.

W Düsseldorfie zapanowała panika, choć "wampir" był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całym mieście, do ujęcia go doprowadził przypadek. Otóż jedna z napadniętych służących opisała swą przygodę w liście do znajomej, list trafił pod zły adres, a kobieta, która przez pomyłkę go przeczytała, wykazała zdrowy rozsądek, niosąc go na policję. Napadnięta służąca zaprowadziła policję do domu Kürtena, nie zastali go, lecz on zauważył ich wracając. Tej samej nocy wyznał wszystko żonie, polecając jej, by zgłosiła się na policję i zapewniła sobie tym samym wysoką nagrodę, jaką wyznaczono za pomoc w ujęciu "wampira". Nieszczęsna kobieta, która dotąd o nic nie podejrzewała męża spełniła jego prośbę. 24 maja 1929 roku Peter Kürten został ujęty dzięki informacjom swej żony. Rządy strachu dobiegły końca.

"Wampir" początkowo złożył obszerne zeznanie, w którym opisał wszystkie swe czyny, później jednak wycofał je. Tymczasem zgromadzono już wystarczającą ilość dowodów, by postawić Kürtena przed sądem za 9

morderstw. Większość jego ofiar, które przeżyły zdołała go rozpoznać, ich zeznania zgadzały się w najdrobniejszych szczegółach z opowieścią "wampira".

Nie tylko żona była zaskoczona, gdy wampirem okazał się Kürten, jeszcze przez dłuższy czas jego koledzy i znajomi uważali, że nastąpiła jakaś pomyłka. Peter Kürten miał bowiem opinię spokojnego, dobrze wychowanego i pracowitego człowieka. Takie samo wrażenie odniósł też doktor Berg, gdy po raz pierwszy zetknął się z "wampirem".

Proces Kürtena rozpoczął się 13 kwietnia 1931 roku i trwał 10 dni. Przez ten czas przez salę sądową przetoczył się korowód świadków, przede wszystkim kobiet, które opowiadały o "dziwnych" skłonnościach oskarżonego. Zeznania te najlepiej podsumował sam Kürten w ostatnim słowie, podkreślił on mianowicie, że ofiary bardzo ułatwiały mu zadanie: godziły się pójść z obcym mężczyzną do lasu, nie protestowały, gdy "dla żartów" zaczynał je dusić, niektóre z nich spotykały się z nim nawet kilka razy.

Narada sędziów trwała półtorej godziny, Kürten został (zgodnie z ówczesnym prawem niemieckim) dziewięciokrotnie skazany na śmierć za dziewięć morderstw, które mu udowodniono.

Do ostatniej chwili "wampir" był w doskonałym humorze, przed szóstą rano 2 lipca 1931 roku zjadł z apetytem śniadanie, prosząc o dokładkę. Idąc na gilotynę zwierzył się doktorowi Bergowi, że ma nadzieję usłyszeć tuż przed śmiercią, jak jego własna krew spływać będzie do naczynia. "Sprawiłoby mi to ogromną przyjemność..." - powiedział.

I dalej:

Zanim zaczną zabijać, wielu seryjnych morderców manifestuje fascynację śmiercią. Samo w sobie nie jest to czymś nadzwyczajnym. Być może, jeżeli ich antisocjalne osobowości nie zeszyłyby na tą drogę, seryjni mordercy mogliby zostać lekarzami, naukowcami, właścicielami zakładów pogrzebowych, czy nawet artystami. Gacy pracował w kostnicy, śpiając w pomieszczeniu do balsamowania, sam z ciałami, ale został zwolniony gdy znaleziono częściowo rozebrane ciała. Denis Nilsen udawał trupa i masturbował się przed lustrem do swojego własnego martwego wizerunku. Jako młodzieniec Berkowitz zaczął fascynować się patologią: "Zawsze miałem fetyszym morderstw i śmierci - nagła śmierć i rozlew krwi przyciągały mnie," powiedział. Jeffrey Dahmer, który uwielbiał sekcje zwłok w klasie biologicznej, powiedział koledze, że rozplatał rybę, którą złapał, ponieważ chciał "zobaczyć, jak wygląda wewnątrz, dowiedzieć się jak działa." Później podał policji taką samą wymówkę

- rozcinał ofiary, "by zobaczyć jak działają." Jego adwokat racjonalizował kanibalizm Jeffreya, oświadczając, że "jadł on części ciał po to, aby ci biedni ludzie, których zabił, ożyli w nim." Kanibalizm jest dosłowną formą uwewnętrznienia: zamiast robić miejsce w sercu dla tego za kim tęskni, kanibal robi miejsce w swoim żołądku dla tego, kogo pożąda. Metaforyczny głód towarzystwa innych staje się dosłownym głodem. Wielu opisuje to jako sposób wcielania innych w siebie. Ponieważ psychopaci są niezdolni do doświadczania empatii i miłości, ta surowa i prymitywna forma przywiązania staje się środkiem zastępczym.

Pewnym szczególnie makabrycznym przykładem tej teorii "konsumpcyjnej miłości" jest japoński kanibal Issei Sagawa, który zabił i zjadł studentkę z Danii. Otwarcie opowiadał jak pożądał swojej ofiary: "Moja namiętność jest tak wielka. Chcę ją osiąść. Chcę ją zjeść. Jeśli to zrobię, będzie moja na zawsze." Sagawa wahał się, gdy odkrył jej macicę: "Jeśliby żyła, mogłaby mieć dziecko w tej macicy. Ta myśl przygnębia mnie na chwilę." Ale Sagawa kontynuował. Marta Steward wśród seryjnych morderców, Ed Gein, miał makabryczne domowe ulepszenia takie jak abażury zrobione z ludzkiej skóry, okrycia na fotele i czaszki używane jako miski. Ponadto robił także ubrania i bransolety z części ciał. Atlasy anatomiczne nie wystarczały, by zaspokoić jego ciekawość - posuwał się do rabowania grobów i ostatecznie morderstw.

Inspektor Miller przestał czytać i otarł pokryte kropelkami lodowatego potu czoło.

Czterdzieści pięć

Przeciągły gwizd Berga przerwał nocną ciszę kancelarii Liceum nr 8, gdzie wertował akta uczniów profesora Adama Zegadłowicza.

„Teraz rozumiem, dlaczego tak broni się przed policją – pomyślał, trzymając w rękach akta Mateusza Millera. – Czyżby to był dobry trop? A on myśli, że tatuś glina będzie sabotował śledztwo? W sumie słuszne rozumowanie. Mógł mi jednak powiedzieć o swoich podejrzeniach. Zresztą...”

Berg usłyszał jakieś dźwięki płynące z oddali, pośpiesznie więc odłożył akta na swoje miejsce i podszedł do okna, którym wszedł, żeby tą samą drogą wyjść.

Czterdzieści sześć

Michał musiał przerwać ciągnącą się nieznośnie ciszę białego gabinetu.

-Właściwie to nie miałem zamiaru tutaj przychodzić – wymamrotał. – Ale to stało się takie nieznośne, że w końcu pomyślałem...

Urwał, gdyż psychiatra popatrzył na niego oczami powiększonymi ze dwa razy przez grube szkła okularów.

-To tak jak wszyscy – powiedział zawodowo spokojnym głosem.

-Wszyscy?

-Nikt dla przyjemności nie ma ochoty udać się do psychiatry – odparł doktor Śmiech. – Ludzie znajdują się tu, gdy już naprawdę muszą. Tak jak pan, prawda? – spojrzał na Michała przenikliwie.

-Chyba tak – bąknął Michał.

Doktor Śmiech napisał coś jeszcze w karcie choroby, po czym odsunął się od stołu, założył nogę na nogę i zapytał:

-Od dawna miewa pan te koszmary?

Michał zmarszczył brwi.

-Od jakiegoś czasu. Dosyć długo.

-Ale dokładniej? Bardziej miesiąc, czy bardziej rok?

-Bardziej rok – odparł po chwili zastanowienia Michał. – Albo i dłużej.

-Mówił pan, że tematyka snów jest podobna. Jaka?

-Już mówiłem – Michał spuścił wzrok i poczuł, że palą go uszy. – Sny dotyczą okaleczania i zabijania. Są bardzo realistyczne.

-Ale kto kogo okalecza? – spytał doktor Śmiech. – Pana okaleczają, czy to pan okalecza i zabija?

-Różnie – Michał chrząknął. – I tak, i tak. Chociaż ostatnio – zaczął wiercić się na krześle – to ja okaleczam i zabijam.

Doktor Śmiech pokiwał głową.

-Czy są to osoby, które pan zna? Konkretnie osoby?

Michał wolno pokręcił głową.

-Nie, zwykle nie widzę ich twarzy – odparł. – Albo ich nie mają. Twarzy.

-Nie mają twarzy?

-Tak... Na miejscu twarzy mają gładką skórę, nic więcej – Michał poczuł, że zaczyna się pocić.

Doktor Śmiech zapisał coś w karcie, a potem powiedział:

-Dobrze, zwolnijmy – splótł dłonie na kolanach. – Czy jest pan zadowolony z życia, jakie pan prowadzi?

-Nie bardzo – odparł Michał ponuro.

-Mógłby pan powiedzieć coś więcej?

-Mam beznadziejną pracę.

-Czym się pan zajmuje?

-Jestem akwizytorem – odparł Michał jakby ze wstydem. – Wciskam ludziom różne buble za cenę, jaką w jednej trzeciej nie są warte.

-Tak – doktor Śmiech pokiwał głową z zawodowym zrozumieniem. – To dosyć niewdzięczna praca.

Michał uśmiechnął się krzywo.

-Łagodnie powiedziane.

Po chwili przerwy doktor Śmiech zapytał:

-Czy znajduje się pan, panie Michale, w jakimś związku? Formalnym albo nieformalnym?

Michał na moment zacisnął szczęki, a potem odpowiedział:

-Bardzo nieformalnym – mruknął.

-To znaczy?

-Nawet nie wiem, czy jeszcze jestem ze swoją dziewczyną – wyjaśniał Michał. – Niby zerwaliśmy, tak w gniewie, potem chciałem nawiązać z Agnieszką kontakt, ale... z nią w ogóle nie ma kontaktu. Jakby stało się coś, o czym nie wiem.

-Podejrzewa pan zdradę?

-Z początku tak – mówił Michał. – Teraz już nic nie wiem. Ona stała się zupełnie obcą osobą, do niej nic nie dociera.

Michał urwał, dyszał ciężko.

-Dobrze – odezwał się doktor Śmiech. – Spytałem teraz pana o coś. Czy pańskie koszmary mają jakieś przełożenie na życie na jawie?

Michał popatrzył na psychiatrę.

-To znaczy?

-Powiem tak – doktor Śmiech zawiesił głos. – Czy ma pan ochotę okaleczać, bądź zabijać na jawie? Może słyszy pan jakieś głosy, które pana do tego nakłaniają?

Michał milczał długą chwilę.

-Można tak powiedzieć – odparł wolno. – Jakiś głos każe mi zabić.

Doktor Śmiech poprawił się na krześle.

-Kogo? – zapytał.

-Agnieszkę – odparł głucho Michał.

Czterdzieści siedem

Dwie sąsiadki stały na klatce schodowej nieopodal zapieczętowanego przez policję mieszkania. Rozmawiały głośnym szeptem.

-Biedna dziewczyna – powiedziała pani Zubilewicz. – Kto by podejrzewał. Zawsze taka spokojna, uśmiechnięta.

-To jakiś narkotyk, mówię pani – powiedziała pani Kąkol. – Co ona wyprawiała, słyszała pani?

-Coś tam słyszałam, ale niewiele. Słyszałam tylko, że pani Agnieszka była naga, z przeproszeniem. Pani mówi.

-No właśnie – mówiła pani Kąkol. – zupełnie goła wdarła się do mieszkania mecenasa Santorskiego, a tam żona, małe dzieci... I zaczęła zdzierać z mecenasa ubranie. Cały czas coś krzyczała. Mecenase zbaraniał, ale w końcu się od niej uwolnił, to ona zaczęła skakać po stole, po innych sprzętach. Goła i cały czas coś krzyczała. A potem padła na podłogę nieżywa.

-Jezus Maria – powiedziała ze zgrozą pani Zubilewicz. – A co ona krzyczała?

-Tego nie wiem – odparła pani Kąkol.

Chwilę milczały.

-W sumie biedna dziewczyna – odezwała się pani Zubilewicz.

Czterdzieści osiem

Zegadłowicz zdjął płaszcz i wszedł do dużego pokoju. Tam zastał żonę z twarzą mokrą od łez.

-Nie płacz, Marlenko – odezwał się łamanym głosem. – To...to... – nie umiał znaleźć jakichkolwiek słów.

Przed Marleną na stole leżała zapisana kartka papieru.

-Mam poczucie, że chciałaby pani wiedzieć o tym, co łączyło mnie i pani męża – przeczytała Marlena. – Wiem, co może sobie pani o mnie myśleć, ale czuję, że powinna pani to wiedzieć.

Zegadłowicz zamarł. Bez ruchu stał pośrodku pokoju.

-Marlena... – udało mu się wyjąkać, lecz żona przerwała mu:

-Nie lubię być wykorzystywana – przeczytała i spojrzała na niego:

-Jak długo? – zapytała.

-Okolo pół roku – Zegadłowicz przełknął ślinę. – Ale... to już skończone.

-Kim ona jest?

-Pracuje ze mną. Uczy biologii – dodał bez sensu.

-Więc te wszystkie te twoje późne powroty do domu – mówiła twardo Marlena, - te wszystkie twoje zebrania, to była ona, tak?

-Tak – wyszeptał Zegadłowicz.

-Chcę wiedzieć tylko jedno – Marlena patrzyła na męża zimnym wzrokiem. – Czy w t e d y też?

-Też.

Marlena wstała i podała Zegadłowiczowi list.

-Poczytaj sobie – powiedziała. – I jak będziesz czytał, to pomyśl sobie tylko, że gdyby nie ty i ta dziwka, Dorota by żyła.

Zaczęła iść w stronę drzwi. Odwróciła się jeszcze i powiedziała:

-Myślałam, że po śmierci Doroty będziemy mieli przynajmniej siebie. Myliłam się – dodała.

Trzasnęły drzwi.

Zegadłowicz stał pośrodku pokoju trzymając w ręku kartkę zapisaną pismem Ewy.

Czterdzieści dziewięć

Michała dziwiło tylko, jak błyskawicznie znalazł się w szpitalu psychiatrycznym. Pamiętał karetkę, migające światła za oknem, a wszystko to jakby na puszczonej szybciej filmie.

-No, rozbieraj się – nakazał mu sanitariusz wielki jak szafa. – Dostaniesz piżamkę i paputki.

-Posiada pan jakieś samookaleczenia? – zapytała Michała pielęgniarka.

-Tydzień temu byłem u fryzjera.

-Nie o to chodzi, chory człowieku – powiedziano mi. – Czy nie obciął pan sobie ostatnio np. nogi?

-Przecież mam obie nogi – odparł.

-Phi – phichnięto. – Nogę można przyszyć. To żaden dowód. Zapiszcie: chory obciął sobie nogę, którą mu później przyszyto.

I osądzono:

-Na szóstkę z nim.

Na oddziale nr6, ordynator, dr Saul Mendele popatrzył na Michała szczerząc zęby, poklepał go po ramieniu, potem po drugim ramieniu i powiedział:

-Witam pana, panie pacjencie – powiedział. – Już dawno trzeba było do nas przyjść. Trzeba wypędzić chorobę duszy z chorego organizmu, aby był on zdrowym organizmem z brakiem choroby duszy.

Wepchnięto go do pierwszej sali cuchnącej moczem, kałem i marcepanem i rzucono na łóżko sztywne od zaschniętej spermy.

Wszyscy wariaci spali po zapewniającym spokój zastrzyku z Udupinu, tylko jeden rumiany tłusciuch okutany śmierdzącym kocem w trupie czachy jęczał jak stara baba:

-No i jaki jest, kurwa, sens tego, że mnie tu trzymacie. Ja tu tracę czas, w dodatku mogę stracić kupę kasy, przecież mam rozkręcony interes w Poznaniu, mam rozkręcony interes w Warszawie, mam rozkręcony interes w Wałbrzychu, mam rozkręcony interes w Berlinie, mam rozkręcony interes w Londynie, mam rozkręcony interes w Rio, mam rozkręcony interes w Melbourne...

-Pan to, panie Rysiu, tylko o pieniądzach myśli – przerwała mu pielęgniarka siedząca przy jego łóżku. – Tak nie można, pieniądze nie są najważniejsze, najważniejsze jest zdrowie.

-Całą kasę szlag trafi – mruknął ponuro Rysiu.

-Nie można być takim materialistą – powiedziała pielęgniarka z łagodnym uśmiechem kryjącym nieskończone pokłady okrucieństwa (charakterystyczny dla piguły – autopsja). – Zdrowie jest najważniejsze – powtórzyła.

Do sali wszurał się kapciowo starzec o nieruchomej twarzy.

-Zombie idzie – zaśmiał się Rysiu.

-Panie Rysiu – besztajaco szepnęła piguła. – Bo będzie zastrzyk.

Zombie, oczywiście, miał łóżko obok mojego łóżka i na dobry początek zalał Michała połową zawartości szklanki, którą trzymał w drewnianej dłoni. Na szczęście nie był to kwas siarkowy, jak trwożliwie pomyślał, lecz zwykła herbata szpitalowa.

-Najmodniej przepraszam – odezwał się zombie, a brzmiało mu tak, jakby wszczepiono mu w krtąń syntezytor mowy.

Posłodził szpitalówę raz, potem zapomniał, gdyż przez pół godziny grzebał w odrapanej szafce w poszukiwaniu pączka wielkości zlewu, posłodził szpitalówę jeszcze raz, potem przez 12,32 min. wpatrywał się w Michała martwymi oczami i posłodził jeszcze raz.

Potem zaczął spożywać pączka z takim mlaskaniem, jakby mlaskało na raz trzydziestu mlaszczących obrzydliwców. Jednocześnie zaczął się mozolnie rozbierać.

-To wżyzdko nie moje – mówił rozdrażnionym syntezytorem mowy.

W nocy:

Petro Wyrd uparcie zdzierał Michałowi skalp, Algiz Raido równie uparcie przyszywał mu go na nowo i tak w nieskończoność. Odwiedził go (pod postacią telewizora marki Auschwitz) Adam Słodowy i zaprezentował mu (bez chwili odpoczynku) wszystkie swoje wynalazki i podarował mu chodzącego misia Jogi z tektury. Miś Jogi miał wściekliznę, miotał się tocząc pianę z pyska i co chwilę kąsał Michała, więc krzyczał, lecz jak na ironię, stał się niemy.

Nad ranem:

Do sali wbiegła pielęgniarka, bez słowa wbiła mu igłę w żyłę na czole i pobrała 4,32 l krwi...itd...itd...

Pięćdziesiąt

Wytlumiony pokój.

-Należy poznać jej kontakty, znajomych i poddać ich dyskretnej, ale wnikliwej inwigilacji – powiedział agent A. – Być może to rozprzestrzeniło się jak wirus.

-Za wszelką cenę musimy powstrzymać policję – odezwał się agent C. – Agnieszka Konarska po prostu przedawkowała narkotyki. Mają umorzyć postępowanie.

-Brański nie żyje – zastanowił się agent B. – To wykonalne. Brański był niesłychanie wścibski i myślał o sobie jak o władzy absolutnej. Przykro mówić, ale dla dobra sprawy lepiej, że zginął.

-Amar sobie bezwiednie zaszkodził – agent A uśmiechnął się.

Pięćdziesiąt

Jakub.

Szedł tak długo, że stracił poczucie czasu. Ten korytarz był biały i jasno oświetlony światłem dochodzącym nie wiadomo skąd. Jakub szedł sztywnym krokiem, w jednostajnym tempie, i starał się nie myśleć o niczym konkretnym.

Następny zakręt i nadal ten sam widok.

Z całych sił odsuwał od siebie wspomnienie niebieskiego pokoju i swojej panicznej ucieczki.

Szedł dalej.

Pięćdziesiąt jeden

Zegadłowicz brodził w porozrzucanych resztkach rzeczy, po które Marlena miała jeszcze wrócić. Pił wódkę z butelki. Gdy znalazł się w uprzątniętym już pokoju Doroty, zdziwił się. Chwilę wstał, potem pijany padł na kolana. Spojrzał na szufladę od komody, która znalazła się na wysokości jego oczu. Poczul nieodparty impuls i jednym zdecydowanym ruchem wysunął górną komodę i wysypał jej zawartość na dywan.

-A może coś znajdę – odezwał się głośno pijanym głosem. – Coś, czego nie znajdzie ani Berg ani jebana policja.

Zaczął bezładnie grzebać w zdjęciach, listach, kosmetykach.

Trochę otrzeźwiał, zaczął segregować rzeczy. Zdjęcia do zdjęć, listy do listów. Znalazł też maszynopis bez obwoluty, ani strony tytułowej, otworzył na chybił trafił i przeczytał:

...Mag z obnażoną piersią stoi przed ołtarzem, na którym znajduje się jego rylec, dzwonek, kadzielnica i dwa ciastka światła. Ze „znakiem wstępującego” sięga na wschód i poprzez ołtarz krzyczy:

Chwała Ra, który płynie w berkantynie

Gdzie są ciemności jaskinie!

Wykonuje znak milczenia, po czym bierze w ręce dzwonek i ogień.

Wschodzie ołtarza zobacz mnie

Jak światło i muzyka w ręce mej!

Uderza jedenaście razy w dzwonek 333-55555-333 i umieszcza ogień w kadzielnicy..

Odrzucił maszynopis ze wstrętem.

-Jakieś sekciarskie gówno – skrzywił się, ale zaraz spoważniał. – Muszę to jednak kiedyś przeczytać. Sekta?... Chuje z jakiejś sekty?...Wszystko może mieć znaczenie – powiedział i zaczął przyglądać się zdjęciom. Nie znał ludzi z fotografii, na których byli razem z uśmiechniętą Dorotą. Zdał sprawę, jak mało znał życie swojej córki. Pijackie łyzy nabiegły mu do oczu. Otarł je wierzchem pięści. I nagle uwagę jego przykuł niewielki kartonik.

-Wizytówka – szepnął podniecony.

Podniósł kartonik i przeczytał jedno słowo.

-Na coś się zdały te fakultety – wybełkotał.

„Gahim”. „Dżahim”. Dżahannam”. Po arabsku gehenna lub piekło. Piekło.

Napis wyglądał na nazwę jakiegoś klubu, chociaż adresu nie było.

-Na sto procent klub – wydyszał Zegadłowicz

Nie decydował się długo. Porwał płaszcz i wybiegł z mieszkania.

Wskoczył na tylne siedzenie pierwszej taksówki na postoju.

-Dokąd jedziemy? – zapytał taksówkarz nie odwracając głowy.

Przez chwilę nie bardzo wiedział, co powiedzieć. W końcu odparł po prostu:

-Gahim.

Po chwili ciszy kierowca powiedział beznamiętnie:

-Spierdalaj pan.

-Słucham? – bąknął Zegadłowicz. – Ja nie jestem pijany.

-Spierdalaj pan z mojego samochodu – powiedział kierowca. – Ale już.

Wysiadł i zdumiony patrzył jak samochód z piskiem opon odjeżdża z postoju.

-Dokąd? – rzucił znudzonym głosem kierowca drugiej taksówki i ziewnął nie zasłaniając ust.

Zegadłowicz stwierdził, że kierowca jest w podobnym stanie, jak on.

-Właściwie to... – ciszę późnego wieczoru przerwał odgłos klaksonu, powtórzony kilkakrotnym echem. – ...Gahim. Wie pan, co to jest i gdzie?

-Jasne, że wiem. To jakiś teatrzyk, czy coś w tym stylu. Podejrzane miejsce – taksówkarz w dziwnie dobrotliwy sposób wydał mięsiste wargi. – Nie jestem z dupy wyjęty. Wożę takich jak pan od trzynastu lat. Dzisiaj mam rocznicę, á propos.

-Gratuluje – Zegadłowicz chrząknął i zakaszał. Po chwili dodał:

-To może powinien pan dzisiaj odpocząć? – i popatrzył z niepokojem na nabrzmiałą czerwoną twarz i załzawione oczy kierowcy.

-E, kolego, to czego pan właściwie chce? – zapytał taksówkarz i zaśmiał się krótko, dychawicznie. – Wieć pana, czy odpoczywać?... Poza tym nawet w święto jestem w stanie prowadzić taryfę. Jestem trochę tapnięty...

-Zauważyłem – mruknął Zegadłowicz. – Ja też, tyle, że ja nie prowadzę.

-Panie, wolałby pan jakiegoś nieprzytomnego ćpuna? –mówił taksówkarz, płynnym, acz lekko zwolnionymi ruchami zmieniając biegi. – Ja mam wszystko pod kontrolą. Niech pan sobie wyobrazi, że na moim miejscu siedzi jakiś nieprzytomny narkoman, co nie wie nawet, jak się nazywa. To by było karygodne, tak karygodne jak zabicie Abła przez Kaina, to znaczy odwrotnie, to znaczy...

-Czy mógłby pan chociaż uchylić okno? – Jakub przerwał słowotok kierowcy. – Duszno trochę.

Twarz Jakub owionął podmuch może niezbyt czystego, lecz neutralnego powietrza.

-U mnie można palić – powiedział kierowca. – Może się pan jeszcze napije?

-Dziękuję – powiedział Zegadłowicz. – Chętnie.

-Nasze zdrowie – powiedział niezwykle poważnym tonem taksówkarz, podając Zegadłowiczowi do połowy opróżnioną butlę Johnnego Walkera i zamilkł na resztę drogi poprzez ciemne wąskie uliczki

-Niewiele mnie może zaskoczyć – taksówkarz, który przedstawił się jako Gabriel popatrzył na Zegadłowicza. – W końcu taką mam pracę. Ale... Po co chcesz jechać do Gahim? To miejsce ma dziwną opinię. Niektórzy ciągną tam jak w dym, inni unikają, albo się boją. A ja nawet nie wiem dokładnie, co to jest.

Zegadłowicz oderwał zamglony wzrok od szyby, po której goniły się strugi deszczu.

-Straciłem rodzinę. Nie mam nikogo – odpowiedział wolno. – Czuję, że muszę. Postępuję intuicyjnie. A intuicja i inne... takie... wskazówki każą mi tam jechać. Nawet nie wiem, czego szukam, ale szukam. To ważne.

Gabriel łyknął z butli, po czym zaczął mówić:

-Miałem kumpla. To była jedyna bliska osoba w moim życiu. Bo tak to jestem samotny... Był super jako kumpel. Marek. Normalnie można powiedzieć, że prawie przyjaciel, chociaż co to znaczy przyjaciel?... Dobra.... I raz zaczął się zadawać z dziwnymi ludźmi. Oni byli dziwni i on sam stał się dziwny. Takiego go przedtem nie znałem. Bo dzwoni do mnie w nocy i ja poznaję jego głos, a on nawija w obcym języku. I to dramatycznym tonem. Pytam, co jest i słyszę sygnał. Potem widzę go na ulicy, jakiś taki zmarnowany, blady, a co najgorsze, zauważyłem, że odwrotnie buty założył. Uciekł na mój widok, tyle, że zgubił reklamówkę tego twojego Gahim. A potem po dwóch miesiącach dowiaduję się, że Marek w szpitalu wariatów. No to go odwiedziłem. A on w kaftanie, wzdryga się, rzuca i mówi: „Kościoszczury”. Ja pytam, jakie szczury a on przymyka ze strachu oczy, twarz ma jak opłatek i chrypi: „Kościoszczury. Wszędzie kościoszczury.”

-Kościoszczury? –Zegadłowicz uniósł brwi.

Gabriel popatrzył na niego ze. Zmarszczył z wysiłkiem czoło.

-Kościoszczury – powtórzył wolno. – Kościoszczury. Właśnie Tak. Tak powiedział. Kościoszczury.

-Nikt nie ma pojęcia – ciągnął leniwie Zegadłowicz. – Nikt naprawdę nie ma pojęcia, jak nagle może zaważyć się cały świat. Dokąd jedziemy?

-Nasz klient, nasz pan – odparł Gabriel spowity kłębam dymu z tanich papierosów. – Tam, dokąd chciałeś, Adamie, samobójco. Do Gahim, kochany. Jesteś dorosły, nie mogę cię powstrzymać....

-Rzygać mi się chce – omdlewającym głosem odezwał się Zegadłowicz.

-Tak, tak – powiedział skwapliwie Gabriel. – Pewno nie masz treningu... Poczekaj chwilę, bo mi tapicerkę zarzygasz, tu zjadę, tu jest stacja benzynowa. Załatwisz, co trzeba, ja na ciebie poczekam.

Chwiejnym krokiem Zegadłowicz wy dostał się z taksówki i stanął na mokrym asfalcie. Ostre światła stacji benzynowej poraziły jego oczy.

-Zaraz będę – rzucił Zegadłowicz, zygzakiem zbliżając się do mglistych świateł.

-Czekam – usłyszał głos taksówkarza.. – Czekam na ciebie.

Zegadłowicz przeszedł kilka kroków, przystanął dysząc. Potrząsnął głową, ruszył dalej. Po niespełna dziesięciu krokach zabrzmiał wybuch, który poraził gorącą falą jego plecy i rzucił go twarzą na zabłocony asfalt.

Kiedy odwrócił się, zobaczył, że wóz taksówkarza Gabriela stoi w płomieniach sięgających ugwieżdżonego nieba.

Upadł. Jego świadomość uleciała nie wiadomo dokąd.

Poczuł w gardle delikatne muśnięcie ciepłej wilgotnej gąbki.

Zwymiotował.

Gorąco.

Rozłożył szeroko ręce.

Poleciał wyrывая się z lepkiej zimnej rzeczywistości w przyjemnie ciepłą nieświadomość.

Leciał.

Chlap.

*Biała głowa owinięta turbanem bandażu
cała płonie w otchłani wilgoci.
Ciemność*

Pięćdziesiąt dwa

Michał leżał i był tak ociężały, że ponad jego siły było unieść głowę. Nad sobą ujrzał okulary doktora Śmiecha.

-Co się dzieje? – wyszeptał Michał. – Gdzie ja jestem?

-W szpitalu – poinformował go łagodnie doktor Śmiech. – Spał pan długo.

-Jak to spałem? Zamknęliście mnie w domu wariatów i to był, to jest koszmar. Jacyś nieprawdopodobni wariaci, pielęgniarka wypompowała ze mnie z cztery litry krwi...

-To był sen i pierwszy sukces – powiedział doktor Śmiech. – Co prawda połowiczny, bo krwawe koszmary zmieniły się w koszmary o innej tematyce, ale jednak. Zwiększymy panu dawkę Oterdormu i powinno pomóc.

-Co znaczy zwiększymy coś tam?... – Michał usiłował unieść głos, ale tylko zaskrzypiał jak nienaoliwiony. – Jakim prawem zamknęliście mnie bez mojej zgody w wariatkowie i traktujecie mnie jak zająca doświadczalnego?

-Królika – poprawił go doktor Śmiech.

-Królika – powtórzył Michał i na chwilę głos uwiązł mu w gardle, co wykorzystał psychiatra.

-To skomplikowane prawnie – powiedział – i nie na pańską głowę teraz, ale istnieje prawo przymusowej hospitalizacji w pewnych okolicznościach i pan, panie Michale, pasuje do tych okoliczności. Poza tym wyraził pan zgodę na bezterminowe leczenie zamknięte i, że tak się wyrażę, dobrowolne ubezwłasnowolnienie, więc...

-Ja wyraziłem zgodę?... – Michałowi wreszcie udało się unieść głowę. – Otumaniliście mnie jakimiś środkami i...

-Ależ skąd – przerwał mu doktor Śmiech stanowczo. – Podpisał pan dobrowolnie, nie będąc pod wpływem żadnych środków medycznych. Inaczej byłoby to wbrew etyce lekarskiej.

Michał rozszereżonymi z przerażenia oczami patrzył na łagodną twarz psychiatry.

-To znaczy – wyjąkał – ile czasu chcecie mnie tu trzymać?

-Aż do całkowitego wyleczenia – uśmiechnął się Śmiech.

Pięćdziesiąt trzy

Berg czekał niecierpliwie, aż rozlegnie się dzwonek na przerwę i nerwowo palił papierosa za papierosem. O tej godzinie klasa, do której chodził Mateusz Miller miała kończyć lekcje. Millera nie było w szkole przeszło dwa tygodnie, czego Berg dowiedział się z dziennika podczas jego nocnego włamania do kancelarii szkoły. Berg stał za drzewem i co chwilę spoglądał na zegarek.

Nareszcie.

Rozległ się odgłos dzwonka a chwilę później radosny gwar. Berg wyszedł zza drzewa i dyskretnie wypatrywał twarzy podobnych do tych dołączonych do akt uczniów, które przejrzał również.

Poruszył się niespokojnie. Są. Klasa szła dosyć niespójną grupą podzieloną na mniejsze grupki. Berg zaczął wypatrywać kogoś, kto wychodzi sam.

Jest. Dość tęga czarnowłosa dziewczyna zrobiona na punkówkę szła w tyle za wszystkimi. Outsiderka, uśmiechnął się Berg i wiedział już, że może być ciężko.

Przeszła cała klasa, w końcu punkówka również przekroczyła szkolną furtkę. Berg nie zastanawiając się długo podszedł do niej szybkim krokiem i zagadnął:

-Przepraszam bardzo, ale jestem prywatnym detektywem i miałbym do pani kilka pytań.

Obróciła ku niemu bladą twarz, pokrytą piegami i nieszablonowym makijażem.

-Tak? – odezwał się niskim, lekko zachrypniętym głosem i popatrzyła na niego wyzywająco. – A ja jestem Lukrecja Borgia i śpieszę się, żeby kogoś otuć. Laski ci nie zrobię, nie mam czasu. Spierdalaj dziadku, bo pożałujesz. Znajdź sobie jakieś niewinne dziewczę, tutaj takich dużo. Już cię tu nie ma, bo zawołam ochronę.

Roman Berg uśmiechnął się z zakłopotaniem i z kieszeni zniszczonej skórzanej kurtki wyciągnął plik wizytówek.

-Ale ja naprawdę jestem prywatnym detektywem – powiedział podając dziewczynie kartonik z papieru czerpanego. – I naprawdę mam do pani kilka pytań.

Punkówka długą chwilę wpatrywała się w wizytówkę.

-No, niby fakt – mruknęła i popatrzyła na Berga z krzywym uśmiechem. – A co, znowu coś przeskrobałam?

Berg roześmiał się.

-Jeśli nawet – powiedział, - to mnie to nie interesuje. Nie jestem z policji.

Dziewczyna popatrzyła na Berga łaskawszym wzrokiem.

-To o co ci chodzi?

-O Mateusza Millera – odparł.

-O Cichociemnego? – zdziwiła się dziewczyna. – Przecież jego stary to glina. Masz coś na syna psa?

-Mam kilka pytań o niego – odparł Berg podnosząc kołnierz kurtki, gdyż właśnie zaczęło mżyć. – Pomyślałem, że ktoś z jego klasy będzie wiedział rzeczy, o których inni nie wiedzą.

-I tu się, kurwa, mylisz, Kojak – zaśmiała się punkowa. – O Cichociemnym nikt nic nie wie. Świr nie zadawał się z nikim, prawie z nikim nie gadał. Stąd jego ksywa. Cichociemny. On tylko zakuwał, zbierał oceny i spadał do domu.

-Teraz nie ma go w szkole, prawda? – zapytał Berg retorycznie. – Czemu?

-Po tej rzeźni został zawieszony – odparła dziewczyna. – A potem starzy wysłali go w góry, bo podobno ma coś z płucami. Gówna prawda, pewno starzy szukają mu nowej budy, bo nie sądzę żeby tu wrócił po tamtym.

-Po czym? – zapytał Berg marszcząc brwi.

Dziewczyna popatrzyła na niego ze zdumieniem.

-To ty jesteś pies i nie wiesz?

-No, nie wiem – Berg chrząknął.

-Kitujesz.

-Nie kituję.

-Kurwa, Cichociemny odgryzł kołesiowi ucho – powiedziała punkowa podnieconym głosem. – Odgryzł a potem je wpierdolił, kumas? Wpierdolił kołesiowi ucho na surowo.

-O kurwa – wyrwało się Bergowi. – W aktach nic o tym nie było...

-Grzebałeś w aktach? – popatrzyła na niego z zaciekawieniem. – Pozwolili ci? Może zajrzałeś do moich?

-Nie – odparł Berg. – Więc Mateusz Miller odgryzł koledze ucho?

-Mówię przecież. Tamten coś mu powiedział, zaczęli się szarpać, i nagle chaps, Cichociemny pozbawił kołesia symetrii.

Roman Berg chwilę milczał, starając się uporządkować myśli.

-Coś jeszcze? – spytała punkowa i ziewnęła nie zasłaniając ust. – Śpieszę się i deszcz zaczyna padać.

Berg zamrugał oczami nieprzytomnie.

-Jeszcze jedno – odparł szybko. – Orientuje się pani, dokąd rodzice wysłali Mateusza Millera?

-Do Zakopanego niby – zaśmiała się dziewczyna. – Ale ja myślę, że to kit. Ale ty myśl sobie, co tam chcesz.

-Aha – Berg pokiwał głową. – Dziękuję za informacje. Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Dziękuję.

-Uprzejmy – rzuciła dziewczyna ironicznie i ruszyła wolno w swoją stronę stawiając długie, wymuszone przez ciężkie buty, kroki.

Berg stanął pod drzewem, gdyż mżawka przeistoczył się w drobny deszcz, chwilę myślał uporczywie, po czym sam sobie na głos wydał polecenie:

-Sprawdzić, czy młody Miller jest na miejscu. Jeśli nie, czeka nas wycieczka w góry.

Przechodząca obok staruszka z pudelkiem spojrzała na niego z lekkim strachem.

Pięćdziesiąt cztery

-Śledzą mnie – powiedziała Maja. – Jest ich wielu, ale nauczyłam się ich rozpoznawać. Chodzą za mną krok w krok, a ja nie umiem ich zgubić.

Łukasz westchnął ciężko.

-Przestałeś brać leki – powiedział ze złością. – Znowu.

-Wcale nie – Maja zrobiła obrażoną minę. – Ty mi w ogóle nie wierzysz. Naprawdę mnie śledzą.

-Wierzę, wierzę – mruknął Łukasz. – Wszyscy jesteśmy śledzeni, w mniejszym lub większym stopniu. Różne korporacje zbierają wiadomości na nasz temat. Nie unosi się.

-Nie unoszę się – burknęła jeszcze nie do końca udobruchana Maja. – Poza tym ktoś mi coś podrzucił. To na pewno któryś z nich – Maja wyciągnęła z kieszeni dzinsów małą torebkę wypełnioną żółtym proszkiem.

-Co ty, amfę bierzesz?! – przestraszył się Łukasz i wyrwał Mai torebkę. – przecież z twoimi lekami to zabójstwo!

-To nie jest amfa – Maja naburmuszyła się znowu. – Ma zupełnie inny zapach, taki intensywny. Poza tym już ci mówiłam, że mi to podrzucili.

-Jasne – Łukasz schował torebkę do kieszeni. – To ci nie będzie potrzebne – stwierdził i popatrzył na Maję, która z obrażonym wyrazem twarzy patrzy w zmoczone deszczem okno. – No, przestań już – przysunął się do niej. – Martwię się o ciebie po prostu.

-Nabijasz się ze mnie i nie wierzysz mi.

-Wierzę – wziął ją za rękę. – Przysięgam ci, że jeśli zauważę, że i mnie ktoś śledzi, od razu ci powiem.

Maja popatrzyła Łukaszowi w oczy.

-Jestem nienormalna – powiedziała spokojnie. – Ale jeszcze umiem odróżniać rzeczywistość od halucynacji.

-Jasne – bąknął Łukasz.

Pięćdziesiąt pięć

I nagle światło w korytarzu przygasło, a i sam korytarz zaczął się zmieniać. Pojawiły się drzwi, z jednej i z drugiej strony, ściany zmieniły kolor na brudnożółty.

Jakub szedł dalej.

W pewnej chwili jedne z drzwi uchyliły się bezszelestnie i z wnętrza za nimi wyskoczył ogromny czarny pies z białą pręgą na grzbiecie, co upodabniało go do przerośniętego skunksa. Jakub przystanął i pies zatrzymał się również. Wbił w Jakuba świecące ślepia. Zaczął kręcić się w kółko i warczeć. Trwało to jakieś kilka minut, może dłużej i pies zniknął za przeciwległymi drzwiami, uchylonymi niewidzialną ręką. Drzwi zamknęły się.

Po dłuższej chwili Jakub znowu zaczął iść.

Zauważył kogoś na końcu korytarza. Dwoje ludzi, zbliżali się do niego wolno. Jakub szedł pchany siłą bezwładu.

Doszli do niego. Para. Młody chłopak od stóp do głów pokryty krzepnącą krwią, a u jego boku rudowłosa dziewczyna, blada, o przezroczystej skórze, przez którą prześwitywały błękitne żyły. Uśmiechała się i popatrzyła na Jakuba bez słowa. Zakrwawiony chłopak również popatrzył na Jakuba z uśmiechem.

-Cześć – rzucił tylko i nie zatrzymując się poszli dalej. Jakub obejrzał się za nimi, za chwilę zniknęli za zakrętem korytarza.

I wtedy w ułamku ułamka sekundy ciszę zastąpiły najrozmaitsze odgłosy dochodzące zza zamkniętych drzwi.

Pięćdziesiąt sześć

Odzyskujący przytomność Zegadłowicz poczuł na ramieniu ciepłą drobną dłoń. Z trudem uniósł przyklejoną do mokrego asfaltu twarz i ujrzał nad sobą Dorotę.

-Córeczko – wychrypiał Zegadłowicz.

-Wstań, tato – odezwała się Dorota. – Nic ci nie jest. Straciłeś tylko na chwilę przytomność.

Serce Zegadłowicza biło jak oszalałe. Uniósł się za kolana i tak pozostał.

-Żyjesz tato i nic ci nie jest – powiedziała Dorota. – A ja bardzo cierpiałam i nie żyję.

-Córeczko... – powtórzył głucho Zegadłowicz i dalej już nie wiedział, co powiedzieć.

-Tato, dlaczego cię wtedy nie było? – zapytała Dorota wpatrując się w niego wielkimi czarnymi oczami. – Obroniłbyś mnie

-Nie mogłem – wyszeptał Zegadłowicz.

-Mogłeś – powiedziała Dorota. – Byłeś u tamtej kobiety, a mówiłeś, że masz zebranie. Okłamywałeś wszystkich.

-Ja... Skąd mogłem wiedzieć?...

-Kłamałeś. Zło rodzi zło i dlatego wszyscy jesteśmy otoczeni samym złem – powiedziała Dorota. – Tato, on mnie zgwałcił. Zerwał mi skórę z twarzy.

Zegadłowicz zaszlochał.

-Wylupił mi oczy – mówiła Dorota. – Obciął mi dłonie, stopy, uszy. Rozciął mi brzuch i wyciągnął wnętrzności, tato. A ciebie nie było.

-Przepraszam cię, córeczko – szlochał Zegadłowicz.

-Tato, on jadł moje wnętrzności, a ja jeszcze byłam przytomna – mówiła Dorota. – mnie też kazał jeść moje własne wnętrzności. Potem zaczął zdzierać ze mnie resztę skóry. Ja to wszystko pamiętam, tato. A ciebie nie było.

Zegadłowicz płakał jak dziecko i nie mógł powiedzieć ani słowa.

-Nie płacz, tato – powiedziała Dorota. – Ja nie żyję, ale znalazłam tutaj przyjaciółkę, jakiej w życiu nie miałam.

Zegadłowicz poprzez łzy zobaczył sylwetkę Agnieszki wyłaniającą się zza pleców Doroty.

Zakręciło mu się w głowie, padł na twarz i ponownie stracił przytomność.

Pięćdziesiąt siedem

-Chcę tylko powiedzieć – krzychał inspektor Miller, co zdarzało mu się niezwykle rzadko, a jak już mu się zdarzyło, musiało być bardzo źle, - że nasz syn może zostać podejrzanym w sprawie, którą prowadzę! I nie wmawiaj mi, że robię z niego psychopatę, bo nie robię!!! Mateusz może zostać podejrzanym, a może i oskarżonym!

Aldona Miller natomiast zachowywała niezmałony spokój. Siedziała na skórzanym fotelu i wolno paliła papierosa zaciągając się głęboko.

-Daj spokój, Robert – powiedziała. – O tamtej sprawie nikt nikt właściwie nie wie.

-Nikt! – krzychał Miller. – Nikt, oprócz dyrektora i ojca zamordowanej dziewczynki!!!

-Mój Boże – pani Miller wyduła wargi. – Nawet jeśli skojarzą tamten wypadek z tym morderstwem, w co wątpię, zapewnimy Mateuszowi żelazne alibi.

Miller skamieniał i popatrzył na żonę z przerażeniem.

-Ty... Ty mówisz poważnie?

Pani Miller poprawił się w fotelu.

-Najzupełniej – odparła wypuszczając kłąb dymu.

Pięćdziesiąt osiem

Ja, Jakub.

Zza zakrętu korytarza wyłoniła się utykająca, wlokąca się ociężale postać. Gdy doszła do mnie, z trudem rozpoznałem Krzyśka. Był obdarty i cuchnęło od niego ekskrementami, długie tłuste włosy spadały mu w zmierzwionych kosmykach na ramiona. Rosnąca dziko broda zasłaniała mu pół twarzy.

Spojrzał na mnie wściekle.

-Ty skurwysynu – odezwał się zachrypniętym głosem. – Ale mi sprzedałeś osobowość. Powinienem ci nakłaść po ryju, ale nie mam siły. Ty sam masz kaleką osobowość i sprzedałeś mi jeszcze gorszą, ty gnoju.

-Ale to był sen. Ciebie nie ma – wyszeptałem, lecz Krzysiek przyspieszył kroku i znikł za zakrętem.

Tymczasem za drzwiami po obu stronach korytarza gwar nabierał na sile. Przeważały ludzkie głosy, czasem na plan pierwszy przebił się krzyk albo śmiech.

Jedne z drzwi uchyliły się, jakby z zaproszeniem mnie do wejścia. Nie myśląc absolutnie nic, bo już postępowałem jak automat, wszedłem i zobaczyłem ogromną salę ze stołówkowymi stolikami ustawionymi w długie szeregi. Cuchnęło czymś nieprzyjemnym, czego jednak nie umiałem określić. Przy stolikach siedziało niewielu ludzi, jedząc coś z porcelitowych talerzy. Większość ludzi ustawiona była w rozgadanej kolejce do czegoś, co podobne było do mleczno barowego bufetu, za którym w straszliwie brudnym fartuchu stała dwustukilowa kobieta mieszająca coś chochlą w ogromnym garze.

Coś kazało mi ustawić się w kolejce biednie ubranych ludzi, a nawet wbrew sobie zapytać stojącego przede mną człowieka, dryblasa w zaplamionej szarej marynarce:

-Co dzisiaj dają?

Odwrócił do mnie pryszczatą twarz i ukazując w uśmiechu żółte zęby.

-To co zawsze – odparł.

-Musi być to co zawsze – odezwał się ktoś z kolejki. – Ostatnio dostałem tyle ścięgien i mielonych chrząstek, że o mało się nie udławiłem. Poszedłem się poskarżyć, ale niepotrzebnie, bo mnie tylko wybatożyli.

-Nie warto się skarżyć – powiedział ktoś inny. – Oni zawsze batożą, jak się wybrzydza.

Nawiązała się dziwaczna rozmowa, z której nic nie rozumiałem, zacząłem więc błędzić wzrokiem po sali. W kącie na barłogu z brudnych ubrań spółkowała jakaś para. Odwróciłem wzrok i stwierdziłem, że jestem na początku kolejki.

-Czego stoisz? – krzyknęła na mnie kobieta z chochlą. – Dawaj talerz. Nie ma czasu!

Stwierdziłem, że trzymam w dłoni, tak jak wszyscy, porcelitowy talerz, podałem więc go dwustukilowej kobiecie.

Nabrała z gara i chlapnęła mi w talerz czerwoną breję. Śmierdziała nadpsutym mięsem, spojrzałem więc na kobietę i spytałem:

-Co to jest?

-Jak to co? – krzyknęła na mnie. – To co zawsze, ty nieczłowieku!

Kolejka zarechotała, a ja czując narastające mdłości, błyskawicznym ruchem przewróciłem talerz na brudną podłogę i zacząłem uciekać, zatrzymywany szarpnięciami za ubranie i podkładaniami nóg przez kolejkę.

-Wybatożyć go!

-Jeszcze tu wrócisz, nieczłowieku!...

Wydostałem się z sali i zatrzęsnałem drzwi, za którymi momentalnie zapanowała martwa cisza.

Na korytarzu czekał na mnie mesje Pigeon i wymachując pozłacanym biletem, położył mi na ramieniu wypielęgowaną dłoń.

-Pociąg odjeżdża za sześć minut, hrabio – odezwał się tonem ugrzecznionego ponaglenia.

Strząsnąłem z ramienia jego dłoń.

-Orient-Express nie istnieje – wydyszałem. – Pan nie istnieje, Pigeon. I Mediolan nie istnieje.

Posmutniał i pochylił w jednej chwili poszarzałą twarz. Oddalił się wolnym krokiem.

-Orientuj się!!! – ten krzyk sprawił, że o mało nie dostałem zawału.

Odwrociłem się szybko i zobaczyłem Marcina uśmiechającego się krzywo.

-Chwileczkę – wyjąkałem ostrożnie. – Marcin, przecież ty nie żyjesz.

Machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

-Żyjesz, nie żyjesz – odezwał się lekceważącym tonem. – Co za sprawa, kurwa, i skończmy ten temat. Chodź – pociągnął mnie za rękaw. – Mam dla ciebie robotę.

-Jaką robotę?

Przez chwilę zmarszczył czoło, jakby się nad czymś uparcie zastanawiał.

-Robotę... – powtórzył, urwał i popatrzył na mnie z natężeniem. – Słuchaj, ja mam chyba coś z dekle, ale czy to ty jesteś Wiąz, a ja Cedr, czy ja jestem Wiąz, a ty Cedr?... Pierdoli mi się ciągle.

-Wydaje mi się – odparłem wolno, - że ja jestem Jakub Wiąz, a ty Marcin Cedr.

-Widzisz – powiedział ponuro. – A mnie raz się wydaje tak, innym razem jestem przekonany, że na odwrót. Ale mniejsza z tym. Mam dla ciebie robotę, a właściwie chciałbym cię prosić o przysługę. To będzie duża przysługa dla mnie.

-Co mam zrobić?

-Widzisz, tu niedaleko jest odnoga korytarza – tłumaczył Marcin szybko. – I w tej odnodze jest taki wielki hipermarket. Chodzi mi o to, żebyś tam poszedł i wziął dla mnie sześć butelek piwa „Number six”.

-Mam ukraść?

-Ale skąd – uspokajał mnie Marcin. – Kupisz, dam ci kasę. Bo mnie już nie chcą chuję sprzedawać.

-Czemu?

Marcin wzruszył ramionami.

-Chuj ich wie – odparł. – Tam popatrzą tylko na twarz człowieka i już mu nie chcą czegoś sprzedać. To co, zrobisz to dla mnie?

-Zrobię – popatrzyłem na Marcina przenikliwie. – Tylko powiedz mi jedną rzecz. Ty sfingowałaś swoją śmierć, tak?

Marcin skrzywił się.

-Ale z ciebie męczydupa – powiedział rozeźlony. – Żyjesz, nie żyjesz, też mi temat. To idziesz, czy nie?

-Idę – odparłem i Marcin zaciągnął mnie w odnogę korytarza, na końcu którego lśniły oszklone drzwi. O białą ścianę oparty był złożony wózek inwalidzki.

-Muszę uważać – Marcin stanął tyłem do drzwi. – Te skurwiele wszędzie mają zainstalowane kamery. Nie mogą nas zobaczyć razem, kumasz. Wjedziesz na wózek – wskazał na wózek i zaczął go rozkładać.

-Chyba zwariowałaś – powiedziałem.

-Ale skąd – Marcin ustawił rozłożony wózek przodem do drzwi. – Wózkowym z reguły wszystko sprzedają. Przez litość, czy chuj ich tam wie, przez co. Mówię ci, to pewny sposób. Siadaj i nie narzekaj. Pojeździsz sobie chwilę.

-Ale skoro oni mają tu kamery, to już wiedzą, że nie jestem kaleką i że będę udawał.

Marcin popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

-Mają obowiązek traktować cię jak wózkarza – wyjaśnił. – Stoisz przed sklepem to stoisz, ale jak wjeżdżasz do sklepu na wózek, to znaczy, że jesteś kaleką. Takie jest prawo.

Usiadłem więc na wózku i odpychając się rękami ruszyłem przed siebie.

Oszklone drzwi otwarły się przede mną.

-Ja będę tu za rogiem – rzucił za mną Marcin.

Wjechałem do olbrzymiej gwarnej hali hipermarketu. Skierowałem się do bramki wejściowej. Była szeroka, więc nie miałem problemów z wjazdem. Wjechałem na salę i zauważyłem, że na pomysł z wózkiem inwalidzkim wpadł nie tylko Marcin. Co chwilę mijalem jakiegoś wózkarza. Odwracali głowy albo patrzyli na mnie z nienawiścią.

„Number six” – mruknąłem do siebie i zacząłem rozglądać się za regałem z piwami, chcąc mieć całą sprawę już za sobą..

Wtedy natknąłem się na regał ze słodyczami i nagle ogarnął mnie wprost szaleńczy głód. Nie mogąc się opanować i nie myśląc o kamerach, zacząłem napychać się bez opamiętania ciasteczkami, batonikami, pierniczkami, goframi.

Nie wiem, ile to trwało. Gdy ochłonąłem, rozejrzałem się trwożliwie po sali.

-Może nie zauważyli – szepnąłem do siebie. – Może pomyłą mnie z innym wózkarzem.

Z regału z piwami szybko ściągnąłem sześciopak piwa „Number six” i próbując opanować zdenerwowanie, podjechałem do pustej kasy.

Ekspedientka w okularach jak denka butelek popatrzyła na mnie uważnie, wzięła piwo, które jej podałem i gdy już miała kasować zabrzączał telefon. Uniosła słuchawkę, chwilę słuchała w milczeniu, a gdy odłożyła słuchawkę, odezwała się beznamiętnie:

-Nie możemy sprzedać panu tego artykułu.

-Dlaczego? – zapytałem drżącym głosem.

-Nasz kierownik nauczył się czytać – odparła – i wyczytał z etykiety, że w piwie tym jest kokaina oraz, że posiada ono koncentrat z żonkili.

-Poza tym – usłyszałem z tyłu męski stanowczy głos – pan kierownik prosi pana do siebie, gdyż nasz system kamer przekazał nam, że buszował pan na stoisku cukierniczym.

Odwróciłem się i ujrzałem potężnego i wysokiego na przeszło dwa metry pracownika ochrony.

-Zapłacę – wyjąkałem.

-Za późno – powiedział twardo, ujął za tylne rączki od wózka i szybkim krokiem przewiózł mnie przez całą salę. Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami ze złotym napisem „KIEROWNIK”, otworzył je i wepchnął mnie do środka.

W niewielkim pokoju oświetlonym na niebiesko pokoju siedział na skórzanej kanapie ubrudzonej rdzawymi plamami siedział mężczyzna o wschodniej urodzie.

-Jestem Kierownikiem – odezwał się z łagodnym uśmiechem. – Nazywam się Dev Amar. Niech pan nie wstaje, przecież i tak pan nie może.

Moje nogi były bezwładne i pozbawione czucia.

Pięćdziesiąt dziewięć

Inspektor Miller czytał:

...kanibalizm seksualny uznaje się za zaburzenie psychoseksualne, które dotyczy osoby kojarzącej konsumpcję ludzkiego mięsa z seksem. Niekoniecznie oznacza to, że kanibal osiąga satysfakcję seksualną jedynie podczas zjadania ludzkiego mięsa, ale także może w ten sposób rozładowywać frustrację seksualną lub stłumiony gniew. Kanibalizm na tle seksualnym jest uznawany za formę sadyzmu i często bywa połączony z aktami nekrofilii (seks ze zmarłymi). Słynne przypadki związane z kanibalizmem seksualnym to między innymi sprawy: Andrieja Czikatilo, Edwarda Geina, Alberta Fisha, Armina M. i Jeffrey'a Dahmera.

W latach dwudziestych, Amerykanie zostali skonfrontowani z koszmarami Alberta Fisha, o którym mówiono, że zgwałcił, zamordował i zjadł kilkoro dzieci. Fish był seksualnym kanibalem w dosłownym tego słowa znaczeniu i twierdził, że doświadczał wielkiej seksualnej rozkoszy, kiedy fantazjował na temat jedzenia ludzi, lub też gdy dosłownie realizował swoje marzenia.

Andriej Czikałło, rosyjski seryjny morderca, był odpowiedzialny za zabicie wielu młodych chłopców i dziewcząt. Przez większość swojego życia cierpiał z powodu impotencji i był zdolny do osiągnięcia satysfakcji seksualnej tylko podczas torturowania i zabijania innych osób. Często okaleczał i konsumował fragmenty ciał swych ofiar, w tym piersi, genitalia i wewnętrzne narządy płciowe, podobnie jak inne części. Jest prawdopodobne, że także osiągał satysfakcję seksualną dokonując aktów kanibalizmu. Czikałło twierdził, że brzydził się "rozwiązłością" wielu swoich ofiar, które przypominały mu o jego własnej impotencji. Moira Martingale w książce *Cannibal Killers* pisze, że wiele z morderstw popełnił on po obejrzeniu filmów pornograficznych lub prezentujących przemoc seksualną.

Edward Gein, farmer z Plainfield w stanie Wisconsin, był posądzony o zabicie co najmniej trzech osób, w tym własnego brata, właścicielki baru - Mary Hogan, oraz właścicielki lokalnego sklepu z narzędziami, Bernice Worden. W 1957 roku policja przeszukała dom Geina i obok szczątków piętnastu innych kobiet znalazła zwłoki Worden. Większość ciał odkrytych na miejscu zbrodni zostało zrabowanych z pobliskiego cmentarza. Twierdzono, że Gein odbywał stosunki seksualne ze zwłokami.

Był on także zdeklarowanym transwestytą, który znajdował przyjemność w ćwiartowaniu ciał i obdzieraniu ich ze skóry, po to, aby móc się w nią ubierać. Odkryto, że Gein zjadał ludzkie mięso, w tym także części ciała Worden, której serce znajdowało się w rondlu stojącym na piecu, w czasie gdy policja przeprowadzała przeszukanie domostwa. Kwestia kojarzenia przez Geina konsumpcji zwłok z seksem pozostała niejasna. Jednakże w jego przypadku zachodził silny związek pomiędzy nekrofilią a zachowaniami kanibalistycznymi.

Innym przykładem kanibalizmu na tle seksualnym jest sprawa Armina M w Rotenburgu w Niemczech. W marcu 2001, Armin zamieścił w internecie ogłoszenie dla przystojnych mężczyzn w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, którzy chcieliby zostać zabici i zjedzeni. Nieoczekiwanie, na anons odpowiedział czterdziestodwuletni inżynier informatyki z Berlina, Bernd Juergen Brandes, a wkrótce potem pojechał do Rotenburga na spotkanie z Arminem.

Tuż po przybyciu do domu Armina, wspólnie uzgodnili amputować penis gościa, który potem został zamarynowany w winie, usmażony, a następnie skonsumowany przez gospodarza i jego ofiarę. Później Armin zabił mężczyznę, poćwiartował jego ciało, zamroził je, a resztę zakopał na podwórku. W artykule z Agencji Reuters, zatytułowanym Dziwaczne kanibalistyczne morderstwo szokuje Niemcy, policja oświadczyła, że akt ten miał podłoże w "kanibalistycznych i homoseksualnych tendencjach obu mężczyzn."

Seryjny morderca Jeffrey Dahmer również może być zaklasyfikowany jako kanibal seksualny. W 1992 roku, przyznał się on do zabicia, okaleczenia i seksualnego molestowania siedemnastu młodzieńców, z których kilku także zjadł. Dahmer zeznał, że miał stosunki seksualne z ofiarami przed i po ich śmierci. Przypuszczalnie twierdził, że zjadał swoje ofiary, zwłaszcza ich serca, wierząc, że ponownie ożyją w jego ciele.

Intrygującym jest fakt, że niektórzy ludzie, określający siebie mianem kanibali, przyznają, że podczas konsumpcji ludzkiego mięsa doznawali uczucia euforii i/lub intensywnego podniecenia seksualnego. W artykule napisanym przez Clarę Bruce zatytułowanym Chew On This: You're What's for Dinner, osoby te porównywały jedzenie ludzkiego mięsa z orgazmem. Doświadczenie, które dalej uznawano za wywoływanie poza-cieleśnych doznań, porównywalnych z przyjmowaniem meskaliny.

Według Lesley Hensel, autora pozycji zatytułowanej "Cannibalism as a Sexual Disorder", zjadanie ludzkiego mięsa może powodować wzrost poziomu witaminy A i aminokwasów, co z kolei może wywołać reakcje chemiczne w krwi i w mózgu. To zjawisko mogłoby prawdopodobnie prowadzić do doświadczenia odmiennych stanów świadomości, które opisują niektórzy kanibale. Jednakże, teoria ta nie została poparta dowodami naukowymi.

W artykule "Fascination with Cannibalism Has Sexual Roots", Josh Cannon opisuje dokonania psychologa Stevena Schera i jego zespołu, który w 2002 roku, na Eastern Illinois University, przeprowadził jedyne badania nad związkiem seksu z kanibalizmem. Prace objęły kilka grup, którym zadano pytania odnoszące się do kanibalizmu i preferencji seksualnych. Wyniki badań wskazują, że bardziej prawdopodobnym jest, iż człowiek zje kogoś, kogo postrzega jako atrakcyjnego pod względem seksualnym, aniżeli osobę nieatrakcyjną. Może to świadczyć o potencjalnej obecności znaczącej seksualnej komponenty w praktykach kanibalistycznych.

Kanibalizm jako ostateczna forma agresji

Większość aktów kanibalizmu jest w pewnym stopniu powodowana poprzez potrzebę ekspresji władzy lub kontroli nad ofiarą. Kanibalizm jest też ostatecznym wyrazem dominacji nad drugą osobą. Kanibalizm będący najwyższą formą agresji obejmuje akty kanibalizmu, u podstaw których leżą uczucia wrogości i/lub strachu, tworzące przejmującą potrzebę wywarcia dominacji, odwetu lub kontroli nad ofiarą poprzez zabicie, a następnie zjedzenie jej.

Ta postać jest jedną z najbardziej powszechnych form kanibalizmu i często pokrywa się z innymi typami antropofagii, zwłaszcza z rytualnym i seksualnym. Niekiedy przyciąga uwagę mediów z całego świata. Najświeższymi sprawami tego rodzaju są przypadki Anny Zimmerman i Eda Kempera.

W 1981 roku Anna Zimmerman, dwudziestosześcioletnia matka dwojga dzieci, zamordowała swojego konkubenta w przyпадку wściekłości, a następnie poćwiartowała jego ciało. Szczątki zamroziła, a po jakimś czasie rozmrażała je i zjadała ze swoimi niczego nie podejrzewającymi dziećmi. Postać ta reprezentuje jeden z niewielu znanych przypadków kobiecego kanibalizmu przestępczego.

Edmund Kemper został uznany winnym zamordowania sześciu młodych kobiet, swoich dziadków, matki i jej przyjaciółki. Sądono, że jego zabójczy szal i kanibalistyczne skłonności były rezultatem pogardy wobec matki i nieszczęśliwego dzieciństwa. Zgodnie z tym, co mówi Kemper, jego matka stosowała wobec niego przemoc psychologiczną, a w pewnym momencie jego życia zmuszała go do spania w ciemnej i zimnej piwnicy. Kiedy tam przebywał, jego nienawiść zaczynała coraz bardziej wzbierać. W celu rozładowania tłumionego gniewu, często rozwijał mordercze fantazje.

Wiele z morderstw popełnionych przez Kempera miało ważny czynnik seksualny: pewne ofiary gwałcił, zabijał, a następnie seksualnie wykorzystywał zwłoki. Jednakże, uważa się, że motywem zabójstw były przede wszystkim uczucia gniewu i chęci odwetu, kierowane pośrednio i bezpośrednio wobec matki. W rzeczywistości, Kemper stwierdził, że nieprzyjemne relacje z matką były tym, co popchnęło go do odegrania swoich brutalnych fantazji, które także obejmowały kanibalizm.

Kanibalizm rytualny i epikurejski

Współczesne formy duchowego i rytualnego kanibalizmu są bardzo podobne do tych, które występują w plemiennych grupach. Jakkolwiek, nowoczesna, przestępcza wersja tego rodzaju kanibalizmu jest bardziej związana z kultem satanistycznym, aniżeli z plemionami w odległych częściach świata.

W roku 1999, w Helsinkach, w Finlandii na karę więzienia skazano dwóch mężczyzn i nastoletnią dziewczynę, oskarżonych o torturowanie, zamordowanie i zjedzenie dwudziesto-trzyletniego mężczyzny. Wszyscy troje twierdzili, że są Satanistami, a zabójstwo miało podłoże rytualne. W książce Karen Jones "Satanism and Ritual Abuse Archive", podaje, że każdy z morderców otrzymał za to brutalne zabójstwo, karę niewiele ponad dwa i pół roku

pozbawienia wolności.

Jones wspomina także inny przypadek, kiedy to młoda dziewczyna zginęła w podobnym satanistycznym rytuale. W 1999 roku, mężczyzna o nazwisku Dmitry Dyomin oraz dwaj jego wspólnicy uprowadzili w Kijowie piętnastoletnią dziewczynę. Potem została ona zamordowana, a jej język usunięty i zjedzony przez Dyomina. Zabójcy odcięli zwłokom głowę i zatrzymali czaszkę jako trofeum.

Duchowy i rytualny kanibalizm niekoniecznie ogranicza się tylko do grup. W wielu przypadkach pojedynczy sprawcy kanibalizmu wprowadzało aspekty rytualne i duchowe do swoich praktyk. Na przykład przestępcy tacy jak Dahmer i Kemper twierdzili, że kiedy zjadali ciała ofiar, wierzyli, że duchowo staną się ich częścią. Byli także przekonani, że kanibalizm umożliwi im przejęcie pewnych atrybutów, takich jak moc.

Kanibalizm epikurejski i odżywczy odnosi się do konsumpcji ludzkiego mięsa, która jest głównie umotywowana poprzez jego smak lub wartości odżywcze. Ta postać kanibalizmu jest uznawana za rzadszą i zazwyczaj uważa się ją za sub-motywację innych form, takich jak kanibalizm seksualny i kanibalizm w celu przetrwania. Jakkolwiek rzadkie są przypadki tego typu, to kilka z nich pasuje do niniejszej kategorii.

W 1981 roku, student z Japonii, Issei Sagawa, został aresztowany we Francji za to, że dał upust swoim fantazjom na temat kanibalizmu. Pewnego dnia, oświadczył się swojej przyjaciółce z Danii tylko po to, aby zostać odrzuconym. Sagawa zastrzelił ją, a następnie odbył stosunek ze zwłokami. Potem odkroił kawałki ciała ofiary, w tym jej piersi i pośladki, po czym zjadł je. Martingale cytuje Sagawę w swojej książce, gdzie wyjaśnia on, że "nic nie

było tak pyszne!" Sagawa został uznany za psychicznie niezdolnego do postawienia przez francuskim sądem. Przez niespełna rok trzymano go w zakładzie psychiatrycznym, zanim wrócił do Japonii, gdzie z kolei został zwolniony po kilku latach i uzyskał status pewnego rodzaju gwiazdy.

Również we Francji, w 1994 roku skazano Nicolasa Claux, za zabójstwo 34-letniego Thierry Bissioniera. Jakkolwiek, morderstwo nie było jedynym jego występkiem. Claux, który uprzednio pracował w kostnicy szpitala dziecięcego Paryżu, przyznał się do kradzieży części ciał, które zabierał do domu i zjadał. W artykule na jego temat, napisanym przez Davida Lohr, podaje on, że jadł ludzkie mięso ze względu na jego smak, utrzymując, że wołał je jeść na surowo. Przyrównywał smak człowieka do tataru. Claux uznawany jest także za Satanistę, co mogło stanowić dodatkową motywację leżącą u podstaw jego kanibalistycznych praktyk.

I dalej:

...28 czerwca 1984 roku diabeł przekroczył granice piekła i przybył na ziemię, do Los Angeles, do domu 79-letniej Jennie Vincow. Tego dnia w Los Angeles było niezwykle duszno. Gdy zbliżał się nieco chłodniejszy wieczór, Jennie uchyliła okno by do mieszkania wpadło trochę świeżego powietrza. Wtedy, jak opadający liść, pojawił się upadły anioł. Przez otwarte okno wszedł do domu. W podobny sposób demon opuścił to mieszkanie. Zostawił swoją ofiarę zgwałconą... prawie poćwiartowaną.

"Ciało Jennie Vincow znalazł jej syn, mieszkający nad mieszkaniem swojej matki, nieco bliżej parku Forrest Lawn" donosił Los Angeles Times. "Jej gardło było podcięte, ciało było wielokrotnie dżgane nożem".

Policja była wstrząśnięta. Jednak podczas nadchodzących miesięcy policjanci mieli mieć do czynienia z kimś chyba równie, jeśli nie bardziej, opętanym rządzą krwi i zabijania co Kuba Rozpruwacz czy bardziej współczesny Dusiciel ze Wzgórz. Wkrótce też prasa nazwała go "Nocny Łowca".

Niecały rok po morderstwie Jennie, potwór ponownie dał znać o swoim istnieniu. Tym razem czekał na swoją ofiarę na obrzeżach L.A. 17 marca 1985

roku Maria Hernandez wprowadzała samochód do garażu, nieświadoma tego, że jest obserwowana przez mordercę. Gdy wysiadła z samochodu napastnik pojawił się obok niej. Wyciągnął pistolet, wycelował i oddał strzał. Maria upadła. Zabójca, myśląc że Maria nie żyje, przeszedł nad jej ciałem i wszedł do domu. Ale Maria miała szczęście. Kula trafiła w breloczek kluczyków samochodowych i kobieta otrzymała tylko niegroźny postrzał w rękę.

Jednak współlokatorka Marii nie miała już tyle szczęścia. Gdy ta uznała że bezpiecznie może wejść do środka, odkryła że jej przyjaciółka, Dayle Okazaki niestety spotkała mordercę.

Tym razem kula bezbłędnie znalazła swój cel.

33-letnia Okazaki leżała w kałuży własnej krwi, jej głowa była roztrzaskana przez pocisk wystrzelony z bardzo bliskiej odległości.

Demon zniknął równie szybko jak się pojawił.

Policja stała w martwym punkcie.

Wszystko co wiedzieli o napastniku to co powiedziała Hernandez: wysoki, szczupły, ciemny, być może Hiszpan.

Teraz zabójca nie czekał blisko roku by znów zabić.

Uderzył w przeciągu niecałej godziny.

Jego kolejną ofiarą była drobna Tsai-Lian Yu. Kobieta prowadziła swojego Chevroleta ulica North Alhambra Avenue, gdy niedaleko parku Monterey jakiś mężczyzna zmusił ją do zatrzymania wozu. Po chwili wyciągnął ją na ulicę, nazwał dziwką i z zimną krwią zastrzelił.

Szybko. Cicho. Pewnie.

I znów zniknął równie szybko jak się pojawił.

Policja zaczęła zadawać sobie sprawę ze swego nie najlepszego położenia.

Wszystko czym dysponowali to lakoniczne zeznanie Marii Hernandez.

Dziesięć dni później człowiek, którym według opisu mógłby być każdy mężczyzna w L.A., znów zaatakował. Tym razem nie skończyło się na strzelaninie. Napastnik musiał być bardzo chciwy krwi... To co stało się w domu państwa Zazzara to rzeź.

Ciała państwa Zazzara znalazł następnego ranka ich syn. Vincent Zazzara został zabity strzałem w głowę, podczas drzemki na kanapie. Umarł szybko, w przeciwieństwie do swojej żony. Na twarzy kobiety wycięte były różne znaki, całe ciało było potwornie zmasakrowane.

Clifford L. Linedecker tak opisuje to co policja znalazła na miejscu zbrodni:

"Oni (policjanci) nigdy nie zapomną widoku potwornie okaleczonej twarzy

Maxine Zazzara. Jej oczy były wydłubane, puste oczodoły wypełnione

mieszaniną krwi i tkanek. Morderca wbił nóż w jej lewą pierś, zostawiając duży ślad w kształcie litery T. Było mnóstwo innych ran na szyi, twarzy, brzuchu i

wokół wejścia do pochwy. Ta kobieta została zarżnięta..."

Oficerowie śledczy znaleźli odciski butów, wyraźne ślady tenisówek. Ślady te sugerowały, że napastnik założył je już w domu państwa Zazzara. Nie było żadnych świadków, ale modus operandi był aż za bardzo oczywisty. Niestety nie było jakichkolwiek oczywistych śladów łączących owe morderstwa. Wszystko to były tylko domysły. Z każdym morderstwem napastnik stawał się bardziej brutalny, nikt nie wiedział czego teraz można się spodziewać. Ale doświadczenie mówi, że należało się czegoś spodziewać.

Policjanci obawiali się kolejnych ataków.

Nie trzeba było na to długo czekać. Starsi państwo, Harold i Jean Wu nie słyszeli jak napastnik wślizgnął się do ich domu, wczesnym rankiem 14. Dopiero głośnie uderzenie zbudziło panią Wu. Otworzyła oczy i zobaczyła człowieka stojącego nad nią, z pistoletem w dłoni. Obok niej leżał jej mąż, z kulą w głowie. Wtedy napastnik zaatakował kobietę. Bił ją pięściami, kopał, uderzał otwartą dłonią. Chciał dowiedzieć się gdzie są pieniądze. Po chwili związał jej ręce i zaczął przetrząsać szafki i szuflady szukając gotówki. Przerażona kobieta słyszała ciężkie sapanie swojego znajdującego się w stanie agonii męża, oraz wściekłego napastnika, który nie mógł nigdzie znaleźć pieniędzy.

Przeszukawszy wszystkie możliwe skrytki napastnik wrócił do sypialni państwa Wu gdzie brutalnie zgwałcił skrzepowaną 63-letnią kobietę. Gdy skończył, uśmiechając się zapiął spodnie i opuścił mieszkanie.

Pani Wu, gdy już doszła do siebie, zeznała policji że napastnik był wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał ciemną karnację, hiszpańską urodę.

Nie minęły dwa tygodnie i miał miejsce kolejny napad nieuchwytnego przestępcy. Tym razem ofiarą była atrakcyjna 41-letnia Ruth Wilson. Ruth obudziła się gdy ktoś zaświecił jej latarką w oczy. Gdzieś z tyłu burkliwy głos zapytał o pieniądze. Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć napastnik szarpnął ją, wyciągnął z łóżka i zaprowadził do pokoju jej 12-letniego syna. Używając jej syna jako zakładnika, napastnik dowiedział się gdzie schowana była biżuteria. Mężczyzna wydawał się zadowolony z tego co znalazł w skrytce i Ruth po cichu liczyła na to, że nic złego nie stanie się jej i jej synowi.

Niestety, była w błędzie.

Najpierw zamknął jej syna w szafie. Teraz został sam na sam z atrakcyjną kobietą, ubraną w różową koszulę nocną. Zaprowadził ją z powrotem do sypialni. Tam zerwał z niej ubranie. Zaraz potem związał nagą już kobietę. Po

chwili kilkakrotnie brutalnie ją zgwałcił. Jego śmierdzący oddech i spocone ciało przyprawiało kobietę o mdłości. Nieoczekiwanie, pozostawił ją przy życiu... Odszedł, jednak "wracał" każdej nocy, w koszmarach...

I ta kobieta zeznała policjantom, że napastnikiem był wysoki, szczupły mężczyzna o ciemnej karnacji. Ruth była pewna że był Hiszpanem.

Szatańskie łowy

Wszystkie zebrane dowody i zeznania świadków dawały policji jako taki opis mordercy. Podejrzany był mężczyzna o ciemnej karnacji, wyglądający jak Hiszpan, 25-30 lat. Nosił długie, rozpuszczone włosy. Miał szczupłą, dziobatą twarz z dobrze uwydatnionymi kośćmi policzkowymi i grubymi ustami. Jego zęby nie były zadbane. Ten opis może nie był wystarczający, jednak opisywał potwora którym był ten mężczyzna. Wszyscy świadkowie zgodnie zeznali, że mężczyzna zawsze ubrany był na czarno.

Policjanci wciąż przeczesywali miasto, jednak żaden z patroli nie natrafił na mężczyznę odpowiadającego temu opisowi. A napastnik jak gdyby nigdy nie wciąż atakował.

Kolejny atak miał miejsce 1 czerwca, dzień po napaści na panią Wilson. Tym razem napastnik przyjął rolę satanisty. Ten atak był jednym z najbardziej brutalnych.

Ofiarami były dwie kobiety. Emerytowana nauczycielka Malvina Keller i jej niepełnosprawna siostra Blanche Wolfe. Pani Keller miała 83, a pani Wolfe 79 lat. Zostały napadnięte we własnym domu, w podmiejskiej dzielnicy Monrovia. Zostały znalezione następnego ranka przez ogrodnika który zajmował się małym ogródkiem staruszek. Ich czaszki były roztrzaskane przy pomocy młotka. pani Wolfe leżała w kałuży krwi. Kobieta została też zgwałcona. Pani Keller, która była cała pocięta, miała zmiażdżone ręce i nogi. Leżał na nich przewrócony stół.

"Policja znalazła znak pentagramu, namalowany szminką na udzie Malviny Keller" - tak Clifford L. Linedecker opisuje miejsce zbrodni. "Kolejny namalowany pentagram znaleziono na ścianie sypialni, gdzie leżała Blanche Wolfe. Pentagram był odwrócony - znak zła, znak Szatana."

Znaki te nie były zaskoczeniem dla Shermana Blocka, szeryfa stanu Los Angeles. Już wcześniej podejrzewał, że morderca może mieć coś wspólnego z kultem Szatana. Np. na miejscu morderstwa Dayle Okazaki znaleziono czarna czapkę z daszkiem, z emblematem hard-rockowej grupy AC/DC. Grupa ta znana jest ze swoich 'diabelskich' tekstów.

Nawet Los Angeles Times zamieścił na ten temat odpowiednią notatkę: "Władze skupiły się na fragmencie sześciominutowego utworu grupy AC/DC

zatytułowanego "Night Prowler", umieszczonego na wydanym w 1979 roku albumie "Highway to Hell". Oto fragment utworu: 'Co to za hałas za Twoim oknem? Co to za cień na zasłonie? Gdy będziesz leżał nagi w łóżku jak ciało w grobie, wszystko się zatrzyma gdy wślizgnę się do Twojego pokoju.'

Block widział w swoim życiu już tyle morderstw, że był w stanie rozróżnić różne motywy tych zbrodni. Jednak ta seria morderstw była najbardziej zaskakująca w całej jego karierze. On i jego ludzie musieli posuwać sprawę do przodu, nie mając dokładnego opisu napastnika oraz w zasadzie nie dysponując żadnym motywem przewodnim. Morderca wciąż pozostawał nieuchwytny i tylko to się teraz liczyło. Wszystko wskazywało na to, że ten mężczyzna, jak diabeł w legendach, z każdą kroplą krwi staje się mocniejszy.

Przez następne sześć tygodni Los Angeles nawiedziła tak przeraźliwa fala zbrodni, że wyglądało to na kataklizm. Od dawna mieszkańcy nie byli tak przerażeni. Owo przerażenie szczególnie dawało się we znaki samotnie mieszkającym kobietom. Żadne zamki czy pancerne drzwi nie były wystarczającym zabezpieczeniem.

Ponieważ napastnik nie wybierał swoich ofiar z żadnej grupy społecznej, płci, przedziału wiekowego, nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Całe miasto zastanawiało się: Kto będzie następny? Niektórzy sadzili, że skoro napastnik wyglądał na Hiszpana to będzie oszczędzał ludzi o takim wyglądzie. Jednak zapomniano o Marii Hernandez. Morderca nie pałał nienawiścią do żadnej grupy etnicznej, mordował bez zastanowienia, bez jakiegokolwiek selekcji. Nie ograniczał się też tylko do jakiegoś rejonu, jego obszarem było Los Angeles i obszar w promieniu 40 mil. Był "zabójcą przy każdej okazji", jak napisał o nim Linedecker.

Jego modus operandi był stały, motywy niewytłumaczalne. Jego włamania doskonale zorganizowane, przy okazji których często dochodziło do napaści seksualnych... wszystko to wskazywało na to, że pod wpływem impulsu, w jego mózgu rodziła się potrzeba natychmiastowego rozładowania emocji.

Między 1 czerwca a połowa sierpnia 1985 roku Nocny Łowca zaatakował dziewięć razy. Gazety nazwały go "Valley Intruder" (Intruz z Doliny). Ofiarami były:

Patty Higgins, 32 lata, 27 czerwca, Arcadia. Kobieta została zamordowana w swoim domu, miała poderżnięte gardło.

Mary Louise Cannon, 75 lat, 2 lipca, Arcadia. Znaleziono ją we własnym domu, była bardzo pobita, miała poderżnięte gardło.

Diedre Palmer, 16 lat, 5 lipca, Arcadia. Dziewczyna została brutalnie pobita we własnym domu. Przeżyła.

Joyce Lucille Nelson, 61 lat, 7 lipca, park Monterey. Kobieta została napadnięta we własnym domu, zmarła na skutek bardzo ciężkiego pobicia pałką.

Linda Fortuna, 63 lata, 7 lipca, park Monterey. I ta pani została napadnięta we własnym domu. Napastnik chciał ją zgwałcić, jednak nie mógł osiągnąć erekcji.

Kobieta przeżyła, mieszkanie zostało okradzione.

Maxson i Lena Kneiding, 66 i 64 lata, 20 lipca, Glendale. Małżeństwo zostało zastrzelone we własnej sypialni, podczas snu. Po śmierci napastnik zmasakrował ich zwłoki. Mężczyźnie prawie odciął głowę.

Rodzina Assawahem, 20 lipca, Sun Valley. Mężczyzna, Chitat, 32 lata, napastnik przystawił mu pistolet do głowy i strzelił. Jego żona, 29-letnia Sakima została dwa razy zgwałcona, napastnik zmusił ją także do seksu oralnego. Potem kobieta musiała słuchać jak morderca bił jej 8-letniego syna. Po tym wszystkim napastnik opuścił mieszkanie, zabierając wcześniej wszystkie znalezione pieniądze.

Christopher i Virginia Petersen, małżeństwo, 38 i 27 lat, 5 sierpnia, Northridge. Obydwoje otrzymali strzały w głowę, we własnym łóżku. Obydwoje jakimś cudem przeżyli.

Ahmed i Suu Kya Zia, małżeństwo, 35 i 28 lat, 8 sierpnia, Bar Diamond. Ahmed zginął od kuli, we własnym łóżku. Jego żona została zakuta w kajdanki, była bita, kluta nożem, gwałcona. Przeżyła.

Po fali tych morderstw zabójca już na stałe zyskał przydomek "Nocny Łowca". Te dwa słowa idealnie opisywały mordercę. Te dwa słowa wryły się w pamięć ludzi, zwłaszcza mieszkańców Los Angeles. Los Angeles było przerażone.

Presja policji

W mieście cała policja była bezradna. Sprawa pojmania Nocnego Łowcy spędzała im sen z oczu. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie dopóki ten morderca był na wolności. Ale jak można schwytać tego wściekłego psa, który wydaje się być niewidzialny?

Osobą najbardziej kompetentną by zająć się właśnie tą sprawą był Frank Salerno, detektyw, najlepszy z najlepszych. O seryjnych mordercach wiedział bardzo dużo, znał ich psychikę. To on odegrał kluczową rolę przy pojmaniu Dusicieli ze Wzgórz, którzy to dziesięć lat wcześniej terroryzowali Los Angeles. On też, jako pierwszy zauważył że w mieście znów grasuje seryjny morderca.

W czerwcu 1985 roku, niedługo po tym jak dokonano pierwszych morderstw, Salerno zaczął łączyć podobieństwa każdej ze zbrodni. W przypadku 6 morderstw wiele rzeczy do siebie pasowało. Te same odciski palców, łuski nabojuów wystrzelonych z broni tego samego kalibru. Nawet ta sama metoda dostawiania się do domów ofiar. Te same odciski butów - tenisówek firmy Reebok, rozmiar 11. Osoby które widziały napastnika również podobnie go opisywały: wysoki, wychudzony, ciemna karnacja, wiek między 20 a 30 lat. Zdecydowanie brzydki.

W wielu przypadkach napastnik pozostawił po sobie ślady wskazujące na

związki z satanistami. W mieszkaniu Malviny Keller znaleziono narysowane pentagramy. Ruth Wilson, która przeżyła napad, zeznała że napastnik kazał jej mówić 'Kocham Szatana'. Groził że ją zabije jeśli tego nie powie. Podobnie było z innymi ofiarami które przeżyły spotkanie z mordercą. Znaleziono także czapkę z logo grupy AC/DC. Niektóre utwory tej grupy miały zabarwienie satanistyczne.

Salerno zebrał to wszystko w jedną całość i zapoznał z tym kapitana Roberta Grimma. Grimm był pod wrażeniem i pozwolił Frankowi na wymianę notatek z detektywami zajmującymi się tą sprawą.

Linedecker pisze w swojej książce: "Grimm poznał się na mądrości i doświadczeniu Salerno. Nikt nie chciał sytuacji podobnej do tej w której znajdowała się obecnie policja LA. Każdy oddział pracował samodzielnie. Wyniki takiej pracy było niezadowolające."

Salerno i Grimm chcieli stworzyć jeden zespół, składający się z najlepszych detektywów LA. Departament Policji Los Angeles zgodził się przygotować odpowiednią grupę ludzi do pracy pod dowództwem Salerno. Grupa miała zająć się tylko i wyłącznie schwytaniem groźnego mordercy. Wreszcie wszystkie jednostki pracowały wspólnie, mając określony cel.

Salerno dobrał sobie również dwóch swoich ludzi którzy zajmowali się wcześniejszymi morderstwami Nocnego Łowcy. Okazali się bezcenni przy kontrolowaniu pracy całego zespołu.

Jednym z nich był detektyw Gil Carillo. Zajmował się sprawą Okazaki. Carillo odpowiedzialny był za stworzenie komputerowej bazy danych dotyczącej popełnionych napadów i morderstw.

Detektyw Russell Uloth pomógł Salerno określić z jak bardzo psychopatycznym mordercą mają do czynienia. Badania zwłok pani Zazzara dowiodły że wszelkich okaleczeń na jej ciele morderca dokonał po jej śmierci.

Wydlubane oczy, oczy które morderca zabrał ze sobą, sugerowały, że było to morderstwo rytualne.

W czasie gdy detektywi zbierali coraz to nowe informacje o mordercy, ten, bez najmniejszych przeszkód, dokonywał kolejnych morderstw.

Kolejna seria morderstw spowodowała wzrost liczby detektywów zajmujących się tą sprawą. Na początku sierpnia do sprawy przydzielonych było 200 oficerów śledczych. Była to największa w historii grupa ludzi pracujących nad jedną sprawą. Oprócz tego Salerno zatrudnił ekspertów z FBI, którzy mieli przedstawić i przeanalizować listę aktualnie działających seryjnych morderców. Sprawdzając każdy trop, detektywi również pytali satanistów o różnego rodzaju rytuały związane z kultem Szatana.

Idąc tym tropem, detektywi sprawdzali różne organizacje satanistyczne.

Interesowali ich członkowie owych grup. Niestety, nie znaleźli nikogo podejrzanego. Sprawdzając miejsca spotkań satanistów we wschodnim LA

odkryli odciski butów - były to Reeboki, numer 11. Dokładnie takie same, jak te pozostawiane w miejscach zbrodni.

Salerno chciał by morderca czuł na karku oddech detektywów. Już wiele razy tego typu działania przynosiły zamierzony skutek. Morderca, czując osaczenie popełnia jakiś prosty błąd który go całkowicie demaskuje. W tym celu detektywi informowali media o każdym nowym odkryciu, nawet zupełnie nieistotnym, niesprawdzonym. Morderca musiał wiedzieć, że śledztwo zbliża się do wielkiego finału.

Na sierpniowej konferencji prasowej po raz pierwszy poinformowano zaniepokojonych przedstawicieli prasy o tym, że w dolinie Los Angeles grasuje groźny seryjny morderca.

"Uważamy, że jest pewna osoba odpowiedzialna za więcej niż jedno morderstwo, za wielokrotne morderstwa." - oświadczył Robert A. Edmonds, asystent szeryfa hrabstwa LA.

Sherman Block, szeryf hrabstwa LA, zapewnił społeczeństwo że policyjni agenci przeszukują ulice miasta by złapać mordercę. Poproszono społeczeństwo o spokój, jak również o uwagę, oraz by informowali o jakichkolwiek dziwnych sytuacjach mających miejsce w ich sąsiedztwie.

Konferencja prasowa zapoczątkowała kampanię, której celem miało być zainteresowanie społeczeństwa pomocą w schwytaniu groźnego przestępcy. Rozprowadzano ulotki, na każdym słupie miał zawisnąć list gończy z portretem przestępcy. Mieszkańcy miasta nie mogli nie zauważyć rozlepionych wszędzie dużych plakatów z podobizną mordercy.

I wtedy zaczęło się coś dziać. Dzwonili ludzie, przysyłano listy, informowano policję o dziwnych sytuacjach zaobserwowanych w sąsiedztwie, lub o sąsiadach podobnych do Nocnego Łowcy. Żaden z tych sygnałów nie został pominięty. Przesłuchano wielu transwestytów, włóczęgów i bezdomnych... to głównie tacy ludzie byli uważani za "dziwaków z sąsiedztwa".

Strach który zawładnął społeczeństwem LA miał się teraz przeistoczyć w opór. Ludzie zaczęli organizować się w grupy myśliwych, chcących złapać mordercę. Jeśli chciał na nich polować, niech poluje, teraz będą na niego czekać. Wszyscy byli zaopatrzeni w broń, naładowaną i gotową do użytku. Byli gotowi na spotkanie z mordercą.

Morderca zauważył te zmiany. Teraz w nocy w domach paliły się światła, w oknach byli ludzie. W większych budynkach byli wynajęci strażnicy. Grupy ludzi przeszukiwały parki, boczne uliczki. Okna sypialni było zamknięte, niektóre zabite gwoździami. Przed domami paliły się światła. Wszystko to stało się dla niego wyzwaniem.

W każdym miejscu w mieście byli policjanci w cywilu. Wozy patrolowe przemierzały wszystkie ulice. Ochotnicy zostali upoważnieni do przeszukiwania podejrzanych osób i ewentualnego ich zatrzymania.

Dla mordercy był to najwyższy czas by wyjechać z LA. Mógł opuścić LA i zacząć mordować gdzieś indziej.

Richard Ramirez

17 sierpnia 1985 roku, gdy słońce zaczęło zachodzić nad San Francisco, poobijany rudawy Pontiac Grand Prix z 1978 roku zjechał z autostrady nr 80 i zaczął powoli przemierzać ulice przedmieścia. W przeciągu kilku godzin, samochód znalazł się w sąsiadującym Lake Merced. Było już bardzo późno. Samochód zatrzymał się w najciemniejszym miejscu w okolicy. Nocny Łowca znów się pojawił. Sprawdził czy jego pistolet jest nabity i udał się w kierunku dwupiętrowego domu.

Wysoki, chudy, brzydki 25 letni mężczyzna nazywał się Richard Ramirez. W pewnym momencie zatrzymał się. Obejrzał się w stronę samochodu. Postanowił pozostawić to auto. Uznał, że tak będzie dla niego bezpiecznie. Miał przed sobą całą noc, ukradnie inny samochód. Ale teraz miał coś ważniejszego do zrobienia. Trzymając w dłoni ciężki rewolwer zbliżył się do domu starszego chińskiego małżeństwa, państwa Pan.

Do domów tego typu bardzo łatwo można było się dostać. Ramirez doskonale o tym wiedział... wystarczyło tylko pchnąć szybę w jednym z nisko umieszczonych okien i już było się w środku, prawie bezszelestnie. Teraz Szatan kierował każdym jego ruchem, morderca czuł Jego obecność. Dlaczego miałby się obawiać że zostanie złapany? Większość mieszkańców już o nim słyszała, jednak nie wszyscy. Diabeł zatyka im uszy gdy śpią. I on, Richard Ramirez, zrobi kolejny krok. Uciszy ich na zawsze. Potrzeba dużo krwi by wyżywić Piekło, by podtrzymać płomienie.

Wewnątrz domu Richard spojrzał na zegarek. Była północ, dobra pora by zabić. Jeszcze raz sprawdził broń. Była naładowana. Większość domów zbudowana była w podobny sposób, instynktownie wiedział gdzie jest sypialnia. Bez zastanowienia wszedł do sypialni, małżeństwo smacznie spało gdy pociągnął za spust. Uwielbiał patrzeć jak ich ciała reagują na

strzały.

Jego zmysły były wyostrzone... obserwował ich walkę ze śmiercią, słyszał jak ich gardła błagają o powietrze, widział jak poduszki pochłaniają życiodajny płyn wypływający z ich roztrzaskanych czaszek. Jednak nie było aż tyle czasu by się temu ciągle przyglądać. Zostało jeszcze wiele rzeczy do zrobienia. Trzeba zostawić w domu wiele śladów mówiących policji że są jeszcze daleko od złapania Nocnego Łowcy.

Następnego dnia dom państwa Pan odwiedził ich syn. Zastał swojego ojca martwego, w łóżku. Matka leżała obok niego, bardzo poważnie ranna. Ściany domu były pokryte symbolami Szatana. Szuflady były przetrząśnięte. Okno z boku domu było otwarte. Od okna do sypialni państwa Pan prowadziły ślady butów - Reeboków.

Pani Alberta Pan przeżyła napad, ale została inwalidką. Jej mąż niestety zmarł w wyniku odniesionych obrażeń.

Policja San Francisco natychmiast zorientowała się, że Nocny Łowca pojawił się w ich mieście. Wszystko idealnie pasowało do modus operandi seryjnego zabójcy z LA.

Kule znalezione w ciałach ofiar porównano z tymi które znaleziono w LA. Wszystko się zgadzało. Detektyw Frank Kowalski porównując własne notatki z notatkami detektywa Salerno zauważył, że Pontiac z roku 1978 który był widziany w pobliżu miejsca zbrodni pasuje do opisu samochodu widzianego w pobliżu miejsc morderstw w LA. Był to ten sam samochód i ten sam maniak.

Władze zaczęły zastanawiać się czy cztery poprzednie morderstwa popełnione w San Francisco nie są dziełem Nocnego Łowcy. Teraz wydawało się to bardzo prawdopodobne.

"1 lutego policja znalazła okaleczone ciało Christiny Caldwell (58 lat) i jej siostry, Mary (70 lat). Miały dziesiątki ran kłutych. W raporcie koronera czytamy, że boczne okno było otwarte,

było również dużo odcisków palców, dłoni, śladów butów." Detektyw Kowalski twierdzi jednak, że większość odcisków należała do sąsiadów zamordowanych kobiet.

"Kolejnego morderstwa dokonano na Masataka Kobayaki (45 lat), właściciela Masa - modnej restauracji na Nob Hill. Czwarta ofiara to Edward F. Wildgangs (29 lat), zastrzelony 2 czerwca. Strzał oddano z bardzo bliskiej odległości, w prawą skroń. Mężczyzna zmarł dwa dni później. Jego dziewczyna, Nancy Brien, została zgwałcona, ale uszła z życiem."

Z zeznań Nancy wynika, że napastnikiem był Richard Ramirez.

Niezwłocznie rozpoczęto akcję informacyjną. Wszędzie pojawiły się ulotki i plakaty. "Cały departament został postawiony na nogi, jedynym naszym celem jest pojmanie mordercy." - zapewniał Richard Klapp, komisarz policji San Francisco. Podwojono liczbę nocnych patroli, zwłaszcza w dzielnicach zamieszkałych przez ludność narodowości hiszpańskiej. Szybko ustalono, że osobnik podobny do Richarda Ramireza niedawno mieszkał w małym hotelu przy 56 Mason Street. Kierownik hotelu zapamiętał go jako ponurego, śmierdzącego człowieka ubranego na czarno. Mężczyzna zrezygnował z pokoju w dniu w którym popełniono morderstwo w domu państwa Pan. Kierownik hotelu zeznał również, że na drzwiach znalazł narysowany pentagram, taki sam jaki morderca pozostawił na ścianach domu państwa Pan.

Richard Ramirez porzucił Pontiac. Opuścił także San Francisco. Uczynił to w pośpiechu. Cieszył się, siedząc za kółkiem ukradzionej pomarańczowej Toyoty, zastanawiając się co zmusiło go do szybkiego opuszczenia miasta. Chyba chodziło o rozgłos jakiego całej sprawie nadały media i policja. Zwariowani ludzie. Teraz, jadąc w kierunku Mission Viejo, miejsca w którym żyją dzieci bogatych mieszkańców LA, pokaże im kto jest sprytniejszy. Dzisiejszej

nocy ktoś zginie, ale nie w San Francisco, jak spodziewa się policja, tylko w Mission Viejo, bardzo blisko LA.

Był 25 sierpnia, zaraz po północy.

William Carns i jego narzeczoną Renata Gunther smacznie spali w swoim domu przy Christiana Drive. Richard zaparkował swój samochód w cieniu, wszedł do mieszkania i zaczął szukać sypialni. Uśmiechnął się gdy zobaczył śpiącą parę. Obydwoje byli młodzi, Renata była piękną kobietą. Piękne ofiary. Wyciągnął rewolwer i strzelił w głowę mężczyzny. Carns drgnął i przestał się ruszać.

Po chwili obudziła się Renata. Richard nachylił się nad nią, sapał, nazywał ją dziwką, śmiał się w twarz. Mogła przyjrzeć się jego okropnej twarzy.

Rzucił się na nią i zgwałcił. Krzyczał jej w twarz, że ja zabije jeśli nie odda się Szatanowi. Błagając o życie zrobiła wszystko co jej kazał. Zanim ją wypuścił, wsadził jej głowę w swój rozpięty rozporek. Dziewczyna przeżyła.

Napastnik znów zniknął w ciemnościach.

Donna Myers i Serafin Arredondo, para przyjaciół mieszkająca w El Sobrante, dzielnicy San Francisco, dokonali niezwykłego odkrycia. Donna często wynajmowała swój dom podróżnym, zauważyła że od czasu do czasu mieszkał u niej mężczyzna znany jej jako 'Ricky'. Kobieta zeznała na policji że mężczyzna ten miał chyba hiszpańskie korzenie, był wysokim, szczupłym i dziwnie wyglądającym człowiekiem. Co więcej, był bardzo podobny do mężczyzny przedstawianego na plakatach, znanego jako Nocny Łowca. Ricky pochodził z El Paso, w stanie Texas, podróżował po Kalifornii, głównie między San Francisco i Los

Angeles. Kobiętę zainteresowało jego czarne ubranie i dziwne zachowanie.

Donna zapamiętała pewne wydarzenie. Kiedyś weszła do pokoju w którym goście oglądali telewizję. Był tam Ricky. Oglądał wiadomości, w których mówiono o ostatniej ofercie Nocnego Łowcy. Wydawał się bardzo zainteresowany tymi informacjami. Gdy ja zauważył, odwrócił się do niej i powiedział: "Teraz pewnie nie byłabyś zdziwiona gdyby okazało się że to ja jestem Łowcą." Wtedy potraktowała to jako dziwną przechwałkę, jednak przypomniała sobie o tym gdy zobaczyła notatki w gazetach. To wspomnienie przeraziło ją.

Arredondo, przyjaciel pani Myers często ją odwiedzał. Pamiętał że kupił od Ricky'ego pierścionek z diamentem i spinki do mankietów. Ricky mówił że nie ma pieniędzy i sprzedał te rzeczy po bardzo przystępnej cenie. Po pewnym czasie Arredondo przeczytał w gazetach, że Nocny Łowca bardzo często okrada swoje ofiary... Wtedy pomyślał, że może... te spinki...

Policjanci zatrzymali biżuterię. Po dokładnym zbadaniu okazało się że została skradziona jednej z ofiar.

Nikt nie wiedział kiedy Ricky znów odwiedzi dom pani Myers. Policjanci w cywilu ciągle obserwowali okolicę.

Od tej pory chyba wszystko zaczęło się toczyć zgodnie z planem detektywów. W czasie przesłuchań pani Myers znaleziono porzuconą pomarańczową Toyotę. Ten sam samochód widziano w okolicach posiadłości Williama Carnsa, w nocy gdyostał zamordowany.

Policjanci obserwowali ten samochód przez 24 godziny zanim zdecydowali się go dokładnie przeszukać. Chcieli mieć pewność że nie wystraszą mordercy.

Jednak badania samochodu nie przyniosły spodziewanych efektów. Udało się zebrać kilka dobrych odcisków palców. Do analizy tych śladów użyto nowego systemu komputerowego.

Po kilku minutach od wprowadzenia danych do komputera ustalono że odciski palców należą

do drobnego złodzieja i handlarza narkotyków, niejakiego Ricardo Ramireza.

Teraz policja miała konkretnego podejrzanego. Pozostało tylko zebrać o nim jak najwięcej informacji i złapać go zanim dokona kolejnego morderstwa.

Ricardo Ramirez urodził się w hiszpańskiej dzielnicy miasteczka El Paso, w stanie Texas, 28 lutego 1960. Jako dziecko żył w ubóstwie, należał też do młodzieżowego gangu. Jego rodzice, ojciec Juan, nielegalnie przebywający w USA, i matka Mercedes mieli siedmioro dzieci.

Ricardo był najmłodszy. Mercedes starała się jak mogła by jej rodzina była porządna i katolicka. Udało jej się dobrze wychować szóstkę swoich dzieci. Niestety Ricardo miał pecha.

Nauczyciele twierdzili że mógłby być dobrym uczniem gdyby bardziej przykładął się do nauki. Jednak Ricardo wolał inaczej spędzać czas. Dwa razy nie ukończył dziewiątej klasy.

We wcześniej młodości zaczął włamywać się do mieszkań. Kilka razy był łapany przez policję. Wtedy trafiał pod opiekę kuratora, był częstym uczestnikiem programów dla trudnej młodzieży. Za którymś razem trafił w końcu do zakładu poprawczego.

Interesował się tylko trzema rzeczami, i na nich mu tylko zależało. Były to sztuki wojenne, marihuana i heavy metal. Jego przyjaciele z lat szkolnych wspominają, że uwielbiał muzykę takich zespołów jak Black Sabbath i Judas Priest.

Interesował się też okultyzmem i satanizmem, czarną magią. Gdy matka posyłała go na lekcje religii, mając nadzieje że odkryje odpowiednią drogę życia, Richard uczył się pilnie, jednak zupełnie inaczej wszystko interpretował. Często po lekcjach religii udawał się do biblioteki i czytał o Szatanie i upadłych aniołach.

Richard w czasach swej młodości był podejrzany o serię włamań, jednak policja nie mogła mu niczego udowodnić. Po raz pierwszy został aresztowany za posiadanie marihuany. Po kilku miesiącach znów został aresztowany za to samo przestępstwo. Trzeci raz aresztowano go za niebezpieczną jazdę samochodem przyjaciela. Uniknął więzienia zgadzając się na pracę

w ośrodku dla trudnej młodzieży. Karę zawieszono na trzy lata. Był pod nadzorem kuratora. Gdy miał 20 lat, skończył się okres zawieszenia i nadzoru kuratorskiego, Richard Ramirez opuścił El Paso.

Od czasu gdy opuścił rodzinny Texas, do czasu gdy zaczął mordować niewinnych ludzi, Richard wpadał w mniejsze kolizje z prawem. W 1984 roku został zatrzymany i sfotografowany gdy prowadził skradzione auto. Nie został za to ukarany.

W tym czasie posługiwał się również innymi nazwiskami. Znany był jako Richard Moreno, Noah Jimenez, Nicolaus Adame, Richard Munoz czy Richard Mona. Nie robił nic więcej poza braniem narkotyków i włóczęgią po barach Kalifornii. Zawsze ubrany na czarno, pod wpływem narkotyków często wprowadzał się w satanistyczny trans.

Aresztowanie

Był słoneczny poranek 31 sierpnia 1985. Richard Ramirez wysiadł z autobusu który właśnie przyjechał do Los Angeles z Phoenix, Arizona. Pojechał do Phoenix zaraz po zamordowaniu Williama Carnsa. W Phoenix kupił działkę kokainy od znajomego handlarza. Po udanych zakupach wrócił do LA, najprawdopodobniej planując kolejne morderstwo. Nie wiedział nic o tym że policja już zna jego personalia, ma jego zdjęcie. Zdjęcie i dane ukazały się w każdej gazecie wydawanej w LA. Spokojnie chodził po mieście, nie zdając sobie sprawy z tego że wszędzie jest jego wyraźne zdjęcie. Udał się w kierunku wschodnim, do hiszpańskiej dzielnicy.

"Mężczyzna podejrzewany o popełnienie serii okropnych zbrodni został zauważony w sobotę o 8:30, gdy wszedł do małego sklepiku z alkoholami przy 819 S. Towne Avenue. Ubrany był w czarne jeansy i koszulkę z logo Jack Daniel's. W sklepie zauważył że na pierwszej stronie gazet jest jego zdjęcie." - tak pisało o tym wydarzeniu Los Angeles Times. Sklepiarz zauważył, że Richard spanikował gdy zobaczył swoje zdjęcie w gazetach. Upuścił gazetę i wybiegł ze sklepu. Inni ludzie obecni w sklepie natychmiast go rozpoznali i zaczęli pościg.

Uciekając przez hiszpańską dzielnicę która znał bardzo dobrze, Richard miał spore szanse na zmylenie pościgu. Skręcił w Mott Street. Akurat zaczynał się weekend, ludzie nie szli do pracy. Był słoneczny poranek, większość z nich

wyszła na ulice. Wszyscy obserwowali uciekiniera. Niektórzy ludzie zatrzymywali wozy patrolowe policji i wskazywali Nocnego Łowcę. Inni dzwonili i zawiadamiali policjantów, że w ich okolicy pojawił się poszukiwany morderca. Wkrótce siedem oddziałów policji uczestniczyło w pościgu. Jeden, dwóch, może trzech świadków mogłoby się mylić... ale nie cała okolica. Policjanci wiedzieli, że Ramirez to ich człowiek, chłopak z sąsiedztwa... człowiek którego wydali jego ludzie.

Dla Ramireza był to koszmar. Wszystko wokół zaczęło się kurczyć, było coraz mniej miejsca, coraz mniej powietrza. Pod koszulką serce waliło mu jak młot. Czuł że Szatan go opuścił. Nie ma ucieczki. Ludzie go otoczyli. Nie mógł się ruszyć. Już czuł jak czyjeś dłonie blokują jakikolwiek ruch. Wstyd mu było za swoich własnych ludzi, to właśnie oni go zdradzili. Usłyszał syreny policyjne. Zaczął szlochać. Jego cały świat runął w gruzach.

Zatrzymał się przed drzwiami jakiegoś domu. "Por favor, pomóż mi!" Kobieta zobaczyła tłum ludzi zbliżający się do Ramireza. Krzyknęła do nich "Jest wasz!" i zamknęła drzwi.

Ramirez znów zaczął uciekać. Niestety potknął się na Hubbard Street. Chwyciło go czterech mężczyzn. Po kilkunastosekundowej szamotaninie obezwładnili napastnika. Jeden z mężczyzn uderzał Ramireza stalowym prętem.

Czterej bohaterowie to 32-letni Manuel De La Torre, 55-letni Jose Burgoin i jego dwaj synowie, 21-letni Jaime, oraz 17-letni Julio. Inny mężczyzna, 56-letni Faustiono Pinon który nie pozwolił Ramirezowi ukraść samochodu należącego do jego córki.

Gdy przyjechała policja Ramirez leżał na ziemi. Pilnowali go synowie pana Burgoina. Richard krwawił z licznych ran. Człowiek który mordował, okaleczał i bezlitośnie gwałcił leżał teraz na ziemi, i drżał jak przestraszony szczeniak oszołomiony przez nagły wybuch. Jeszcze kilkanaście minut temu, wolny, dumny i pewny siebie wysiadł z autobusu.

Popychany w kierunku wozu policyjnego, Nocny Łowca przez łzy powiedział do aresztującego go policjanta:

"Człowieku, zabij mnie! Nie zasługuję, by żyć."

Długi proces

Wszyscy byli pewni, że proces Nocnego Łowcy będzie krótki i zakończy się skazaniem na śmierć. Wszystkie dowody oskarżenia świetnie do siebie pasowały i się uzupełniały.

Nikt nie spodziewał się że po zatrzymaniu mordercy jego proces będzie trwał prawie dwa i pół roku. Umożliwiły to istniejące kruczki prawne, jak też nieumiejętność współpracy oskarżonego ze swoimi obrońcami. Obrona wykorzystywała każdą lukę prawną by odwlec finał rozprawy.

4 września Richard Ramirez po raz pierwszy usłyszał o co jest oskarżony. "Stał z opuszczoną głową, podejrzany Richard Ramirez oskarżony był o dokonanie jednego morderstwa i siedmiu innych czynów karalnych dokonanych w dolinie San Gabriel. Oskarżony był o dokonanie morderstwa, włamanie, gwałt, sodomie, zmuszanie do odbycia stosunku oralnego. Groziła mu za to kara śmierci." (Los Angeles Times)

W tym samym czasie władze San Francisco oskarżyły go o spowodowanie śmierci państwa Pan (17 sierpnia) oraz o zamordowanie Williama Carnsa i gwałt na Renacie Gunther (25 sierpnia).

"Podejrzany został zatrzymany kilka dni temu. Jest bardzo dużo dowodów które muszą być zbadane. Śledztwo w tej sprawie nadal trwa. Mam nadzieję, że w przeciągu kilku tygodni wszystko to poukładamy, zapadną odpowiednie decyzje i sprawa zostanie zamknięta." (komentarz Reiner, przedstawiciela oskarżenia, dotyczący innych zbrodni o które podejrzewano Ramireza)

Tak jak przewidział Reiner, w ciągu następnych miesięcy przedstawiono kolejne oskarżenia o popełnienie morderstw, usiłowanie morderstw, kradzieże, włamania i napady o podłożu seksualnym o różnym stopniu nasilenia. Detektywi zebrali dowody świadczące o popełnieniu morderstw lub gwałtów na następujących osobach:

- Jennie Vincow (28 czerwca 1984);
- Dayle Okazaki i Maria Hernandez (17 marca 1985);
- Tsai-Lian Yu (17 marca);
- Vincent i Maxine Zazzara (27 marca);
- Harold Wu (14 Maja);
- Ruth Wilson (30 Maja);
- Malvia Keller & Blanche Wolfe (1 czerwca);
- Patty Higgins (28 czerwca);
- Mary Louise Cannon (2 lipca);
- Diedre Palmer (5 lipca);
- Joyce Lucille Nelson (7 lipca);
- Linda Fortuna (7 lipca);
- Mason i Lela Kneiding (20 lipca);
- Chitat Assawahem (20 lipca);
- Christopher i Virginia Petersen (6 sierpnia);
- Ahmed Zia (8 sierpnia).

Przy okazji wyszło na jaw kilka innych przestępstw, o popełnienie których wcześniej nie podejrzewano Ramireza. Chodzi o włamanie do rezydencji Thomasa Sandova (2 marca 1985), porwanie i zgwałcenie 8-letniej dziecka (20

marca), oraz włamanie do mieszkania którego właścicielka była Carla Hadsall.

"Ten proces to cyrk... koszmarny maraton, który trwa już blisko 4 lata, kosztuje państwo blisko 2 miliony dolarów. W procesie wzięło już udział 6 obrońców, dokonano blisko 3 tysiące przesłuchań" (tak opisuje ten proces Linedecker).

Już na samym początku relacje między Ramirezem i jego obrońcami, oraz między obrońcami i rodziną Ramireza były bardzo napięte. Sędzia Elva Soper wyznaczyła obrońcę z urzędu, był nim Allen Adashek. Jednak rodzina Ramireza chciała by bronił go inny obrońca, Manuel Barraza. Po długich sporach Barraza wycofał się. Stwierdził, że nie jest przygotowany by uczestniczyć w takim procesie.

Gdy rozwiązano ten problem, Ramirez zgłosił uwagę, że nie chce by reprezentował go Adashek, ponieważ nie potrafi się z nim dogadać. Adashek był typem człowieka, który nie tolerował huśtawek nastrojów swojego klienta, nie tolerował jego złego zachowania w sądzie. W jego opinii Ramirez groził sędziemu, swoim zachowaniem udawał że jest niezdyscyplinowanym i szkodliwym społecznie oskarżonym. Na dłoniach miał narysowane pentagramy, które, gdy tylko miał okazję, wszystkim pokazywał.

W październiku przyjęto wnioski Ramireza o odsunięcie od sprawy dotychczasowego obrońcy. Kolejnym obrońcą był Joseph Gallego, wynajęty przez siostrę Richarda, Rosę Flowers. Był to bardzo utalentowany 56-letni adwokat, który jako jeden z niewielu ludzi wierzył, że uda mu się 'wybronić' swojego klienta, znał środowisko Latynosów. Jeśli otrzymałby szansę, na pewno pokazałby się z dobrej strony. Jeśli otrzymałby szansę. Niestety, wkrótce został zwolniony.

Czas mijał. Kolejnymi obrońcami byli Daniel i Arturo Hernandez. Zbieżność ich nazwisk była zupełnie przypadkowa. Obaj mieli słabe doświadczenie jeśli chodzi o sprawy morderstw, jednak to ich wybrała Rosa Flowers. Sędzia Soper osobiście przestrzegła, że pani Flowers nie powinna zatrudniać niedoświadczonych adwokatów. Rodzina jednak nie zmieniła zdania. Pod koniec października sędzia Soper, co prawda niechętnie, oficjalnie zatwierdziła zmianę obrońców Richarda Ramireza.

Pierwszym ich ruchem była próba przeniesienia terminu rozpoczęcia procesu do na kwiecień 1986 roku. Przez te sześć miesięcy mieli się przygotować, by odpowiednio bronić swojego klienta. Sąd uznał że to za dużo czasu, jednak przeniósł początek procesu na 24 lutego następnego roku. Oskarżyciele, mimo niezadowolenia, zgodzili się na przesunięcie terminu.

W międzyczasie w prasie ukazywały się komentarze dotyczące uległości sądu. Opinii publicznej nie podobały się częste zmiany obrońców Ramireza. Rok 1986 się skończył a proces nawet się nie zaczął. Za to wszystko płacili podatnicy. Candance Cooper, sędzia przewodniczący wstępnym przesłuchaniom, nie pozwolił na obecność prasy. Oczywiście pojawiły się

odpowiednie komentarze. Przedstawiciele prasy wnieśli sprzeciw w wyniku którego sędziego Coopera zastąpił James T. Nelson. Ten wpuścił prasę na salę rozpraw.

W lutym 1987 rozpoczęto wstępne przesłuchania. Miały one na celu rozpoznanie, które z dowodów mają jakieś znaczenie, które zostaną przedstawione podczas procesu.

Przesłuchano ponad 30 osób. Wśród przesłuchiowanych były ofiary przestępstw popełnionych Ramireza i świadkowie. Obrona i oskarżyciele często wdawali się w sprzeczki słowne, zupełnie nie dotyczące sprawy. Obrona oskarżała sędziego o stronniczość i uprzedzenie do ich klienta, natomiast oskarżenie zarzucało obrońcom brak szacunku do miejsca w którym się znajdują.

Sam oskarżony był całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek wychowania. Sędzia Nelson często prosił, by obrońcy uspokoili swojego klienta. Obrońcy też nie wykazywali się znajomością zasad dobrego wychowania. Często, razem z Richardem, śmiali się i żartowali.

"Ramirez... bardzo rozbawiony, żartował z obrońcami. Śmiali się na głos, nawet podczas przesłuchań. Wybuchnął głośnym śmiechem podczas zeznań pewnej kobiety, gdy ta opisywała jak ja gwałcił, obok leżał zamordowany mąż. Zeznania te sprawiły że kilka osób zaczęło płakać. Czasami Ramirez otwarcie szydził z oskarżycieli. Uśmiechał się oglądając zdjęcia ofiar... zwłaszcza gdy zobaczył scenę, która sprawiła mu wiele przyjemności." ("Night Stalker") Ramirez był szczególnie zadowolony gdy patrzył na zeznających ludzi. Zdawał sobie sprawę ze strachu jaki wywołuje jego diabelskie spojrzenie. W końcu sędzia zwrócił mu uwagę. Kazał przestać. Ramirez zastanowił się przez chwilę, ale po chwili znów wpatrywał się kolejnego świadka. Wtedy sędzia dał znak strażnikowi, który siłą odwrócił głowę Ramireza. Richard niespodziewanie zaatakował strażnika. Kilka sekund później leżał już unieruchomiony. Po chwili został zabrany do celi.

Obrońcy zaczęli protestować, jednak nikt ich nie słuchał. Przedstawiciele prasy byli zadowoleni. Wreszcie pokazano nieco sprawiedliwości.

Wstępne przesłuchania zakończyły się 7 maja. Ramirez został oskarżony o 41 różnych przestępstw: 14 morderstw, 5 usiłowań morderstwa, 15 włamań, 4 gwałtów, 4 aktów sodomii i 3 zmuszeń do odbycia stosunku oralnego. Richard do niczego się nie przyznał. Proces miał się rozpocząć 2 września 1987 roku. Obrona znów poprosiła o przełożenie terminu. Proces przesunięto na 2 grudnia. Nowym sędzią został Michael Tynan. Zmiana ta wywołała kolejne opóźnienia. Wtedy też obrońcy poprosili o przeniesienie procesu poza okręg Los Angeles. Chcieli zapewnić swojemu klientowi uczciwy proces. W końcu panowie Hernandez nie mieli już żadnej możliwości by odwlec rozpoczęcie procesu. Ich działania przyniosły jednak jakiś skutek. Datę rozpoczęcia procesu ustalono na 1 lutego 1988 roku.

Obrońcy spróbowali jeszcze raz. Tym razem uznali, że nie pozwolono im dokładnie przejrzeć dokumentów zebranych przez policjantów departamentu policji w Los Angeles. Znowu wygrali trochę czasu. Rozpoczęcie procesu znów przeniesiono. Tym razem na czerwiec 1988 roku.

Prawnicy po raz pierwszy byli tego samego zdania. Wiedzieli że będzie bardzo trudno znaleźć odpowiedni skład ławy przysięgłych. Przesłuchano blisko 3000 ludzi. W końcu wybrano potrzebną dwunastkę. Sześciu z nich było Latynosami.

Proces Richarda Ramireza rozpoczął się 29 stycznia 1989 roku. Społeczeństwo amerykańskie już prawie zapomniało o terrorze jaki zasiał Nocny Łowca. Niektórzy jednak pamiętali, zwłaszcza ci, którzy to przeżyli. I to oni pragnęli sprawiedliwości.

Sprawiedliwość

Wszyscy na sali sądowej byli niezmiernie podnieceni w dniu rozpoczęcia procesu. Reporterzy przewidywali, że ten będzie trwał od 4 do 6 miesięcy. Na sali znajdowali się przedstawiciele telewizji, prasy jak również grupa detektywów która przyczyniła się do schwytania Ramireza, razem z Frankiem Salerno. Richard Ramirez siedział spokojnie na swoim miejscu. Był ubrany w klasyczny garnitur, miał ładnie ułożone włosy, na oczach ciemne okulary. Sędzia oficjalnie rozpoczął postępowanie. Swoją przemowę rozpoczął główny oskarżyciel, Philip Halpin.

Przypomniawszy ławie przysięgłych, że są tu by osądzić potwora, który nie miał szacunku dla ludzkiego życia. Wiele razy je odebrał. Torturował ofiary. Niektóre pozostawił przy życiu, by cierpiały do końca swoich dni. Przypomniawszy zebrany, że ten potwór czcił diabła i składał mu ofiary, ich własne łóżka służyły za ołtarz.

Bez wątplenia Ramirez jest winny, tak twierdził prokurator. Znalaziono przy nim cztery różne rewolwery. Odpowiedni ludzie sprawdzają teraz czy z tych broni zabił którąś z ofiar. Biżuteria należąca do ofiar została znaleziona w domu siostry Ramireza, w El Paso. Kobieta traktowała te podarunki jako miłe prezenty. Wreszcie, na miejscach zbrodni znaleziono odciski palców i butów należących do Ramireza. Byli też naoczni świadkowie, którzy z całkowitą pewnością zidentyfikowali Ramireza jako gwałciciela, mordercę ich mężów czy narzeczonych.

"Wszystkie te morderstwa to morderstwa pierwszego stopnia. Były zaplanowane. Popołniono je podczas napadów, podczas włamań. Dlatego też domagamy się kary śmierci." - tak zakończył swoje wystąpienie prokurator generalny.

Obrońca Daniel Hernandez zrezygnował ze swojego pierwszego wystąpienia. Halpin zrobił takie wrażenie, że chyba nic nie można było powiedzieć by temu zaprzeczyć. W zasadzie, im dłużej trwał proces, nic nie wskazywało na to by Hernandez znalazł jakiś mocny punkt oparcia do obrony. Nie tylko dlatego że prokurator dysponował dowodami nie do podważenia, ale też dzięki temu, że jego partner był całkowicie niewidoczny. Daniel Hernandez został sam na placu boju. 'Walka' od samego początku była nierówna. Po upływie miesiąca Daniel Hernandez poprosił o zwolnienie z obrony z powodów zdrowotnych.

Wobec kosztownych opóźnień sędzia nie zdecydował się na zawieszenie procesu. By pomóc Danielowi, zastąpiono Arturo Hernandeza innym, znacznie lepszym adwokatem. Był nim Ray Clark.

Clark rzeczywiście wziął trudy obrony na swoje barki. Był bardzo zdolnym adwokatem. Chciał udowodnić, że Ramirez podczas popełniania zbrodni był ofiarą pomieszania tożsamości. Jednak na taki rodzaj obrony było już za późno. Nie przyniosło to żadnego skutku.

Przesłuchano 165 świadków. Większość z nich zeznawała przeciwko oskarżonemu. Wszyscy wskazywali Ramireza, rozpoznali Ramireza.

Wspominali jego przekleństwa, modlitwy do diabła, nie potrafili zapomnieć tej pary diabelskich oczu, które teraz zasłonięte były przez ciemne okulary.

Nic też nie było w stanie zaćmić złego wrażenia jakie na początku zrobił sam oskarżony.

"Podczas procesu morderca grał przed prasą. Pokazywał swoje dłonie, na których miał narysowane pentagramy. Innym razem, gdy prokurator wygłaszał listę popełnionych przez niego przestępstw uniósł dwa palce, symbolizujące rogi i zaczął śpiewać 'Evil... Evil... Evil...' - tak opisuje zachowanie Ramireza podczas procesu Jay Robert Nash, autor książki 'Bloodletters and Badmen'".

Nie było to zachowanie którym można zaskarbić sobie 'przyjaźń' przysięgłych.

Proces zakończył się w lipcu. Jedyne co pozostało to czekać na ogłoszenie wyroku.

Opóźnienia nie ominęły nawet obrad ławy przysięgłych. Jednego z przysięgłych zwolniono za spanie podczas obrad. Inna przysięgła została zamordowana przez zazdrosnego chłopaka. Oczywiście znaleziono zastępców, ale to zabrało trochę czasu. Mijały miesiące a naród czekał na werdykt.

Werdykt ustalono 20 września 1989 roku. Richard Ramirez został uznany winnym wszystkich zarzucanych mu czynów.

Skazano go na śmierć w komorze gazowej.

Sędzia zapytał Ramireza czy ma coś do powiedzenia. Ten, jak na Nocnego Łowcę przystało, oczywiście przeklął sąd, przeklął przysięgłych, przeklął świat.

"Nie muszę wyglądać z tego pomieszczenia by zobaczyć wszystkich kłamców, nienawidzących, morderców, świrów. Sprawiacie że jestem chory... Jestem poza waszą wyobraźnią, poza dobrem i złem..."

Jego słowa na nikim nie robiły wrażenia. Teraz najważniejsze było to, by nie pozostał poza komorą gazową. To było teraz najważniejsze.

Richard Ramirez czeka na wykonanie egzekucji. Czas ten spędza w celi śmierci, w więzieniu w San Quentin....

Inspektor Miller przestał czytać, wyszedł z internetu, drżącą dłonią wyłączył komputer.

-Czy każdy z nich mógłby być moim synem?– rzucił głucho w przestrzeń.

Sześćdziesiąt

-Pan tutaj czegoś szuka, prawda? – Zapytał Dev Amar.

Jakub raz jeszcze spróbował podnieść się z wózka, ale nie mógł.

-Wydaje mi się – odezwał się, – że pan dobrze wie, czego szukam.

-Być może – Dev Amar uśmiechnął się z politowaniem. – Niech pan już nie próbuje wstawać, to bezcelowe.

-Naćpaliście mnie czymś – powiedział Jakub. – Zastanawiam się tylko w którym momencie. Czy to był już ten taksówkarz, czy może ten staruch, kiedy spałem.

-Błądzi pan – powiedział Dev Amar. – Nie używam do swoich celów narkotyków, oprócz jednego, ostatecznego, a i to dosyć rzadko. Błądzi pan, a jak sądzę, nikt nie chce błdzić. Mógłbym naprowadzić pana na właściwą drogę...

-Doprawdy? – przerwał mu Jakub. – A jaka droga jest właściwa?

Wtedy w pokoju znalazła się Maria, a niebieskie światło zaczęło migotać jak zepsuta świetlówka.

-Witaj, Kuba – odezwała się swoim obezwładniającym głosem.

Jakub milczał, a jego umysł na sam widok tej kobiety znowu zmienił się w kłębowisko starych drących się szmat.

-Czego chcesz? – zdołał z siebie wydobyć mechaniczny głos.

-Tak znienacka zniknąłeś – odpowiedziała Maria. – Chciałeś ode mnie odejść, kochany? Jak mogłeś? Przecież dałam ci wszystko.

-Odebrałaś mi wszystko – Jakub słyszał swój głos.

-Wybaczam ci. Jesteś taki rozczulająco słaby – mówiła Maria. – Ale wszystko będzie tak, jak dawniej. Wszystko można cofnąć.

-Nic nie można cofnąć – powiedział Jakub.

-Co? – wtrącił się Dev Amar. – Tak pan uważa? No to niech pan się trzyma. Spotkamy się niebawem.

I wtedy wszystko zaczęło cofać się jak na puszczonej na szybkich obrotach filmie. Jakub wypłuł z siebie ciastka na regał cukierniczy, tyłem wyjechał z hipermarketu, znalazł się za oszklonymi drzwiami i wstał z wózka.

-Dobra, spierdalamy – powiedział nerwowo Marcin. – chyba nas namierz yli. Masz?

Jakub już miał odpowiedzieć, gdy stwierdził, że trzyma w dłoniach sześciopak piwa „Number Six”.

-Mam – odparł ze zdziwieniem.

Sześćdziesiąt jeden

-Tylko się nie unoś – wymamrotał Łukasz patrząc na Maję z niepokojem. – Dzisiaj rano dowiedziałem się, że Agnieszka nie żyje. A Michał zniknął gdzieś bez śladu.

-Agnieszka nie żyje – powtórzyła spokojnie Maja. – a Michał zniknął bez śladu.

I dostała ataku, jakiego jeszcze Łukasz nie widział.

Sześćdziesiąt dwa

-To w ogóle nie ma smaku – stwierdził Jakub, upiwszy łyk piwa „Number Six”.

-Pierdolisz – Marcin postawił na podłodze korytarza butelkę, w której był już najwyżej łyk. – To znaczy racja, z początku tego smaku nie czujesz, potem się w nim rozsmakowujesz i jest intensywny jak skondensowane żonkile.

-Po co to pijemy? – zapytał Jakub.

Marcin spojrzał Jakuba ze zdumieniem w oczach.

-Jeszcze się nie zorientowałeś?

-Skąd?

Marcin pokiwał głową i dopił resztę z butelki.

-No tak – powiedział cicho. – Ale ja ci nie powiem. Odpowiedź znajdziesz w mózgu. Swoim, albo innym, to bez różnicy.

Jakub milczał chwilę, a potem zdobył się na pytanie:

-Co to jest Kościoszczur? Nie wykręcaj się, ty wiesz na pewno.

-Obdarł mnie z ciała – odparł lekko Marcin. – To chyba wiesz. Poza tym na jego temat pozbawiony jestem ust. Gdy chcę coś powiedzieć, skleją mi się usta i mogę co najwyżej popierdywać.

-A Gahim? – spytał Jakub.

Marcin jakby posmutniał.

-Mogę ci powiedzieć, że jesteś w nim i nie jesteś – odparł otwierając kolejną butelkę „Number Six”. – Ale jeśli ci chodzi, wiesz o co, to idź prosto, tam jest wyjście.

-Nie bardzo wiem, o co mi chodzi – odparł Jakub. – Ale chcę zobaczyć.

-To idź.

Jakub milczał chwilę.

-A w jaki sposób cię jeszcze zobaczę? – zapytał.

-Kierownik hipermarketu ci powiedział – odparł Marcin sennie.

-Powiedział, że się jeszcze zobaczymy.

-No właśnie. Cześć – otworzył następną butelkę i wskazał kierunek.

Jakub ruszył korytarzem i zatrzymał się przed nieudolnie pomalowanymi na czarno drzwiami.

Otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Wilgotne powietrze owionęło mu twarz.

Ulica.

Na przeciwnym jej końcu zobaczył półkoliste drzwi, a nad nimi napis KLUB TEATR GAHIM.

Spojrzał w bok i zobaczył zegar na wysokim słupie.

Zegar pozbawiony był wskazówek.

Jakub postawił pierwszy krok, potem drugi i dalej.

Sześćdziesiąt trzy

Berg był poinformowany.

Pyrkotał przed siebie starą skodą i tylko modlił się w duchu, żeby bez awarii dotarł jak najszybciej na miejsce. Bo już wiedział o tajemniczej zbrodni w pensjonacie „Żonkil”. Nie wiadomo dlaczego bał się internetu, wiadomość o rzezi w pensjonacie odnalazł studiując gazety w zatęchłej czytelnii.

„Po takim czasie psów już tam nie będzie. Co najwyżej postawią jakiegoś głupka do pilnowania – myślał, że zgrzytem zmieniając biegi. – To nic. Skoro mam nie zadawać się z policją, to nie będę. Wejść, zobaczyć, ostrożnie popytać sąsiadów i innych miejscowych” – wydawał sobie dyspozycje.

Sześćdziesiąt cztery

-E, panie Adam – Zegadłowicz słyszał ten głos jak przez watę cukrową w uszach. – Wstań pan, no wstań, tapnięty jesteś, do domu cię odwiozę.

Zegadłowicz z trudem uniósł twarz z mokrego asfaltu.

-Dorotko... – wychrypiał.

-Tak, tak, Dorotko – to był głos taksówkarza Gabriela. – Strzeż się, Dorotko czarownika z Oz. A ty wstawaj – ujął go za pachy i stęknął. – Ciężki jesteś. Spróbuj wstać o własnych siłach, bo, kurwa, nie dam rady cię targać.

Zebrawszy wszystkie siły, Zegadłowicz wstał na kolana.

-No, dalej – zachęcał taksówkarz. – Już raz ci się udało.

-Tak, tak – wybełkotał Zegadłowicz. – Wtedy przysłała do mnie Dorota, a później ta druga.

-Yhm – pokiwał głową Gabriel. – Mnie też czasem śnią się kurwy. To fajne sny.

Zegadłowicz stanął na nogach; kiwał się na wszystkie strony.

-Ja znam jedną kurwę – czknał. – I zabiję ją.

-Nie radzę – powiedział kpiąco taksówkarz. – Po tym się idzie do więzienia. Najlepiej nakłść dziwce po ryju i po sprawie.

-Nakłść prju? – wybełkotał Zegadłowicz. – To mało. Potem się zabiję.

Taksówkarz Gabriel skrzywił się z niesmakiem.

-Głupszy jesteś, niż myślałem – i zaciągnął Zegadłowicza do samochodu.

Sześćdziesiąt pięć

Roman Berg przechadzał się wolnym krokiem pokrwawionych korytarzach pensjonatu.

„Nie – myślał. – To niemożliwe, żeby ten gówniarz zrobił to sam. Czy jest ich więcej? Niewykluczone”

Zszedł na dół i uwagę jego zwróciła księga meldunkowa, chyba przez nieuwagę albo niechlujstwo pozostawion przez policję.

Z godzinę studiował nazwiska zapsane w brulionie.

Wreszcie znalazł. Mateusz Miller.

„Jest bezczelny – pomyślał Berg. – Dlaczego nie podpisał się innym nazwiskiem?”

I wtedy zauważył niewielką, lecz widoczną gwiazdkę wieńczącą podpis.

-Zaznaczył się – mruknął Berg. – Dla kogo to znak?

„Dla mnie? – pomyślał. – Żeby nie miał żadnych wątpliwości? Już i tak ich nie mam.”

Coś go tknęło. Z kieszeni zniszczonej skórzanej kurtki wyciągnął swój notes w oprawie z czarnego plastiku. Otworzył go i świecąc sobie latarką, otworzył go na ostatniej stronie.

„Mateusz Miller” – przeczytał i zobaczył gwiazdkę przy tym nazwisku. Spojrzał jeszcze raz w księgę meldunkową. Pismo Mateusza Millera i jego pismo prawie nie różniły się od siebie. I ta gwiazdka. Serce zabiło mu mocniej.

Sześćdziesiąt sześć

Wytlumiony pokój.

-I co? – powiedział agent A. – Nic.

-Na razie nic – powiedział agent B. – Dziewczyna jest bardzo neurotyczna i chyba coś podejrzewa. Często ogląda się za siebie i przyspiesza kroku. Mogą

być to jednak tylko objawy choroby psychicznej. Jeżeli zauważyła, że jest śledzona, na pewno podzieliła się tym ze swoim chłopakiem.

-Chłopak nie sprawia wrażenia, jakby wiedział – powiedział agent C. – Jeśli dziewczyna zwierzyła mu się ze swoich podejrzeń, to chyba nie traktuje tego poważnie.

-Chłopak zachowuje się normalnie – powiedział agent A. – W jego zachowaniu nie ma nic podejrzanego. Jeśli chodzi o dziewczynę, to właściwie też.

-Musimy być czujni – powiedział agent B. – Właśnie teraz. Naszą największą siłą jest intuicja, nie zapominajmy o tym.

Sześćdziesiąt siedem

Michała złapał za rękaw człowiek w czarnym rozciągniętym swetrze naciągniętym na piżamę i pociągnął za sobą w stronę okna. Usiadł na parapecie i wskazał Michałowi miejsce obok siebie.

-Wreszcie jesteś – jego chuda zarośnięta twarz pojaśniała. – Za co cię wsadzili?

-Nie wiem – odparł wolno Michał oszołomiony lekami psychotropowymi. – Chyba za sny.

-Jasne, że za sny – zarośnięty wariat sprawiał wrażenie wniebowziętego. – W końcu cię złapali. Z nimi, niestety, trudno wygrać. Mnie, jak wiesz, zamknęli za nową biblię. Zabrali mi ją, ale głupole nie wiedzieli, że Archanioł Gabriel zakodował mi pismo w mózgu na zawsze. Idioci.

-Pismo? – wymamrotał Michał.

-Nowe Pismo, jak wiesz – odparł wariat. – Trzecie podejście Archaniola Gabriela. Czekalem na ciebie. Jesteś prorokiem i musisz poznać nowe Słowo.

-Muszę?

-Musisz, i to szybko – powiedział wariat. – Najlepiej teraz, zanim się zorientują i nas rozdzielą. To nie potrwa długo. Jesteś gotowy?

-Tak – odparł obojętnie Michał.

-To słuchaj mnie – wariat przymknął oczy. – A właściwie wieczności, bo ona przemówi przeze mnie.

I wariat zaczął recytować, a trwało to nie dłużej niż piętnaście minut:

1,

2,

3,

4,

5.

Przerwa na nabranie oddechu.

6,

7,

8,

9,

10,

11,

12,

13...

Wymowna pauza mająca na celu podkreślenia powagi i uroczystości chwili.

14,

43 sekundy, 77 setnych,

Amen.

Wariat skończył, popatrzył na Michała oczami, z których pociekły łzy i zadał nieme pytanie.

-No... Niewiele zrozumiałem... – wymamrotał Michał. – Nie znam języka, w którym mi to powiedziałaś...

-Ja też nie znam – powiedział wariat uroczystym tonem. – Ja to tylko spisałem. Jako medium.

Michał chrząknął.

-Czuję się niezręcznie.

-Wiedziałem, że tak powiesz! Właśnie tak miałeś powiedzieć! –
wykrzyknął z radością i zanim zniknął za rogiem korytarza, wykrzyknął:
-Jeszcze się spotkamy!

Sześćdziesiąt osiem

Wytłumiony pokój.

-Po Michale Nieudanym i Jakubie Wiązie zaginał ślad – powiedział agent
A. – I to może być ślad.

-Nikt nie ginie bez śladu – powiedział agent C.

Sześćdziesiąt dziewięć

Zegadłowicz nie odpowiadał. Roman Berg nagrał się więc na sekretarkę komórki:

-Mówi Berg. Mateusz Miller zamordował pańską córkę. Jest synem inspektora Millera, który prowadzi śledztwo w sprawie Doroty. Teraz rozumiem pańskie instrukcje dotyczące policji. Jestem w Zakopanem, w pensjonacie, którego gości i obsługę zmasakrował Miller. Badam sprawę. Będę w kontakcie, tylko niech pan odbiera telefony. Na razie.

Wtedy poczuł, jak ktoś delikatnie kładzie mu na ramieniu dłoń.

Odwrócił się gwałtownie.

Siedemdziesiąt

Jakub.

Stałem już przed półkolistymi drzwiami z szyldem z napisem KLUB TEATR GAHIM, kiedy wszystko znowu zaczęło się cofać jak na puszczonej na szybkich obrotach filmie.

Korytarz, Marcin, wózek, hipermarket, słodczyce, „Number Six”, ochrona, drewniane drzwi.

Pulsujący niebieskim światłem pokój.

Pusta zakrwawiona kanapa pośrodku.

Poczułem, że mogę wstać z wózka, uniosłem się ostrożnie i podszedłem do kanapy sztywnej od krwi.

Wtedy w pokoju znalazł się staruszek ze stuletnią twarzą. W drżącej dłoni trzymał szklankę na spodku, wypełnioną po brzegi jakimś płynem.

-Herbata dla pana – odezwał się młodzieńczym głosem.

-Nie chcę herbaty – powiedziałem. – Chcę dostać się do Gahim.

Staruszek wyraźnie posmutniał. Wyciągnął dłoń przed siebie.

-To tam – wskazał nieudolnie pomalowane na czarno drzwi, tkwiące w jednej ze ścian. – Tylne wejście.

Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Siedemdziesiąt jeden

„Straszny tłok” – pomyślała Agnieszka. Nigdy nie była w tej restauracji; poprowadzono ich do stolika przy bufecie. Łukasz uśmiechnął się i przelotnie spojrzał w oczy Agnieszki niebieskimi jak morze oczami. Agnieszka była zaskoczona; Łukasz nigdy nie zabierał jej w takie miejsca.

-Fajnie tu – odezwała się, żeby coś powiedzieć.

Kelner, który natomiast wyglądał jak młody Tom Jones na występach w Las Vegas, podał im menu.

Łukasz poprosił o danie, którego nazwy Agnieszka nawet nie odważyłaby się wymówić i na chybił trafił zamówiła coś dla siebie, mając tylko nadzieję, że poprawnie odczytuje nazwę potrawy.

-Umieram z głodu – odezwał się Łukasz; Agnieszka zauważyła to już wcześniej – mówił dziś jakoś inaczej, wolniej. – Może rozglądniemy się po sałatkach?

Agnieszka oczywiście wstała jak na rozkaz. Podeszli do stołu. Pstrokatość sałatek i przystawek przyprowadziła o zawrót głowy.

Zauważyła, że Łukasz niezgrabnie trzymał talerz w lewej ręce, prawą nakładał jedną z sałatek. Jednocześnie wsypywał do talerzy i salaterek z ukrytej pod talerzem prawej dłoni żółtawy proszek.

Zauważył, że ona to zauważyła.

-Idź do stolika – warknął z jakimś zwierzęcym wyrazem twarzy.

Wtedy poczuła i zrozumiała, że nie umie przeciwstawić się jego woli. Sztywno usiadła na krześle, czując w głowie jakąś lodowatą pustkę.

Agnieszka poczuła na ramieniu ciężką męską dłoń. Obróciła głowę i chciała wstać, lecz lodowaty wzrok mężczyzny nakazał jej pozostanie przy stoliku. Facet miał jasne włosy, niebieskie oczy i wydatne szczęki, co czyniło go nieco podobnym do Roberta Redforda. Zerknęła na niego ze strachem i już w jej głowie zrodziła się myśl, że przyjscie tutaj było czymś złym. Redford obserwował coś skupionym błękitnym wzrokiem. Agnieszka spojrzała tam również i serce jej zamarło. Do Łukasza z obu stron podeszło dwóch mężczyzn ubranych w jednakowe ciemne garnitury. Gdy Łukasz zorientował się, że idą do niego, na chwilę zamarł. Potem rzucił talerzem w stronę bufetu. Zrobiło się zamieszanie, Łukasz chciał je wykorzystać i rzucił się do ucieczki, lecz na drodze stanął mu jeden z mężczyzn a w jego ręce zabłysnął pistolet. Łukasz zatrzymał się popatrzył na obu facetów i roześmiał się z dziwną beztroską. Rozłożył szeroko ręce w geście mówiącym: „Dobra, macie mnie.”

Jeden z facetów przyłożył Łukaszowi pistolet do pleców. W restauracji zapanowała martwa cisza. Przerażeni ludzie patrzyli na całą scenę w napięciu. Używając specjalnej chusteczki, jeden z mężczyzn starł z rozwartej dłoni Łukasza resztki proszku, drugi założył mu kajdanki.

-Proszę zamknąć bufet – jeden z mężczyzn, przypuszczalnie szef całej akcji zwrócił się do zaaferowanego właściciela restauracji.

Zza pleców Agnieszka usłyszała głos Redforda:

-Proszę państwa o nie zbliżanie się do bufetu. Ten mężczyzna posypał potrawy środkiem, który po spożyciu powoduje krótkotrwałą euforię, a potem śmierć. Proszę odgrodzić bufet – spojrzał na właściciela lokalu. – Do czasu przybycia policji – a do Agnieszki zwrócił się ściszym głosem: – Proszę za mną.

Siedemdziesiąt dwa

Za sprawą tajemniczego zastrzyku, Berg pozostawał wciąż przytomny, mimo że zakrwawiona postać odrąbała mu już ręce i nogi za pomocą rzeźnickiego topora. Niestety, zastrzyk nie redukował bólu, który był niewyobrażalny.

Berg wył coraz ciszej, tracił głos.

-Niestety, muszę cię zmartwić – powiedziała postać, młody chłopiec cały we krwi. – Będziesz przytomny jeszcze kilka godzin. Zabawimy się.

W dłoni chłopca błysnął ogromny nóż. Posuwając się od podbrzusza ku klatce piersiowej robił głębokie nacięcia, odsłaniające wylewające się wnętrzności.

-Czas coś przekąsić – Berg poczuł, jak chłopiec wyrywa mu z jamy brzusznej garść cuchnących jelit. – Jesteś gościem, więc poczęstuj się pierwszy – gwałtem wepchnął Bergowi wnętrzności do ust.

-Tylko dokładnie przeżuj – zaśmiał się. – Bo rozboli cię żołądek.

Siedemdziesiąt trzy

Za drzwiami aż po horyzont ciągnęła się martwa pustynia z ciężącym nad nią brudnogrnatowym niebem. Tysiące ludzi wlokło się w stronę widnokregu.

-Czy to tutaj? – wyszeptał Jakub.

-Tutaj – usłyszał głos, który był znajomy, ale zatarł się w umyśle Jakuba przez lata.

Spojrzał w kierunku głosu i ujrzał drobnego obdartego chłopca, który kiwał w jego stronę.

-Ja jestem Jurek – powiedział, widząc że Jakub go nie poznaje. – Znamy się z podstawówki.

W umyśle Jakuba zaświtało, w końcu sobie przypomniał.

-Jurek – pokiwał głową i spojrzał na niego zdziwiony. – Ale przecież ty w ósmej klasie zginąłeś pod tramwajem.

Jurek zmarszczył czoło.

-Możliwe – powiedział. – Coś pamiętam, ale z upływem czasuzaciera mi się to coraz bardziej. Chodź ze mną, z tyłu mnie popychają do przodu.

Jakub zaczął iść.

-Dokąd idą ci wszyscy ludzie? – zapytał. – Czy to jest Gahim, klub i teatr?

-Tak, ale to wszystko nic nie znacząca nazwa – odparł Jurek z bladym uśmiechem. – Tak jak Kościoszczur, o którego z pewnością chciałeś spytać.

-Nie rozumiem.

-Gahim, Piekło to tylko wyświechtane nazwy – mówił Jurek. – Kościoszczur to poetycka i symboliczna nazwa tego, co nas czeka.

-A co was czeka?

-Idziemy do końca horyzontu. Tam trwa skondensowane zło. Wszyscy ci ludzie chcą się w nim zanurzyć.

-Przecież zło otacza nas w zwykłym świecie.

-To odpryski zła. Prawdziwego nikt nie jest sobie w stanie wyobrazić.

-Po to idziecie?

-Po to.

-Czy to znaczy, że ja też idę razem z wami?

-Tak, zacząłeś iść z nami.

-Czy mogę zawrócić?

-Każdy może. Tylko wtedy już nigdy nie jest taki, jak przedtem a słudzy zła lubią sobie z niego zakpić. W świecie do którego wracają, nie jest to zbyt przyjemne. Poza tym z tobą jest zupełnie inna historia.

-Nie rozumiem.

-W dużej mierze ty stworzyłeś świat, w którym się znajdujesz. Pomieszałeś sen z rzeczywistością, splątany tak, że nawet ty nie umiesz go rozplątać.

-Jak to? –spytałem.

-Stworzyłeś jedną wielką halucynację, z której nie umiesz się wyplątać.

-To niemożliwe.

-Możliwe. Stałeś się stwórcą.. Twój mózg zawirował.

-Muszę stąd iść.

-Możesz. Tylko pamiętaj, że za wszystko co się stało, co się dzieje i stanie, ty będziesz odpowiedzialny.

-Dlaczego ci ludzie idą w stronę zła?

-Sam sobie odpowiedz.

-Nikt nie lubi być karmiony ochłapami?

-Właśnie.

-Zaczynam wszystko rozumieć.

-Cieszę się. Idziesz z nami?

-Nie. Wracam tworzyć świat, jeśli to wszystko, co powiedziałeś to prawda.

-Najprawdziwsza.

-To cześć, Jurek.

-Żegnaj, Jakub.

Za mną były te same nieudolnie pomalowane czarną farbą drzwi. Otworzyłem się i znalazłem się na skąpanej w deszczu ulicy. Zegar na słupie wskazywał piątą nad ranem.

Przedemną lśniła czystością nowa stacja benzynowa.

Siedemdziesiąt cztery

Zegadłowicz obudził się z lekkim bólem głowy i całkowitą amnezją. Zwlókł się z łóżka, dziwiąc się, że spał w ubłoconym ubraniu i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro i uśmiechnął się tępo.

Przegarnął czarne włosy bez siwego włoska i było to dla niego naturalne.

Siedemdziesiąt pięć

-Teraz stąd wyjdziemy, a ty, inspektorze Miller, strzelisz sobie w usta – powiedział Michał i objął drżącą na całym ciele Maję. – I żaden z was – spojrzał na policjantów – nie będzie mógł w tym przeszkodzić.

Wyszli z gabinetu, a inspektor Miller z lufą w ustach, czuł jak strugami spływa z niego pot. Uświadomił sobie, że przeczuwał taką śmierć.

„To bardzo dobrze – pomyślał zamykając oczy. – To dla mnie najlepsze.”

Po dziesięciu minutach huknął strzał.

Siedemdziesiąt sześć

Wythumiony pokój.

-No tak – westchnął agent A. – Tak przeczuwałem. Jesteśmy tworem czyjejś wyobraźni.

-Nie istniejemy w rzeczywistości – agent B zwiesił głowę.

-Nie ma nas – odezwał się głucho agent C.

Siedemdziesiąt siedem

Gdy tak stałem w strugach deszczu, zobaczyłem trzy osoby, które wyszły z bocznej uliczki i zbliżają się do mnie. Po chwili rozpoznałem Deva Amara, Mateusza Millera i milczącą Mariannę. Podeszli do mnie.

-Sorry za wszystko – uśmiechnął się Dev Amar podając mi dłoń.

-Nie ma sprawy – uścisnąłem jego dłoń. – Sam tego chciałem i pewnie sam to wymyśliłem.

-No, nie wszystko – zaśmiał się Dev Amar. – Ale dużo było twoim udziałem.

Popatrzyłem na Millera, z którego pomimo deszczu nie spływała krew i popatrzyłem na Deva Amara. Uśmiechnąłem się. On uśmiechnął się również.

-Myślę, że to początek niezłej przyjaźni – powiedział.

-Też tak sędzę – pokiwałem głową i w strugach deszczu zaczęliśmy iść wszyscy w dół uliczki, a zło chroniło nas od deszczu.

Epilog

-Co, a ty nie zwiewasz? – zdumiał się Michał widząc, że nowobiblijny wariat stoi w miejscu. – Chodź szybciej, bo zaraz ktoś przyjdzie – popatrzył z niepokojem na kuchenne schody.

-Nie, ty idź sam, bo to ty jesteś Prorokiem – powiedział wariat uśmiechając się radośnie. – ja zostaję tutaj, muszę głosić nową Ewangelię.

-Chodź – powiedział Michał. – Nie mów tego nikomu więcej. To wulgarne i popieprzone.

-Idź – wariat wypchnął go na zewnątrz.

Michał szedł w strugach deszczu w szpitalnej piźamie środkiem pustej jeszcze ulicy.

Zapalił papierosa, który pomimo deszczu tlił się równomiernie.

Michał zaciągnął się mocno i patrzył, jak budzi się poranek.

-Jestem prorokiem? – powiedział do siebie i zaciągnął się mocno jeszcze raz.

Chwilę milczał.

-W porządku – powiedział w końcu. – No to idę.

Deszcz łagodniał.

Michał poszedł przed siebie szybkim pewnym krokiem.

KONIEC
25 czerwca 2009

